

NIE SĄ BOHATERAMI, KTÓRYCH CHCEMY, ALE TYLKO TAKICH ZNALEŻLIŚMY.



AURORA PRZEBUDZENIE

AMIE KAUFMAN JAY KRISTOFF

AUTORZY „ILLUMINAE FOLDER” – BESTSELLERA Z LISTY „NEW YORK TIMESA”

CYKL_AURORA_01

AURORA PRZEBUDZENIE

Amie Kaufman
Jay Kristoff

CYKL AURORA_01

Przełożyła
Małgorzata Strzelec

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2023

Tytuł oryginału: *Aurora: Rising. The Aurora Cycle Book 1*

Text copyright © 2019 by LaRoux Industries Pty Ltd. and Neverafter Pty Ltd.

Jacket art copyright © 2019 by Charlie Bowater

Copyright for the Polish translation © 2023 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Urszula Okrzeja

Korekta: Magdalena Górnicka

Ilustracja na okładce: Charlie Bowater

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński

ISBN 978-83-67793-71-1

Wydanie II

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

Pl. Konstytucji 5/10

00-657 Warszawa

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:

Dressler Dublin sp. z o.o.

ul. Poznańska 91

05-850 Ożarów Maz.

tel. 227 335 010

www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Motto

Część 1. Dziewczyna spoza czasu

1. Tyler

2. Auri

3. Scarlett

4. Zila

5. Auri

6. Cat

7. Kal

8. Zila

9. Auri

10. Finian

11. Auri

12. Tyler

Część 2. Niebo pełne duchów

13. Scarlett

14. Auri

15. Finian

16. Tyler

17. Kal

18. Cat

19. Zila

20. Auri

21. Finian

22. Cat

23. Scarlett

24. Tyler

Część 3. Czarna dziura w sercu Galaktyki

25. Auri

26. Kal

27. Zila

28. Kal

29. Cat

30. Finian

31. Auri

32. Scarlett

33. Auri

34. Cat

35. Tyler

*Jeśli z trudem znaleźliście
swoją drużynę albo jeśli nadal szukacie,
ta drużyna jest dla was.*

CZĘŚĆ 1

A decorative graphic consisting of a horizontal line on the left, a diagonal line sloping downwards to the right, and another horizontal line on the right, all in a light gray color.

**DZIEWCZYNA
SPOZA CZASU**

Przegapię Pobór.

Hadfield rozpada się wokół mnie. Czarne łuki kwantowych błyskawic topią kadłub statku i zamieniają w żużel. Mój skafander kosmiczny rozbrzmiewa siedemnastoma różnymi alarmami, zamek na przeklętej kapsule kriogenicznej wciąż nie chce się otworzyć, a to jest jedyna myśl, która rozlega się rykiem w mojej głowie. Nie myślę o tym, że trzeba było zostać w łóżku i porządnie się wyspać. Nie myślę o tym, że trzeba było zignorować przeklęty sygnał SOS i wracać do Akademii Aurora. I nawet nie myślę o tym, że zginę w naprawę idiotyczny sposób.

Nie. Patrząc śmierci prosto w twarz, Tyler Jones, dowódca drużyny pierwszej klasy, myśli o jednej i tylko jednej rzeczy.

Przegapię cholerny Pobór.

W końcu jeśli całe życie pracujesz z myślą o jednej Rzeczy, to jest oczywiste, że ta Rzecz jest dla ciebie ważna. Jednak większość racjonalnych ludzi uznałaby możliwość wyparowania we wraku statku kosmicznego, dryfującego przez przestrzeń między wymiarami, za kwestię nieco ważniejszą od szkoły. Tak tylko mówię.

Patrzę na dziewczynę śpiącą w kriokapsule. Ma dość krótkie czarne włosy z dziwnym siwym pasemkiem w grzywce. Piegi. Szary kombinezon. Ma błogi wyraz twarzy, jaki widuje się tylko u malutkich dzieci albo ludzi pogrążonych w śnie kriogenicznym.

Zastanawiam się, jak ma na imię.

Zastanawiam się, co by powiedziała, gdyby się dowiedziała, że zaraz przez nią zginę.

Kręcę głową i mruczę coś pod nosem; słowa zagłusza wrzask alarmów, gdy statek wokół mnie zaczyna rozpadać się na milion płonących kawałków.

– Lepiej, żeby była tego warta, Jones.

* * *

Cofnijmy się nieco.

Jakieś cztery godziny, ściśle rzecz ujmując. Wiem, zwyczaj każe zaczynać opowieść od ekscytującej sceny, ale musicie dowiedzieć się, co tu jest grane, żeby należycie przejąć się faktem, że za chwilę wyparuję. Bo kiedy to nastąpi, będzie naprawdę słabo.

Zatem. Cztery godziny temu leżę w akademiku w Akademii Aurora, gapię się na spód materaca Björkmana i modłę się do Stwórcy, żeby nasi oficerowie treningowi zafundowali

nam jakiś alarm przeciwpożarowy albo nieważkościowy. W noc przed Poborem pewnie dadzą nam się wyspać. Mimo to modłę się, ponieważ:

- a) Chociaż Björkman nigdy nie chrapie, to dziś to robi i nie mogę spać.
- b) Żałuję, że nie ma tu mojego ojca, żeby mnie jutro zobaczył, i nie mogę zasnąć.
- c) To noc przed Poborem, więc NIE. MOGĘ. ZASNAĆ.

Nie wiem, czemu tak się nakręcam. Powinienem być całkiem wyluzowany. Zaliczyłem wszystkie egzaminy koncertowo. Prawie wszystkie zajęcia skończyłem jako najlepszy w grupie. Pod względem wyników plasuję się w górnym jednym procencie.

Jones Tyler, dowódca drużyny pierwszej klasy.

Złoty chłopak. Tak nazywają mnie pozostałe Alfy. Niektórzy mówią tak, żeby mnie obrazić, ale ja traktuję to jak komplement. Nikt nie pracował ciężiej ode mnie, żeby dostać się do akademii. Nikt nie pracował ciężiej ode mnie w samej akademii. A teraz cała ta harówka zwróci mi się, bo jutro odbędzie się Pobór, a ja zapracowałem na najlepszą czwórkę z pięciu i będę miał najlepszą drużynę spośród wszystkich dotychczasowych na ostatnim roku Akademii Aurora.

To dlaczego nie mogę zasnąć?

Z ciężkim westchnieniem poddaję się i wstaję z łóżka. Wkładam mundur, przeczesuję palcami blond włosy. Rzucam Björkmanowi mordercze spojrzenie, które powinno zabijać, a przynajmniej go uciszyć, i uderzam w panel sterujący przy drzwiach, by wyjść na korytarz i zostawić za sobą chrapanie.

Jest późno – 2:17 według zegara stacji. Światła przygaszono, żeby stworzyć pozór nocy, ale fluorescencyjne pasy oświetlenia podłogowego jaśnieją, gdy wlekę się korytarzem. Wywołuję Scarlett – moją siostrę – przez unikron, ale nie odpowiada. Zastanawiam się, czy nie wywołać Cat, ale ona pewnie śpi. Ja też powinienem.

Przechodzę obok długiego okna z plastali, z którego rozciąga się widok na płonąca za nim gwiazdę, Aurorę. Słońce maluje krawędź framugi delikatnym, bladym złotem. Według starej terrańskiej mitologii Aurora była boginią świtu. Obwieszczała nadejście dnia, koniec nocy. Ktoś dawno temu nadał gwieździe jej imię, a gwiazda przekazała je orbitującej wokół niej akademii i Legionowi Aurory, któremu poświęciłem życie.

Żyję tu od pięciu lat. Zgłosiłem się w dniu, kiedy skończyłem trzynaście lat, a razem ze mną przybyła tu moja siostra bliźniaczka. Oficer werbunkowy na stacji Nowy Gettysburg pamiętał naszego ojca. Wyraził współczucie. Obiecał, że dopilnujemy, by ci łajdacy zapłacili. Zapewnił, że poświęcenie naszego taty, wszystkich naszych żołnierzy, nie pójdzie na marne.

Ciekawe, czy nadal w to wierzę.

Powinienem spać.

Nie wiem, dokąd idę.

Tyle że doskonale wiem, dokąd idę.

Maszeruję korytarzem w stronę hangaru.

Z zaciśniętymi zębami.

Z zaciśniętymi w pięści dłońmi schowanymi w kieszeniach.

Cztery godziny później tymi samymi pięściami walę w zamknięcie kriokapsuły.

Pomieszczenie wokół mnie jest wypełnione setką podobnych kapsuł, spowitych warstwą białego szronu. Łód pęka pod moimi ciosami, ale kapsuła nie chce się otworzyć. Unikron włamuje się bezprzewodowo do zamka kapsuły, ale działa za wolno.

Jeśli wkrótce się stąd nie wyniosę, będzie po mnie.

Kolejna fala uderzeniowa wali w *Hadfielda* i cały statek się trzęsie. Na wraku nie ma ciężania, zatem nie mogę upaść. Trzymam się jednak kriokapsuły, co oznacza, że nadal rzuca mną na wszystkie strony jak zabawką. Uderzam hełmem w inną kapsułę i kolejny, osiemnasty alarm dołącza do chóru wyjącego mi w uszach.

UWAGA: ROZSZCZELNIENIE SKAFANDRA. USZKODZENIE ZBIORNIKA H2O.

Ups...

Dziewczyna w kriokapsule marszczy brwi przez sen, jakby śniło jej się coś nieprzyjemnego. Przez chwilę zastanawiam się, co to może dla niej znaczyć, jeśli wyjdziemy z tego żywi.

I wtedy czuję coś mokrego u podstawy czaszki. Wewnątrz hełmu. Obracam głowę, próbując zobaczyć źródło problemu, i wilgoć rozlewa mi się po karku, a napięcie powierzchniowe sprawia, że przykleja mi się do skóry. Dociera do mnie, że pękła mi rurka do picia wody. To znaczy, że zbiornik nawadniający opróżnia się do mojego hełmu. Czyli nawet jeśli burza w Fałdzie mnie nie zabije, to za jakieś siedem minut mój hełm napełni się wodą i będę pierwszym człowiekiem, o jakim słyszałem, który utopi się w kosmosie.

Jeśli wyjdziemy z tego żywi?

- Zapomnij - mruczę do siebie.

* * *

- Zapomnij - odpowiada podporucznik.

Trzy i pół godziny wcześniej stoję w kontroli lotów Akademii Aurora. Podporucznik na pokładzie startowym nazywa się Lexington i jest tylko dwa lata ode mnie starsza. Parę miesięcy temu na imprezie z okazji dnia Założenia za dużo wypila i powiedziała mi, że podobają jej się moje dołeczki w policzkach, więc uśmiecham się do niej teraz tak często, jak się da.

Ej, w końcu jak masz jakiś atut, to z niego korzystaj.

Nawet o tej porze w hangarach panuje ruch. Z antresoli widzę rozładowywany ciężki frachtowiec z betraskańskiego sektora. Ogromny statek zwiesza się z ramienia stacji, kadłub ma poobijany od miliardów kilometrów, które zaliczył. Drony transportowe latają wokół niego metalową brzękliwą chmarą.

Odwracam się do podporucznik. Podkręcam odrobinę uśmiech.

- Tylko na godzinę, Lex - proszę.

Podporucznik Lexington unosi w odpowiedzi ciemną brew.

- Chciałeś chyba powiedzieć „tylko na godzinę, pani podporucznik”, prawda, kadecie Jones?

Ups. Zagalopowałem się.

- Tak, pani podporucznik. - Salutuję najlepiej, jak potrafię. - Proszę o wybaczenie, pani podporucznik.

- Nie powinieneś spać? - Wzdycha.

- Nie mogę zasnąć, pani podporucznik.

- Denerwujesz się jutrzejszym Poborem? - Kręci głową i w końcu się uśmiecha. - Jesteś najlepszym Alfą na swoim roku. Czym ty się martwisz?

- Po prostu energia mnie roznosi. - Kiwam głową w stronę rzędu Fantomów w dwunastce. Statki zwiadowcze są smukłe. Mają kształt łyż. Czarne jak próżnia na zewnątrz. - Pomyślałem, że wykorzystam ten czas i zaliczę godzinkę lotów w Faldzie.

Jej uśmiech znika.

- Odmawiam, Jones. Kadetom nie wolno wkraczać do Faldy bez asysty.

- Otrzymałem pięciogwiazdkową pochwałę od mojego trenera lotu. A od jutra będę pełnoprawnym legionistą. Nie polecę dalej niż na ćwierć parseka.

Przysuwam się nieco bardziej. Włączam turbo dopalanie do uśmiechu.

- Przecież nie okłamałbym pani podporucznik.

I wtedy powoli, niezwykle powoli jej uśmiech powraca.

Drogie dołączki, serdeczne dzięki.

Dziesięć minut później siedzę w kokpicie Fantomu. Silniki się rozgrzewają, systemy dokujące ładują mój statek do wyrzutni, rozlega się ryk i wylatuję w czerni. Gwiazdy skrzą się za moimi osłonami. Pustka rozciąga się w nieskończoność. Stacja Aurora rozbłyskuje w ciemności za mną, szybkie krążowniki i ciężkie okręty wojenne cumują na swoich miejscach albo przecinają otaczający ją mrok. Zmieniam kurs, czując lekki zawrót głowy, gdy znika ciężenie i zastępuje je nieważkość panująca poza cieniutkim naskórkiem stacji.

Brama Faldy majaczy przede mną, jakieś pięć tysięcy kilometrów od dziobu stacji. Ogromna. Sześciokątna. Jej pylony rozbłyskują zielenią w ciemności. Wewnątrz migocze pole przetykane jasnymi punkcikami światła.

W moich słuchawkach rozlega się głos.

- Fantom 151, tu kontrola lotów. Masz zezwolenie na wejście do Faldy, odbiór.

- Przyjąłem.

Włączam silniki sterujące, przyspieszenie wciska mnie w fotel przeciążeniowy. Autopilot się namierza, Brama Faldy rozbłyskuje jaśniej niż słońce. Daję nura w nieskończone bezbarwne niebo.

Miliard gwiazd czeka, żeby mnie powitać. Fałda otwiera się szeroko i połyka mnie w całości. Przez chwilę nie słyszę ryku silników ani sygnałów z komputera nawigacyjnego. Cichną moje zmartwienia związane z Poborem i wspomnienia na temat ojca.

Na jedną ulotną sekundę cała Droga Mleczna staje się ciszą.

Nie słyszę absolutnie niczego.

* * *

Nie słyszę absolutnie niczego.

Bańka wody skrada się za moją głową i sięga mi już do uszu, tłumiąc wycie alarmów w skafandrze, kiedy wreszcie udaje mi się otworzyć kriokapsułę. Potrząsam mocno głową, ale przy braku ciężenia płyn tylko przesuwają mi się po skórze i duża bańka formuje się teraz na wysokości lewego oka, na wpół mnie oslepiając. Staram się, jak mogę, żeby nie przeklinać, otwieram zatrzaśki kriokapsuły i szarpnięciem podnoszę pokrywę.

Świat w Fałdzie jest monochromatyczny, wszystko zostaje zredukowane do odcieni bieli i czerni, więc kiedy światelka kapsuły zapalają się nieco innym odcieniem szarości, nie jestem pewien, na jaki kolor się zmieniły, dopóki...

CZERWONY ALARM. PRZERWANA KRIOSTAZA. KAPSUŁA 7173 OTWARTA. CZERWONY ALARM.

Ekran rozbłyskuje ostrzeżeniem, kiedy wkładam ręce do kleistego żelu. Krzywię się, czując zimno przez skafander. Nie mam pojęcia, jakie skutki będzie miało przedwczesne wyciągnięcie tej dziewczyny z kapsuły, ale jeśli zostawię ją na pastwę Burzy Fałdowej, to na pewno umrze. I jeśli nie wezmę zaraz tyłka w troki, to burza załatwi nas oboje.

A to nadal byłoby naprawdę słabe.

Na szczęście wygląda na to, że kadłub *Hadfielda* został uszkodzony dziesiątki lat temu, więc nie ma atmosfery, która wysałaby resztki ciepła z ciała dziewczyny. Niestety, to oznacza także, że nie ma tu czym oddychać. Jednakże leki, którymi została napompowana przed zamrożeniem, spowolnią jej metabolizm na tyle, żeby przetrwała kilka minut bez tlenu. Z racji wody przeciekającej mi do hełmu, sam martwię się utratą możliwości oddychania.

Dziewczyna zawisa nieważka nad kapsułą, przyczepiona do niej rurkami kroplówki, nadal oblepiona potwornie zimnym kriożelem. *Hadfield* znowu dygocze, a ja cieszę się, że nie mogę słyszeć, co Burza Fałdowa wyprawia z kadłubem. Seria czarnych jak węgiel błyskawic uderza w ścianę obok mnie, topiąc metal. Woda wciekająca mi do hełmu z każdą sekundą podpełza bliżej do moich ust. Zaczynam ścierać garści mazi z twarzy dziewczyny, strząsam je, obryzgując pomieszczenie i inne kapsuły. Są ich całe rzędy. Wszystkie wypełnione takim samym zamrażającym żelem. W każdym unoszą się zasuszone ludzkie zwłoki.

Wszyscy nie żyją. Setki. Tysiące ludzi.

Wszyscy ludzie na statku zginęli oprócz niej.

Holograficzny obraz rozbłyskuje wewnątrz mojego hełmu, kiedy błyskawica stapia kolejny fragment kadłuba. To wiadomość od komputera pokładowego mojego Fantomu.

UWAGA: BURZA FAŁDOWA NASILA SIĘ. ZALECANY NATYCHMIASTOWY ODWRÓT. POWTA-RZAM: ZALECANY NATYCHMIASTOWY ODWRÓT.

Jasne, dzięki za dobrą radę.

Powinienem zostawić tu tę dziewczynę. Nikt nie miałby do mnie pretensji. A Galaktyka, w której się obudzi? Na Stwórcę, pewnie podziękowałyby mi, gdybym zostawił ją na pastwę burzy. Ja jednak rozglądam się po ciałach w pozostałych kapsułach. Wszyscy ci ludzie wyruszyli z Ziemi wiele lat temu, podryfowali we śnie z nadzieją na nowe horyzonty i nigdy więcej się nie obudzili. I wtedy zdaję sobie sprawę, że po prostu nie mogę jej tu zostawić na pewną śmierć.

Na tym statku jest już dość duchów.

Tata zwykł opowiadać nam straszne historie o Fałdzie.

Wyrosliśmy na nich razem z moją siostrą. Tata siedział do późna i opowiadał o dawnych czasach, kiedy ludzkość stawiała pierwsze nieśmiałe kroki w kosmosie. Kiedy dopiero co odkryliśmy przestrzeń pomiędzy przestrzemią, gdzie materia wszechświata była inaczej pozszywana niż gdzie indziej. I ponieważ my, Terranie, mamy tak wielką wyobraźnię, nazwaliśmy tę przestrzeń na cześć jedynej magicznej rzeczy, jaką nam umożliwiła.

Fałda.

Dobrze więc. Weźcie kartkę papieru. A teraz wyobraźcie sobie, że to cała nasza galaktyka, Droga Mleczna. Wiem, że mam duże wymagania, ale zaufajcie mi. W końcu spójrzcie tylko na te dołeczki.

W porządku. Teraz wyobraźcie sobie, że jeden róg papieru to miejsce, w którym siedzicie. A przeciwległy róg to miejsce na druuuugim krańcu Galaktyki. Nawet mknąc z prędkością światła, potrzebowalibyście stu tysięcy lat, żeby tam dotrzeć.

Co się jednak stanie, gdy złożycie kartkę na pół? Teraz te rogi się stykają, prawda? Tysiąc wieków podróży zamieniło się właśnie w spacerek na drugi koniec ulicy. Niemożliwe stało się możliwe.

Na to właśnie pozwala nam Fałda.

Rzecz w tym, że za niemożliwe zawsze trzeba zapłacić pewną cenę.

Tata opowiadał nam horrory na ten temat. Opowiadał o burzach pojawiających się znikąd i odcinających całe sektory przestrzeni. O pierwszych statkach badawczych, które po prostu zniknęły. O wrażeniu, że nigdy nie jesteś tam sam, że zawsze czujesz czyjś oddech na karku.

Okazuje się, że wpływ podróży przez Fałdę na istoty rozumne pogarsza się wraz z wiekiem podróżników. Nikomu powyżej dwudziestego piątego roku życia nie zaleca się lotu przez Fałdę bez uprzedniego zamrożenia. Czeka mnie siedem lat w Legionie, a potem przez resztę życia będę siedział za biurkiem.

Jednakże w tej chwili – to było raptem godzinę temu – lecę Fantomem. Pokonuję morza między gwiazdami w kilka minut. Patrzę, jak słońca się rozmywają, przestrzeń między nimi marszczy się, a odległość staje się konceptem pozbawionym znaczenia. Mimo wszystko zaczynam to odczuwać. To wrażenie oddechu na karku. Głosew rozlegających się tuż poza zasięgiem słuchu.

Spędziłem tu dość dużo czasu.

A jutro jest Pobór.

Powiniennem wrócić, żeby się trochę przekimac.

Na Stwórcę, co ja tu właściwie robię?

Kiedy wprowadzam kurs powrotny do Akademii Aurora, na moim ekranie pojawia się wiadomość. Powtarza się. Jest wysyłana automatycznie.

SOS.

Żołądek mi się zaciska, kiedy patrzę, jak te trzy litery rozblyskują na ekranie. Zgodnie z przepisami Legionu Aurory wszystkie statki są zobowiązane zareagować na wezwanie

o pomoc, ale moje czujniki wykrywają w pobliżu źródła sygnału SOS Burzę Fałdową, która ma jakieś cztery miliony kilometrów szerokości.

I wtedy mój komputer tłumaczy kod identyfikacyjny źródła sygnału SOS.

TYP: STATEK ZIEMSKI, KLASY ARKA.

OZNACZENIE: HADFIELD.

- To niemożliwe... - szepczę.

Wszyscy słyszeli o katastrofie *Hadfielda*. To były początki ziemskiej ekspansji. Cały statek zaginął w Fałdzie. Ta tragedia zakończyła erę korporacyjnego badania kosmosu. Zginęło prawie dziesięć tysięcy kolonistów.

I wtedy mój komputer wyświetla kolejną informację.

UWAGA: WYKRYTO BIOSYGNAŁ. JEDNA OSOBA OCALAŁA.

POWTARZAM: JEDNA OSOBA OCALAŁA.

- Na oddech Stwórcy... - szepczę.

* * *

- Na oddech Stwórcy! - krzyczę.

Kolejna kwantowa błyskawica rozrywa kadłub *Hadfielda* raptem kilka metrów od mojej głowy. Na statku nie ma atmosfery, a zresztą i tak mam uszy pełne wody, więc nie słyszę, jak metal paruje. Żołądek jednak wykręca mi fikołka, woda napelniająca mój hełm nabiera nagle słonego posmaku. Zakrywa mi już usta. Tylko prawe oko i nos nadal mam suche.

Potrzebowałem dłuższej chwili, żeby znaleźć dziewczynę. Przeszukiwałem ciemne wnętrza *Hadfielda*, mijając tysiące kriokapsuł z tysiącami trupów, podczas gdy Burza Fałdowa coraz bardziej się zbliżała. Nic nie wskazywało, co zabiło kolonistów ani dlaczego jedna dziewczyna spośród wszystkich ludzi przeżyła. W końcu jednak ją znalazłem. Skuloną w swojej kapsule, z zamkniętymi oczami, jakby dopiero co przysnęła. Śpiąca Królowna.

Teraz nadal śpi, a mną wstrząsy ciskają o ścianę tak mocno, że uchodzi mi całe powietrze z płuc. Woda w hełmie chlupocze, przypadkiem się nią zachłystuję, dławię się i kaszlę. Zostały mi ze dwie minuty, zanim utonę. Dlatego wyciągam rurkę z tlenem z jej gardła, wyrwam przewody kroplówek z rąk i patrzę, jak jej krew zamienia się w kryształki w próżni. Przez cały ten czas nawet nie drgnęła. Marszczy jednak brwi, jakby nadal była pogrążona w jakimś złym śnie.

Zaczynam rozumieć, co czujesz, myślę sobie.

Teraz bańka wody zasłania mi oboje oczu. Napiera z obu stron na nozdrza. Mrużę oczy, żeby ogarnąć rozmazany obraz, przyciskam do siebie dziewczynę i kopię w kadłub. Oboje jesteśmy nieważcy, ale z powodu tego, jak *Hadfield* dygocze, i ponieważ woda prawie mnie oślepia, w ogóle nie panuję nad naszą trajektorią. Uderzamy w rząd kapsuł z dawno temu zmarłymi ludźmi.

Zastanawiam się, ilu z nich znała.

Odbijam się od ściany, próbuję zahaczyć o coś palcami. Wnętrze statku to powykręcana gmatwanina, setki pomieszczeń upakowanych kapsułami. Tyle że ja zdałem śpiewająco egza-

min z orientacji w nieważkości. Doskonale wiem, dokąd musimy się skierować. Jak dotrzeć do hangaru *Hadfielda* i do czekającego tam Fantomu.

Niestety woda zalewa mi już nos.

Nie mogę dłużej oddychać.

Wiem, to źle brzmi.

W porządku: to nie tylko źle brzmi. Naprawdę jest źle.

To, że nie mogę oddychać, oznacza, że nie potrzebuję już zapasu tlenu. Ustawiam się więc w stronę korytarza, który wychodzi z komory roi. Sięgam na plecy skafandra, znajduję właściwy zestaw kabli i je wrywam. Struga uciekającego tlenu działa jak malutki silniczek odrzutowy i lecimy.

Przyciskam dziewczynę mocno do piersi. Wolną ręką kieruję nami, mrużę powieki, żeby coś widzieć mimo wody wypełniającej mi hełm. Płuca mi płoną. Błyskawica przebija się przez ścianę, tnąc tytan jak masło. Statek dygocze, a my odbijamy się od ścian i konsoli. Wymachuję nogami, jakimś cudem utrzymując nasz kurs.

Na zewnątrz.

Byle dalej stąd.

Już jesteśmy w hangarze, mój Fantom siedzi na drugim końcu – ciemna rozmazana plama dla moich oczu pod wodą. Ogromne, kłębiące się chmury Burzy Fałdowej czekają tuż za wyjściem z hangaru. Czarne błyskawice w przestrzeni. Czarne plamy przed oczami. Cała Galaktyka pod wodą. Prawie ogłuchłem. Prawie oslepiłem. I jedna myśl w mojej głowie.

Nadal jesteśmy za daleko od statku.

Zostało nam co najmniej dwieście metrów. W każdej chwili odruch może we mnie zwyciężyć i wciągnę do płuc haust wody. Umrę o krok od ocalenia.

Oboje umrzemy.

Stwórcu, pomóż nam.

Błyskawica uderza. Moje płuca wrzeszczą. Moje serce wrzeszczy. Cała Droga Mleczna wrzeszczy. Zamykam oczy. Myślę o siostrze. Modłę się, żeby nic jej nie było. Zawrót głowy. I wtedy czuję to pod dłonią. Metal. Znajomy.

Co jest, do...?

Otwieram oczy i widzę – unosimy się tuż obok mojego Fantomu. Właz wejściowy pod moimi palcami. To niemożliwe. Nie ma szansy, żeby...

Nie ma czasu na pytania, Tyler.

Otwieram właz, wciągam nas do środka, zatraskuję go za sobą. Kiedy maleńka śluza napęlnia się tlenem, zrywam hełm, ocieram ręką wodę z twarzy, nabieram gwałtownie powietrza w płuca, zwijam się wpół, dysząc, wciągając potężne hausty powietrza. Czarne plamy rozlewają mi się przed oczami. *Hadfield* kołysz się i szarpie, miotając Fantomem w klamrach cumowniczych.

Rusze się, Tyler.

Rusz się, do diabła!

Otwieram na oslepek śluzę, ładuję się w fotel pilota. Płuca nadal mnie boją, lzy leją mi się z oczu. Uderzam w przyciski układu sterowania, włączam dopalacze, zanim nawet zwolnią się

klamry cumownicze i wypadam z *Hadfielda*, jakby mi płonął ogon.

Burza Fałdowa kłębi się i puchnie za nami, wszystkie wskaźniki są maksymalnie wychylone. Odrzut wpycha mnie w fotel, grawitacja kładzie się ciężarem na mojej piersi, kiedy przyspieszamy, odlatując. Na nic więcej mnie nie stać po takim niedotlenieniu.

Udaje mi się włączyć sygnał SOS drżącymi rękami. A potem zapadam się. Wprost w biel za oczami. To ten kolor, jaki mają gwiazdy mrugające z nieskończonej czerni.

A ostatnia moja myśl, zanim całkiem zatracę się w ciemności?

Nie myślę o tym, że właśnie uratowałem komuś życie, ani o tym, że nie mam pojęcia, jak pokonaliśmy ostatnie dwieście metrów do wjazdu Fantomu, ani że oboje z całą pewnością powinniśmy umrzeć.

Myślę o tym, że przegapię Pobór.

Jestem zrobiona z betonu. Moje ciało wyrzeźbiono z litej bryły kamienia. Nie mogę poruszyć ani jednym mięśniem.

To jedyne, co wiem – że nie mogę się ruszyć.

Nie znam swojego imienia.

Nie wiem, gdzie jestem.

Nie wiem, dlaczego niczego nie widzę ani nie słyszę, nie czuję żadnego smaku, zapachu, nie odbieram niczego dotykiem.

A potem pojawiają się... dane wejściowe. Ale tak jak wtedy, gdy spadasz i nie wiesz, gdzie jest góra, a gdzie dół, albo kiedy uderzy w ciebie struga wody i nie potrafisz powiedzieć, czy jest gorąca, czy zimna, nie umiem się zorientować, czy coś słyszę, widzę, czy może czuję. Wiem tylko, że coś odbieram, czego nie odbierałam wcześniej, zatem czekam niecierpliwie, żeby się przekonać, co nastąpi potem.

– Proszę, niech mi pani pozwoli skorzystać z unikonru. Mógłbym stąd zdalnie podłączyć się do Poboru. Może udałoby mi się załapać na kilka ostatnich rund, choćby po to, żeby...

To głos chłopca i nagle rozumiem słowa, chociaż nie wiem, o czym on mówi. Słyszę jednak desperację w jego głosie i to sprawia, że serce zaczyna mi bić szybciej.

– Musi pani zrozumieć, jakie to ważne.

* * *

– Musisz zrozumieć, jakie to ważne, Auroro. – To głos mamy. Stoi za mną i obejmuje moje ramiona. – To wszystko zmieni.

Stoimy przed oknem, smużka chmury albo smogu jest widoczna po drugiej stronie grubej szyby. Pochylam się, żeby oprzeć czoło o szybę, i kiedy patrzę w dół, wiem już, gdzie jestem. Daleko w dole dostrzegam błotnistą zieleń. Central Park, jego brązowy patchwork, dachy dzielnicy slumsów i małe półka wykrojone przez mieszkańców obok tafli burej wody.

Jesteśmy na Zachodniej Osiemdziesiątej Dziewiątej, w głównej siedzibie spółki Ad Astra, pracodawcy moich rodziców. Jesteśmy tu z okazji rozpoczęcia ekspedycji na Octavię III. Moi rodzice chcieli, żebyśmy zrozumiały, dlaczego lecą. Dlaczego czeka nas rok w szkole z internatem, ferie spędzane poza domem, z przyjaciółmi. To się wydarzyło jakieś dwa miesiące przed tym, jak powiedziano mamie, że wypadła z misji.

Zanim tata powie jej, że poleci bez niej.

I kiedy tak patrzę, drzewa Central Parku zaczynają rosnąć, strzelają w górę jak magiczna fasolka Jasia. W ciągu kilku sekund są wysokie jak otaczające je drapacze chmur. Liany owijają się wokół naszego budynku w przyspieszonym tempie. Zaciskają się jak boa dusiciele, tynek na ścianach zaczyna pękać, sypie się drobny pył z sufitu.

Niebieskie płatki spadają z nieba jak śnieg.

Jednakże ta część wspomnienia nigdy się nie wydarzyła, a widok jest bolesny – niemile widziany i nieprzyjemny w sposób, którego nie umiem dokładnie określić. Odsuwam się od niego, odpycham się i potykając się, lecę z powrotem w kierunku świadomości.

Z powrotem w stronę światła.

* * *

Światło płonie jasno, a chłopiec nadal mówi. Gdy wracam do klatki własnego ciała, przypominam sobie swoje imię. Nazywam się Aurora Jie-Lin O'Malley.

Nie, chwileczkę. Jestem Auri O'Malley. Tak lepiej. Oto ja.

I bez wątpienia mam ciało. To dobrze. To już jakiś postęp.

Powróciły moje zmysły smaku i powonienia. Natychmiast tego żałuję. Bo – ja piórkuję – w ustach mam taki posmak, jakby coś tam wpęzło, stoczyło śmiertelną walkę i potem się rozłożyło.

Teraz słyszę kobiety głos z nieco większej odległości:

– Twoja siostra niedługo tu będzie. Musisz chwilę poczekać.

– Scarlett przyjdzie? – To znowu ten chłopiec. – Na oddech Stwórcy, ceremonia rozdania dyplomów już się skończyła? Jak długo mam jeszcze czekać?

* * *

Jak długo mam jeszcze czekać?

Siedzę na wideoczacie z tatą i przez cały czas to pytanie krąży mi po głowie. Opóźnienie na łączach doprowadza mnie do szału, system nadawania zmusza mnie, żebym czekała kilka minut, aż moja odpowiedź dotrze do taty na Octavię, i kolejne kilka, aż on zareaguje.

Tata posadził obok siebie Patrice, a istnieje tylko jeden powód, żeby Patrice siedziała obok niego: zamierza osobiście przekazać mi wiadomość. Myślę, że wkrótce usłyszę, że czekanie, które zdominowało dwa lata mojego życia, wkrótce się skończy. Myślę sobie, że cała praca, jaką oddaliłam, wreszcie się zwróci i zaraz usłyszę, że zakwalifikowałam się do trzeciej misji na Octavię.

Dzisiaj są moje siedemnaste urodziny, a mi nie przychodzi do głowy lepszy prezent w całym czasie i przestrzeni.

Patrice jednak wciąż się nie odezwała, a tata głądzi na inne tematy, szczerząc zęby w uśmiechu, jakby wygrał na loterii. Jego namiot zniknął – siedzą przed prawdziwą ścianą z prawdziwym oknem, więc kolonia musi naprawdę się rozwijać. Na kolanach taty siedzi jeden z szympansów, z którymi pracuje w ramach bioprogramu na Octavii. Kiedy moja siostra i ja rozrabiamy, droczy się z nami, mówiąc, że to są jego ulubione dzieci.

- Moja adoptowana rodzina ma się znakomicie. - Śmieje się, głaszcząc małpę. - Ale nie mogę się doczekać, kiedy będę tu miał przynajmniej jedną z moich dziewczyn.

- Czyli to już niedługo? - pytam, nie potrafiąc dłużej powstrzymać pytania.

Jęczę w duchu, odchylając głowę i godząc się na cztery minuty czekania na odpowiedź. Serce jednak mi się zaciska, kiedy widzę, jak moje pytanie w końcu do nich dociera. Tata nadal się uśmiecha, ale Patrice robi wrażenie... Zdenerwowanej? Zmartwionej?

- To już niedługo, Jie-Lin - zapewnia mnie ojciec. - Ale... dzisiaj odzywamy się w innej sprawie.

Chwileczkę, czyżby rzeczywiście pamiętał, że dzisiaj są moje urodziny?

Ojciec nadal się uśmiecha i podnosi rękę, żeby było ją widać na ekranie.

Motyła noga, trzyma Patrice za rękę...

- Patrice i ja spędzamy ostatnio ze sobą dużo czasu - mówi. - Postanowiliśmy, że nadeszła pora, by to sformalizować i zamieszkać we wspólnej kwaterze. Czyli będzie nas troje, kiedy już przylecisz. - Mówi dalej, ale ja prawie nie słucham. - Pomyślałem, że mogłabyś przywieźć trochę mąki ryżowej. I tapioki. Chciałbym, żebyśmy zjedli chociaż jeden posiłek, który nie pochodzi z syntezatora, i uczcili fakt, że znowu jesteśmy razem. Zrobię ci makaron ryżowy.

Potrzebuję chwili, żeby zdać sobie sprawę, że już skończył i czeka na moją reakcję. Patrzą na nich, na ich splecione dłonie, na pełen nadziei uśmiech ojca i wymuszony uśmiech Patrice. Myślę o mamie i próbuję ogarnąć, co to wszystko znaczy.

- To chyba jakiś żart - mówię w końcu. - Chcesz, żebym... świętowała?

Przerzucanie się argumentami w kłótni przy czterominutowym opóźnieniu nie bardzo się sprawdza, więc nadaję dalej. Mówię wszystko, co muszę, zanim ojciec będzie miał szansę zareagować.

- Słuchaj, Patrice, przykro mi, że musisz tego słuchać, ale ojciec ewidentnie nie był dość taktowny, żeby powiedzieć mi to na osobności. - Patrzą teraz na niego i naciskam guzik transmisji tak mocno, że bieleje mi kłykieć. - Po pierwsze, dzięki za życzenia urodzinowe, tato. Dzięki za gratulacje z okazji ponownej wygranej w zawodach międzystanowych. Dzięki, że pamiętałeś, żeby wysłać Callie wiadomość z okazji jej recitalu, który, nawiasem mówiąc, zaliczyła fanatycznie. Ale przede wszystkim dzięki za to. Nie puścili mamy na Octavię, więc... po prostu ją zastąpiłeś? Nawet się jeszcze nie rozwiedliście!

Nie czekam na opóźnioną odpowiedź. Nie chcę słuchać nowej wersji tych samych starych wymówek albo przeprosin. Naciskam guzik, żeby zakończyć transmisję. Jednak zanim wstanę z krzesła, zamrożony obraz ich dwojga faluje.

Widzę rozbłysk światła.

Jest takie jasne, że cały świat płonie bielą. I kiedy z jego powodu mrużę oczy i zasłaniam się rękami, zdaję sobie sprawę, że niczego już nie widzę.

Niczego nie widzę.

* * *

Ja widzę!

Leżę na plecach i widzę sufit. Jest biały i biegną po nim kable, gdzieś nade mną świeci światło, które mnie razi. Zasłaniam się rękami jak we śnie i prawie się dziwię na widok własnych palców.

Pomijając dziwne sny, pamiętam teraz swoje imię. I pamiętam swoją rodzinę. Byłam częścią trzeciego transportu kolonistów na Octavię III. Postęp!

Może jestem właśnie na Octavii i dochodzę do siebie po śnie kriogenicznym?

Patrzę w sufit, przymykając oczy z powodu światła. Czuję, że kolejne wspomnienia czekają tuż poza moim zasięgiem. Może gdybym udawała, że patrzę w inną stronę, to podpełzłyby bliżej? Wtedy mogłabym się na nie rzucić.

Skupiam się więc na czymś innym i postanawiam spróbować obrócić głowę. Wybieram lewą stronę, bo wydaje mi się, że stamtąd dobiega głos chłopaka. Czuję się jak jeden z tych siłaczy, których ogląda się na wizualach, jak próbują jedną ręką przesunąć cały dron transportowy, gdy walczę z bezwładem i wkładam każdą cząstkę siebie w ten wysiłek. To przedziwne uczucie – bezgraniczny wysiłek połączony z całkowitym brakiem czucia.

W nagrodę widzę szklaną, matową ścianę do mniej więcej wysokości pasa. Chłopak stoi po drugiej stronie i krąży w tę i z powrotem jak zwierzę w klatce.

Obwody w mózgu mi iskrzą, gdy próbuję przetworzyć za dużo informacji naraz.

Fakt nr 1: chłopak jest niezmiernie przystojny. W sensie: wyrazista szczęka, zmierzwił blond włosy, ponure spojrzenie, idealna blizna przecinająca prawą brew. To ten typ wręcz idiotycznej urody. Ten fakt blokuje sporą część moich zdolności mentalnych.

Fakt nr 2: chłopak nie ma na sobie koszuli. Ten fakt urasta do rangi Faktu Absolutnie Kluczowego i robi wrażenie ogromnie ważnego dla moich interesów.

Jakkolwiek by wyglądały.

Bez względu na to, gdzie jestem.

Chwileczkę, minutkę, panie i panowie oraz wszyscy inni i pomiędzy. Mamy nowego kandydata na Najważniejszy Fakt Stulecia. Inne fakty, prosimy się odsunąć.

Fakt nr 3: chociaż matowe szkło zasłania wszystkie interesujące szczegóły, nie mam w tej kwestii najmniejszych wątpliwości. Mój tajemniczy nieznamy obecnie nie ma na sobie spodni.

Ten dzień zapowiada się coraz lepiej.

Chłopak marszczy brwi, w maksymalnym stopniu prezentując cudną bliznę.

– To trwa już wieczność – mówi.

* * *

– To trwa już wieczność.

Mężczyzna przede mną znowu marudzi. Stoimy w kolejce do krio, setki ludzi, a wszędzie tu cuchnie przemysłowym wybielaczem. Żołądek mi się zaciska, ale nie z nerwów, tylko z podniecenia. Całe lata trenowałam z myślą o tej chwili. Walczyłam zażarcie o swoje praktyki. Zapracowałam na to.

Wczoraj pożegnałam się z mamą i Callie, moją młodszą siostrą, i to była zdecydowanie najtrudniejsza część wyjazdu. Nie rozmawiałam z ojcem od Incydentu z Patrice i nie wiem, co sobie powiemy, kiedy się ponownie spotkamy. Sama Patrice zachowała się w porządku – przesłała kilka krótkich prac, które według niej powinnam przeczytać, zachowywała przyjazny i profesjonalny ton. Że też ze wszystkich ludzi, spośród których mógł wybierać, ojciec musiał zacząć bzykać kobietę, która będzie moją przełożoną?

Jeszcze raz wielkie dzięki, tato.

Przesuwam się odrobinę do przodu w kolejce. Za minutę nadejdzie moja kolej, żeby skorzystać z prysznicza, gdzie wyszoruję się prawie na śmierć, potem włożę cienki szary kombinezon i wejść do kapsuły. Uśpią nas przed włożeniem przewodów umożliwiających oddychanie i odżywianie.

Dziewczyna w kolejce za mną wygląda na moją rówieśnicę. Potwornie się denerwuje, strzela oczami na wszystkie strony, jakby jej wzrok odbijał się rykoszetem od każdej powierzchni.

- Cześć – mówię, siłąc się na uśmiech.

- Cześć – odpowiada roztrzęsiona.

- Praktyki? – rzucam domyślnie, starając się odwrócić jej uwagę od tego, czym się denerwuje.

- Meteorologia – odpowiada i uśmiecha się nieco nieśmiało. – Mam fioła na punkcie pogody. Nic dziwnego, kiedy dorasta się na Florydzie. My tam zaliczamy wszelkie odmiany pogody.

- Ja jestem od eksploracji i kartografii – mówię. – Podążaj, gdzie ludzka stopa nie postąpiła, i tego typu klimaty. Ale w bazie też spędzę sporo czasu. Powinnyśmy spotkać się czasem.

Przechyla głowę, jakbym powiedziała coś dziwnego, i cała sceneria trzęsie się, dygoce, jasne światło rozbłyśkuje gdzieś stroboskopowo. Dziewczyna zamyka oczy z powodu rozbłysków, a kiedy otwiera je ponownie, widzę, że jej prawe oko się zmieniło. Nadal widzę źrenicę, czarne obrzeże tęczówki, ale o ile lewe oko ma brązowe, to prawe stało się nieskazitelnie białe.

- Eshvaren – szepcze, wpatrując się we mnie, jakby mnie nie widziała.

- Co?

Maruda przed nami szepcze to samo słowo.

- E-E-Eshvaren.

Kiedy obracam się gwałtownie, widzę, że jego prawe oko też zbieleło.

- Co to znaczy?

Żadne z nich nie odpowiada. Szepczą tylko znowu to słowo, które niesie się wzdłuż kolejki jak pożar lasie.

- Eshvaren.

- Eshvaren.

- Eshvaren.

Z płonącym okiem dziewczyna sięga drżącymi palcami, żeby dotknąć mojej twarzy.

O, witaj dotyku. Zdecydowałeś się do nas dołączyć. A odkąd tu jesteś, mogę powiedzieć, że każda cząstka mojej osoby jest obolała.

Uderza mnie kolejna fala bólu, zmiatając reszki tego upiornego ni to wspomnienia, ni to snu, i przypomina mi, że moje ciało jest w równie fatalnym stanie, jak najwyraźniej jest moja głowa. Mogę tylko dyszeć i pojękiwać, ale wtedy zdarte gardło zaciska mi się z wysiłku, zaczynam się dławić i mogę tylko istnieć, aż ból zaczyna ustępować. Jednakże wraz z bólem i dotykiem szybko nadchodzi zdolność ruchu, a to oznacza, że mogę się oprzeć na łokciach i znowu spojrzeć na tamtego chłopaka. Jego dolna połowa stała się ciemnoszara i z tego faktu wnioskuję, że niestety nosi już spodnie.

Ten dzień zapowiada się jak jedna wielka kłapa.

Odkrycie spodni natychmiast budzi naglące pytanie w mojej głowie, więc zerkam pod lekki, srebrzyste okrycie, które w tej chwili zakrywa mnie po policzki, żeby sprawdzić, co takiego ja mam na sobie. Okazuje się, że odpowiedź brzmi „absolutnie nic”.

Hmm.

Patrząc z powrotem na chłopca i w tej samej chwili on odwraca się do mnie i otwiera szeroko oczy, bo zdaje sobie sprawę, że się obudziłam. Nabieram powietrza, żeby się odezwać, ale dławię się, gardło mnie pali, jakby ktoś wyrywał mi jedno więzadło głosowe po drugim.

- Dobrze się czujesz? - pyta chłopak.

- To Octavia? - udaje mi się wyrzęzić.

Chłopak kręci głową, patrząc mi w oczy. Jego własne są niebieskie.

- Jak się nazywasz?

- Aurora - udaje mi się odpowiedzieć. - Auri.

- Tyler.

Powinam go zapytać, gdzie jestem. Czy znajduję się na *Hadfieldzie* i zostałam wcześniej obudzona, czy raczej na Ziemi, bo misję przerwano. Jednakże coś w jego spojrzeniu sprawia, że waham się przed zadaniem pytania.

Opiera czoło o szybę między nami ze stłumionym brzękiem. Tak jak ja oparłam się o okno przy Osiemdziesiątej Dziewiątej. To wspomnienie dopada mnie przez zaskoczenie, niosąc falę uczuć w rodzaju „ja chcę do mamy”. Chłopak wygląda na równie zagubionego jak ja.

- A tobie nic nie jest? - szepczę.

- Przegapiłem - mówi w końcu. - Pobór. Przegapiłem cały Pobór.

Nie mam pojęcia, co to jest Pobór i dlaczego jest tak ważny, ale mimo to pytam.

- Musiałeś być w jakimś innym miejscu?

Kiwa głową i wzdycha.

- Ratowałem cię.

„Ratowałem”.

To nie brzmi dobrze.

- Kto wie, kto mi się trafi - mówi i oboje wiemy, że zmienia temat. - Miałem mieć cztery z pierwszych pięciu wyborów, a teraz wyładowałem z ochłapami z samego dna. Odpadami. A ja tylko trzymałem się regula...

- Wieści nie są zupełnie najgorsze, Ty.

Cichy pomruk niesie się z miejsca poza zasięgiem mojego wzroku. To głos dziewczyny.

Tyler odwraca się ode mnie, jakbym była wczorajszą wiadomością, i przykleja się do frontowej szyby swojej celi.

– Scarlett.

Ostrożnie przenoszę wzrok we właściwym kierunku – nadal wymaga to dokładnego przemyślenia i odpowiedniej strategii, bo moje ciało odmawia zrobienia czegokolwiek bez uprzedniego dokładnego zaplanowania – żeby zobaczyć, kogo chłopak wita. Stoją tam dwie dziewczyny w niebiesko-szarych mundurach, tego samego koloru co spodnie, które teraz nosi chłopak. Jedna ma ogniście rude włosy, dosłownie pomarańczowe, oszałamiające farbowanie, ścięte w asymetrycznego boba, który podkreśla tak samo idealnie wyrzeźbiony podbródek jak u chłopaka. Ma takie same jak on pełne usta i wyraziste brwi. Jej mundurowa spódnica jest imponująco krótka. Dziewczyna jest wysoka. I prześliczna. Domyślam się, że to Scarlett.

Druga dziewczyna ma wąską twarz i tatuaż na gardle przedstawiający wzbijającego się w górę feniksa (auć). Ma czarne włosy, dłuższe i nastroszone na czubku głowy, wygolone na krótko po bokach, gdzie także przezierają tatuaże. Domyślam się, że ma dołeczki i jej uśmiech potrafi być naprawdę szeroki, ale muszę to wydedukować, bo w tej chwili przywołała na twarz taką minę, jakby ktoś zamordował jej babcię.

– Cat? – mówi do niej Tyler. Jego głos jest cichy, błagalny.

– Ketchett próbował mnie zwerbować – mówi Cat. – A potem parę innych osób. Ale powiedziałam im, że już mam Alfę, tylko że nie mógł się zjawić na Poborze.

– Co powiedziałaś? Ketchett jeszcze żyje?

– Aha. – Dziewczyna uśmiecha się znacząco. – Ale gdy następnym razem pójdziesz do kaplicy, to możesz pomodlić się za jego jądra.

Chłopak wypuszcza powoli powietrze i przyciska ręce do szyby, a ona robi to samo po swojej stronie.

Dziewczyna o pomarańczowych włosach ich obserwuje.

– Ja nie musiałam upierać się przy swoim równie mocno – rzuca cierpko. – Ale nie mogłam cię zostawić samego. Beze mnie pewnie zginąłbyś, próbując gadaniem wyslizgać się z kłopotów, braciszku.

Dziewczyna z tatuażami podciąga rękawy munduru, odsłaniając kolejne malunki.

– A skoro już mowa o śmierci, zechcesz nam powiedzieć, co robiłeś sam w Fałdzie? Znowu myślałeś czymś innym niż głową?

Scarlett kiwa głową.

– Ratowanie damy w opalach to naprawdę w stylu gościa z dwudziestego drugiego wieku.

Co takiego?! – myślę sobie.

Tyler unosi ręce, jakby chciał powiedzieć „Czemu się mnie czepiacie?“, i dziewczyny kierują zaciekawione spojrzenia na mój stół. Sprawdzają mnie. Oceniają.

– Podoba mi się jej fryzura – oznajmia Scarlett. A potem, jakby przypomniawszy sobie, że jestem prawdziwym człowiekiem, odzywa się do mnie nieco głośniejszym i wolniej: – Podoba mi się twoja fryzura.

Druga dziewczyna pociąga nosem; ewidentnie jest pod mniejszym wrażeniem.

- Przekazałeś jej już złą wiadomość odnośnie do książek z biblioteki?

- Cat! - warczą obydwójce jednocześnie.

Zanim powiedzą coś więcej, rozlega się dorosły głos.

- Legionisto Jones, twoja kwarantanna się skończyła, możesz odejść.

Ty zerka na mnie i znowu nasze spojrzenia się spotykają. Chłopak się waha.

„Przekazałeś jej złą wiadomość?”

- Zajrzyj rano, żeby się dowiedzieć, kiedy będziesz mógł ją odwiedzić - dodaje głos.

Chłopak kiwa niechętnie głową, wychodzi ze swojej klatki, gdy drzwi otwierają się przed nim z sykiem. Ostatni raz ogląda się na mnie i cała trójka wychodzi. Głos Ty'a ledwie dobiega do moich uszu, gdy chłopak znika mi z oczu.

- Ej, mogę dostać koszulkę?

Mój mózg zaczyna składać kolejne fakty i nadchodzi niepokój, gdy letarg po śnie kriogenicznym zaczyna słabnąć.

Gdzie ja jestem? Kim są ci ludzie? Noszą mundury... To jakaś jednostka wojskowa? A jeśli tak, to co ja tu robię i czy jestem bezpieczna?

Próbuję wychrypieć pytanie, ale nie mogę zmusić głosu do działania. Zresztą nie mam kogo zapytać.

Zostaję więc sama w ciszy i każdy nerw pulsuje mi w rytm bicia serca, w głowie mi się kręci od niezadanych pytań i próbuję otrząsnąć się z konsternacji, o której nie wiedziałam, że wiąże się z krio.

* * *

Nie wiem, ile czasu upłynęło, kiedy znowu słyszę głosy. Jestem w trakcie kolejnego dziwnego niby-snu, tym razem o świecie pełnym zielonych, chwytnych roślin i niebieskiego śniegu spadającego z nieba, kiedy...

- Auroro, słyszysz mnie?

Z pewnym wysiłkiem odsuwam obraz miejsca, którego nigdy nie widziałam, i odwracam głowę. Musiałam przysnąć, bo obok mnie stoi kobieta w takim samym niebiesko-szarym mundurze, jakie noszą tu wszyscy.

Jest nieskazitelnie biała. I nie mam na myśli bieli w rodzaju „ja jestem w połowie Chinką, a ty jesteś bielsza ode mnie”. Mam na myśli to, że jest bielutka jak śnieg. Niemożliwie biała. Jej oczy są bladoszare. Całe oczy, nie tylko tęczówki. I są zdecydowanie za duże. Białe jak kość włosy nosi związane w kucyk.

- Jestem nadkomendantka klanów Danil de Verra de Stoy. - Milknie, pozwalając mi prze-trawić długachny tytuł. - Miło mi cię poznać, Auroro.

Nadkomendantka czego znowu?

- Hmm - mruczę zgodnie, nie ważąc się na wydanie innego dźwięku.

Nikt nie mówi do mnie „Auroro”, o ile nie wpakuję się w kłopoty.

- Wyobrażam sobie, że masz wiele pytań - mówi kobieta.

Wyraźnie nie oczekuje odpowiedzi. Kiwam ledwie widocznie głową, zmuszając się całą siłą woli do skupienia uwagi na tu i teraz.

- Niestety mam złe wiadomość - mówi. - Wiem, że nie da się tego powiedzieć delikatnie, więc powiem wprost. Doszło do wypadku, kiedy twój statek leciał na Lei Gong.

- Lecieliśmy na Octavię - mówię cicho, ale wiem, że nazwa kolonii nie jest istotna.

Orientuję się po jej wykalkulowanej rezerwie w głosie, że zaraz powie mi coś znacznie ważniejszego. W powietrzu wyczuwa się napięcie jak przed burzą.

- Zostałaś wyjęta z kriokapsuły w niewłaściwy sposób - mówi. - I dlatego czujesz się, jakby cię wyrócono na nice. To wkrótce minie. Niestety do wypadku *Hadfielda* doszło w Fałdzie, Auroro.

- Po prostu Auri - szepczę, odwołując się do najgorszego.

Wypadek w Fałdzie.

- Auri.

- Jakiego wypadku? - pytam.

- Przez pewien czas dryfowaliście. Pewnie zauważyłaś, że nie wyglądam tak jak ty.

- Moja mama zawsze mówiła, że to nieuprzejme wytykać komuś coś takiego.

Kobieta uśmiecha się na te słowa smutno.

- Jestem Betraskanką. Należę do jednej z obcych ras, z jakimi Terranie zetknęli się w czasie, jaki spędziłaś na pokładzie *Hadfielda*.

Mój umysł wyciąga kopyta, rozlega się przeciągłe biiiiiiiiip i pojawia się płaska linia - wszystkie spójne myśli się wyłączają.

Obce rasy? Ile?

System nie odpowiada. Proszę ponownie uruchomić system.

- Ehm - mrużę bardzo ostrożnie.

Mój umysł robi, co może wyszukując możliwości, ale nie dochodzi do niczego dobrego. Ci ludzie to wyznawcy jakiejś teorii spiskowej? Porwali mnie wariaci? Może to rzeczywiście są wojskowi i ukrywali fakt nawiązania kontaktu z obcymi przed nami, cywilami?

- Wiem, że to musi być trudne do ogarnięcia - mówi kobieta.

- Spotkaliśmy obcych?

- Niestety.

- Ale podróż Fałdą na Octavię powinna trwać tylko tydzień! Jeśli tam nie dotarliśmy, to musiało minąć raptem parę dni, nie?

- Obawiam się, że nie.

Coś próbuje wpełznąć spoza mojego pola widzenia, jakby przesączała się tamtędy woda, tyle że fosforyzująca, przeszywana tysiącem punkcików turkusowego światła. Odpycham to i skupiam się na kobiecie obok mojego łóżka.

- Ile... - Gardło mi się zaciska. Ledwie jestem w stanie wyszeptać pytanie. - Ile czasu minęło?

- Przykro mi, Auroro. Auri.

- Ile?

- Dwieście dwadzieścia lat.

- Co? Pani sobie żartuje. To... - Ale nie znajduję nawet słów, żeby to opisać. - Co pani wygaduje?

- Wiem, że to musi być trudne - odpowiada ostrożnie.

Trudne?

Trudne?!

Muszę porozmawiać z kimś, kto mówi do rzeczy. Serce bije mi jak szalone, próbuje wyskoczyć z piersi, odpowiada mu dudnienie w moich skroniach. Przyciskam do siebie srebrzyste okrycie i siadam. Cały świat wiruje. Udaje mi się jednak zsunąć nogi z krawędzi łóżka, owinąć się materiałem jak togą i stanąć.

- Auroro...

- Chcę porozmawiać z kimś z Ad Astry, z kimś z ekspedycji Octavia. Chcę porozmawiać z mamą albo tatą.

- Auroro, proszę...

Stawiam chwiejnie pierwsze kroki, z rozpędu docieram do drzwi, które rozsuwają się, gdy się do nich zbliżam. Dwie kobiety w niebiesko-szarych mundurach odwracają się w moją stronę, jedna z nich robi krok w moim kierunku.

Próbuję uskoczyć, ale prawie przewracam się na bok, a ona łapie mnie za ramiona. Ręce mam zajęte trzymaniem okrycia, więc kopię ją w kolano. Kobieta krzyczy, zaciska boleśnie ręce na moim ciele, wbija w nie palce.

- Puść ją - rozlega się za moimi plecami głos Głównodowodzącej Białej Damy. Przez kontrast do mojej paniki brzmi zupełnie spokojnie. Słyszę w nim nawet rezygnację.

Kobieta mnie puszcza. Nogi mi się trzęsą, gdy idę przed siebie, gardło mi się zaciska, jakby ktoś mnie dusił.

I wtedy widzę okna w korytarzu. Widzę, co jest za nimi.

Gwiazdy.

Mój mózg próbuje ogarnąć, co się dzieje, przerzuca różne możliwości i odrzuca je z maksymalną szybkością. Widok za oknami to nie mur. To nie budynek. To wielka połać metalu usiana jasnymi światłami, ciągnąca się długim zakosem.

Wokół śmigają statki kosmiczne, jak ławice malutkich rybek uwijające się wokół rekina.

To stacja kosmiczna. Jestem w kosmosie. To miejsce nie może istnieć - Stocznie Cid, z których wystartował *Hadfield*, wyglądają przy niej jak stacja benzynowa na zadupiu.

To miejsce nie może istnieć.

Chyba że ta kobieta naprawdę jest kosmitką.

Chyba że naprawdę jestem w kosmosie.

Chyba że naprawdę to jest przyszłość.

Biiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiiip.

System nie odpowiada. Proszę ponownie uruchomić system.

Mam dwieście trzydzieści siedem lat.

Wszyscy, których znam, nie żyją.

Moi rodzice nie żyją.

Moja siostra nie żyje.

Moi przyjaciele nie żyją.

Mój dom przepadł.

Wszyscy, których znam, przepadli.

Nie mogę.

Nadchodzi kolejna fala obrazów.

Tym razem pozwalam lśniącej wodzie zalać moją głowę.

Daję się wciągnąć w głębiny.

Niech to szlag trafi.

To właśnie myśli mój młodszy brat. Ma to wymalowane na twarzy. Nie powie tego, bo Tyler Jones, dowódca drużyny pierwszej klasy nie przeklina. Tyler Jones nie pije ani nie zażywa narkotyków, nie robi niczego, co my, zwykli śmiertelnicy, robimy dla zabawy. Jeśli jednak osiemnaście lat w tej dziwnej małej galaktyce czegoś mnie nauczyło, to właśnie tego:

To, że czegoś nie mówisz, nie znaczy, że tego nie myślisz.

Siedzimy na półpiętrze nad arboretum... To znaczy Cat i ja siedzimy, bo Tyler krąży w kółko, próbując pogodzić się z myślą, że właśnie ostatnie pięć lat jego pracy poszło prosto do recyklera. Przechesuje ręką zlociste włosy, a kiedy mijają mnie siedemsetny raz, zauważam drobne zadrapanie na jego zwykle nieskazitelnych butach.

Aha, naprawdę fatalnie to przyjął.

Kopuła nad nami jest przezroczysta, wpuszcza światło miliardów odległych słońc. Ogród w dole to mieszanka roślinności z całej Galaktyki: kłęby rigelskich szkłopnaczy, kule pangeańskich zmierzchunek, kwiaty śpiewającego kryształu ze sztilomorza na Artemis IV. Arboretum to chyba moje najbardziej ulubione miejsce w całej akademii, ale jego splendor nie dociera w tej chwili do mojego drogiego braciszka.

W gruncie rzeczy wcale mu się nie dziwię.

– To jeszcze nie koniec Drogi Mlecznej – ryzykuję.

– Pewnie, ale musisz przyznać, że niewiele brakuje – odzywa się Cat.

Rzucam jej spojrzenie z ukosa, posyłam najlepszy uśmiech, mówiący „stuuuul paszczę”, i cedzę przez zaciśnięte zęby:

– Trzeba szukać pozytywnych stron sytuacji, Cat.

– Daj spokój, Scar – mówi Cat, ignorując mój uciszający ją uśmiech. – Wszyscy wiedzą, że Ty'a okradziono. To najlepszy Alfa na naszym roku. A teraz wylądował z leszczami, których żaden inny dowódca drużyny nie chciał nawet tknąć.

– Nie chcę rozdymać twojego już wybujałego ego, ale jesteś najlepszym Asem w akademii, Cat – odpowiadam z westchnieniem. – W żadnym razie nie można cię uznać za leszcza.

– Dzięki. – Uśmiecha się znacząco. – Ale miałam na myśli ciebie i pozostałych.

– Och, przestań. – Łapie się za pierś. – Łamiesz mi serce.

– Ojej. Przytulić?

– Pocałować.

- Ale tym razem bez jęyczka.

Catherine Brannock to moja kumpelka z pryczy w Akademii Aurora. Yin dla mojego yang. Pusta połówka szklanki dla mojej pełnej połówki. Miętowo-czekoladowa gałka na mojej potrójnej truskawkowej niespodziance. Jest też najstarszą przyjaciółką moją i Tylera. Ty pchnął Cat podczas naszego pierwszego dnia w przedszkolu i w odpowiedzi ona połamała krzesło na jego głowie. Kiedy opadł kurz, mój braciszek zyskał ładną malutką bliznę na prawej brwi, która idealnie dopełnia jego zabójcze dołeczki, oraz przyjaciółkę, której lojalności po prostu nie da się podważyć.

I która absolutnie na niego nie leci, na wypadek gdybyście się zastanawiali.

- Ta O'Malley ugrzęzła w Fałdzie na dwieście lat - mówi Cat. - Szefostwo powinno dać Ty'owi cholerny medal za uratowanie jej, a nie usadzać z bandą beznadziejnych przypadków.

- Beznadziejnych? - mówię. - Wiesz, masz szczęście, że jestem pozbawioną serca jedzą, bo w przeciwnym wypadku istniałoby spore ryzyko, że zranisz moje uczucia.

Cat się krzywi.

- Legion Aurory to nasza największa szansa na przywrócenie równowagi w Drodze Mlecznej. Jak mamy w czymkolwiek pomóc z drużyną niezdyscyplinowanych psycholi i amatorów grempów?

- To teraz ludzie i grempy...?

- No wiesz, krążą plotki...

- Ale żeby... z grempem?

- Ona ma rację - odzywa się Tyler.

Cat i ja spoglądamy na mojego brata. Przystanął i patrzy w dół na ogród. Przez chwilę przypomina mi naszego ojca. Myślałam, że odwalam doskonałą robotę, odgrywając swoją typową rolę Jędzki Nadzwyczajnej, ale możliwe, że moje zgorzkniałe, zwiędłe serce odrobinę mięknie dla niego.

- Ona ma całkowitą rację. - Tyler znowu wzdycha.

- Pewnie, że mam - warczy Cat. - Powinniśmy pogadać z de Stoy. Złożyć oficjalną skargę. Zapracowałeś na te punkty, i to nie w porządku...

- Miałem na myśli Scarlett - wyjaśnia Tyler. - To ona ma rację.

- Ona ma?

- Ja mam?

Tyler odwraca się do nas, opiera się o poręcz i krzyżuje ręce na piersi.

- W ogóle nie powinienem był znaleźć się w Fałdzie. Popełniłem błąd.

- Narażałeś życie...

- Nie, Cat. - Tyler patrzy na swoją najlepszą przyjaciółkę. - Wiem, że mogłaś wybrać sobie drużynę, i nigdy nie zapomnę ci tego, że zostałam przy mnie. Ale, tak czy inaczej, Pobór się skończył. To nie byłoby w porządku domagać się specjalnego traktowania. Muszę przebyć tę drogę.

Wzdycha.

„Poznaj drogę.

Wskaż drogę.

Przebadź drogę”.

To właśnie robią wszyscy dobrzy przywódcy według naszego ojca, wielkiego Jericho Jonesa. I Tyler żyje zgodnie z tymi słowami. To z ich powodu przez całe życie opiekował się mną i wszystkimi wokół. To z ich powodu wstąpił do Legionu Aurory. I zwykle, gdy je słyszę, mam ochotę kopnąć mojego braciszka prosto w te jego grandilokwentne klejnoty. Jednakże od czasu do czasu przypominają mi, jak bardzo kocham tego dupka.

Tyler bierze głęboki wdech. Kiwa głową.

– Legion walczy o coś prawdziwego. Tam czekają ludzie, którzy potrzebują naszej pomocy, a nie pomożemy im, siedząc tutaj i rozczulając się nad sobą. Nadal mam najlepszego pilota Legionu w swojej drużynie. – Uśmiecha się do Cat, częstując ją podwójną dawką dołeczków. – To już jakiś początek, nie?

Cat uchyla wymaginowanego kapelusza.

– Moim zdaniem masz cholernie dobrego pilota.

Ty mruga w moją stronę.

– A moja dyplomatka też nie jest taka całkiem do niczego.

– Szanuj starszych od siebie, braciszku.

– Jesteś trzy minuty starsza ode mnie, Scarlett.

– Trzy minuty, trzydzieści siedem i cztery dziesiąte sekundy, Szczawiku.

– Wiesz, że nie cierpię, kiedy tak mnie nazywasz.

– A jak myślisz, czemu to robisz? – Wstaję jednak powoli i salutuję przed nim ironicznie. – Legionistka Scarlett Isobel Jones zgłasza się na posterunek, panie dowódco.

Tyler odpowiada salutem, a ja tylko przewracam oczami.

– Najlepszy Alfa w Akademii Aurora – mówi. – Najlepszy As. Zabójcza Twarz. To mi wygląda na całkiem dobry zaczątek drużyny. W końcu należymy do elitarnej szkoły wojskowej z najlepszymi uczniami z całej Galaktyki, prawda? Jak fatalna może być reszta składu, z którą mnie usadzono?

Cat i ja patrzymy po sobie niespokojnie.

– Ehm, skoro już o tym mowa...

* * *

– To psychopatka – oznajmia Tyler.

– Ścisłe rzecz biorąc, raczej socjopatka – odpowiadam.

– Spójrz na te kary dyscyplinarne, Scarlett.

– Ehm, czytałam o nich, kiedy przygotowywałam dla ciebie jej teczkę; dzięki, że to doceniłaś.

Cat, Tyler i ja idziemy Promenadą C wśród porannego tłumu. Tu zawsze jest rojno jak w ulu, ale dzisiaj szczególnie, bo świeżo awansowane drużyny są rozsyłane z pierwszymi zadaniami. Wszyscy w tłumie to wojskowi – głównie Betraskanie i Terranie, współpracujący ramie w ramię w naszych skandalicznie burych mundurach.

Przysięgam, ktoś, kto je zaprojektował, musiał uważać nudę za rodzaj sportu międzygwiazdowego. Wolałabym zafundować masaż stóp Wielkiemu Ultrazaurowi z Abraaxis IV niż włożyć coś takiego. Krój można chyba uznać przyzwoity: mundury są wzmocnione i wywątowane we wszystkich właściwych miejscach, dopasowane do sylwetki. Niestety szyje się je w ohydny odcieniu niebieskawej szarości, z błyszczącym logo Legionu Aurory na piersi i pojedynczym pasem na ramionach i mankietach oznaczających przydział.

Niebieski dla korpusu dowódczego.

Biały dla Cat i pozostałych Asów.

Zielony dla Mózgów z korpusu naukowego.

Fioletowy dla Macherów.

Czerwony dla Czołgów.

I wreszcie – o, ja, szczęściara – jasny, słoneczny żółty dla korpusu dyplomatycznego, idealnie pasujący do mojego pogodnego jak słoneczko usposobienia.

Robię, co w mojej mocy, żeby trochę ożywić te szmaty – spódniczkę mam pięć centymetrów krótszą, niż pozwala regulamin, a mój stanik najpewniej łamie newtonowskie prawo powszechnego ciężenia. Jednakże gdybym posunęła się dalej, mogłabym narazić się na wzmiankę dyscyplinarną od któregoś z naszych instruktorów, a prawdę mówiąc, komu potrzebna kolejna? Już zebrałam komplet.

Minęły dwadzieścia cztery godziny, odkąd Tyler wykręcił swój numer w stylu rycerza na białym koniu w Fałdzie. Nadkomendantka de Stoy i admirał Adams odebrali już jego meldunek, zatem jeśli pominąć nowinkę w postaci faktu, że wyciągnął dwustuletnią sierotę z najśłynniejszego wraku w historii Terry, życie wróciło na normalne tory. Pierwsze misje zostaną wyznaczone w ciągu godziny, więc im szybciej poznamy resztę drużyny, tym szybciej skoczmy w czerń. Pracowaliśmy na to pięć lat, a ja już tak rzygam tym miejscem, że dosłownie czuję posmak wymiocin w ustach. Szkoła zdecydowanie się skończyła.

Tyler przegląda cyfrowe akta na unikronie.

- Zila Madran. Terranka. Wiek: osiemnaście lat. Korpus naukowy.
- Jest błyskotliwa – mówię. – Jej wyniki akademickie są bez zarzutu.
- Otrzymała trzydzieści dwie oficjalne reprimendy w ciągu ostatnich dwóch lat.
- Nie wszyscy jesteście idealnymi płateczkami śniegu, braciszku.
- Mów za siebie. – Cat szczerzy zęby w uśmiechu i uderza się po tyłku. – Ja jestem, kurna, genialna.

Tyler zerka na unikron w rękę i kręci głową.

- Tu napisano, że kadetka Madran zamknęła dwójkę innych kadetów w module mieszkalnym i wystawiła na działanie itreyańskiego wirusa, żeby przetestować na nich działanie serum, które opracowała.

- Cóż, serum podziałało – zwracam mu uwagę. – Nie oślepli.
- Strzeliła do współlokatorki z dezelatora.
- Ustawionego na ogłuszanie.
- Więcej niż raz.
- Może ogłuszenie jej nie było takie proste? – sugeruje Cat.

- *Et tu, Brannock?* – pyta Tyler.

Salutujemy mijanemu instruktorowi, uskakujemy przed stadkiem młodszych kadetów (jeden z nich szepcze coś z nabożnym podziwem na widok słynnego Tylera Jonesa) i wchodzimy do windy, która zabiera nas na dół, do pokoiów odpraw dla drużyn. Kiedy stacja śmiga za przezroczystą plastalą wraz z krzątaniną i gwarem dwudziestu tysięcy ludzi, Tyler przełącza się na akta następnego członka drużyny.

- Finian de Karran de Seel. Betraskanin. Wiek: dziewiętnaście lat. Korpus techniczny.

- Jest bystry – mówię. – Łapie się do dziesięciu procent najlepszych. O ile coś takiego cię kręci.

- Piszą, że oblał dynamikę Fałdy.

- Gdyby nie to, wylądowałby w górnych dwóch procentach – dodaję. – Widzisz? Jest nadzwyczaj bystry.

- Piszą też, że nosi egzozskielet – czyta dalej Tyler.

- Aha. – Kiwam głową. – Ma uszkodzone nerwy, osłabione mięśnie i jest upośledzony ruchowo. Efekt zarazy lysergijskiej, na którą chorował jako dziecko. Egzozskielet mu to kompensuje.

- W porządku. – Tyler kiwa głową. – Ale skoro jest taki bystry, to czemu oblał dynamikę Fałdy?

- Ostatni egzamin to było ćwiczenie grupowe.

- I co z tego?

- Przekonasz się. – Cat wzdycha.

Wysiadamy z windy, idziemy przez tłum, pokonujemy kilka korytarzy i docieramy do przydzielonego nam pokoju odpraw. Ściany jarzą się obrazami: gwiazdne mapy z galaktycznymi terytoriami, codzienne wiadomości na temat syldrańskiej wojny domowej, nowe nagrania dotyczące flot uchodźców gromadzących się na obrzeżach terrańskiej przestrzeni. W pokoju dominuje stół z infoszklą, herb Akademii Aurora wyświetla się na jego powierzchni wraz z naszym motto:

Jesteśmy Legionem

Jesteśmy światłem

Płonącym jasno pośród nocy.

Na przeciwległych końcach pokoju, dosłownie tak daleko od siebie, jak tylko się da, stoi dwoje naszych nowych członków drużyny.

Zila Madran jest Terranką. Jest niższa nawet od Cat, ma ciemnobrązową skórę i długie, mocno skręcone czarne loki. Zielony pasek korpusu naukowego na jej ramionach ani trochę nie współgra z jej cerą, ale gdyby powab dało się przerobić na broń, to byłaby niezłą kandydatką. Zauważyłem jednak coś dziwnego w jej spojrzeniu. Jakby za ciemnymi oknami jej oczu nie było nikogo w domu.

Z drugiej strony, hej, przynajmniej nie ma dziś przy sobie dezelatora...

Nasz drugi nabytek stoi oparty o ścianę na końcu sali i stanowi niemal lustrzane przeciwieństwo pierwszego. Jak wszyscy Betraskanie ma skórę białą jak bielona kość. Jedyne żywe kolory na nim to fioletowy pasek korpusu technicznego na mundurze. Oczy ma większe od ludzi, a ochronne soczewki kontaktowe, które na nich nosi, sprawiają, że są całkiem czarne. Kości ma długie i cienkie, typowe dla tych, którzy dorastają w nieważkości, i to go wyróżnia. Betraskanie uwielbiają podróżować, ale prawie wszyscy wychowują się na swojej rodzinnej planecie – na Trasku. Według jego akt Finian spędził większość dzieciństwa na stacjach kosmicznych. Ma krótkie, postawione na jeża włosy, potraktowane dokładnie taką ilością żelu, żeby wydawało się, że w ogóle go nie używa. Mnie jednak nie zwiedzie.

Najbardziej charakterystyczną rzeczą w jego przypadku stanowi wspomniany w aktach lekki egzozskielec. Jest wykonany ze srebrzystego materiału, półpancerz zakrywa mu plecy, a połączone przegubowo rękawy, rękawiczki i buty wspomagają kończyny. To supernowoczesna konstrukcja i Finian porusza się płynnie, niemal bezgłośnie. Jednakże nawet gdybym nie czytała akt, i tak zorientowałabym się, że egzozskielec odwala za niego większość ciężkiej roboty.

Tyler patrzy na tę dwójkę i perfekcyjnie im saltuje.

– Dzień dobry, legioniści.

Oboje tylko gapią się na niego. Zila, jakby liczyła wszystkie jego atomy jeden po drugim, a Finian, jakby właśnie zaserwowano mu danie, które w żadnym razie nie przypomina ślicznego obrazka z menu. A jednak to on pierwszy reaguje, unosząc od niechcenia rękę w salucie.

– Panie dowódcu. – Nie brzmi to w jego ustach jak komplement.

Zila nadal tylko patrzy. Kiedy wreszcie się odzywa, mówi cicho. Wręcz uprzejmie.

– Dzień dobry.

Tyler odwraca się do mnie z uniesioną brwią.

– Nie brakuje nam kogoś?

– Twoje przypuszczenia są równie dobre jak moje, kochany braciszku.

– Przegapi odprawę.

– Hmm. – Ostentacyjnie oklepuję kieszenie i zerkam pod bluzę mundurową. – Najwyraźniej zostawiłam tę część mnie, która się tym przejmuje, w drugich spodniach.

Uwaga: bardzo kocham mojego brata i wiem, że ma ciężki dzień, ale pracowałam do późna poprzedniej nocy, żeby przygotować dla niego akta i ja jeszcze nie zażyłam swojej dawki kofeiny. Zwykle nie jestem dla niego taka podła.

Chwileczkę, kogo ja tu bujam?

Ty krzywi się i dalej robi swoje.

– W porządku, przede wszystkim przepraszam za nietypowe okoliczności. Nie jestem pewien, co słyszeliście na temat przebiegu Poboru, ale wygląda na to, że w najbliższej przyszłości będziemy współpracować. Nasze oficjalne oznaczenie otrzymane od dowództwa Legionu Aurory to drużyna 312. Nazywam się Tyler Jones. Będą Alfą tej drużyny. To nasza Twarz, Scarlett Jones i nasz As, Cat Brannock.

Cat siada i odchyła się w krześle.

– Mówcie mi Zero.

- Zero jak zero szans na sukces? - pyta z niewinną miną Finian.

- Jak to, że większość kadetów nie trafia do dwunastu-piętnastu procent celów podczas egzaminów na specjalność pilota - wyjaśnia Tyler.

- Zgadnij, ile razy ja spudłowałam, Chudzielcu. - Cat się uśmiecha.

Wspomniany Chudzielec przeciąga się, jego egzoszkielec szumi i rozlega się seria cichych szcęknięć.

- Finian de Karran de Seel. Po prostu Fin, jeśli wolicie iść na łatwiznę. Macher. Wy psuje-cie, a ja składałam to z powrotem do kupy. Nie mogę zapewnić stuprocentowej skuteczności w żadnym wypadku poza moim olśniewającym intelektem.

Kiwam głową na powitanie i odwracam się do naszego drugiego nabytku. Dziewczyna garbi się na krzesle, kolana podciągnęła do podbródka. Patrzy skonsternowana, jakby idea przedstawiania się nie całkiem do niej docierała. Rozumiem, poznawanie nowych ludzi bywa trudne. Zwłaszcza że wie, że nie była pierwszym, piątym ani nawet ostatnim wyborem Tylera.

- Zila Madran - odzywa się w końcu. - Oficer naukowy.

- Podobają mi się twoje kolczyki - mówię, starając się ją ośmielić.

Na to reaguje. Gwałtownie przenosi spojrzenie na mnie i unosi rękę do kolczyków ze złoty-ch paciorków, jakby chciała je schować.

Hmmm. To tego typu rzecz, którą nosi się po to, żeby ją podziwiano, myślę sobie. A jednak ona nie lubi, kiedy ludzie to robią.

Baaardzo ciekawe.

- Zatem... - odzywa się Finian, kierując czarne spojrzenie na Tylera. - Złoty Chłopak. Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem, Złotko. Robiono zakłady, jak długo będziesz ryczał w poduszkę, zanim weźmiesz się w garść i zafundujesz nam budującą mowę. Szczerze mówiąc, ja obstawiałem, że dasz sobie czas do jutra rana.

Bada teren, myślę. Sprawdza, czym wyprowadzi Ty'ą z równowagi.

- Ile postawiłeś? - pyta mój brat.

- Pięćdziesiąt kredytów.

- Hazard jest niezgodny z regulaminem akademii - wytyka mu Tyler.

- I tylko skończony idiota obstawia przeciwko Tylerowi Jonesowi - dodaje Cat.

Finian patrzy zaskoczony na Cat, a potem zerka to na Tylera, to na nią.

- To twój chłopak, czy co?

Ups. Fatalny ruch.

Cat otwiera oczy odrobinę szerzej. Wstaje powoli i zaczyna podnosić krzesło.

- Legionistko Brannock, spocznij - rzuca ostrzegawczo Tyler.

Finian nie jest pod wrażeniem. Chyba nie docenia tego, jak dużych szkód może narobić Cat wśród różnych ważnych części męskiego ciała za pomocą kawałka mebla. Jednak Tyler jest teraz jej dowódcą, a w przypadku Cat to ma realne znaczenie. Dlatego z grymasem siada z powrotem i rzuca naszemu nowemu Macherowi spojrzenie, które stopiłoby plastal.

Fin uśmiecha się szeroko do Tylera.

- Ej, to prawda, co o tobie mówią?

- Pewnie nie. - Tyler wzdycha. - A co mówią?

- Że straciłeś swoje miejsce w Poborze, bo ratowałeś jakiegoś cywila w Fałdzie?
- Ta informacja jest utajniona – odpowiada Tyler. – Nie wolno mi o tym mówić.
- Czyli to prawda. – Fin rechocze. – Prawdziwy z ciebie... Jak to mówią Terranie? Harcerzyk? Prawdziwy z ciebie harcerzyk?

Zila najwyraźniej ma dość tej rozmowy. Podnosi unikron, przesuwając ręką po powierzchni i zaczyna wybijać szybki rytm palcami. Ona już się odmeldowała. Mimo braku snu i kofeiny współczuje Ty'owi. Jeśli idzie o wymarzonych członków drużyny, to ta dwójka zdecydowanie do nich nie należy. Mój brat jednak nie traci rezonu.

- Przypominam sobie ciebie teraz – mówi do Fina. – To ty jesteś kadetem, który napromieniował laboratoria napędów, żeby nie mieć egzaminu z dynamiki przestrzennej.

- Właściwie to wszyscy nie mieli wtedy egzaminu z dynamiki przestrzennej.

- Aż tak się bałeś, że oblejesz?

- Czy właśnie nawiązuje się między nami nic porozumienia? – pyta Fin. – Bo coś czuję, że to właśnie ta chwila.

- A poza tym jesteś dzieciakiem, który zawsze siedzi sam w stołówce podczas każdego posiłku. – Tyler odwraca się do Zili. – A ciebie w ogóle nie widuję. Ale, czy to się wam podoba, czy nie, jestem teraz waszym dowódcą i utknęliśmy tu razem na następne dwanaście miesięcy. Możesz więc zapiąć pasy i dobrze się bawić podczas tej przejażdżki. Albo odgrywać twardziela i spędzić następny rok na czyszczeniu latryn. Twój wybór, legionisto.

Ultimatum. Niezła zagrywka, braciszku.

Finian patrzy dość długo, żeby nie stracić twarzy. Jednak tak naprawdę to nie ma wyjścia i sam dobrze o tym wie. Dlatego powoli, najbardziej niechętnie, jak tylko się da, salutuje.

- Tak jest, panie dowódcu.

- A co z tobą, legionistko Unikron? – pyta Tyler.

Zila podnosi wzrok znad urządzenia. Przechyla głowę i mruga raz.

- Rozumiem, dowódcu.

Tyler kiwa głową. W stu procentach profesjonalista.

- W takim razie w porządku. Nie wiem, gdzie jest nasz Czołg, ale muszę wypełnić sprawozdania. Nasza odprawa przed misją odbędzie się jutro o ósmej. Przy odrobinie szczęścia dowództwo wyśle nas gdzieś, gdzie się do czegoś przydamy. Nie spóźnijcie się. Możecie się rozejść.

Tyler wstaje, a ja mrugam do niego, żeby wyrazić aprobatę. Nie potrafi odczytywać ludzi tak dobrze jak ja, ale z drugiej strony w tej kwestii niewielu ludzi mi dorównuje. Nie wiem jeszcze, co myśleć o Zili Madran. Ale takich gości jak Finian de Seel spotkałam tysiące. Jest przeczulony na swoim punkcie i prowokuje całą Drogę Mleczną, żeby tylko czegoś próbowała.

Będą z nim kłopoty.

Wychodzimy gęsiego na korytarz. Cat gawędzi z Tylerem na temat jutrzejszej odprawy, zastanawia się, do którego sektora możemy zostać wysłani. Zila i Finian idą w milczeniu. Ja idę pierwsza z unikronem w rękę, szukam informacji na temat naszego brakującego członka drużyny. Dlatego trochę mnie zaskakuje, kiedy sto kilo krwawiącego męskiego ciała uderza mnie w piersi.

- Scar! - krzyczy Tyler.

Upadamy na podłogę. Męskie ciało wyciąga się na mnie w zdecydowanie mało twarzowej pozie, a ja zaczynam żałować, że mojej spódniczce brakuje tych pięciu centymetrów regulaminowej długości.

- Auć?

Ty podchodzi, żeby ściągnąć ze mnie cielsko, ale chłopak już sam się poderwał i pocałował z powrotem w stronę kopaniny połączonej z mordobiciem, od strony których nadleciał.

- Zapłacisz mi za to, elfiku - warczy Cielsko.

Pięć osób bije się na końcu korytarza. Same dzieciaki. Czerwone paski na mundurach oznaczają, że to Czołgi. Czwórka to Terranie, same przysadziste mięśniaki, jakich można się spodziewać po korpusie bojowym. Piąty Czołg jest wyższy. Jest zwinnie i smukły. Ma oliwkową skórę i długie szpiczasto zakończone uszy. Srebrne włosy nosi związane w pięć długich warkoczy, żeby nie opadały mu na twarz. Oczy ma fiołkowe jak żywcem wzięte z książek, a kości policzkowe tak ostro zarysowane, że można by się o nie skaleczyć. Byłby piękny, gdyby nie miał twarzy i pięści obryzanych krwią.

Mimo wszystko nie ma wielu takich w akademii, więc nie potrzebuję dużo czasu, żeby zrozumieć, że...

To Syldranin.

- Ne'lada vo esh - mówi spokojnie, unosząc zakrwawione ręce.

- Mów po terrańsku, Elfiku!

Jeden z Terran wymierza cios w głowę Syldranina, a ja zdaję sobie sprawę, że to walka czterech na jednego. Syldranin z łatwością blokuje cios i łapie rękę napastnika. Rozlega się trzask, jakiego nie chciałoby się usłyszeć we własnym łokciu. Syldranin ciska chłopakiem w dziewczynę zbudowaną jak opancerzony transporter. Oboje padają i turlają się po podłodze.

- Esh - mówi, cofając się krok. - Esh ta.

- Ej! - woła Tyler, przywołując cały swój autorytet. - Skończcie z tym!

Tyler potrafi przywołać naprawdę imponujący ładunek autorytetu, ale mimo to nikt go nie słucha. Syldranin obrywa w szczękę i w odpowiedzi uderza palcami w gardło napastnika. Chłopak pada z charkotem, a Syldranin ruchem, na którego widok nawet Cat się krzywi, kopie go w fontannę radości, wydobywając z ofiary piskliwy wrzask. Syldranin ma pogodną twarz, gdy robi unik i powala następnego kadeta kopniakiem w kolano. Zaczynam zdawać sobie sprawę, że chociaż czwórka walczy przeciwko jednemu...

- Na oddech Stwórcy - mruczy Cat. - On wygrywał!

Syldranin uderza głową o gródź, rozcina sobie brew. Ciemnofioletowa krew spływa mu po twarzy. Odpowiada ciosem. Porusza się, jakby tańczył, a jego długie, srebrne warkocze wirują w powietrzu. Tyler ryczy: „Rozejść się!” i rzuca się do walki, odciągając jednego z krwawiących Terran. Cat, która nigdy nie odpuściłaby sobie bitki, rzuca się w tłum, a Finian pomaga mi wstać.

- Miło widzieć, że ochrona stacji robi, co do niej należy - oznajmia wesoło.

Burda przerzadza się w chaos, pięści latają, przekleństwa padają w dwóch językach. Syldranin obala ostatniego Terranina gradem ciosów w twarz, pierś i kroczce. Kiedy kadet pada, Tyler

kładzie rękę na ramieniu wysokiego chłopaka. Mój brat rzadko popełnia takie błędy – Syldranie z zasady nie lubią, kiedy dotyka się ich bez pozwolenia.

– Hej, wyluzuj!

I wtedy wszystko dzieje się jednocześnie.

Po pierwsze, wreszcie zjawia się ochrona. Ma pancerze taktyczne i pałki ogłuszające, które zyskały czule przezwisko pałki-rzygalki, bo każdemu zbiera się na wymioty, po tym jak zostanie którąś potraktowany.

Po drugie, Syldranin wali Ty'a pięścią prosto w twarz. Ty wytrzeszcza oczy zaskoczony i w odpowiedzi obala wyższego chłopaka na podłogę. Zaczynają się bić, Syldranin próbuje skopać Tylerowi tyłek, a mój brat próbuje założyć mu chwyt i cały czas wykrzykuje: „Spokojnie! Spokojnie! Na miłość Stwórcy!”.

Po trzecie, wreszcie rozpoznaję twarz Syldranina, chociaż jest umazana krwią.

– Och nie, nie jest dobrze – szepczę.

– Czy ja wiem? – Finian uśmiecha się, najpierw przyglądając się Syldraninowi, a potem zerkając na mnie. – Dla mnie wygląda całkiem niezłe.

– Błagam – odpowiadam, przewracając oczami.

Ochroniarze tłuką tych, którzy się jeszcze ruszają, pałkami-rzygalkami. Wszyscy haftują. Cat protestuje, a ochroniarze zaczynają zakładać uczestnikom bójkę magnetokajdanki. Finian nie odstępuję mnie na krok, Zila stoi za nami, obserwując tę scenę z beznamiętną twarzą. Tymczasem ochrona jest już gotowa zawlec wszystkich do paki.

Łapiąc się za posiniaczone żebra, robię krok naprzód. Uruchamiam swój najlepszy uśmiech dla rozładowania atmosfery. W końcu nie przespałam zajęć z dyplomacji.

(Za to regularnie drzemałam na zajęciach z astrometrii).

– Dzień dobry, panie Sanderson. – Uśmiecham się.

Dowódca ochrony zerka znad zakuwanego właśnie Tylera.

– To znaczy poruczniku Sanderson – dodaję, uśmiechając się szerzej.

– No proszę, proszę, Scarlett Jones. Powinienem był spodziewać się, że jesteś w to zamieszana.

– Sugeruje pan, że sprawiam kłopoty, poruczniku? – Opieram rękę na biodrze i robię nadaną minę. – Bo w takim razie czuję się urażona.

Spokojnie, to nie tak, jak myślicie.

I nawiasem mówiąc, fuj!

– Jak się miewa Jaime? – pytam.

– Świetnie. Wrócił do mamy na Terre.

(Jaime Sanderson. Były chłopak nr 37. Plusy: świetnie całuje. Minusy: lubi jazz).

– Proszę go pozdrowić.

– Z pewnością.

– Ehm, proszę posłuchać – mówię, zerkając na brata i jatkę wokół nas. – To nie jest wina Tylera. Próbował przerwać walkę. Naprawdę musi go pan zamykać?

– Standardowa procedura. – Porucznik wzrusza ramionami i wraca do swojej roboty. – Nagrania ochrony zostaną przejrzone i jeśli mówisz prawdę, to dowódca drużyny Jones zosta-

nie wypuszczony jeszcze przed kolacją.

Posyłam porucznikowi Sandersowi mają najlepszą nadąsaną minkę.

- Ale, panie poruczniku...

- W porządku, Scar - jęczy Tyler, próbując powstrzymać wymioty. - Nic mi nie będzie.

Funkcjonariusze ochrony stawiają wszystkich na nogi, uważając, żeby nie pobrudzić sobie mundurów wymiocinami. Kadet ze złamaną ręką pojękuje z bólu, chłopak, którego najczulsze okolice zostały zdeptane, stracił przytomność. Kiedy porucznik Sanderson zakuwa Syldranina, jego śliczna buzia błyszczy od ciemnofioletowej krwi. Na kostkach rąk ma rozmazaną jasnoczerwoną krew Tylera.

- To była tania zagrywka - mówi do niego Tyler.

Syldranin nie odpowiada. Ma lodowaty wyraz twarzy i ani jeden włos na jego głowie nie wygląda na potargany.

Zerkam na nich obu, zastanawiając się, czy mój uśmiech wygląda na tak wymuszony, jak go sama odbieram.

- Ehm... sytuacja jest odrobinę niezręczna...

- Co masz na myśli? - Tyler się dziwi.

Patrzę znacząco na Syldranina.

- No wieszszszsz...

- Nie - mówi Tyler.

- Niestety, Szczawiku.

- Neeeeee.

- Dowódcu drużyny Tylerze Jones... - mówię, zerkając na swój unikron - ...pozwoli pan, że przedstawię mu specjalistę z korpusu bojowego, legionistę Kaliisa Idrabana Gilwraetha, pierwszego syna Laeeth Irltari Idraban Gilwraeth, adepta Ligi Zbrojnych.

Syldranin piorunuje mojego brata tymi swoimi niesamowitymi fiołkowymi oczami.

Spluwa ciemnofioletową krwią na podłogę.

I odzywa się głosem jak rozplywająca się czekolada:

- Dla przyjaciół Kal.

4



Hmm.

Moją obecną sytuację najlepiej można opisać jako...
...suboptymalną.

Krzyk.

Ktoś krzyczy tuż obok mnie.

Otwieram błyskawicznie oczy i podrywam się, pociągając za sobą okrycia.

Jakiś chłopak stoi pośrodku mojego pokoju. Wbija wzrok w ścianę za mną, jakby próbował wypalić w niej dziurę.

Ma długie srebrne włosy związane w pięć warkoczy i sprawia wrażenie mojego rówieśnika, ale wygląda jak żywcem wyjęty z ekipy grającej bohaterów z Śródziemia. Ma szpiczaste uszy jak cholerny elf, piękne fiołkowe oczy, jest idiotycznie wysoki i porusza się z idiotyczną gracją. Ma też małe tatuaż na czole.

– Cho'taa – mówi. – To nie ma nic wspólnego z moją krwią.

– Że co proszę? – dukam, krzywiąc się w duchu, że męczę się z wypowiedzeniem choćby dwóch sylab.

Słyszę głośny huk i zgrzyt metalu. Zimny głos.

– Spotkamy się w Pustce, Zbrojny.

Pojawia się rozbłysk energii, fiołkowy jak jego oczy. Chłopak krzyczy i pada. Czuję coś ciepłego na dłoniach i kiedy na nie patrzę, widzę, że są całe we krwi.

Fioletowej krwi.

Krzyk narasta mi w gardle, ale chwilę potem wszystko zaczyna blednąć. Rozpływa się w sposób, w jaki rozpływały się wszystkie moje wizje. I mimo gwałtownego bicia serca i lodu w żołądku dociera do mnie, czym był ten chłopak – jeszcze jedną wizją czegoś, czego nigdy naprawdę nie widziałam.

Gapię się na miejsce, w którym stał, a mój puls powoli zwalnia.

– Co jest, u diabła...

Kiedy te wizje się skończą?

Czy mój mózg próbuje się przekalibrować po tym, co przeszedł?

Wpycham knykcie do oczu, żeby pozbyć się obrazu, i czekam aż uspokoi mi się serce. Zastanawiam się, czy to kolejny symptom bardzo długiego snu kriogenicznego.

Zastanawiam się, czy całkiem mi odbija.

Rozglądam się i dociera do mnie, że znajduję się w innym pokoju niż wczoraj. Szklane ściany zniknęły. Teraz otaczają mnie cztery szare, które ładnie pasują do szarego dywanu i sza-

rego sufitu. Mój nowy pokój jest mały, przyćmione światło sący się ze źródeł ukrytych w miejscach, gdzie ściany stykają się z sufitem.

Moja pamięć to patchwork lekarzy, którzy przychodzili i odchodzili. Gdzieś pośród tego zaplątał się zaskakująco zwyczajny posiłek. Oczywiście to była jedyna normalna rzecz, jaką mogę dzisiaj wskazać. Ponieważ to jest przyszłość. Mam dwieście lat. I zwidują mi się różne rzeczy. I są tu cholerni kosmici, gdziekolwiek owo „tu” się znajduje.

Czy mogłabym znowu stracić przytomność? Poproszę.

Leżę w łóżku nadal zaplątana w miękką białą pościel i kiedy siadam, odkrywam, że czuję się trochę lepiej. Serce nadal bije mi jak szalone, ale nie kręci mi się w głowie i widzę względnie wyraźnie. Bingo! W nogach łóżka czeka na mnie złożone w schludny szary stosik ubranie.

Pochylam się ku rzeczom i dwie krople czerwieni uderzają cicho o idealnie białą pościel.

Krew.

Dotykam nosa i na moich palcach pojawia się rozmazana czerwień. Nad małą umywalką w kącie wisi lusterko. Podchodzę tam chwiejnie, żeby się umyć. Mam krew rozmazaną nad górną wargą, jakbym zapuściła ohydne wąsy i...

...ja piórkuję, co się stało z moimi włosami?

Nadal są krótko obcięte na pixie, tak jak zawsze były, ale w odbiciu widzę szerokie białe pasmo w grzywce. Przeczesuję je palcami, zastanawiając się, czy to kolejny objaw po długim krio. Zastanawiam się, czy nie jestem chora. Może powinnam o tym komuś wspomnieć. Chociaż pewnie to byłby cud, gdybym wyszła z trwającej dwieście lat kriostazy na popsutym statku tylko z krwawiącym nosem i paroma siwymi włosami.

To znaczy z krwawiącym nosem, paroma siwymi włosami oraz halucynacjami.

Myję twarz i skupiam się na ubieraniu. Wymieniam białą piżamę na coś, co wygląda jak skrzyżowanie szkolnego mundurka ze strojem sportowym. Leży tam bielizna, stanik (odrobineń zbytnie optymistyczny, zważywszy na rozmiary moich atutów), leginsy i bluza mundurowa z długimi rękawami i z logo na piersi, którego nie rozpoznaję.

Widzę parę butów przy drzwiach i wtedy zauważam małe czerwone światełko na panelu obok. Przez chwilę zastanawiam się, czy to znaczy, że drzwi są zamknięte, i rozważam, czy warto potwierdzić przypuszczenia.

Niekoniecznie. Dokąd miałabym pójść?

Wysoko w kącie pokoju widać drugie czerwone światełko; to pewnie kamera. Kiedy na nią patrzę, rozlega się ciche pukanie do drzwi, a gdy się odsuwają, stoi tam Kapitan Przystojniak – chłopak, który uratował mnie z *Hadfielda*. Nosi taki sam niebiesko-szary strój jak ja i mój wcześniejszy wyimaginowany gość, a na szczęście maluje mu się blade siniak, raptem cień. Niesie małą paczkę z czerwoną kokardą – jedyny barwny element w tym pokoju. O ile nie liczysz mojej krwi, rzecz jasna.

To ten prezent sprawia, że zaczynam podejrzewać, że jest kolejną halucynacją – podarek zupełnie tu nie pasuje. Przynajmniej tym razem nikt nie krwawi ani nie wrzeszczy, a to już coś. Ciekawe, czy dowiem się, co mi przyniósł, zanim się rozwieje.

– Mogę wejść? – pyta.

Kiedy nie odpowiadam, podchodzi do nóg łóżka, siada i zachowuje między nami uprzejmą odległość. Gapię się na niego, a on na mnie. Robi wrażenie trochę zatroskanego. Serce wali mi w gardle. Jeśli nie będę uważać, zaraz wpadnę w panikę.

Wizje stają się coraz częstsze i coraz bardziej realistyczne.

- Dobrze się czujesz? - pyta. - Nazywam się Tyler, pamiętasz?

- Pamiętam. Zaraz znikniesz, czy co?

Unosi brew i ogląda się przez ramię na drzwi, jakby sprawdzał, czy nie mówię do kogoś innego.

- Pytasz, ehm, czy zniknę?

I wtedy zauważam, że materac ugina się lekko pod nim.

Chwileczkę, to dzieje się naprawdę?

Szturcham go w pierś i napotykam twarde mięśnie. Cofam gwałtownie palec, szukam rozpaczliwie jakiegoś wyjaśnienia swojego zachowania i mam desperacką nadzieję, że pozbyłam się wszelkich śladów upiornych krwawych wąsów kanibala.

- Co ty trzymasz pod tą koszulą? Kamienie?

Motyła noga, powiedziałam to na głos?

- Przyniosłem ci prezent - mówi, ratując mnie przed samą sobą, i podsuwa paczuszkę. - Pomyślałem, że możesz być gotowa na coś, co przełamie monotonię.

Rozpakowuję prezent - sam fakt, że zadał sobie dość trudu, by go zapakować, sprawia, że gest jest podwójnie słodki - i znajduję płaską płytkę z hartowanego szkła mniej więcej wielkości mojej dłoni i z zaokrąglonymi krawędziami.

Obracam ją w ręce, a potem podnoszę do światła, żeby przez nią spojrzeć.

- Chyba będę potrzebowała do tego instrukcji obsługi - przyznaję się.

- To unikron. Przenośny komputer podłączony do sieci stacji - wyjaśnia, wyciągając rękę po urządzenie. - Przytrzymam go przed twoim okiem, żeby zarejestrował ciebie jako nowego użytkownika.

Podnosi płytkę na wysokość mojej twarzy, a ja gapię się, gdy cienka czerwona linia przesuwana się wzdłuż jej długości. Na szkle rozbłyskuje wiadomość w tym samym czerwonym kolorze.

skan siatkówki zakończony.

Płytkę rozświetla się, jakby ktoś wrzucił zapalną w stos fajerwerków. Holograficzne menu pojawia się po obu stronach, dane przesuwają się po ekranie, wyświetlacze ożywają i gasną. Widzę listę propozycji w dolnej części szklanej płytki.

KONTAKTY	PAMIĘĆ PAMIĘĆ	SIEĆ SIEĆ
WIADOMOŚĆ WIADOMOŚĆ	MAPA	HARMONOGRAM

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. - Chłopak szczerzy zęby w uśmiechu i niech mi dobre nieba dopomogą, te dołeczki powinny mieć własne strony fanowskie. - To znaczy wiem, że nie urodziłaś się dokładnie dzisiaj, ale uznałem, że zasłużyłaś na prezent. Zważywszy, że parę swoich urodzin przegapiłaś.

Moje urodziny.

Tata zapomniał złożyć mi życzenia.

To była ostatnia rzecz, jaką mu powiedziałam. Zasadniczo wytknęłam mu, że jest najgorszym ojcem pod słońcem, i się rozłączyłam.

A teraz on...

Nie jestem jednak gotowa na takie myśli – na myśli o tym, co straciłam. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, byłoby tego już zwyczajnie za dużo. Odsuwam tę myśl i biorę unikron. Obracam go w dłoni i wyświetlacz przeskakuje tak, żeby kierować się w moją stronę. Próbuje przycisnąć podświetlony fragment z napisem MAPA, bo jak raz staniesz się maniakiem kartograficznym, to zostajesz nim na zawsze.

Szczegółowy hologram ożywa nad unikronem, pokazując kilka poziomów nade mną i pode mną. Moją lokalizację zaznaczono czerwonym mrugającym punktem. Pojawia się mała ikonka z napisem cel?

Szczegóły są tak zdumiewające, że rozdziawiam usta. Widziałam prototypy takich urządzeń, kiedy byłam z ojcem na targach w Szanghaju, ale przy unikronie wyglądałyby jak trójkołowce przy harleyu.

– Rety – mówię. – Dzięki.

Szkiełko mruga trzy razy, a potem odzywa się wysokim głosem robota:

– TO JESZCZE NIC WIELKIEGO.F

Prawie wypuszczam unikron, przez chwilę żongluję nim rozpaczliwie i wreszcie chwytam w obie ręce. Ledwie powstrzymuję chęć, by zapytać: Czy to coś właśnie się do mnie odezwało?

Auri, jesteś ambasadorką całego swojego stulecia, Kapitan Przystojniak pewnie uzna cię za skończonego buraka. Weź się w garść.

– To coś jest mądrzejsze ode mnie – mruczę.

– OCH, NIE ZADRĘCZAJ SIĘ, SZEFOWO. JESTEŚ TYLKO CZŁOWIEKIEM.

– Nie mówiłam do ciebie.

– JESTEM NAJLEPSZYM UNIKRONEM NAJNOWSZEJ GENERACJI, WYTWOREM TECHNOLOGII NIEDOSTĘPNEJ POZA AKADEMIĄ – odgryza się urządzenie. – JESTEM SIEDEMNAŚCIE RAZY MĄDRZEJSZY OD NIEGO. I TRZY RAZY PRYZSTOJNIJSZY. TO ZE MNĄ POWINNAŚ ROZMAWIAĆ...

– Tryb cichy – rozkazuje Tyler.

Unikron milknie, a ja patrzę na chłopaka siedzącego w nogach mojego łóżka.

– To mój stary unikron – wyjaśnia, posyłając mi jeden ze swoich zabójczych uśmiechów. – Ma dostęp tylko do archiwów akademii, ale to lepsze niż nic.

– Jest niesamowity – mówię. – Czy one wszystkie... gadają jak ten?

– Niezupełnie. Matrycę operacyjną starszych modeli wyposażono w „osobowość”. Już się tego nie robi, bo technikom nigdy nie wychodziło to za dobrze. Dlatego uczciwie ostrzegam: te modele bywają lekko niestabilne. I... Jak by to ująć? Bezustannie entuzjastyczne.

– Myślę, że będziemy dobrze się dogadywać – mówię. – Naprawdę... doceniam gest.

Taki gest, kiedy nikogo nie znasz, jest jak woda na pustyni, myślę sobie. Chłopak zagryza usta, odrobinę niepewny.

– A jak w ogóle sobie radzisz ze wszystkim? – pyta.

Gapię się na unikron, na migoczącą ramkę z napisem cel?

- W porządku - odpowiadam w końcu.

Postanawiam skupić się na aspekcie fizycznym, bo nie uważam, żebyśmy znali się na tyle, bym mogła wyskoczyć z tekstem: „Boję się i czuję się samotna, i jakbym nie miała dość kłopotów w rzeczywistości, mój mózg przywołuje wizje, a ja mam kłopot z odróżnieniem rzeczywistości od zwidów”.

Tego typu rzeczy ujawnia się dopiero na trzeciej albo czwartej randce, prawda?

- Jestem trochę osłabiona - mówię, siadając obok niego na łóżku. - Zmęczona. Chyba tak długo przebywałam na *Hadfieldzie*, że nikt nie wie, jak powinnam się miewać. Nie wiem, czy to nadal jest niebezpieczne, ale kiedy startowaliśmy, uważano, że nie należy przebywać w Fałdzie zbyt długo. Zaczynało się mieć halucynacje, dostawało się paranoi...

Urywam, bo właśnie to mi dolega - mam halucynacje.

Paranoja będzie następna?

- To nadal jest niebezpieczne. - Tyler kiwa głową. - Chociaż okazuje się, że podróż przez Fałdę słabiej wpływa na młode umysły. Poza tym nasza technika zmieniła się nieco od twoich czasów. Kiedy *Hadfield* wystartował, ludzie mogli podróżować tylko przez naturalnie istniejące bramy. Słabe punkty w Fałdzie. Teraz potrafimy budować własne wejścia i wyjścia, gdzie tylko zechcemy. Skoro o tym mowa, duża brama znajduje się tuż obok naszej stacji.

- Widziałam... - Kręcę głową, próbując przypomnieć sobie widok stacji, kiedy wybiegłam z pokoju. - Skoro ludzie mogą polecieć teraz, dokąd zechcą, to gdzie się znajdujemy?

- A wiesz, to zabawne... - mówi, znowu zagryzając wargę.

- Co masz na myśli?

- Słyszałaś o układzie gwiazd Aurora?

Mrugam zaskoczona.

- Nabijasz się ze mnie?

- Orbitujemy wokół Gamma Aurorae, trzeciej gwiazdy w grupie - wyjaśnia, rozkładając ręce, żeby wskazać stację wokół nas. - Auroro O'Malley, witaj w Akademii Aurora, placówce szkoleniowej Legionu Aurory.

- Mam teraz swój legion?

Tyler wzrusza ramionami i posyła mi jeden z tych zabójczych uśmiechów. Przysięgam, że nie wiem, czy powinnam być oczarowana, zdumiona, czy kompletnie spanikowana.

- Chodziłam do szesnastu różnych szkół - mówię. - Zawsze w klasie była druga dziewczyna o imieniu Aurora. A teraz muszę dzielić się imieniem z gwiazdą?

- I z kosmiczną akademią.

Kręcę głową, łapiąc się na tym, że myślami podążam ku...

- Moja mama powiedziała, że to przeznaczenie.

- Stwórca miał cię na oku - przytakuje Ty.

Zagryzam usta. Muszę szukać odpowiedzi zamiast kolejnych pytań.

- Czyli ludzie zajmują teraz więcej niż dwie planety. I... odkryliśmy obcych. Spotkałam wczoraj jednego. Chyba jest tu kimś ważnym?

- Aha, to nadkomendantka de Stoy. Jest Betraskanką. Ich ojczysty świat to Trask w układzie Belinari. Żyją głównie pod ziemią i nie przetwarzają witaminy D w taki sposób jak my, stąd

brak melaniny i szkła kontaktowe. Jednak pod względem biologicznym są do nas dość podobni. To pierwsza rasa, z którą ludzie nawiązali kontakt. Walczyliśmy z nimi paręset lat temu, ale od pokoleń są naszym najsilniejszym sprzymierzeńcem.

Myślę o chłopcu, który pojawił się w mojej wizji. Gniewny przystojniak ze szpiczastymi uszami i długimi srebrnymi włosami.

- Czy na stacji są także inne, ehm, rasy? Może ktoś z... - Ledwie potrafię to powiedzieć na głos. Palcem dotykam ucha. Wyjdę na idiotkę, jeśli go sobie po prostu wyobraziłam.

- Syldrane. - Tyler kiwa głową i poważnieje. - Z nimi też walczyliśmy przez kilkadziesiąt lat. Terra zawarła z nimi pokój raptem dwa lata temu.

Unosi rękę, zaczeplając palcami o łańcuszek, który nosi na szyi. Wyciąga go spod bluzy - wąpię, żeby robił to świadomie - i dostrzegam sygnet, gdy zaciska mocno pięść.

Znowu powraca uśmiech, chociaż błady.

- Ale to lekcja historii, której w tej chwili nie potrzebujesz. Rzecz w tym, że owszem, odkryliśmy mnóstwo obcych ras. Z niektórymi się dogadujemy, z innymi nie.

- To czym się tu zajmujesz?

Domyślałam się, że błyskanie dołeczkami nie jest zajęciem na pełny etat.

- Jestem legionistą. Za twoich czasów istniało coś takiego jak Organizacja Narodów Zjednoczonych, prawda?

Kiwa głową.

- To wy?

- Mniej więcej. Jesteśmy Legionem Aurory. To koalicja Terran, ty powiedziałaś Ziemiań albo ludzi, i Betraskan. Paru Syldrane dołączyło do nas dwa lata temu po zakończeniu wojny. Jesteśmy niezależnym legionem pokojowym. Mediujemy podczas konfliktów przygranicznych, pilnujemy neutralnych stref w kosmosie. Powiedziałbym, że pełniemy misję humanitarną. - Tym razem uśmiecha się, jak należy. - Tyle że nie wszyscy z nas to ludzie.

- I wczoraj coś się wydarzyło w związku z kadetami? Słyszałam, że pielęgniarki mówiły coś o drużynach?

I właśnie tak po prostu zabiłam ten cudny uśmiech. Na śmierć.

Żegnajcie dołeczki. Już za wami tęsknię.

- Na ostatnim roku tworzymy drużyny - wyjaśnia. - Szóstka legionistów z sześciu specjalizacji, jakich naucza się w tutejszej akademii. Wczoraj miało miejsce ważne coroczne wydarzenie nazywane Poborem. Wtedy tworzy się drużyny.

- Ważny dzień, ale ty wyglądasz, jakby ktoś ci rozjechał kota.

Próbowałam przywołać z powrotem uśmiech i prawie mi się udało.

- Podczas Poboru Alfy wybierają członków swoich drużyn, a ci z najlepszymi wynikami egzaminów mogą wybierać pierwsi.

- Tyle że ty ratowałaś mnie w tym czasie. - Serce mi się zaciska, kiedy wszystko układa się w całość. - Strasznie mi przykro, Tyler.

On kręci głową i odpowiada stanowczo:

- Nie. Nie przepraszaj. Zrobiłem to, co zrobiliby każdy legionista na moim miejscu, i nie żałuję. Cieszę się, że tu jesteś, Auroro.

- Auri - mruczę.

- Auri - powtarza nieco ciszej.

Przez chwilę oboje milczymy, bo chyba ratowanie tworzy pewną więź między ludźmi. Oboje podskakujemy trochę mocniej, niż powinniśmy, kiedy drzwi się otwierają i wchodzi pielęgniarka, która wygląda na zrzędę.

- To by było tyle na dziś, legionisto Jones - oznajmia.

Tyler waha się, a potem wstaje.

- Czy mogę...

- Możesz odwiedzić ją jutro - odpowiada pielęgniarka.

- Ale ja dzisiaj odlatuję, proszę pani.

- Wyjeżdżasz? - wyrywam się spanikowana.

- Wróć, nie martw się. - Tyler się uśmiecha. - Ale owszem, te misje humanitarne, o których ci wspomniałem? Moja drużyna ma pierwszą odprawę za dwadzieścia minut.

- Tym bardziej czas na ciebie - wtrąca się pielęgniarka.

Mówi rzeczowo, rozsądnie, lakonicznie. Dlatego Tyler salutuje jej, a potem raz jeszcze ostrzeliwuje mnie dołeczkami.

- Wpadnę, gdy tylko wrócimy, dobrze?

- Dobrze...

Ale z jakiegoś powodu wcale nie czuję się dobrze.

Kapitan Przystojniak macha do mnie smutno i wychodzi.

Pielęgniarka kręci się, szturchając i dźgając mnie różnymi przyrządami, których nie poznaję. Składam białą pościel, żeby nie zauważyła krwi i nie rozkręciła się jeszcze bardziej.

Kiedy czekam, aż skończy, przypominam sobie, że siedzę w stacji kosmicznej dziesiątki tysięcy lat świetlnych od Ziemi. Zupełnie sama.

Jakim cudem moje życie przybrało taki kształt?

Dlaczego dostałam jeszcze jedną szansę w życiu, kiedy dziesięć tysięcy ludzi na pokładzie *Hadfielda* zginęło?

Pielęgniarka w końcu wychodzi i zostaję naprawdę sama. W głowie mam mętlik i teraz, kiedy nic mnie nie rozprasza, realia mojego położenia napierają z całą siłą.

Nawet jeśli rodzice otrząsnęli się po mojej stracie i przeżyli długie, szczęśliwe życie, to nie żyją już od ponad stulecia. Nigdy więcej ich nie zobaczę.

Nigdy też nie zobaczę mojej siostry, Callie.

Wszyscy, których znam, odeszli.

Przepadł nawet mój dom, przepadły moje rzeczy.

Ledwie potrafię to ogarnąć i drażnię tę myśl jak poluzowany ząb, próbując znaleźć miejsce, w którym boli. Najbardziej idiotyczne rzeczy mnie boją. Nie mam butów do biegania. Swoich nagród. Minęło dwieście lat, więc nigdy nie dowiem się, jak się skończyły moje ulubione seriale.

Patrzę na prezent od Tylera w mojej dłoni. Krótki, jaśniejący napis pulsuje na ekranie.

proszę nazwać urządzenie.

Po chwili namysłu wpisuję pojedyncze słowo.

magellan.

Ponieważ był naprawdę wielkim odkrywcą... jeśli pominąć fakt, że zginął potworną śmiercią daleko od domu. Przedtem jednak zobaczył mnóstwo rzeczy. I dlatego właśnie przygotowywałam się do eksploracji. Bo chciałam zobaczyć wszystko.

Może teraz mi się uda. Szczerze mówiąc, przyda mi się odrobina magii pana M.

Po chwili, może dwóch, namysłu, światełka urządzenia rozbłyśkają i rozlega się głos:

- Cześć! Potrzebujesz czegoś, szefowo?

- Aha. - Mój umysł przetwarza dane powoli. - Możesz coś dla mnie wyszukać?

- Wystarczy słowo.

Wiem, że kiedy raz to zobaczę, to nie będę mogła tego cofnąć. Wiem też, że nie mam wyboru. Ktoś w końcu sam mi to powie, jeśli nie zapytam.

- Kolonia, na którą leciał *Hadfield* - mówię powoli, przypominając sobie, że nadkomentarka de Stoy nazwała ją inaczej. - Możesz mi coś o niej powiedzieć?

- NIE MA SPRAWY - szczebiocze Magellan, kończąc zdanie wesołym krótkim dźwiękiem. - KOLONIA LEI GONG, ZGODNIE Z ŻYCZENIEM.

Aha, tej właśnie nazwy użyła. Musieli zmienić nazwę...

Magellan wyświetla nad ekranem trójwymiarowy obraz układu planetarnego. Planety powoli krążą wokół słońca pośrodku. Ja jednak marszczę brwi skonsternowana.

- Chwileczkę, Magellanie. To nie jest Octavia.

- Owszem - przytakuje urządzenie. - To Lei Gong.

- Dobrze, a masz układ Octavii w bazie danych? - pytam.

Magellan wyświetla inny układ planetarny nad ekranem i ten natychmiast poznaję. Szturcham palcem trzecią planetę.

- Powiększ tę. Obróć.

Oto ona. Widzę znajome wybrzeże, miejsce w głębi łądu, nad rzeką, gdzie założono osadę Butler. Gdzie miałam się znaleźć.

- NIE CHCĘ PSUĆ CI FRAJDY - odzywa się Magellan i brzmi, jakby nic nie mogło go bardziej uradować. - ALE NIGDY NIE BYŁO ŻADNEJ OSADY NA ŻADNEJ PLANECIE W TYM UKŁADZIE. OBEJMUJE GO KWARANTANNA GALAKTYCZNA.

- Co znowu?

- CAŁKOWITY ZAKAZ WSTĘPU. ZAKAZANE UKŁADY STANOWIĄ ZAGROŻENIE DLA CO NAJMNIEJ DWUDZIESTU PIĘCIU ROZUMNYCH GATUNKÓW I ZOSTAŁY OZNAKOWANE OSTRZEGAWCZYMI BOJAMI PLANETARNYMI. KARY ZA WKROCZENIE DO ZAKAZANEJ STREFY NIE SĄ ZABAWNE.

- Ale Octavia była w porządku - protestuję.

- NIEPRAWDA - sprzeciwia się Magellan. - PLANETĘ UZNANO ZA NIEODPOWIEDNIĄ DLA ŻYCIA OPARTEGO NA WĘGLU I NIGDY NIE ZAŁOŻONO TAM KOLONII. ZAINTERESUJĄ CIĘ MOŻE INFORMACJE NA TEMAT IMPORTU I EKSPORTU NA LEI GONG ALBO TAMTEJSZYCH ŚWIĄT?

Żołądek mi się zaciska, ale zmuszam się do zadania pytania.

- Możesz przeszukać dla mnie bazy danych kolonialnych? Chcę wiedzieć, co się stało z Zhang Ji. Urodzony w 2125. To był mój ojciec.

Oczekiwanie przeciąga się w nieskończoność, ale z drugiej strony, kiedy Magellan w końcu popiskuje, jakby odchrząkiwał przed podaniem odpowiedzi, to mam wrażenie, że nastąpiło to zdecydowanie za szybko.

- NIE MA ŻADNYCH DANYCH NA TEMAT TEJ OSOBY W ŻADNYCH BAZACH DANYCH KOŁONIALNYCH.

Gardło mi się zaciska, oddech się rwie.

Może to jakaś pomyłka?

Rozlega się ciche pukanie do drzwi, które otwierają się i wchodzi Betraskanka, nadkomendantka de Stoy. Nosi szaroniebieski mundur podobny do munduru Ty'a, ale o wiele bardziej oficjalny.

- Dzień dobry, Auroro - mówi, zamykając za sobą drzwi.

Zerka na kamerę, ale zaraz skupia spojrzenie na mnie i siada obok na łóżku.

- Cieszę się, że wstałaś i się ubrałaś. Widzę, że zdobyłaś unikron.

Magellan jest dość bystry, żeby zachować cięte uwagi dla siebie, a ja kładę go obok poduszki.

- Owszem - odpowiadam, siląc się na jak najbardziej rozsądny ton.

Jeśli zdradzę swoją rozpacz, to de Stoy pomyśli, że nie potrafię wziąć się w garść, i zacznie mnie traktować jak dziecko. Nie chcę, żeby w tej chwili ktoś podejmował za mnie jakiegokolwiek decyzje. Muszę zrozumieć, co tu się dzieje.

- Jak się czujesz?

- W porządku - udaje mi się odpowiedzieć.

- To nic niezwykłego odczuwać skutki uboczne długiego pobytu w Fałdzie. - Kiedy nasze spojrzenia spotykają się, jej puste szare oczy wyprowadzają mnie z równowagi. - Skutki potrafią być poważne nawet w wypadku młodych umysłów. Może minąć trochę czasu, zanim twój nastrój i wspomnienia się wyklarują.

Mam jej powiedzieć o krwawieniu z nosa? Że to pasmo włosów nie było wcześniej siwe? O halucynacjach?

Dlaczego jej o tym nie mówię?

Postanawiam zacząć od pytania. Chcę wyczuć, na ile jest gotowa być ze mną szczerą.

- Próbowałam właśnie dowiedzieć się... - Głos mi drży, ale nie walczę z tym. - Próbowałam właśnie dowiedzieć się, co się stało z moim ojcem. Wszystkie dane na jego temat... przepadły.

Takie małe słowo na tak wielką rzecz.

Milczenie się przeciąga. Kiedy w końcu nadkomendantka odpowiada, robi to odrobinę za późno.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Co jest dość denerwujące, bo chciałabym wiedzieć, co się stało z ludźmi, którzy są dla mnie ważni.

- Oczywiście. Każemy komuś się tym zająć.

Splawiła mnie.

- A kiedy ktoś się tym zajmie? - naciskam. - To nie są jakieś papierowe dokumenty, które mogły się zawieruszyć. Coś takiego powinno być gdzieś przechowywane w formie cyfrowej, prawda?

- Tak się spodziewam, ale na razie mam dobre nowiny. Rząd terrański wysłał po ciebie statek. Ma najwyższy priorytet. Prosto z Globalnej Agencji Wywiadowczej. Kiedy agenci GAW przylecą, zabiorą cię do domu. To będzie całkowicie bezpieczne.

Bezpieczne? To dziwny sposób uspokajania.

Dlaczego to miałyby nie być bezpieczne?

I gdzie właściwie jest mój dom? Mój dom dawno przepadł. Na Ziemi nie ma nikogo, kogo znałam. Nie wiem, już co to znaczy „dom”.

I wtedy zdaję sobie sprawę, że nadkomendantka usiadła tak, żeby całkowicie obrócić się plecami do czerwonego światełka kamery w narożniku pokoju. I kiedy mówi, kręci głową bardzo powoli i niemal niedostrzegalnie.

Jakby zaprzeczała własnym słowom.

- J-jasne - dukam. Frustracja znika, kiedy przebiega mnie dreszcz. - Czyli powinnam z nimi polecieć?

- Zdecydowanie - mówi, biorąc mnie za rękę. Agenci GAW niedługo tu będą. Na pewno lepiej się poczujesz na rodzinnej planecie.

Kiedy zabiera rękę, mam w dłoni maleńki skrawek papieru. Zaciskam na nim pięść.

- Racja - mówię, a serce wali mi jak oszalałe.

De Stoy ostrzega mnie, na tyle się zorientowałam. Ale przed czym? Co powinnam zrobić?

- Miło było cię poznać - mówi, wstając. - Powodzenia, Auroro O'Malley. Mówię szczerze.

I w ten sztywny wojskowy sposób rozmowa została zakończona. Kobieta odwraca się od drzwi, a ja biorę Magellana z poduszki i padam na łóżko, starając się robić wrażenie naturalnej, gdy zwijam się na boku, plecami do kamery.

Leżę nieruchomo i liczę do trzydziestu, a potem ostrożnie sprawdzam papierek schowany w dłoni. Napisano na nim wiadomość.

Hangar, stanowisko 4513-C. Kod: 77981-002.

Zerkam na Magellana. Menu nadal świeci się na dole.

MAPA.

CEL?

Znowu zaciskam dłoń na papierku, zerkając na drzwi. Wtedy zauważam, że małe światełko od zamku już nie świeci się na czerwono.

Teraz jest zielone.

Jestem okłamywana i nie wiem, komu ufać. Ale jest jedno źródło informacji, które mogę wypróbować.

- Magellanie?

- CZEŚĆ, SZEFOWO. JA TEŻ SIĘ STĘSKNIŁEM! CO SŁYCHAĆ?

- Chcę, żebyś powiedział mi wszystko na temat stacji, na której jestem. Zaczynając od podstaw.

I kiedy zaczyna mówić, ja już idę do drzwi.

DRUŻYNY LEGIONU AURORY

► Członkowie drużyn

▼ Specjalności

Na trzecim roku kadeci wybierają specjalności i przygotowują się do pełnienia określonych ról w sześcioposobowych drużynach, które mogą zostać wysłane w trybie natychmiastowym w dowolne miejsce w Galaktyce. Wszechstronność oznacza, że nie ma wyzwania, z którym drużyna Legionu Aurory nie zdoła sobie poradzić.

Alfy: odpowiadają za dowodzenie i planowanie

Twarze: odpowiadają za dyplomację i negocjacje

Asy: odpowiadają za pilotowanie i transport

Macherzy: odpowiadają za naprawy i konserwację urządzeń mechanicznych

Czołgi: odpowiadają za taktykę pola walki i strategię obronną

Mózgi: odpowiadają za wypełnianie obowiązków medycznych i naukowych



- Wstąp do Akademii Aurora, mówili...

- Cat... - ostrzega Tyler.

- Zobacz Drogę Mleczną, mówili ...

- Cat!

Siedzimy na mostku nowiutkiego Łuku z naszą nowiutką drużyną w nowiutkich mundurach. Siedzimy w kręgu twarzami do siebie, wokół rozległej okrągłej konsoli upstrzonej świecącymi kontrolkami i monitorami. Holograficzny obraz nad konsolą przedstawia w tej chwili obraz z przednich kamer - długi pas startowy biegnący przez wyrzutnię z małą czarną plamką na końcu.

Scarlett i Finian siedzą naprzeciwko mnie. Zila i nasz nowy syldrański specjalista od walki zajmują miejsca na prawo ode mnie. Kaliis Jak-mu-tam, pierwszy syn Laeeth Jakiejś-tam ma parę ładnych siniaków po wczorajszej bójce i wszystkich ślicznie piorunuje tymi swoimi fiołkowymi ślepiami. Nie odezwał się, odkąd wpłaciliśmy za niego kaucję, żeby wyciągnąć go tego ranka z aresztu. Zila też nie odezwała się słowem, jak się nad tym zastanowię.

Przynajmniej, kurna, jest cicho.

Ze swojego siedzenia pierwszego pilota zerkam na lewo, na miejsce drugiego pilota. Tyler przygląda się danym. Włosy ma zmierzwiłone, oczy błękitne jak oceany, blizna, którą zafundowała mu, gdy byliśmy dziećmi, wciąż przecina jego brew. Chociaż w życiu nie widziałam go równie wykończonego, Stwórco, dopomóż, bo nie mogę uspokoić nerwowego zaciskania się w żołądku...

- Kontrola przed lotem zakończona - melduje. - Proszę nas wyprowadzić, legionistko Brannock.

- Dowódcu, czy mogę powiedzieć, że to całkowita strata czasu?

Finian podnosi wzrok znad ekranów i mruga, patrząc tymi swoimi czarnymi, pustymi oczami na Tylera.

- Ze zdumieniem odkrywam, że zgadzam się z małą zgagą - odzywa się. - Dowódcu.

- Nikt się do ciebie nie odzywał, Finian - warczę.

- Zabawne, często to słyszę.

Nadal piorunuję wzrokiem Tylera, gotuje się we mnie frustracja spowodowana drużyną do bani i misją do bani. Po pięciu latach treningu w akademii, po wielu godzinach ciężkiej pracy dostaliśmy tego ranka pierwsze zadanie i okazało się, że mamy, kurna, lecieć z zaopatrzeniem.

Nie mogę w to uwierzyć. Jestem najlepszym pilotem w akademii, a zredukowano mnie do, ni mniej, ni więcej, cholernego kuriera. To zadanie mógłby odwalić za nas dron. Tyler to wie. Ja to wiem. Wszyscy na tym cholernym statku to wiedzą.

Jednakże nasz Alfa patrzy na mnie z całą powagą dowódcy.

- Rozkaz to rozkaz – odpowiada. – Na to się pisaliśmy.

- Mów za siebie – rzucam. – Nie po to tyrałam pięć lat, żeby taszczyć leki dla gromadki uchodźców na najgorszym galaktycznym zadupiu.

- Nie posiadam się ze zdumienia... – odzywa się Finian – ...ale ponownie odkrywam, że zgadzam się...

- Przymknij się, Finian.

- Słuchajcie, taką mamy robotę – mówi Tyler, rozglądając się po mostku. – Wiem, że wszyscy mieliśmy nadzieję na coś więcej, ale nie możemy oczekiwać, że ocalimy całą Drogę Mleczną podczas pierwszej wyprawy. Może i nie jest to najbardziej prestiżowa misja, ale ci ludzie potrzebują naszej pomocy.

- Rozumiem, dowódcu – odpowiadam. – Nie uważasz jednak, że Legion Aurory może wykorzystać mój wysoce wyszkolony, nadzwyczaj wykwalifikowany i powalająco zgrabny sektor ogonowy w lepszy sposób niż w charakterze dostawcy?

Scarlett uśmiecha się szeroko.

- To rzeczywiście karygodne sprzeniewierzenie zasobów Legionu.

Nadal patrzę Tylerowi w oczy.

- Mogłam wybrać sobie dowolną drużynę, jaką tylko zechcę, wiesz o tym, co?

- I kocham cię za to, że przy mnie zostałam, wiesz o tym, co?

Hmm.

Słowo na „k”.

Udając, że go nie słyszałam, sięgam do kurtki i wyjmuję Koniczynkę i stawiam obok swojego wyświetlacza. Ma miękkie zielone futerko i gąbka wyłazi mu z rozdartego szwu. Powinam wreszcie go pozszywać...

- Co to ma niby być? – pyta Finian.

- To smok – odpowiadam. – Prezent od mamy. Przynosi mi szczęście.

- To wypchana zabawka. Jak ma niby...

- Przymknij się, Finian.

- W porządku... tylko powiedz, czy ty mnie podrywasz? Bo mam wrażenie, że na mnie lecisz.

- Zaraz ci zęby polecą, bo tak ci przywalam, ty pier..

- Legionisto de Seel, odpuść sobie! – wchodzi mi gładko w słowo Tyler. – Powtarzam, legionistko Brannock, kontrola przed lotem zakończona. Dlatego bardzo ładnie proszę, żebyś była tak uprzejma i wyprowadziła nas ze stacji. Z góry dziękuję.

Zerkam na Ty'a, który unosi brew z blizną i wykrzywia usta w tym wkurzającym zabójczym uśmiechu. Do diabła, łapię się na tym, że odpowiadam mu uśmiechem.

- Będę twoim najlepszym kumplem, hmm? – próbuje mnie przekupić.

I natychmiast uśmiech mi rzędzie. Patrzymy po sobie ze Scar, a potem odwracam się i zaczynam wprowadzać polecenia. Nasz Łuk mruczy jak kociak, wibracje silnika czujemy przez fotele i na chwilę całkiem zapominam o chęćce, żeby zetrzeć te dołeczki z twarzy Ty'a.

Wiesz gdzie możesz sobie wsadzić to swoje „na to się pisaliśmy”?

Stukam w mikrofon krtaniowy.

– Kontrola lotów, tu drużyna 312. Proszę o pozwolenie na start, odbiór.

– Macie pozwolenie, 312. Szczęśliwych łowów, odbiór.

Zerkam znad konsoli na członków mojej drużyny.

– No dobra, dzieciaki, trzymajcie się majtek.

Odpalam silniki, przyspieszenie wgniała nas w fotele. Ściany wyrzutni śmigają obok nas, a przed nami otwiera się piękna czerń, migocząca małeńkimi punkcikami bieli. Nagle to już nie ma znaczenia, że lecę na gównianą misję z gównianą drużyną, odwalając robotę, z którą poradziłby sobie wyszkolony grem. Bo jestem w domu.

Wypływając z ramion Aurory, patrzę na monitory rufowe. Widzę tuzin Łuków – srebrnych grotów śmigających przez mrok. Widzę akademię w całej jej okazałości: port z gładkich kopuł, migoczące światełka i niemożliwe kształty unoszące się w pustce. Przyspieszenie sprawia, że nie odczuwamy nieważkości, ale i tak przeczuwam ją tuż za naskórkiem Łuku.

Wielka pustka.

Miejsce, w którym jestem najlepsza w tym, co robię.

– Drużyna 312, namierzyła was boja wjazdowa. Macie pozwolenie na wejście do Fałdy.

– Przyjęłam, Aurora. Należcie mi kielicha, wróć przed zamknięciem baru.

Moje palce śmigają po przyciskach układu sterowania, kierując nas ku ogromnemu sześciokątowi unoszącemu się nad ramieniem akademii. Widzę Fałdę czekającą za rozbłyskującymi pylonami bramy – tę piękną połą czerni usianą miliardami małeńkich gwiazdek. Kiedy pędzę ku niej, na chwilę zatracam się. Czuję statek pod sobą, wokół siebie i w sobie. Tnie pustkę jak nóż.

– Kurs zaprogramowany – zgłasza Tyler. – Wprowadzam do systemu nawigacji.

Jego głos ściąga mnie z powrotem do rzeczywistości. Przypominam sobie, kim jesteśmy.

Dokąd zmierzamy.

Gdzie byliśmy.

„Będę twoim najlepszym kumplem?”

Przekraczamy bramę i wlatujemy na pozbawione kolorów morze Fałdy. Statek drży, kiedy niemożliwe odległości tracą na znaczeniu.

Krajobraz barw wokół nas przechodzi w czerń i biel. Moje czujniki rozświetlają się, odbierając sygnały od boi – mrugają do nas tysiące Bram Fałdy. To jak pokój pełen sześciokątnych drzwi, a za każdymi kryje się nowe słońce. Trójwymiarowa mapa rozbłyskuje na centralnej konsoli nad naszymi stanowiskami. Małeńkie odczyty, przesuwające się dane, pulsujący punkt wskazujący naszą obecną pozycję.

– Horyzont czysty – melduję. – Nie obserwujemy żadnej aktywności burzowej. Zapowiada się spokojna żegluga aż do Juno. Komputer nawigacyjny przewiduje... sześć godzin, dwadzieścia trzy minuty.

- Przyjąłem. Bułka z masłem.

Tyler odpina pasy bezpieczeństwa i wstaje, odwieszając kurtkę na fotel drugiego pilota. Rękaw jego T-shirta nie jest dość długi, żeby zasłonić tatuaż z symbolem korpusu Alfa na wyrzuceniu jego prawego bicepsa. Obok całych rękawów ze smoków i motyli, sokoła na plecach i feniksa na gardle (tak, bolało jak cholera), mam podobny tatuaż jak Tyler.

Oczywiście na moim jest symbol korpusu lotniczego. Ale mamy je w tym samym miejscu. Zrobiliśmy je w tym samym czasie.

Łapię się na tym, że myślę o wieczorze, kiedy przekonałam Tylera, żeby zrobił sobie tatuaż razem ze mną. Przepustka na Cohenie IV. Ostatni raz, kiedy widziałam, żeby Ty pił. Ból świeżego rysunku na rękach i alkohol w żyłach, skrzące się w powietrzu podniecenie, bo zdaliśmy właśnie na ostatni rok. Tylko ty i ja, Tyler. Patrzyliśmy na siebie ponad barowym stołem i ponad pustymi kieliszkami.

Najlepsi kumple na wieki, co?

Świat wokół nas jest monochromatyczny, bo tak to wygląda w Fałdzie. Niebieskie tęczęwki Tylera poszarzały. Wpatruje się w główny ekran z przedziwną miną.

Pewnie myśli o ostatnim razie, kiedy tu był.

O dziewczynie, którą znalazł tu szybującą pośród całkowitej pustki.

I to w dodatku ładnej...

- W porządku, jeszcze raz omówmy misję - mówi.

Finian wzdycha, jego egzoszkielet szepcze, gdy chłopak masuje skronie.

- Już to omawialiśmy, dowódco. Po to była dzisiejsza poranna odprawa, nie?

Tyler zerka na Elfika.

- Legionista Gilwraeth przebywał w areszcie ochrony podczas odprawy, więc uznałem, że powinniśmy omówić misję raz jeszcze.

- A reszta też musi tego słuchać? Dowódco?

Krzyżuję ręce i piorunuję Finiana wzrokiem.

- Jesteś dupkiem zawodowo, czy...?

- To raczej hobby - odpowiada Finian. - Mam nadzieję przejść na zawodowstwo w następnym sezonie.

Uśmiecha się znacząco i czeka, aż odbiję piłeczkę. Z powodu białej skóry i czarnych oczu Finian jest jedynym z nas, który nie zmienił się w Fałdzie. Trzymam język za zębami, ale w głębi duszy podzielam frustrację naszego nowego Machera. Słyszałam, że drużynę Ketchetta wysłano do układu Beta Fishicho, żeby zlikwidowali flotę piracką. Drużyna Troile'a dostała milusią fuchę - eskortują ambasadorów na rozmowy pokojowe na Sentanni. Dla Alfego z takimi wynikami jak Tyler nasza misja to nędza. Ta drużyna to nędza. Z drugiej strony on jak zawsze zachowuje się jak zawodowiec. Jest w tym dobry.

Prawdziwy zawodowiec, dopóki nie wpadnie mu w oko jakaś laska.

- Mamy sześć godzin i dwadzieścia trzy minuty do naszego celu, legionisto de Seel - odpowiada beznamiętnie Tyler. - Możesz spędzić ten czas, szorując podłogę w latrynie, aż będziesz mógł się w niej przejrzeć, albo możesz przez ten czas analizować naszą misję. Wybór należy do ciebie.

Betraskanin zaciska usta w zamyśleniu.

– Cóż, kiedy tak to ujmiesz...

– Tak właśnie.

Tyler wprowadza serię poleceń do swojej konsoli i miniaturowa mapa Fałdy zostaje zastąpiona przez hologram dużej skalnej bryły szybującej w morzu innych dużych skalnych brył. Asteroida. Paskudna nawet jak na asteroidę.

Zerkam na dane i widzę, że ma tysiąc kilometrów średnicy i jest wydrążona w środku jak robaczywy owoc. Widzę kopuły i pylony wielkiej fabryki, która uczepiła się jej boku jak pąka.

– To stacja Sagan w układzie Juno – wyjaśnia Tyler. – Kiedyś przetwarzano tu rudę, platforma wiertnicza należała do Jowiszowej Korporacji Górniczej, porzucono ją w 2263. Od czasu wybuchu syldrańskiej wojny domowej na Sagan przybyło wielu uchodźców z przestrzeni syldrańskiej, którzy zajęli opuszczone obiekty. Dowództwo Legionu szacuje teraz, że populacja sięga siedmiu tysięcy.

Obserwuję naszego nowego syldrańskiego towarzysza broni, kiedy Tyler mówi, ale Elfik ma pokerową twarz – jest w tym dobry. Świdruje lodowatym wzrokiem. Promieniuje typową syldrańską rezerwą. To postawa, która mówi „jestem od was lepszy i to jest po prostu fakt naukowy”. Ani jeden srebrny włos na jego głowie nie leży nie na swoim miejscu, jego twarz wygląda jak twarz modela z magazynu mody i nawet mimo siniaków po bójce muszą zgodzić się ze Scar – nikt nie wykopałby go z łóżka z powodu chrapania.

– Gwiazda Juno znajduje się w strefie neutralnej – mówi Tyler. – Ponieważ terrański i betraskański rząd nadal odmawiają przyjęcia syldrańskich uchodźców, odpowiedzialny za nich jest Legion Aurory.

– Czego nie rozumiem – wtrąca Scarlett.

– Jesteśmy neutralną organizacją niosącą pomoc, Scar, powinniśmy...

– Tak, wielkie dzięki, Szczawiku. – Scar przewraca oczami. – Wiem, czym jest Legion. Chodzi mi o to, że nie rozumiem, dlaczego terrański rząd i betraskański nie otworzą granic i nie pomogą tym ludziom. Ich rodzinny układ został zdzięsiatkowany przez jednego z ich własnych archontów. Dlaczego Terra i Trask zostawiają ich na lodzie?

– Trwa wojna. – Fenian wzdusza ramionami. – Jeśli otworzą granice, kto im zagwarantuje, że część wpuszczonych uchodźców nie okaże się niebezpieczna?

– Zwykle wciskanie kitu – warczę.

– Nie mówię, że się z tym zgadzam, po prostu tłumaczę wam, co oni myślą.

– Więc zostawiamy tych biedaków, żeby tam gnili? – pyta Scarlett.

– Sama widzisz, że nie – odpowiada Tyler. – Mamy dla nich całą ładownię pełną sprzętu medycznego.

Scar warczy na brata, że sam jest nie lepszy, Finian wtrąca swoje dwa grosze i na mostku wybuchu mętlik, dopóki niski, ciepły głos nie przerywa wrzawy.

– Boją się.

Zapada cisza i wszyscy patrzą na Kaliisa Jak-mu-tam, pierwszego syna... Kogoś-tam.

– Wasze rządy – mówi. – Boją się Gwiazdobjęcy.

To ucisza mostek. Zerkamy po sobie niespokojnie. Jakby samo wypowiedzenie tego imienia dodawało mu mocy.

- I mają słuszość, że się boją - mówi dalej Kal. - Gwiazdobójca ogłosił wszystkich wolnych Syldran wrogami. A ci, którzy udzielą im azylu, też staną się jego wrogami.

Tyler patrzy na Kala. Nawet nasz wspaniały przywódca sprawia wrażenie nieco zaniepokojonego.

- Skoro nie było cię na odprawie, legionisto Gilwraeth, to może będziesz tak uprzejmy i teraz podzielił się swoimi przemyśleniami. To twoim ludziom wieziemy pomoc. Co możesz nam powiedzieć?

- Spodziewałbym się, że dobrze znasz Syldran, dowódco - odpowiada Kal głosem gładkim jak jedwab. - Zważywszy, jaki los spotkał twój ojca.

Scarlett mruży oczy.

W głosie Tylera pojawia się napięcie.

- A co ty myślisz o moim ojcu, legionisto Gilwraeth?

- Że był bohaterem wojennym. Senatorem, który nawoływał do pokoju z moim ludem, na długo przed nadejściem pokoju. I że zginął, walcząc z nimi podczas Inwazji na Orioną.

- Pamiętajcie o Orionie - odzywam się cicho, dotykając znaku Stwórcy na kołnierzyku.

Finian po drugiej stronie wykonuje taki sam gest.

- Del'nai - odpowiada Kal, obrzucając mnie spojrzeniem swoich błyszczących oczu.

- Nie mówię po syldrańsku, Elfiku - mrużę.

- To znaczy „zawsze” - wyjaśnia Scarlett.

Elfik skłania głowę przed Scar, a potem znowu patrzy na Tylera.

- Słyszałem o wielkim bohaterze Jericho Jonesie. Wiem, jak zginął. Dlatego przepraszam, dowódco. Wyobrażam sobie, że obecność Syldranina w twojej drużynie musi być... niemiła.

- Czy wyglądam ci na kogoś takiego? - odpowiada Tyler. - Na człowieka, który nienawidzi całej rasy, bo jej przedstawiciel zabił jego ojca?

- Zważywszy na to, jak wyglądały walki na Orionie, wyobrażam sobie, że dla większości ludzi stanowiłoby to spore wyzwanie.

Tyler patrzy Elfikowi w oczy.

- Na całe szczęście nie jestem taki jak większość ludzi.

Kal patrzy Tylerowi w twarz, wkurzająca arogancja bije od niego falami. Wiem, że Syldranie mogą żyć kilka stuleci, jeśli im się pozwoli, i chociaż Kal ma tylko dziewiętnaście lat, to patrzy na nas, jakbyśmy stanowili przelotną uciążliwość. Dzisiaj jesteśmy, jutro już nas nie ma. Widzę ślady jego ciosu na szczęce Tylera. Siniaki i rozcięcia po wczorajszej bójce z kadekami.

To byli sami Terranie. Czterech na jednego, a on skopał im tyłki.

Pamiętajcie o Orionie...

Kal wreszcie kiwa głową, patrząc na hologram stacji Sagan.

- Syldranie to dumni ludzie - mówi. - Uchodźcy potraktują nas z podejrzliwością. Nie będą chcieli naszej pomocy i nie zaufają nam łatwo.

Tyler zerka na siostrę.

- Scar mówi biegle po syldrańsku. Mając ciebie i ja, wierzę, że przekonamy ich, że przylecieliśmy z pomocą.

Kal mruga zaskoczony.

- Chyba nie zamierzasz wysłać mnie do nich?

- A czemu nie?

Elfik wskazuje mały tatuaż na czole. Trzy skrzyżowane ostrza.

- Znak. - Tyler kiwa głową. - Symbolizuje jedną z pięciu syldrańskich lig, do której należysz.

Kal kiwa głową.

- A to jest znak Ligi Zbrojnych.

- No i?

- Jak myślisz, dlaczego byłem ostatnim kadetem, jaki został podczas Poboru? Dlaczego nawet inni Syldranie nie chcieli mnie w swoich drużynach? - Kal rozgląda się po pozostałych i sam odpowiada na swoje pytanie. - Ponieważ Gwiazdobójca należy do Zbrojnych. Ponieważ jego templariusze należą do Zbrojnych. Ponieważ jego paladyni należą do Zbro...

- Nie wszyscy Syldranie z Ligi Zbrojnych dołączyli do Gwiazdobójcy - przerywa mu Tyler. - Nie wszyscy z was są odpowiedzialni za jego zbrodnie.

Kal patrzy na Tylera z nieskrywaną pogardą.

- I jestem przekonany, że głodujące, zdesperowane istoty na tej stacji będą gotowe wysłuchać Terranina, który im to wyjaśnia.

- Ehm, przepraszam... - Finian podnosi rękę, patrząc na Elfika - ...ale ja i Ruda wystarczamy, żeby zapewnić drużynie pełen przydział sarkazmu.

- Właśnie. - Scarlett uśmiecha się słodko do Kala. - I to ja jestem Twarzą w tej ekipie. Więc może ty skup się na okładaniu wszystkiego, aż padnie na twarz? Bo w tym najwyraźniej jesteś dobry.

Scar patrzy na brata i kiwa głową.

- Dopilnujemy, żeby misja się powiodła, dowódco.

- Świetnie - mówi Tyler. - Flota Gwiazdobójcy poluje na wszystkich Syldran, którzy nie przysięgli wierności jego nowemu powszechnemu porządkowi. Jednak Sagan to pewnie za mała stacja, żeby zwróciła czyjąkolwiek uwagę, i pewnie dlatego właśnie uchodzący się tam ukrywają. Szanse, że coś zakłóci naszą misję, są małe.

- W przybliżeniu osiem tysięcy siedemset dwadzieścia pięć do jednego.

Wszyscy milkniemy zaskoczeni tym, że Zila się odezwała. Szczerze mówiąc, prawie zapomniałam, że przebywa na mostku. Siedzi na swoim miejscu, przygryzając czarny lok, na jej ciemnej skórze kładzie się poświata z wyświetlaczy, jej palce śmigają po klawiaturach.

- Osiem tysięcy siedemset dwadzieścia pięć do jednego? - powtarzam.

- W przybliżeniu - odpowiada, nie podnosząc wzroku.

- Jak to wyliczyłaś? - pyta Finian.

Zila wskazuje głowę palcem.

- Za pomocą mózgu.

Tyler odchrząkuje, kiedy zapada kłopotliwe milczenie.

- W porządku - mówi wreszcie. - Mimo to chcę, żebyście zachowali maksymalną czujność. To pierwsza okazja, kiedy możemy dowieść swojej wartości. Jeśli więc uważacie się za kogoś więcej niż kurierów... - Tyler zerka na mnie - ...to właśnie macie szansę się wykazać. Nasze rządy mogą obawiać się, że narażą się Gwiazdobójcy, ale my należymy do Legionu Aurory. Nie kłaniamy się tyranom i nie cofamy się przed walką.

Nawet w czarno-białym świecie widzę ogień w oczach Tylera. W jego głosie słychać pasję, od której dostają gęsiej skórki. Mimo całego biadolenia i chrzanienia, gdy go słucham, przypominam sobie, że był najlepszym Alfą na naszym roku. Przypominam sobie, dlaczego, gdy patrzyłam ponad stołem barowym, ponad pustymi kieliszkami, myślałam, że możemy mieć szansę.

- Drużyno 312, tu kontrola lotów, odbiór.

Pukam w komunikator, żeby odpowiedzieć.

- Tu drużyna 312, odbiór.

- Drużyno 312, dowództwo Aurory do waszego Alfy, odbiór.

Mrugam zaskoczona. Marszczę brwi, kiedy Tyler włącza przycisk „odbior” na swoim pulpicie sterowniczym.

- Tu legionista Jones.

Hologram nadkomendantki de Stoy materializuje się nad wyświetlaczami. Ma na sobie mundur galowy, włosy nosi związane w surowy kucyk. Obok niej stoi admirał Adams, też w galowym mundurze, z cybernetycznymi rękami skrzyżowanymi na szerokiej jak beczka, obwieszonej medalami piersi, czarno-biało-szary z powodu Fałdy.

Adams i Ty znają się od dawna. On i ojciec Ty'a byli najlepszymi przyjaciółmi, za czasów, gdy obaj latali w Terrańskich Siłach Obronnych. Adams wziął Ty'a i Scar pod swoje skrzydła, kiedy zabito ich ojca. Obaj chodzą do kaplicy w każdy weekend, a Adams zawsze okazywał Tylerowi odrobinę więcej uwagi niż pozostałym kadetom.

Mimo to, gdy patrzę mojemu Alfie w oczy, widzę, że jest równie skonsternowany jak ja.

- Dzień dobry, legioniści. - Adams salutuje.

Odpowiadamy salutem, pomrukując „dzień dobry”, a tymczasem zaczyna mówić de Stoy.

- Chcieliśmy życzyć tobie i twojej drużynie udanego polowania, legionisto Jones.

- Dziękuję - odpowiada Tyler.

- To wasz pierwszy krok w grze o znacznie większą stawkę - odzywa się Adams. - Wyzwania, jakie na was czekają, mogą okazać się inne, niż sobie wyobrażaliście. Wierzmy jednak, że dostrzeżecie ich sens. Bez względu na to, co się wydarzy. Musicie to przetrzymać. - Mówiąc, Adams patrzy Tylerowi prosto w oczy. - Musisz wierzyć, Tylerze.

To jest zwyczajnie dziwne. Bez względu na to, jak bardzo ci dwaj są ze sobą związani, wyżsi oficerowie nie pouczają takich zwykłych szeregowców jak my osobiście. Stoimy tak nisko w hierarchii, że jesteśmy praktycznie niewidzialni, a nasza misja nie ma najmniejszego znaczenia. A mimo to dowódcy akademii osobiście zwracają się do nas, jakbyśmy byli drużyną pierwszej klasy na priorytetowej misji.

A potem Adams patrzy na mnie i wypowiada motto akademii:

- Jesteśmy Legionem. Jesteśmy światłem. Płonącym jasno pośród nocy.

- Tak jest, panie admirale... - odpowiadam.

- Płońcie jasno, legionści - mówi de Stoy. - Ładunek, który przewozicie, jest o wiele cenniejszy, niż myślicie.

- Stwórca z wami. - Adams kiwa głową.

- Ehm... Dziękuję, admirale. Pani nadkomendant - odpowiada niepewnie Tyler.

Obraz wisi jeszcze chwilę, jakby miał wypalić się w naszej pamięci. Zastanawiam się, co tu, u diabła, jest grane. Jednakże po ostatnim salucie obraz błędnie i zastępuje go wizerunek obracającej się stacji Sagan. Wszyscy odrobinę osłupiali patrzymy w miejsce, gdzie chwilę temu byli nasi dowódcy. I w ciszy, która zapadła, odzywa się Zila Madran, jednym słowem, które genialnie podsumowuje sytuację.

- Dziwne...

Tyler odgarnia włosy z oczu i siada. Już odzyskał zimną krew i działa rzeczowo, chociaż wiem, że zadaje sobie takie same pytania jak ja.

- No dobrze - mówi, pochylając się, żeby zetrzeć wymaglinowany pyłek z nieskazitelnych butów. - Kal, chcę mieć przygotowaną strategię, gdybyśmy napotkali po drodze wrogie syl-drańskie siły. Scar, chcę mieć przygotowane różne opcje rozmów dyplomatycznych z uchodźcami. Zila, Finian, wy studiujecie instalacje Sagana. Mamy sześć godzin. Bierzmy się do pracy.

- A co ze mną? - pytam.

Tyler zerka na mnie i unosi poblížnioną brew, wykrzywiając usta w cholernie denerwującym uśmiechu.

- Ty pilnujesz, żebyśmy dolecieli, Zero.

Tylko ty i ja, Tyler.

Patrzmy na siebie ponad stołem barowym i pustymi kieliszkami.

Znamy się, odkąd oboje mieliśmy pięć lat.

Odwracam się do sterów i wprowadzam nasz kurs.

- Tak jest. - Wzdycham.

Najlepsi kumple na wieki, co?

DRUŻYNY LEGIONU AURORY

► CZŁONKOWIE DRUŻYN

▼ CZOŁGI

Są duzi, są źli i uderzą cię tam, gdzie zaboli najbardziej. Czołgi to członkowie drużyn Legionu Aurory wyszkoleni w sprawianiu bólu i obawiam się, że niepokojąco duży procent z nich znajduje w zadawaniu bólu przyjemność.

Czołgi spędzają niezliczone godziny na siłowniach, w dojo i na strzelnicach, gdzie szlifują swoje umiejętności i ciała do perfekcji. Jeśli dać im wybór, to wolą najpierw strzelać, a potem pozwolą swojej Twarzy zadać pytania.

Czołgi to mistrzowie sztuk walk. Wymaga się od nich opanowania umiejętności walki w różnych warunkach planetarnych i przy różnym ciężeniu. Ceni się u nich także znajomość anatomii obcych ras, wysoką tolerancję na ból i zamiłowanie do dręczenia małych futerkowych stworzonek.



Słowa pieśni pozostają niezmiennie.

Minęły dwie godziny, odkąd wróciliśmy do prawdziwej przestrzeni przez zdezelowaną Bramę Fałdy w pobliżu stacji Sagan. Dziewięćdziesiąt minut, odkąd syldrańscy uchodźcy zaczęli negocjacje. Minuta, odkąd Scarlett Jones wreszcie wyjawiała, że członek Ligi Zbrojnych przebywa na pokładzie statku. Dziesięć sekund, odkąd systemy obrony Sagana wycelowały w nas swoje pociski.

Istoty ludzkie są głupie.

Czasem mają dobre intencje.

A jednak to głupcy.

– ...i ja to szanuję. – mówi Scarlett Jones, próbując ignorować wielkie ostrzeżenie cel namierzony rozbłyskujące na naszych ekranach. – Ale legionista Gilwraeth to nasz specjalista od walki. Gdybyśmy zamierzali w pełni przetestować wasz system obronny...

– Żaden członek Ligi Zbrojnych nie postawi stopy na tej stacji, dopóki ja jestem Pierwszym spośród Wędrowców! – pada odpowiedź. – Przysięgam na duchy Pustki!

Przyglądam się holograficznej projekcji, do której mówi Scarlett. Taneth Lirael Ammar należy do nestorów, ma co najmniej dwieście lat, sądząc po wyglądzie. Na skórze rysują mu się delikatne zmarszczki, srebrzysty połysk jego włosów pociemniał z wiekiem – szesane do tyłu nie zasłaniają małego symbolu Ligi Wędrowców na czole. Znak przypomina mi o mojej matce. I o tym, jak daleko od domu się znalazłem.

A w każdym razie od tego, co z niego zostało.

Często się mówi wśród innych ras, że my, Syldranie, jesteśmy aroganccy i wyniośli, że ukrywamy uczucia za ścianami z lodu i kamiennym spojrzeniem. Mimo to ewidentnie widać, że Taneth jest wściekły z powodu mojej obecności. Jego fioletowe oczy rozbłyskują, gdy mówi, dyskretny rumieniec gniewu maluje się na czubkach szpiczastych uszu.

Tyler Jones unosi błagalnie ręce, próbując go uspokoić.

– Pierwszy Tanecie, legionista Gilwraeth to członek Legionu Aurory i mogę...

– Jest Zbrojnym! – Taneth piorunuje go wzrokiem. – Nie jest tu mile widziany!

Patrzę na swojego dowódcę i przelękam słowa „a nie mówiłem”.

Minęły dwa lata od końca wojny między Syldrą i Terrą. Dwadzieścia miesięcy, odkąd spróbowałem wykuć sobie nową przyszłość jako członek Legionu Aurory mimo protestów mojej

matki. Studiowałem wśród Terran. Mieszkałem pośród nich, pracowałem z nimi i walczyłem między nimi. I nadal ich nie rozumiem.

Są jak dzieci. Najmłodsza rasa w Galaktyce. Niczego nieświadoma, przekonana o własnych racjach. Niezachwianie wierzy, że każdy problem można rozwiązać, mając dość wiary, pracując dostatecznie ciężko albo – jeśli wszystko inne zawiedzie – dysponując odpowiednio dużą liczbą pocisków.

Nie widzieli jednak, jak umiera ich słońce. Jak ich ludzie płoną. Jak kończy się ich świat. Nie wiedzą jeszcze, że pewnych ran nie da się zablźnić.

– Może zgodzimy się na kompromis? – proponuje Tanethowi Scarlett Jones, przeczesując dłonią włosy w kolorze ognia. – Jeśli zgodzicie się wpuścić legionistę Gilwraetha do ładowni, wyładuje sprzęt medyczny, podczas gdy my zajmujemy się instalacjami na stacji?

Hmm.

Patrzę na przedstawicielkę ludzi, która przemawia w moim imieniu.

Mądra istota.

Pierwszy Taneth milknie, w zamyśleniu gładzi czoło.

– Szczerze mówiąc, im szybciej to załatwimy, tym szybciej będzie miał pan nas z głowy – zapewnia go Tyler Jones. – Daję słowo, że legionista Gilwraeth będzie przestrzegał protokołów Legionu, przebywając na pokładzie stacji Sagan.

Patrzę na człowieka, który ma być moim dowódcą, i mrużę oczy.

Ufna istota.

Mimo zapewnień naszej dyplomatkі nadal nie wierzę, że Taneth się zgodzi. Syldranie to szlachetny i starożytny lud. Wojownicy, którzy poparli Gwiazdobójcę i odmówili zaakceptowania pokoju z Terranami, nazwali siebie w swojej pysze Nieugiętymi. Nawet ci z nas, którzy zgodzili się na pokój, nadal czują, że traktat rani ich dumę. Chociaż Syldranom dużo brakuje od tego, czym byli kiedyś, nie przyjmujemy od nikogo jałmużny. A już w szczególności od tych, którzy raptem paręset lat temu postawili pierwsze niepewne kroki w Faldzie.

Dlatego jestem zaskoczony, gdy Taneth sznuruje usta i kiwa głową na znak zgody. Widząc cienie pod jego oczami, desperację na twarzy, zdaję sobie sprawę, że ich położenie musi być znacznie trudniejsze, niż sobie wyobrażałem.

Nie wszystko jest tu takie, jak się wydaje.

* * *

Śluza powietrzna naszego Łuku otwiera się z sykiem i natychmiast czuję zapach stęchłego tlenu i starego potu. Wadliwe oświetlenie mruga w ładowni. Czeka na nas pół tuzina Syldran. Wszyscy są ubrani w tradycyjne stroje, mają symbole Ligi Wędrowców na powłóczystych szatach, na szyjach noszą nanizane na srebrne szkło kryształę Pustki. Są wysocy i pełni gracji. Ale też chudzi. Wymizerowani. Ich spojrzenia zdradzają liczne przeżyte stulecia i jeśli pominać psi-ostrze u pasa najmłodszej z nich, nie są uzbrojeni.

Kontakt fizyczny dla mojego ludu oznacza intymność. Syldranie nie dotykają nieznanym, ale wiem, że Terranie mają zwyczaj ścisnąć dłonie na powitanie. Dlatego jestem zasko-

czony, kiedy Scarlett Jones podchodzi do Tanetha i unosi palce do oczu, ust i na końcu do serca w perfekcyjnym geście powitania.

Pierwszy spośród Wędrowców powtarza ten gest z drobnym, zakłopotanym uśmieszkiem, ewidentnie zadowolony z faktu, że Terranka tak dobrze zna nasze obyczaje.

Scarlett Jones przedstawia pozostałych członków naszej drużyny:

- Tyler Jones, nasz dowódca, Zila Madran, oficer naukowy, Finian de Seel, inżynier. Cathrine Brannock, pilot. I wreszcie Kaliis Idraban Gilwraeth, taktyk.

Syldranie, jeden po drugim zamykają oczy i odwracają się do mnie plecami, aż tylko Taneth stoi zwrócony do nas twarzą. Nie spojrzął na mnie ani razu.

- Waszą piątkę witamy tutaj - oznajmia. - Chociaż nie prosiliśmy o pomoc, jesteśmy wdzięczni za każde wsparcie, jakiego udziela nam Legion Aurory.

Tyler Jones rozgląda się po ładowni, zauważa mrugające światła, kable i obwody wylewające się z pęknięć w ścianach, stęchliżnę wiszącą w powietrzu. Dostrzega ich trudne położenie równie szybko jak ja. Właściciele porzucili stację wiele lat temu, przestali w nią inwestować i troszczyć się o nią, więc zaczęła się rozpadać. Żyjący tu ludzie są ewidentnie w wielkiej potrzebie. Mimo to pewna cząstka mnie jest zasmucona tym, że moja rasa tak szybko sięga po pomoc. Pada na twarz jak żebracy przed dziećmi.

Kiedyś kroczyliśmy przez ciemność między gwiazdami, nie mając sobie równych.

I czym się staliśmy?

- Gdzie reszta pańskich ludzi? - pyta Tyler.

Taneth jest zdziwiony.

- Reszta?

- Dowództwo Legionu powiedziało nam, że jest tu prawie siedem tysięcy uchodźców.

- Jest nas najwyżej setka, młody Terraninie.

Tyler Jones i jego siostra patrzą po sobie niespokojnie. Zila Madran tylko mruga, jak automat gromadzący dane do późniejszej analizy. Finian de Seel ma te same pytania wymalowane w swoich wielkich czarnych oczach, co Cat Brannock. Co ja.

Lecieliśmy tak daleko, podjęliśmy takie ryzyko, żeby pomóc takiej garstce?

- Macie tu centrum kontrolne? - pyta Tyler Jones. - Musimy dokładniej sprawdzić wasze systemy, żeby ustalić kolejność niezbędnych napraw.

- I macie tu może kaplicę? - mruczy nasz As, rozglądając się po ładowni. - Żebyśmy mogli zapytać Stwórcę, co, u diabła, tu robimy?

- Mamy centrum kontrolne. - Taneth kiwa głową. - Proszę za mną.

Odwraca się do najmłodszego Syldranina, młodej kobiety z psi-ostrzem u pasa.

- Aedro, zajmij się, proszę, nadzorem wyładunku sprzętu medycznego. I uważaj na... - Zerka na mnie. - To coś. Bardzo.

Kobieta piorunuje mnie zimnym spojrzeniem fioletowych oczu. Odpowiada w naszym języku:

- Twój głos, moje dłonie, Pierwszy Tanecie.

Tyler Jones patrzy na mnie, unosząc pytająco brew. Kłaniam się w odpowiedzi, zapewniając go, że wszystko będzie dobrze. Moja drużyna idzie za Wędrowcami do windy, która

wygląda na starszą od Tanetha i dwa razy bardziej zniszczoną.

– Dzieciaki, tylko bawcie się grzecznie. – Finian de Seel się uśmiecha.

Winda unosi się powoli i z brzękiem. Zatrzymują się nagle bez widocznego powodu, a nasz Macher wali pięścią w panel sterujący, żeby ponownie ruszyła. Wreszcie moja drużyna znika mi z oczu.

Zostaję sam z kobietą.

Jest wysoka, smukła. Ma opaloną skórę, jej włosy są srebrne, związane z tyłu, opadają lśniącymi falami na jej ramiona. Teraz, kiedy Terranie nas nie widzą, okazuje pogardę bardziej otwarcie – wykrzywia usta, nienawiść płonie w jej oczach. Wiem, że sprawdza mnie telepatycznie – moja matka także należała do Ligi Wędrowców i nauczyła mnie rozpoznawać oznaki. Wyczuwam delikatny nacisk umysłu Aedry na swój, gdy sprawdza powierzchnię moich myśli.

Zerkam na jej dłoń na psi-ostrzu, zauważam znak na palcu wskazującym. Sprawia wrażenie młodej jak na kogoś, kto odpowiedział na Przyciąganie. Widzę jednak pojedynczą łzę w kręgu i wiem, że miłość jej życia już umarła i wróciła do Pustki.

– Niech duchy prowadzą go do domu – mówię.

Kobieta porusza się. Szybko jak promień słoneczny. Łuk energii wyskakuje z rękocyści psi-ostrza, fioletoworóżowy, trzaskający. Odbija się w jej oczach, gdy unosi go na wysokość mojej szyi.

Coś wzbiera we mnie, gdy ona unosi broń.

Zew we krwi.

Wewnętrzny Wróg.

Odpycham go. Zmuszam się do zachowania spokoju.

– Mogłeś zwieść te dzieci, które nazywasz swoimi towarzyszami – warczy – ale ja widzę twoją duszę. Urodziłeś się bestią. Zlaną krwią naszego ojczystego świata. Ty i twoi przekleńci krewniacy.

Znam tę pieśń. Każdy syldrański kadet w akademii ją śpiewa. Każdy Syldranin, jakiego spotkałem, odkąd nasza gwiazda splonęła na popiół. Znak na moim czole mówi im, kim jestem, zanim choćby zdąży się odezwać. Mimo to odzywam się w nadziei, że tym razem będzie inaczej.

– Nieugięci nie są mi rodziną. Gwiazdobójca zdradził nas wszystkich, kiedy zniszczył nasz rodzinny świat. Cierpię równie mocno jak ty.

– Jeszcze nie, Zbrojny – warczy. – Ale odezwiw się raz jeszcze, a poznasz cierpienie.

Patrzę jej w oczy, zwalczając pragnienie, żeby odpowiedzieć gniewem na gniew. Żeby podać się temu, jak mnie wychowano. Zew jest silny, a gniew tak prawdziwy, że odczuwam go jak żywy płomień w piersi. Grozi, że spali mnie żywcem. Wrzeszczy, żeby go wypuścić.

Zamiast tego skłaniam się powoli, unosząc dłonie. Jeszcze wolniej ona opuszcza ostrze. Odwracam się do śluzy Łuku, wchodzę do środka z głośnym tupotem i zabieram się do wyładowywania sprzętu medycznego i leków.

Nie mam do niej pretensji o jej nienawiść.

Za każdym razem próbuję się odezwać.

Niestety słowa pieśni pozostają niezmiennie.

* * *

– Kał, tu Tyler, jak mnie słyszysz?

Głos rozlega się pośród trzasków dobiegających z mojego unikronu, kiedy wracam do ładowni po raz pięćdziesiąty trzeci, żeby odstawić z hukiem pojemnik medyczny na rampę wyładunkową. Pojemniki są wielkie, prawie za duże, żebym sobie z nimi poradził. Praca poszłaby dwa razy szybciej, gdyby Aedra zechciała mi pomóc, ale ona tylko chodzi za mną z ręką na rękojeści psi-ostrza i nawet na chwilę nie spuszcza mnie z oka.

– Dobrze, dowódco.

– Jak ci idzie?

Zerkam na Aedre, która przygląda się ścianie i stara się robić wrażenie, jakby nie słuchała każdego mojego słowa. Wykrzywia usta, gdy słyszy, że mówię do Terranina „dowódco”.

– Powoli – odpowiadam.

– Nie spiesz się, chwilę tu posiedzimy. Zila koryguje tutejszy system podtrzymywania życia. Finian i Cat sprawdzają system obrony.

Cat Brannock prycha na swoim kanale.

– Jakikolwiek on jest.

– Fakt, nie nazwałbym tego nowoczesnym sprzętem – przytakuje Finian de Seel. – System obronny sklecieli ze skifów, którymi tu przylecieli, więc dobra nowina jest taka, że nie zdołaliby nas zestrzelić, nawet gdyby chcieli. Ale to także zła nowina. Za to skanery bliskiego zasięgu powinny zaraz zostać z powrotem uruchomione.

– Skończę wyładunek w ciągu godziny – odpowiadam.

– Przyjąłem – odpowiada mój Alfa. – Gdybyś w tym czasie czegoś potrzebował, wołaj.

– Chciałbym o coś zapytać, dowódco.

Wtedy wtrąca się Scarlett Jones.

– Skąd się biorą dzieci?

– Nie.

– Wiesz, prędzej czy później ktoś musi ci to wyjaśnić, Przystojniaku.

Pewnie stara się być zabawna.

– Od czasu zniszczenia Syldry miliony syldrańskich uchodźców są rozsiane po całej Galaktyce. Wszyscy są w potrzebie. Wszyscy stracili dom.

– Nie słyszę pytania, legionisto – mówi Tyler Jones.

– Ze wszystkich miejsc, w jakie mogli nas wysłać, czemu dowództwo Legionu wysłało nas właśnie tutaj? Na wrak stacji na odludziu, gdzie mieszka raptem setka Syldran?

Po ciszy, jaka zapada, orientuję się, że wszyscy moi towarzysze zadają sobie to samo pytanie. Może i jesteśmy odpadami Akademii Aurora, większość z nas wylądowała w tej drużynie, bo nikt inny nas nie chciał. Wygląda jednak na to, że zostaliśmy ukarani za coś, czego jeszcze nie zrobiliśmy.

- Nie wiem, legionisto Gilwraeth - pada odpowiedź naszego Alfya. - Wiem jednak, że złożyliśmy przysięgę, wstępując do Legionu. Pomagać potrzebującym. Bronić bezbronych. I nawet tutaj...

- Ehm, dowódco? - odzywa się Finian de Seel. - Chyba mamy problem.

- Poza tym, że mi przerwałes przemowę? Bo ćwiczyłem ją w myślach od godziny i zapowiadała się rewelacyjnie.

- Nie mam słów, żeby wyrazić swoje ubolewanie z tego powodu, dowódco, ale zgodnie z obietnicą uruchomiłem skanery, a pamiętasz, że legionistka Madran i jej mózg powiedzieli nam, że szansa natknięcia się na Nieugiętych podczas tej misji wynosi osiem tysięcy do jednego?

- Osem tysięcy siedemset dwadzieścia pięć - poprawia go Zila. - W przybliżeniu.

- To chyba „w przybliżeniu” oznacza na Terrze coś innego niż u nas, bo właśnie z Bramy Fałdy wyleciał syldrański krążownik. W pełni uzbrojony. Ma barwy Nieugiętych. I leci prosto do nas.

Aedra patrzy na mnie przez ładownię, otwiera szerzej oczy.

- Ehm, pytanie z zupełnie innej bajki - odzywa się Scarlett Jones. - Czy ktoś może zabrał ze sobą zapasową parę spodni?

- Jasne, ale myślę, że sam będę ich potrzebował - odpowiada nasz Macher.

- Darujcie sobie. - Głos naszego Alfya jest nieprzejednany. - Finian, pociski mają być gorące i gotowe. Zila, zajmij się łącznością. Kal, potrzebuję cię tutaj. Ruchy!

Adrenalina zalewa mi wnętrze, dźwigam skrzynię ze sprzętem medycznym i z trudem niosę ją na idealny stos, który pracowicie budowałem. Mamy z dziesięć minut, zanim statek Nieugiętych znajdzie się w zasięgu. Krążowniki klasy Zjawa są małe i mają załogę składającą się z dwudziestu siedmiu adeptów. Z drugiej strony my mamy tylko Łuk i zgrubny system obrony stacji, więc przeciwnik ma przewagę liczebną i jest lepiej uzbrojony. Obietnica przemocy niesie się mrowieniem w mojej krwi.

Wewnętrzny Wróg się budzi.

Aedra patrzy na mnie z furją w oczach i z zaciśniętymi pięściami.

- To twoja sprawka - warczy.

Wykrzywiłam usta.

- Co?

- Ukrywamy się tu od sześciu miesięcy. Nie odkryto nas. Ty się pojawiaasz i ledwie godzinę później przylatują Nieugięci?

- To jasne, że inni wiedzą, że tu jesteście. Choćby dowództwo Legionu. Ty jednak natychmiast zakładasz, że ja was zdradziłem?

- Jesteś Zbrojnym - syczy.

Staram się powstrzymać reakcję, ale Wróg we mnie zwycięża.

- A ty jesteś głupia - słyszę, jak odpowiada za mnie.

Aedra otwiera szeroko oczy i warcząc, znowu wyciąga psi-ostrze. I chociaż porusza się szybko, płynnie, doskonale, nie urodziła się tym, kim ja się urodziłem.

Ja urodziłem się, żeby czuć smak krwi w ustach.

Urodziłem się, żeby zaciskać dłonie w pięści.

Urodziłem się, żeby walczyć.

Przemoc we mnie budzi się, przeciąga, płonie i pulsuje. Zwycięża we mnie wychowanie. Odsuwam się, gdy ona robi zamach, myśl i ruch stają się we mnie jednym, gdy uderzam w jej szyję palcami. Błyskawicznie, jak żywe srebro. Z siłą stali. To aż zbyt łatwe. Nerwy drętwieją w jej ręce, a ona łapie gwałtownie powietrze i wpada na mój schludny stos sprzętu medycznego. Pojemniki przewracają się, zasuwki na największej skrzyni odskakują z głośnym metalicznym szczękiem.

I ze środka wypada dziewczyna.

Smukła jak drzewo lias. Ma włosy ciemne jak noc, z pasmem białym jak światło gwiazd. Skórę ma brązową, piegi układają się w idealną konstelację na jej policzkach. Łapie powietrze słabo i z bólem, kiedy turla się po pokładzie, ale dla mnie i tak to brzmi jak muzyka. Kiedy patrzę w jej twarz, coś przesywa moją pierś, coś jasnego, ostrego i namacalnego jak odłamek szkła.

Uczucie, o którym myślałem, że nigdy go nie poznam.

Ale...

Ale wtedy widzę, że ona jest...

Istotą ludzką?

- Ehm - mówi, patrząc na Aedrę. - Cześć.

Opiera się na łokciach i wreszcie patrzy na mnie. Mimo bólu, wstrząsu i zaskoczenia, spostrzegam w jej oczach jeszcze jedną barwę.

Jej myśli są jak kalejdoskop.

Jej głos jest jak szept.

- Widziałam cię już wcześniej...

Zła wiadomość jest taka, że system podtrzymywania życia, który próbuję ożywić, powinien znajdować się w muzeum. Jestem przekonana, że system łączności znajduje się w jeszcze gorszym stanie.

Dobra wiadomość jest taka, że tutejsze warunki życia mogą za chwilę całkiem stracić na znaczeniu.

Finian zerka na mnie z wnętrza terminala, który naprawia.

- Wiesz, czego nie rozumiem? - pyta.

- Prawdopodobnie tak - odpowiadam.

To chłopak z mojej wizji. Facet ze Śródziemia.

Tyle że istnieje naprawdę.

I stoi dokładnie przede mną.

A ja...

- Zdrada! - rozlega się głos za mną. - Kiedy zamierzaliście nam powiedzieć, że jest was siedmioro?

Odrywam wzrok od chłopaka z mojej wizji i obracam się, żeby spojrzeć na mówiącą. Jest tej samej rasy co on, wysoka i smukła, ma taką samą oliwkową cerę, te same długie, srebrne włosy. I ma inny mały tatuaż na środku czoła - u niego są to trzy skrzyżowane ostrza, u niej oko z pięcioma łzami.

- Nie wiedziałem.

Chłopak za mną nie robi wrażenia, jakby chciał mnie rozciąć i sprawdzić, co mam środka, więc odrobinę przesuwam się na tyłku w jego stronę. Ręce i nogi nadal mnie bołą od siedzenia w ciasnym pojemniku, oczy mnie pieką od czytania na małym ekranie Magellana. Poza tym muszę iść do łazienki. Dlaczego nikt nigdy nie wspomina o takich rzeczach w filmach szpiegowskich?

- To Terranka - mówi dziewczyna, łapiąc smukły czarny cylinder, jakby to była jakaś broń. - Nosi mundur. Jest wasza.

- Ona... - Chłopak zerka na mnie i zaciska zęby. - Nie zasługuje na twoją uwagę.

Czekaj, coś ty powiedział?

Znajdujemy się w wielkim pomieszczeniu. Domyślam się, że to część stacji kosmicznej. To miejsce wygląda, jakby trzymało się kupy dzięki pobożnym życzeniom i odrobinie śliny. Dziury w ścianach odsłaniają płataninę kabli grożącą pożarem, światło migocze, jakby zaraz miało się wyłączyć. Jediną nową rzeczą tutaj są skrzynie, w których się chowałam. Wypełniałam instrukcje nadkomendantki de Stoy, więc domyślam się, że chciała, żebym tu właśnie wyładowała. Żałuję tylko, że nie znam kierujących nią pobudek.

Żałuję, że w ogóle nic nie wiem.

W odpowiedzi na słowa wysokiego chłopaka, dziewczyna podnosi kijek i nagle... motyla noga, to zdecydowanie jest broń. Fioletowa energia ożywa w trzaskiem, tworząc długie, zakrzywione ostrze, a ja cofam się tak szybko, że uderzam w nogi gościa ze Śródziemia.

- Panuj nad sobą, Aedro - mówi chłodno chłopak. - Ośmieszasz się takim zachowaniem na oczach Terranki. Później będziemy się kłócić o dziewczynę, o ile przeżyjemy.

Chcę i nie chcę zarazem dowiedzieć się, dlaczego nasze przetrwanie jest pod znakiem zapytania, ale najwyraźniej nie mam tu nic do powiedzenia – chłopak podnosi mnie, jakbym w ogóle nic nie ważyła, i trzyma, aż odzyskam równowagę. Moje kolana nadal protestują, gdy je prostuję. Dziewczyna wyłącza broń, po raz ostatni piorunuje nas wzrokiem i rusza przez pomieszczenie, jakby się spodziewała, że pójdziemy za nią.

– Nazywam się Kal – mówi cicho chłopak.

– Aurora – odpowiadam, nadal trochę urażona faktem, że nie warto zwracać sobie mną głowy.

– Ty jesteś dziewczyną, która odnalazł w Fałdzie Tyler Jones.

– Skąd o tym wiesz?

– Odnaleziono cię na słynnym wraku po dwustu latach od zaginięcia i nazywasz się tak samo, jak akademia, w której mieszkałem przez ostatnie dwa lata.

W porządku, rzetelna argumentacja i dobrze przedstawiona.

– Jasne. Słuchaj, przepraszam, ale...

– Wyjaśnisz, kiedy minie niebezpieczeństwo – przerywa mi. – Na razie trzymaj się mnie i nigdzie nie odchodź.

Jego oczy mają ten sam kolor, co energia, którą minutę temu dzierżyła dziewczyna imieniem Aedra. Kiedy widziałam go w wizji w moim pokoju, myślałam, że jego włosy wydają się srebrne z powodu światła, ale nie, one naprawdę mają taki kolor. Nosi je związane w pięć długich, idealnych warkoczy, które spływają mu po plecach. Ma nawet te same co w wizji siniaki na szczęce.

Przypominam sobie krzyk.

Krew na moich rękach.

Kiedy chłopak patrzy na mnie, po moich plecach przebiega dreszcz tak mocny, że mięśnie mi się zaciskają jak przy skurczu. To przypomina reakcję ciała na strach, ale nie tylko. Dostrzegam w nim zimno. Coś całkowicie... cóż... obcego chyba, coś nie z tej ziemi. Przeraza mnie, ale mimo fatalnych manier na razie przeraża mnie odrobinę mniej niż wszystko inne w Galaktyce. Kiedy więc odwraca się i rusza, zrównuje z nim krok.

– Co się dzieje? – pytam szeptem, na wypadek gdybym była w stanie zrozumieć odpowiedź.

Patrzy na mnie chłodno.

– To jest opuszczona stacja górnicza – wyjaśnia w końcu, gdy wchodzimy do starodawnej windy. – Należę do drużyny Legionu Aurory, którą przysłano tu z pomocą i zapasami. Okręt wojenny dowodzony przez... agresywny odłam mojego ludu znajduje się w pobliżu.

– Został wezwany – mówi Aedra i chociaż sprawia teraz wrażenie spokojnej, nadal piorunuje chłopaka wzrokiem, który jest czystym, fioletowym mordem.

– Jest niebezpieczny – mówi Kal, jakby Aedra w ogóle się nie odzywała. Odwraca się ode mnie. – Ale nie lękaj się, istoto ludzka. Znalazłaś się wśród przyjaciół.

– Co ty nie powiesz... – mruczę pod nosem.

Winda zatrzymuje się z dygotem i drzwi się rozsuwają. Znajdujemy się w centrum kontrolnym. Wielkie ekrany rozbłyskują obrazami gwiazd i niezrozumiałymi schematami i grafikami.

Na wpół rozebrany zespół kontrolny ciągnie się wzdłuż obrzeży pokoju, pośrodku stoi jednostka centralna. W pomieszczeniu jest mnóstwo ludzi, którzy pokrzykują i się uwijają.

– Aurora? – Ktoś pośrodku pomieszczenia wypowiada z niedowierzaniem moje imię.

To Kapitan Przystojniak. To znaczy Tyler. Stoi z siostrą, dziewczyną o ogniste pomarańczowych włosach, Scarlett, i z chłopakiem o skórze białej jak papier. To musi być Betraskanin, tak jak nadkomendantka de Stoy. Tyle że on nosi egzozskielet na mundurze, który szumi i pobrzękuje, gdy chłopak odwraca się do mnie.

Cała trójka gapi się na mnie teraz, jakby Kal wyciągnął mnie z kapelusza. Czuję, jak on przenosi ciężar z jednej nogi na drugą, krzyżuje ręce obok mnie.

– Cześć – mówię.

To sprawdzona odzywka.

Scarlett marszczy brwi.

– Ehm, co ona tu robi?

– Najpierw Nieugięci – odpowiada Kal. – Potem pytania.

Domyślam się, że Nieugięci to ta agresywna frakcja, o której wspomniał, a widok min ludzi wokół mnie sprawia, że fala lodu spływa mi po kręgosłupie.

Tyler tylko kiwa głową.

– Cat, chcę, żebyś patrolowała przestrzeń wokół stacji. Nie rzucaj się w oczy. Kal, ty zajmiesz się naszą obroną. Zjawą dopadnie nas za dziesięć minut, o ile jej nie zniechęcimy.

Dziewczyna z tatuażami, którą widziałam w izbie chorych, przechodzi obok mnie, prawie mnie szturchając. Drzwi windy zamykają się za nią ze szczękiem.

Kal zerka na mnie, a potem podchodzi do konsoli. Chcę zapytać, co jest grane, ale widząc panujący nastrój, uznaję, że lepiej nikomu nie wchodzić w drogę. Dlatego cofam się pod ścianę i stoję obok Syldranina, który wygląda na starszego gościa. Serce mi bije jak szalone i jakaś częśćka mnie marzy o tym, żeby znaleźć dziurę i tam się ukryć. Za dużo tego. Prawie radzę sobie z ideą dwustu lat spędzonych w krio, jeśli nie myślę za dużo o tym, z czym się ona wiąże. Mogę przełknąć fakt, że robię za pasażera na gapę na statku z bandą obcych mi ludzi. I to, że wszyscy mnie okłamują. Ale znalezienie się pod atakiem – tego już może być dla mnie za dużo.

Chciałabym powiedzieć, że pokój pełen wyszkolonych ludzi działa jak dobrze naoliwiona maszyna, ale w żadnym razie. Legioniści przekrzykują się, wykrzykują pytania, nie czekając na odpowiedzi, w ich głosach słychać rozpaczliwą nutę. Jeśli to jest drużyna, którą Ty nie chciał dowodzić, to rozumiem powód: nikt nikogo nie słucha, a dla osoby z zewnątrz jest oczywiste, jak bardzo wszyscy powinni współpracować.

Zerkam na starszego mężczyznę obok mnie, który jako jedyny niczego nie robi.

– Jestem Auri – przedstawiam się cicho, a potem w obliczu jego nienagannej postawy czuję, że powinnam zachować się bardziej oficjalnie, więc skłaniam się lekko i mówię: – Aurora Jie-Lin O'Malley.

Patrzy na mnie lekko zdziwiony, jak na psa, który właśnie wykonał zabawną sztuczkę.

– Jestem Pierwszy spośród Wędrowców Taneth Lirael Ammar, młoda Terranko – odpowiada niskim, chłodnym głosem. – Możesz zwracać się do mnie Pierwszy Tanecie.

- Ludzie na tym okręcie wojennym... - Próbuje przełknąć ślinę, ale boli mnie gardło. - Oni nas zabijają?

- Z całą pewnością - odpowiada tym samym tonem, z jakim się przedstawił.

Ja piórkuję. Z deszczu pod rynnę.

Żart brzmi słabo w mojej głowie, oddycham dziwnie płytko, jakby ktoś mi ścisnął pierś. Nie mogę umrzeć w konflikcie, którego nawet nie rozumiem, na stacji kosmicznej dwieście lat w przyszłości.

Prawda?

Powinam zrobić przedtem pewne rzeczy. Nadal nie spróbowałam sprawdzić, co się stało z moją mamą i z Callie. Nie wiem, jak potoczyło się ich życie. Mimo długich godzin w skrzyni z Magellanem nie byłam gotowa, by zobaczyć je zredukowane do imion i dat na ekranie. Albo co jeszcze gorsze: odkryć, że zniknęły jak tata. Dlatego wciąż ich nie sprawdziłam i może już nie będę miała okazji.

Głos Kala przerywa hałas wokół mnie, chaos wykrzykiwanych pytań i poleceń.

- System obronny stacji nie wystarczy do odparcia Zjawy. Musimy zebrać wszelką broń i przygotować się na odparcie drużyny abordażowej. Nieugięci nie okażą łaski.

Betraskanin reaguje na to oschle, jakby z jakiegoś powodu uznał sytuację za zabawną:

- Nasz specjalista od walki radzi zebrać sztucce i naostrzone patyki, żeby rzucić się do ataku na pewną śmierć? Wiesz co, Kal? Naprawdę cię lubię.

Drugi chłopak unosi idealną srebrną brew.

- Masz lepszy plan?

- Moglibyśmy zaprosić Nieugiętych na drinka, poplirtować trochę i obgadać sytuację?

- Żaden z ciebie wojownik, co, Finian?

- A z ciebie żaden...

- Zamknij się, Finian - mówi Scarlett; oboje z bratem patrzą po sobie.

Ona przechyla głowę, a on unosi podbródek. Coś sobie powiedzieli. Mówią takim samym językiem rodzeństwa, jakim posługują się... jakim posługiwałyśmy się ja i Callie.

Zastanawiam się, czy Callie została kompozytorką, tak jak marzyła.

Zastanawiam się, jak to było, gdy miała tylko mamę na widowni, klaszczącą ze wszystkich sił, żeby nadrobić brak mnie i taty.

Ty unosi głowę do sufitu.

- Zila, jak tam łączność?

Żeby było dziwniej, z sufitu odpowiada mu głos:

- Jedną minutę, dowódcu.

Para nóg w takim samym szaroniebieskim mundurze, jakie wszyscy nosimy, pojawia się w otwartym włazie i chwilę potem wynurza się reszta dziewczyny. Jest w moim wieku. Ma ciemnobrązową skórę i długie, czarne loki zebrane w luźny warkocz, a w uszach nosi duże złote koła. Wygląda jak dziewczyna, która mogłaby chodzić ze mną do klasy w szkole średniej. Wpisuje serię poleceń na konsoli i kiwa głową.

- Siła sygnału jest teraz wystarczająca, żebyśmy wysłali sygnał SOS do Fałdy - informuje Ty'a. - Możemy też wywołać syldrański statek.

Kal kręci głową.

- Nieugięci nie będą negocjować z takimi jak my.

- Możemy wszystkich ewakuować? - pyta Scarlett. - Uciec przez pole asteroid?

Betraskanin, Finian, znowu się wtrąca:

- Nie zmieścimy się wszyscy na Łuku. A skify, którymi przelecieli ci ludzie, nie mają szansy wymknąć się syldrańskiej Zjawie.

Dziewczyna z Sufitu, Zila, znowu się odzywa. Tylko w jej spojrzeniu nie ma paniki. Nadal przygląda się stacji, jakby rozwiązywała krzyżówkę.

- Legionistka Brannock mogłaby staranować Łukiem syldrański statek. Zginęłaby w zderzeniu, ale gdyby dobrze wymierzyła, miałaby dużą szansę załatwić ich reaktor i uzbrojenie.

W głośniku rozlega się głos Cat:

- Wiesz, że cię słyszę, prawda?

- Tak - odpowiada śmiertelnie poważnie Zila.

- Cóż, gdybyśmy mogli uniknąć rozkazów zawierających słowa „prędkość taranowania”, to byłoby cudnie, wielkie dzięki. Tyler, wystartowałam. Przekradam się właśnie przez pole asteroid. Nie wiedzą, że tu jestem.

- Trzymaj się poza zasięgiem ich czujników - odpowiada Ty. - Zila, przygotuj sygnał SOS, ale jeszcze go nie wysyłaj. Ta stacja wygląda, jakby miała się rozpaść na kawałki. Jeśli niczego nie zrobimy, to może przekonamy ich, że nikogo nie ma w domu.

- Dowódco, wykrywam jednostkę startującą z hangaru rufowego na bakburcie - melduje Zila.

- Obraz - rzuca Ty.

Na największym ekranie pojawia się obraz. Przestrzeń usiana jest śmieciem, głównie odłamkami skał z paroma kawałkami starych maszyn, szybujących między nimi bez życia. Zupełnie jakbym oglądała grę wideo - Zila robi zbliżenia i wyostrza obraz, aż widzimy z bliska malutki wahadłowiec lawirujący między asteroidami. Pierwszy Taneth obok mnie sztywnieje i szepcze coś w języku, którego nie rozumiem.

- De'sai...

- Jeden z uchodźców postanowił uciec - melduje Finian, z rękami na biodrach. - Próbuje ratować tyłek, jednocześnie zdradzając naszym nowym przyjaciółom...

Nie kończy, bo przerywa mu bezgłośnie eksplozja wahadłowca na milion lśniących odłamków rozbryzgujących się w przestrzeni. Patrzymy i chyba nikt nie oddycha, dopóki Zila nie przerywa ciszy swoim dziwnie spokojnym głosem.

- Syldrański okręt wojenny klasy Zjawa odwraca się prosto na nas.

- Na miłość Stwórcy - mruczy Ty.

- Transmisja przychodząca - melduje Zila.

- Na ekran - rozkazuje Ty, odwracając się do siostry. - Scar, zacznij swoje czary.

- Czary? - Scarlett unosi nieskazitelną brew. - Zostawiłam swój kostur czarodzieja w drugich spodniach, Szczawiku.

Tyler patrzy jej prosto w twarz.

- Dasz radę, Scar.

Obraz pojawia się na głównym ekranie. To piękna młoda kobieta, Syldranka jak Kal, Aedra i Pierwszy Taneth, jak wszyscy tutaj poza legionistami. Ma oliwkową skórę, niemal złotą, srebrne włosy nosi zebrane w kilka ozdobnych warkoczy. Przez czarną zbroję jej szerokie ramiona wydają się bardziej barczyste. Zbroję zdobi coś, co przypomina ostrza. Kły Syldranki wyglądają na zastrzone, jakby je celowo spiłowano. A może takie jej rosną? Mówi, jak się domyślam, w języku syldrańskim, ale na widok Scarlett krzywi się bardziej i w jej lodowatym tonie pojawia się podejrziwość.

- Co tam robisz, Terranko?

- Nazywam się Scarlett Jones - odpowiada gładko Scarlett. - Ja i moja drużyna jesteśmy przedstawicielami Legionu Aurory i wlecieliśmy w tę neutralną przestrzeń z misją humanitarną.

- Mieszacie się w sprawy Syldran.

- Przylecieliśmy z pomocą medyczną dla uchodźców, zgodnie z postanowieniami...

- Ci, którzy pomagają wrogom Nieugiętych, sami stają się wrogami Nieugiętych.

Scarlett przeczesuje rude włosy dłonią, staje w nieco szerszym rozkroku, jakby szykowała się do ciosu.

- Z całym szacunkiem, ale Legion Aurory pozostaje neutralny w tym konflikcie. Radzę się wycofać. Jesteśmy upoważnieni do odpowiedzi z całą siłą, gdyby coś nam zagrażało.

- Zagrażało?

Młoda kobieta kręci głową i śmieje się szyderczo.

- My nikomu nie grozimy, mała Terranko. My obiecujemy. Przygotujcie swoje dusze na objęcia Pustki. Zostaniecie zgładzeni w imieniu Caersana.

Ekran nagle ciemnieje.

- To miały być twoje czary? - pyta Finian.

- Stul dziób! - warczy w odpowiedzi Scarlett.

- Przyspieszają - mówi Zila równie spokojnie jak zawsze. - Przewidywany czas przybycia: cztery minuty.

- Zila, wyślij SOS - rozkazuje Ty. - Tak głośno, jak się da.

Scarlett znowu przeczesuje włosy dłonią, całkiem je targając.

- Nikt nie zareaguje. Jeśli usłyszą nas przedstawiciele sił terrańskich albo betraskańskich, to z założenia nie zareagują. A gdyby w zasięgu znajdował się inny statek Legionu, to nie wysłano by tutaj nas. Jesteśmy zdani na siebie.

Ty kiwa głową i mówi dalej.

- Finian, masz mostek. Pracuj nad pociskami. Zila, zostań z nim i czuwaj nad łącznością.

I chociaż raz nikt nie pyskuje - oboje tylko pomrukują potakująco i biorą się do roboty. To chyba przeraża mnie bardziej niż wszystko inne do tej pory.

- Wygląda na to, że zrealizujemy twój plan, Kal - mówi dalej Tyler. - Ty, ja i Scar, broń w pogotowiu. Idziemy do ładowni. Pierwszy Tanecie, zbierz wszystkich spośród swoich ludzi, którzy mają broń, i spotkajmy się na miejscu.

Kal i syldrańska dziewczyna już idą do drzwi, koło których stoję z Pierwszym Tanethem. Wzrok Tylera pada na mnie, gdy się zbliżają.

- Pewnie nie przeszłaś żadnego szkolenia w walce? – pyta mnie cicho.

- Em... przeszłam kurs samoobrony w szkole.

- Chyba nie zamierzasz wysłać jej na dół? – odzywa się Kal.

Tyler zerka na wysokiego chłopaka.

- Daj jej broń.

Kal jeży się na te słowa.

- To nadzwyczaj nierozsądne, dowódco. Będzie nam tylko zawadzać.

- Ej, posłuchaj no, Elrond... – zaczynam.

- Stawimy czoło Nieugiętym. – Kal mówi do Tylera, nawet na mnie nie patrząc. – Syldranie są szybsi i silniejsi od Terran. A ci trenowali od dz...

- Doceniam przestrożę, legionisto, ale ugrzęźliśmy tu po uszy.

Cichy elektroniczny brzęk rozlega się w mojej kieszonce na piersi.

- Cóż, jeśli mogę przedstawić moje zdanie...

- Nie, nie możesz – mówi do Magellana Tyler. – Tryb cichy.

Mój unikron cichnie, a Ty odwraca się do mnie:

- Posłuchaj, Auri, przykro mi. Nie wiem nawet, co tu robisz, ale potrzebujemy wszystkich albo zginiemy. Jeśli potrafisz pociągnąć za cyngiel, to możesz się przydać. Pomożesz nam?

Serce podchodzi mi do gardła, dłonie mi się pocą. Jestem milion lat świetlnych od domu, dwieście lat poza swoim czasem i nic z tego nie ma dla mnie sensu. Jeżeli jednak i tak mamy umrzeć...

- Dobrze – odpowiadam cicho.

Łąduję w ciasnej klatce windy razem z resztą drużyny. Kal wyciąga niebezpiecznie wyglądający nowoczesny pistolet. Słowa „będzie tylko zawadzać” rozlegają się echem w mojej głowie, gdy wyrwam mu broń.

- Tu namierzasz cel – mówi, wskazując miejsce. – Ten koniec strzela. Gdybyś jakimś cudem w kogoś trafiła, strzel na wszelki wypadek po raz drugi.

- Dzięki, ale uczyłam się posługiwać pistoletami do flar podczas szkolenia przed wylotem do kolonii. Potrafię strzelać, Legolasie.

Mruga zaskoczony.

- Nazywam się Kal, istoto ludzka. O jakim Legolasie mówisz?

Przewracam oczami i mruczę pod nosem:

- Przeczytaj czasem jakąś książkę, ty zadowolony z siebie skurczy...

Urywam, gdy zauważam, jak milczący są pozostali. W tej chwili ciszy prawda, przed którą uciekałam, dogania mnie i taranuje jak pociąg towarowy. Za chwilę wezmę udział w walce. Ręce mi się pocą i nie jestem pewna, czy zdołam utrzymać pistolet. Nadal jestem obolała po siedzeniu w pojemniku, płuca mi się zaciskają, więc nie mogę nawet zaczerpnąć tchu dla uspokojenia. Prawda jest taka, że ten przedmiot w mojej dłoni tak się ma do pistoletu na flary jak kociak do dorosłego lwa.

Powracają do mnie wszystkie głupie nawyki, jakie miałam przed ważnymi zawodami – rozciąganie, ćwiczenia oddechowe, piosenki dodające odwagi – teraz to wszystko wydaje się niemożliwie głupie i nieważne. Tamta wersja mnie, która wyobrażała sobie, że wie, na czym

polega walka na śmierci i życie, wydaje mi się teraz młoda i odległa, chociaż w gruncie rzeczy byłam tą osobą raptem parę dni temu.

I dałabym wszystko, żeby znowu nią być. Żeby móc powiedzieć mamie, że się boję, i posłuchać, jak mi tłumaczy, żebym wyłączyła ten film grozy. Żeby móc powiedzieć tacie, że nie czuję się gotowa i żeby mi pomógł przejrzeć odpowiedzi w jeszcze jednym kursie przygotowującym.

Wszystko, czego się nauczyłam, wiem z wizuali i książek.

A to dzieje się naprawdę.

Z unikonu Tylera dobiega głos Finiana, gdy wychodzimy do ładowni.

– Odpaliliśmy pociski. Odbiły się od Syldran jak kebarowe piłki. Ich statek zajął pozycję i przygotowują wahadłowiec. Próbuje przepuścić prąd przez kadłub, żeby uniemożliwić im wejście, ale niepokoi mnie stan izolacji. Nie chcę odwalić za nich roboty i wszystkich was usmażyć.

– Przyjąłem – odpowiada ponuro Ty i daje gestem znać, żebyśmy schowali się za pojemnikami. – Cat, kiedy przycumują, celuj w ich krążownik. To będzie moment, kiedy będą najbardziej zdekoncentrowani.

– Przyjęłam – melduje krótko Cat przez system łączności. – Cios w statek-matkę w gotowości. Wyceluję prosto w ich orzeszki.

– To teraz montuje się takie rzeczy na statkach? – pyta Scarlett.

– Wiesz, krążą plotki...

Winda w ładowni otwiera się znowu i wysiada Pierwszy Taneth z Syldranką, Aedrą. Razem z nimi wysiada kilkudziesięciu starszych Syldran. Wszyscy poruszają się powoli, noszą długie szaty i ściskają w dłoniach coś, co na moje oko jest bronią, chociaż to same antyki. Kal obok mnie chowa się za wysokim stosem skrzynek i wykrzykuje do nadchodzących:

– Zajmijcie pozycje na dźwigach w ładowni. My zostaniemy na dole.

– Nie przyjmujemy twoich rozkazów, Zbrojny – odpowiada gniewnie Aedra. – Ani twoich terrańskich pupilków, skoro już o tym mowa. To nasza stacja.

– Musimy zjednoczyć siły – odpowiada spokojnie Kal. – Albo zginiemy samotnie.

Aedra odrywa się od grupy Syldran i podchodzi do naszej dwójki. Kal przenosi ciężar z nogi na nogę w taki sposób, że teraz stoi przede mną.

– Mówisz o zjednoczeniu? – Purpurowe ostrze w jej dłoni ożywa w trzaskiem, taki sam ogień płonie w jej oczach. – Kiedy twoi pobratymcy rozerwali cały świat na strzępy?

– Nie masz pojęcia, kim jestem – odpowiada Kal. – Ani jaką cenę płacę, żeby tu być.

Aedra unosi rękę i widzę tatuaż na jej serdecznym palcu. Krąg z pojedyncza łżą.

– Wiem, że mój be'shmai nie żyje przez tobie podobnych, Zbrojny. On i cały nasz świat.

– Aedro! – krzyczy Taneth. – Nie czas na to!

– Zaraz umrzemy, Tanecie! Kiedy nadejdzie lepszy czas?

Odwraca się do Kala, krzywiąc szyderczo usta.

– Twoja ścieżka jest usiana śmiercią, a przeznaczenie jest w twojej krwi.

– Cho'taa – odpowiada lodowato Kal. – To nie ma nic wspólnego z moją krwią.

I nagle uchodzi ze mnie całe powietrze.

Ponieważ...

Już to kiedyś widziałam.

Kal stoi tak jak w mojej wizji na Stacji Aurora. Całkowicie opanowany, nieruchomy jak broń gotowa do ciosu, z siniakami na twarzy, z pogardą w głosie. Wypowiedział dokładnie te same słowa.

To nie może dziać się naprawdę...

Moja wizja staje się rzeczywistością.

Nagle w pomieszczeniu rozlega się głośny huk, przenikliwy zgrzyt metalu. Nikt nie potrzebuje Finiana, żeby wiedzieć, że oddział abordażowy właśnie zacumował przy zewnętrznej śluzie powietrznej. Kal odwraca głowę, skupiając wzrok na wejściu do ładowni.

Dziewczyna korzysta z okazji i unosi trzaskające fioletowe ostrze.

– Spotkamy się w Pustce, Zbrojny.

Wszystko zwalnia. Jakbym patrzyła na świat na stop-klatce. Stroboskowe światło gaśnie, a ja widzę każdy ruch i każdą chwilę.

A to, co widzę, już raz widziałam.

Aedra unosi ostrze i bierze zamach, fiolet rozbłyśnie jak w mojej wizji, śmiercionośny cios nadchodzi. Kal zaczyna się odwracać, ale nie zdąży. Ostrze przetnie go, on krzyknie i padnie przede mną, a moje ręce pokryją się krwią. Fioletową krwią.

Jego krwią.

Widzę to w głowie.

Jasno jak ściany wokół mnie.

Jak ręce przed sobą.

I wiem, że mogę to zmienić.

Ładownia rozświetla się nagle migotliwym białym światłem. Unoszę ręce. Chociaż stoję daleko od Aedry, ona leci do tyłu. Uderza o ścianę z szeroko rozłożonymi rękami. Kiedy osuwa się na ziemię, czuję przenikliwy ból przechodzący przez moje prawe oko w głąb mózgu. Jakbym dostała skurczu w skroniach, jakby ktoś mi ścisnął głowę coraz mocniej. Zwijam się w kłębek, zgrzyt metalu zagłusza mój krzyk, kiedy drzwi ładowni zostają rozcięte. Znowu leci mi krew z nosa. Ciepła i słona na moich ustach, rozbryzguje się na metalu pod moimi stopami.

Kal stoi przede mną, porusza ustami, wpatruje się we mnie.

– Na duchy Pustki – szepcze. – Twoje oko...

DRUŻYNY LEGIONU AURORY

► CZŁONKOWIE DRUŻYN

▼ MACHERZY

Macherzy to mechanicy w drużynach Legionu Aurory, odpowiedzialni za konserwację maszyn i wyposażenia podczas akcji; muszą też potrafić sklecić na poczekaniu wszystko, czego drużyna może potrzebować, a czego ze sobą nie zabrała. Większość Macherów to szaleni wynalazcy.

Uważa się ich za pomysłowych ludzi, zafascynowanych gadżetami i często umazanych smarem. Typowe cechy obejmują także brak brwi i żywą fascynację wszystkim, co robi głośne bum!



Cichy pomruk radia w moich uszach, kiedy siłuję się z gigantycznym bajzłem tutejszych systemów. Gdzieś na lewo ode mnie Zila pracuje w milczeniu nad poprawą zasięgu naszej łączności, a ja prowadzę pojedynek z komputerem, który jest starszy i brzydszy od mojego trzeciego dziadka. Ta stacja to kupa chakki i, prawdę mówiąc, tak mnie wydymała, że powinna mi być najpierw postawić kolację.

Nieugięci rozmieścili już klamry cumownicze i właśnie przecinają kadłub. Jeśli nie znajdę sposobu, żeby odwrócić ich uwagę od robienia nowych drzew do ładowni, to Zilę i mnie czeka pewnie nagły awans. Chociaż długo się nim nie nacieszymy.

– Niech Stwórca weźmie lepiej pod uwagę fakt, że zginiemy podczas misji humanitarnej. – Podpinam swój unikron do portu, modląc się, żeby nie okazał się za nowoczesny, by dogadać się z tą kupą złomu. – Bo potrzebuję kryjówki w zaświatach, żeby nie dopadli mnie dziadkowie, gdy już tam trafią. Inaczej nigdy nie przestaną mi truć.

Zila nie odpowiada. A kiedy zerkam na nią, wpatruje się pustym wzrokiem w ekran, jakby w ogóle mnie nie słyszała.

– Moi rodzice nie żyją – oznajmia beznamiętnie.

Cóż.

Wykończyła tę rozmowę szybciej, niż zaraz my zostaniemy wykończeni.

Nie ogarniam tej dziewczyny. Nie rozumiem, na jakich zasadach działa jej wielki mózg, co ona tu wyprawia i jak zachowuje spokój, kiedy za chwilę zamienimy się w trupie mroźnonki dryfujące w kosmosie.

Widzicie, oto na czym polega nasz problem. Dokładnie na tym. Zasadniczo żadne z nas nie jest złe w tym, co robi. Każde z nas ma wszystko to, co trzeba, przynajmniej na papierze. Tyle że jedna połowa z nas nie zgłosiła się tu dobrowolnie, a druga nie miała innego wyboru jak skończyć w tym miejscu. Nigdy w życiu nie powinniśmy byli wylądować w jednej drużynie.

Po prostu... nie dogadujemy się.

Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że będę ostatnim Macherem na Poborze.

Wszyscy udają, że egzoszkielet nie stanowi problemu, ale wiem, że to nieprawda. Zawsze stanowił. Kiedy ludzie na mnie patrzą, egzoszkielet to pierwsza rzecz, jaką zauważają. Mimo to jestem piekielnie dobry w tym, co robię, więc zabolowało mnie, gdy wybrano przede mną niekompetentne niezguły. Macherów, którzy nie potrafią zliczyć do dwudziestu, nie zdejmując do tego skarpetek. A ja stałem tam jak fiut.

Zupełnie sam.

Odesłano mnie z domu, kiedy miałem sześć lat. Powiedziano mi, że będzie mi łatwiej na stacji orbitalnej z dziadkami. Mógłbym tam spać przy niskim ciężeniu, miałbym dostęp do najlepszych lekarzy. A tak naprawdę mieli na myśli to, że tak będzie łatwiej dla wszystkich innych. Można by oczekiwać, że nie będę już spodziewał się po ludziach niczego dobrego.

Oczywiście nie zamierzam się mazać z tego powodu. Ani z żadnego innego.

Mój unikron odwała swoją robotę, wirtualny ekran ożywa nad konsolą. Fala ulgi jest jak narkotyki. W tym właśnie jestem dobry. Nie znam się na ludziach, ale znam się na tym.

Odsuwam się o krok i unoszę ręce, jakbym dyrygował orkiestrą, zanurzając się w kolejnych warstwach starożytnych algorytmów konserwacyjnych. Miażdżę je w pięści, zgarniam na bok protokoły zabezpieczające, kieruję skok napięcia do klamer cumowniczych, mocujących syldrański wahadłowiec do stacji. Słyszę słaby krzyk z drugiej ręki – przez unikron Ty'a i potwornie zgrzytliwy odgłos przecinaków plazmowych nagle cichnie. To nam da jakieś trzydzieści sekund.

Zanurzam się w przyprawiający o zawrót głowy mętlik kodów, szykując się na drugą rundę. Posyłam następny szok elektryczny do klamer, ale syldrańscy technicy już mnie namierzili. Wyłączam obraz ruchem ręki, przenoszę ciężar na pięty, a egzoszkielet szumi cicho, kompensując.

Może uda mi się namieszać im w odczytach, żeby ich komputery uznały, że w ładowni nie ma dość powietrza, by wyrównać ciśnienie. Do tego potrzebuję pomocy.

Wyciągam multitoola z przytulnego metalowego gniazdka na moich żebrach, zrywam pokrywę z zespołu centralnego i wpełzam do środka. Naprawdę mam nadzieję, że mój egzoszkielet pozostanie uziemiony, bo inaczej się usmażę. Jednakże nawet jeśli mi się uda, nie mogę tego robić w nieskończoność. Ręce mi się trzęsą. Zwykle wytrzymują, zwłaszcza dzięki cieniutkim niciom stymulatorów na palcach. To moje nogi potrzebują najwięcej pomocy, wzmocnienia kolan i bioder.

Wystarczy jednak, że napompuję się dostateczną ilością adrenaliny, a wszystko staje się trudniejsze, a teraz adrenaliny mi nie brakuje. Oczami wyobraźni widzę, jak Nieugięci wpadają do ładowni, pożerają moją ekipę na kolację i jadą tu, na górę, po deser.

Starczy mi odwagi, żeby stawić im czoło?

Czy schowam się gdzieś i będą mnie musieli wywlec?

Tak wiele rozmów powinienem był przeprowadzić. Powinienem był być miłszy dla dziadków. Powinienem przeprosić rodziców. Powinienem pewnie przeprosić większość ludzi, których spotkałem, ale moje przeprosiny zwykle tylko pogarszają sytuację.

Mimo to pewnie mam ostatnią szansę, żeby spróbować.

– Słuchaj, Zila – zaczynam. – Jeśli idzie o twoich rodziców...

– Dowódcu, odbieram transmisję z niszczyciela Terrańskich Sił Obronnych – mówi w tej samej chwili Zila. – Identyfikator: *Bellerofont*. Właśnie wyszli z Bramy w odpowiedzi na nasz sygnał SOS i szacują, że znajdują się jedenaście minut od wejścia w zasięg broni.

– Ehm, jesteś pewna? – pyta Tyler.

Sprawia wrażenie równie zagubionego jak ja. Nie ma mowy, żeby TSO angażowały się w taką potyczkę jak ta. Nie ma mowy, żeby choćby niszczyciel TSO znajdował się gdzieś na

tym krańcu przestrzeni, już nie mówiąc o tym, żeby był gotowy narazić neutralność Ziemi, walcząc z Nieugiętymi...

- Tak - odpowiada Zila bez chwili wahania.

- Połącz mnie z Syldranami, Zila - odzywa się Scarlett.

- Przesyłam sygnał.

- Syldrańscy najeźdźcy - zaczyna Scar tonem kogoś, z kim się nie zadziera. - Informujemy, że właśnie nadlatuje nasze wsparcie w postaci jednostki Terrańskich Sił Obronnych, która niewątpliwie właśnie wyskoczyła na waszych czujnikach. Jeśli chcecie zachować swoje zgrabne tyłki w spodniach, to doradzam natychmiastowy odwrót. Albo możecie zostać i przekonać się, czy syldrański krążownik klasy Zjawa może dorównać w pełni uzbrojёнemu terrańskiemu niszczycielowi. Wasz wybór.

Czy to dziwne, że kiedy ta dziewczyna ostrzega, żeby z nią nie pogrywać, mam ochotę powiedzieć, że ze mną może pogrywać cały dzień?

Wstrzymujemy oddech. Zostaję tam, gdzie jestem - na czworakach, na wpół schowany we wnętrzu starożytnego komputera. Zila nie poruszyła nade mną nawet jednym mięśniem. Przez system audio słyszę ciche oddechy i szelesty, kiedy drużyna na dole w ładowni czeka na swoich pozycjach.

I nagle z potwornym dygotem syldrański wahadłowiec się odrywa.

- Dowódco, wycofują się - melduje Zila, dokładnie takim samym tonem, jakim mówiła, gdy staliśmy o krok od śmierci.

Co jest z tą dziewczyną?

- Cat, daj znać nadlatującemu TSO, że tam jesteś, żeby przypadkiem cię nie zestrzelili - odzywa się przez system łączności Tyler. - Zila, potrzebujemy cię tu na dole z pomocą medyczną. Ciebie, Finian, też.

Wyczołguję się na wstecznym. Patrzymy po sobie z Zilą.

Po co im pomoc medyczna, skoro nikt nie wszedł na pokład stacji?

Kiedy docieramy do ładowni, syldrańscy uchodźcy stoją razem i odwalają kawał świetnej roboty, promieniując wyższością i spokojem w obliczu faktu, że właśnie o włos uniknęli brutalnej śmierci. Bliźniaki Jones klęczą nad młodą Syldranką, która leży nieprzytomna na podłodze. Srebrne włosy rozsypały się wokół jej głowy jak aureola, ręce ma rozłożone. Kal stoi w pobliżu razem z naszą pasażerką na gapę. Przypominam sobie teraz jej imię - Aurora - i wiem, kiedy usłyszałem je poprzednio.

To ta dziewczyna, którą nasz Złoty Chłopak wyciągnął z *Hadfielda*.

Tylko co ona tu robi?

Zila otwiera pojemnik ze sprzętem medycznym, pomagam jej zanieść zestaw medyczny do miejsca, gdzie leży Syldranka. Ktoś nieźle jej przyłożył i zdrowo przywalila głową w ścianę. Możliwe, że nasza Aurora, bo jak teraz zerkam na nią znowu, to widzę, że ma rozkwaszony nos. Patrzy przerażona, klęczy na jednym kolanie, policzki ma mokre, jakby się popłakała, jedną ręką tamuje krwotok. A co najdziwniejsze, jej prawa tęczęwka jest teraz prawie całkowicie biała.

- Co się stało z jej okiem? - pyta Zila.

Wzruszam ramionami, zerkając na rozjaśnione pasemko w grzywce Aurory.

– Przynajmniej teraz jest pod kolor jej włosów, nie?

Aurora nie słucha nas, tylko zerka na Tylera.

– Na zewnątrz są przedstawiciele terrańskiego rządu?

– Zgadza się – odpowiada ostrożnie Ty.

– Nie mów im, proszę, że tu jestem. Nie mogę z nimi lecieć.

Tyler dziwi się i zerka na siostrę.

– Auri, właśnie z nimi powinnaś polecieć. Nie wiem, jak się tu znalazłaś, ale jesteś Ter-ranką. Oni się tobą zajmą.

– Nie rozumiesz – upiera się, opuszczając zakrwawiony opatrunek. – Nadkomendantka de Stoy kazała mi ich unikać. To ona kazała mi zakraść się na wasz statek.

Bliźniaki znowu wymieniają spojrzenia, a Auri patrzy na mnie błagalnie. A potem syczy i łapie się za głowę, jakby ją bolała. Ociera zakrwawiony nos.

Scarlett przejmuje inicjatywę. Najwidoczniej porozumiała się z Tylerem bez słów i ustalili, że to robota dla dyplomatk.

– Auri, nie ma powodu, dla którego de Stoy miałyby coś takiego powiedzieć. Może źle się zrozumieliście?

– Nie mogę z nimi lecieć – upiera się Auri i patrzy coraz bardziej szaleńczo, czym sobie nie pomaga. – Nie rozumiecie. Nic nie rozumiecie! Zniszczyli wszelkie ślady mojej kolonii. Jakby Octavia nigdy nie istniała. Mnie też usuną.

Kal patrzy na nią zimnymi fiołkowymi oczami. Zila obserwuje ją jak robaka pod szkłem powiększającym. Auri nie robi wrażenia rozsądnej, a jej niepokój zaczyna mi się udzielać, jeśli mam być szczery. Może to tylko nerwowa reakcja na fakt, że banda Nieugiętych o mały włos nie usmażyła mnie na frytkę. A może chodzi o to, że od czasu do czasu mnie też Terranie wyprowadzają z równowagi. Są tacy skomplikowani, mają tyle języków, noszą tyle różnych ubrań i kolorów, jak stado kazarów, wiecznie wdają się w bójkę, wiecznie są w ruchu. Z drugiej strony nie wiem, czy powinniśmy zmuszać tę dziewczynę, żeby leciała tam, dokąd nie chce.

– Słuchaj – mówi Auri, zwracając się bezpośrednio do naszego dowódcy. – Wiem, że to zabrzmi, jakbym zwariowała, ale... widziałam de Stoy, zanim ją poznałam. Widziałam Kala w szpitalnym pokoju, jak mówił dokładnie to, co powiedział tutaj parę minut temu. I widziałam, co mi zrobią. W tej chwili widzę to w głowie i czuję to, i...

Aha. No tak. Jasne.

Dziewczyna spędziła za dużo czasu w Fałdzie.

Nasz nieustraszony dowódca najwyraźniej doszedł do tego samego wniosku, bo zaczyna mówić bardzo łagodnie:

– Oni ci pomogą. Auri. Nic ci nie będzie.

Kal przykuca i szepcze jej do ucha. Ona piorunuje go wzrokiem i na chwilę zaciska ręce na rękojeści pistoletu, aż bieleją jej kostki. Jednak, o dziwo, cokolwiek powiedział, najwyraźniej to ją uspokoiło, więc pozwala, żeby powoli wyjął broń z jej zaciśniętej dłoni.

Scarlett rozmawia przez system łączności z załogą TSO, gdy niszczyciel zbliża się do stacji. Z ciężkim łomotem ich kłamry cumownicze łapią się zewnętrznych drzwi i Pierwszy Taneth

rozbraja służę powietrzną. Cała nasza drużyna milknie. Auri rwie się oddech, jakby powstrzymywała płacz.

- Oni nie mają twarzy - szepcze.

Baranieję.

- Coś ty powiedziała?

- Oni nie mają twarzy - syczy rozpaczliwie. - Wszystko usuną, wszystko wyczyszczą i zamalują na czarno.

Kal wstaje, kiedy drzwi służy otwierają się z łoskotem. Dostrzegam znajome mundury khaki żołnierzy Terrańskich Sił Obronnych. Wmaszerowują do ładowni w ciężkich pancierzach taktycznych, tupiąc ciężkimi buciorami. Żaden z nich nie ma więcej niż dwadzieścia pięć lat.

Słynny Ty Jones podchodzi, żeby ich powitać, i chociaż jest świeżo upieczonym legionistą, udaje mu się wyglądać, jakby dowodził tą akcją. Imponujący wyczyn, bo musi być równie skonsternowany jak my w kwestii interwencji TSO.

- Z całą pewnością cieszymy się na pani widok, pani porucznik - mówi, salutując uprzejmie i posyłając jeden ze swoich zabójczych uśmiechów.

- Oczywiście. - Młoda kobieta odpowiada salutem. - Cieszymy się, że mogliśmy pomóc.

- Muszę przyznać, że nie oczekiwaliśmy pomocy - dodaje Tyler. - Jeśli wyda się, że TSO interweniowały, Nieugięci mogą uznać, że rząd terrański zrezygnował z neutralności. To może sprowokować odwet.

Za plecami żołnierzy rozlega się niski, metaliczny głos, który brzmi, jakby dobiegał z głosińnika:

- Wzięliśmy pod uwagę takie ryzyko, legionisto.

Żołnierze rozstępują się, jak włosy odgarniane grzebieniem, i ciężkim, niespiesznym krokiem przed szereg wychodzi pięć postaci.

Co jest, ku...

Wszyscy od stóp do głów są ubrani w grafitową szarość, ich twarze są całkowicie ukryte za gładkimi maskami podobnymi do wydłużonych hełmów do jazdy na grawitocyklach. Nie widać oczu, nosów, ust. Tylko przytłumione odbicie w lekko zmatowionej powierzchni skrywające jakąkolwiek sugestię indywidualności. Elektroniczne głosy nie zdradzają nawet wieku ani płci.

- Jasna cholera - szepcze Scarlett. - To agenci GAW.

Zastanawiam się, czy to dobry moment, żeby powrócić do naszej rozmowy o zapasowej parze spodni, bo może i nie jestem z Terry, ale wiem, że z agentami z Globalnej Agencji Wywiadowczej się nie zadziera.

Nie mają twarzy, powiedziała.

I proszę. Nie mają.

Pięciu agentów GAW wygląda identycznie, z wyjątkiem tego, który stoi najbardziej z przodu. Przywódca jest ubrany w nieskazitelną biel, a nie w szarość. Strój jest tak nienaganny, że wręcz upiorny. Jestem Betraskaninem, więc kiedy nadmiar bieli mnie onieśmiela, to znaczy, że rzeczywiście działa.

Domyślam się, że brak koloru oznacza wyższą rangę, bo nasz Złoty Chłopak salutuje nienaganie i staje na baczność, jakby był na paradzie.

– Melduje się legionista Tyler Jones.

Postać przygląda się nam, słyhać cichy syk jej oddechu. Nie widzę oczu, ale mam pewność, że omija nas wzrokiem i skupia się na pasażerze na gapę. Odzywa się do Złotego Chłopaka jakby po namyśle:

– BĘDZIESZ ZWRACAŁ SIĘ DO MNIE PER PRINCEPS.

Tyler odchrząkuje. W końcu wygląda tak, jakby sytuacja trochę wymykała mu się spod kontroli.

– Princepsie, nie chcę się wtrącać do pańskich spraw, ale jeśli ci Nieugięci...

– BELLEROFONT WYSŁAŁ DWIE ESKADRY MYŚLIWCÓW – przerywa mu beznamiętnym tonem princeps. – SYLDRAŃSKA ZJAWA ZOSTANIE SPALONA. NIE POZOSTANIE ŻADEN DOWÓD UDZIAŁU TERRY W TYM... INCYDENCIE.

– Proszę wybaczyć, że pytam, ale jak to się stało, że dotarliście do nas tak szybko? Nie zdaliśmy sobie sprawy z obecności jakiegokolwiek terrańskiego statku w tym sektorze.

Tyler naciska nieco, a Scarlett niemal niezauważalnie sztywnieje, obserwując brata. Agent odwraca się w stronę Tylera.

– GLOBALNA AGENCJA WYWIADOWCZA MA TYSIĄC OCZU, LEGIONISTO JONES.

Wyciąga rękę do naszej pasażerki na gapę.

– AURORO, PRZYLECIELIŚMY, ŻEBY ODESKORTOWAĆ CIĘ DO DOMU.

Nie mają twarzy, powiedziała. Wszystko usuną, wszystko wyczyszczą i zamalują na czarno.

– Nie zmuszaj mnie, żebym z nimi poszła – prosi Auri.

Patrzy na Tylera, naszego Złotego Chłopaka, naszego nieulekłego dowódcę. Ma lzy w oczach i krew na ustach.

– Proszę, Tyler – szepcze. – Nie pozwól im mnie zabrać.

Tyler zerka na żołnierzy TSO, puste maski agentów GAW. Może i jest legionistą, ale w głębi duszy nadal jest Terraninem. Widzę to w jego oczach. Te wszystkie lata wojskowego szkolenia, wszystkie lata „tak jest, kapitanie, nie, poruczniku, czy mogę raz jeszcze, sierżancie”. Nie zostajesz najlepszym Alfą w akademii, wkładając kij w mrowisko. Nie zostajesz Złotym Chłopakiem, sprzeciwiając się rozkazom.

– Powinnaś z nimi iść, Auri – odpowiada.

Kal robi krok naprzód z bronią w ręce i patrzy z góry na princepsa.

– Ta stacja znajduje się pod kontrolą Syldran, Terraninie. Nie masz prawa...

Żołnierze TSO podnoszą broń. Dwa tuziny laserowych celowników rozświetlają Kala jak fajerwerki z okazji Święta Federacji.

– Zapanuj nad swoim podwładnym, legionisto Jones – mówi princeps.

– Legionisto Gilwraeth – odzywa się cicho Tyler. – Opuść broń.

– Kii'ne dō all'iavesh ishi – mówi Syldranin i iskierka gniewu przebija się przez lód. – Ja...

– To rozkaz! – warczy Tyler.

Kal gotuje się, ale mimo jego syldrańskiej arogancji broń wycelowana prosto w jego śliczną buzię trochę go hamuje. Cofa się.

Auri patrzy na grupę ze łzami w oczach, ale to jasne, że nikt inny się nie wychyli. A na pewno nie ja. Betraskanie myślą w kategoriach negocjacji. Umowy. A przy tak kiepskim układzie najlepiej się wycofać. Moi towarzysze najwyraźniej nie mają nic przeciwko temu, żeby pójść za przykładem Tylera, a on też nie robi nic, żeby jej pomóc. W końcu już raz ryzykował wszystko, żeby ją ratować. I patrzcie, jak przez to skończył.

Z nami.

Tutaj.

Aurora unosi podbródek i odchodzi, żeby dołączyć do swojej eskorty, jakby szła na egzekucję.

Żołnierze TSO dają znak bronią, żebyśmy szli za nią.

Mam złe przeczucia.

TERRAŃSKIE ORGANY OCHRONY PORZĄDKU PUBLICZNEGO

► GLOBALNA AGENCJA WYWIADOWCZA

▼ ZARYS OGÓLNY

Ochroną porządku publicznego na Terrze zajmują się następujące organa:

Operacje wojskowe: *Terrańskie Siły Obronne* (TSO)

Siły pokojowe: niezależny *Legion Aurory*, do którego wstępują także Betraskanie i wolni Syldranie

Ponadto istnieje *Globalna Agencja Wywiadowcza* (GAW), śledcze ramię terrańskiego rządu. Agenci GAW to przerażające łajdaki, których zadaniem jest znać wszystkie wasze sekrety.

Można ich rozpoznać po szarych mundurach i pozbawionych wszelkich znaków szczególnych hełmach, które wraz z synteźatorami mowy sprawiają, że wszyscy agenci wyglądają identycznie. Można ich poznać także po tym, że dysponują praktycznie nieograniczonymi siłami, by ści-gać i zatrzymać tych, którzy budzą ich niezadowolenie.

Jeśli kiedykolwiek zadrzecie z GAW, sugeruję pokorne i załężnione przeprosiny. Albo modlitwę.

Idę niepewnym krokiem przez długi korytarz z połyskliwej stali, przede mną idzie postać odziana w biel, pozostałe, szare, idą za mną. Maszerują równym krokiem, uderzają w metalową kratownicę dokładnie w tym samym momencie, jak żołnierze na paradzie. Ja idę pośrodku, niechłujna i zupełnie tu nie na miejscu. Z trudem dotrzymuję im kroku. Prawe oko boli mnie, jakby wpadło mi do niego szkło. Czuję smak krwi na ustach.

Powtarzam sobie słowa Kala, które wyszeptał mi do ucha, wyjmując mi broń z dłoni.

„Odejdź z godnością. Stać cię na więcej”.

Chociaż to były słowa nagany, sprawiły, że wyprostowałam plecy. Przez wiele lat brałam udział w zawodach i mistrzostwach, dając z siebie wszystko, dowodząc, że jestem warta miejsca w wyprawie na Octavię. Teraz rozpaczliwie szukam opanowania, które pomagało mi tak wiele razy, chociaż wyślizguje mi się przez palce równie szybko, jak próbuję je uchwycić.

Biała postać zatrzymuje się przed szczelnymi wzmacnianymi drzwiami i odwraca się do agentów, którzy stoją za mną. Zapada wtedy krótka, krępująca pauza i chociaż nie pada żadne słowo, dwóch agentów kiwa głowami i wraca tam, skąd przyszli. Głowa mi pęka, oko mnie pali. Patrzę na mętne odbicie w gładkim hełmie i widzę, że moja prawa tęczęwka całkowicie zbieleła.

Ja chcę do mamy.

Chcę do taty.

Chcę uciekać tak daleko i tak szybko, jak się da, ukryć się w bezpiecznym miejscu i nigdy z niego nie wychodzić.

- Proszę - szepczę. - P-pri...

- PRINCEPSIE - odpowiada ubrana na białą postać, strząsając wymaginowany paproszek z kłapy.

Łzy napływają mi do oczu.

- J-ja chcę do domu.

- I WRÓCISZ DO DOMU, AURORO. WŁAŚNIE ZAMIERZAM ZAMELDOWAĆ, ŻE JUŻ TAM LECISZ.

- Princeps macha ręką w nieskazitelnej rękawiczce na pozostałych agentów, którzy za mną stoją. - MOI KOLEDZY ZATROSZCZĄ SIĘ O CIEBIE DO MOJEGO POWROTU.

Biała postać odwraca się i odmaszerowuje korytarzem. Jeden z szarych mundurów za mną dotyka panelu i ciężkie drzwi obok nas odsuwają się z cichym szumem.

Ruszam za agentem i po dwóch krokach zatrzymuję się gwałtownie – tak niespodziewanie, że pozbawiony twarzy agent za mną prawie na mnie wpada.

To potknięcie to pierwszy naprawdę ludzki odruch, jaki u nich zauważam.

Widziałam już ten pokój i wstrząs związany z rozpoznaniem jest tak silny, że stoję jak wryta. Obraz tego miejsca pojawił się w mojej głowie jeszcze w ładowni, w chwili gdy usłyszałam słowa „Terrańskie Siły Obronne”. Kolejna wizja, a związana z nią zgroza całkowicie odsunęła ode mnie panikę związaną z tym, że właśnie cisnęłam Syldrankę o ścianę za pomocą czegoś, co – jestem tego prawie pewna – było siłą mojego umysłu.

Co się, u diabła, ze mną dzieje?

Zobaczyłam te same staloszare ściany, które widzę teraz, te same płonące światła, to samo pojedyncze krzesło ustawione dokładnie pośrodku podłogi i siebie na nim. Ręce miałam splecione przed sobą wielkimi szarymi kajdankami, w tym samym odcieniu co mundury przesłuchujących mnie agentów, i emanował z nich ból – na samo wspomnienie zaczynam drżeć. To był ból ciała, które się topi i odpada od kości, ból, który sprawia, że jesteś gotowy odciąć sobie ręce, byle się od niego uwolnić. Odruchowo cofam się i wpadam na swojego porywacza.

Dwie dłonie w szarych rękawicach łądzą na moich ramionach i ściskają tak mocno, że moje kości są gotowe popękać i zlać się w jedną całość, kolana się pode mną uginają i obraz przed oczami zaczyna mi pływać.

Te same ręce łapią mnie za biceps i kierują mną. Potykając się o własne nogi, idę w stronę krzesła, potem moje ciało zostaje obrócone i pchnięte na krzesło. Przypominam sobie Syldrankę, jak wyprostowałam przed sobą ręce i pchnęłam ją, nawet jej nie dotykając. Gapię się na porywacza na wół oślepią przez ból i łzy, rozpaczliwie szukam w myślach cząstki, która wie, jak ciskać ludźmi przez pokój. Szukam czegokolwiek, co mogłoby mi pomóc, i nie znajduję niczego.

To jest moja wizja. Kajdanki, ból, te same słowa powtarzane stale głosem tak zachrypłym, że ledwie rozpoznaję, że to mój własny.

„Nie wiem. Proszę, nie wiem”.

Kiedy oba hełmy pochylają się, żeby na mnie spojrzeć, zdaję sobie sprawę, że już szepczę swoją odpowiedź. Już błagam, a nawet nie zadali mi pierwszego niemożliwego pytania.

– PANNÓ O'MALLEY – odzywa się jeden z nich cichym, nienagannie spokojnym, neutralnym głosem, zimnym jak próżnia za cienkimi ścianami tego statku. – PROSZĘ NAM WIERZYĆ, GDY MÓWIMY, ŻE WOLELIBYŚMY ZAŁATWIĆ TO PO DOBROCI.

DRUŻYNY LEGIONU AURORY

► CZŁONKOWIE DRUŻYN

▼ ALFY

Alfy to przywódcy drużyn Legionu Aurory i niemal bez wyjątku wszyscy oni uważają to za niezwykle poważną sprawę. Alfy generalnie posiadają encyklopedyczną wiedzę na temat regulaminów, a ich etyka pracy budzi strach, ale większość jest także charyzmatycznymi przywódcami. Jakkolwiek by na to patrzeć, łatwiej dowodzić, gdy podwładni chcą cię słuchać.

Tylko najbardziej utalentowani kadeci w akademii są przyjmowani na tę specjalność. Alfy są zasadniczo odpowiedzialne za ostateczne powodzenie lub porażkę podjętej misji oraz za życie członków drużyny.

Zero presji...



- No proszę, jak tu przytulnie.

Zerkam na Finiana. Opiera się o wypolerowaną stalową ścianę, wpatrując się we mnie czarnymi oczami. Jego egzoszkielet lśni srebrem w górnym jarzeniowym świetle i szumi cicho, gdy chłopak sięga do automatu z wodą obok.

- Wystrój jest jednak dość skromny jak na salę konferencyjną - mówi dalej, sącząc wodę z jednorazowego kubka i rozglądając się. - Wiem, że wy, Terranie, nie słyniecie w Drodze Mlecznej z gustu, ale przysięgam, że to mi wygląda bardziej jak cela.

- Finian, nie przeszkadzaj sobie - odzywa się Scarlett, pochylając się na naszej ławce i trzepocząc rzęsami. - Naprawdę mogłabym słuchać twojego marudzenia i narzekania cały długi dzień.

Finian siada i wzdycha.

- Za stary jestem na to gównno.

Zila przechyla głowę.

- Masz dopiero dziewiętnaście lat, legionisto de Seel.

- Właśnie. Za stary jestem na to gównno.

- Przestańcie - warczę. - Wszyscy.

Siedzimy w kwadratowym pomieszczeniu pięć na pięć metrów. Pod ścianami ciągną się ławki. Scarlett siedzi obok mnie, Zila naprzeciwko, Kal usiadł najdalej od nas, jak tylko się dało, i naburmuszony odyma usta jak złota rybka. Wszyscy są podenerwowani po tym, jak o mały włos nie załatwili nas Nieugięci, i muszą nad tym zapanować. Sam jestem trochę spięty. Finian ma rację. Kiedy zapędzono nas na pokład *Bellerofonta*, tuzin żołnierzy odprowadził nas do pokoju, żebyśmy poczekali na „złożenie sprawozdania”. Jednakże z powodu zamkniętych drzwi i pustych ścian pudło, do którego nas wrzucono, rzeczywiście w podejrzanym stopniu przypomina areszt.

Czuję przez ławkę pracę silników niszczyciela; masywny statek sunie przez czerń z powrotem w stronę Bramy Fałdy. Staram się nie przypominać sobie tego, jak Auri patrzyła na mnie, gdy ją zabierali. Jedno oko białe, drugie brązowe, wpatrywała się we mnie, jakbym był jej ostatnią nadzieją.

Proszę, Tyler. Nie pozwól im, żeby mnie zabrali.

Biedny dzieciak. Wszyscy wiedzą, że zbyt długi pobyt w Fałdzie źle robi mózgowi, ale nigdy do tej pory nie widziałem, żeby zmieniał się od tego kolor oczu. Cokolwiek jej się przytrafiło, nie zdawałem sobie sprawy, jak ciężki jest jej stan.

Mam nadzieję, że jej pomogą.

Jeden Stwórca wie, że nie mogłem...

- Zabierz ode mnie swoje cholerne łapska, ty zboczony amatorze grempów...

Drzwi otwierają się z sykiem i dwóch zbirów z TSO w pełnych pancerzach taktycznych wypycha do pokoju mojego Asa, który klnie na czym świat stoi. Nasza eskorta powiedziała nam, że Cat zostanie przyprawiona do nas, kiedy już zacumuje Łuk, i zdaje się, że to była ciężka jazda. Cat ma czerwoną twarz, jej irokez jest zmierzwiiony. Ma swojego pluszowego smoka Koniczynkę pod kurtką. Jeszcze nigdy nie widziałem jej tak wkurzonej. Kiedy robi krok w stronę większego żołnierza, ten uderza w panel sterujący drzwiami i zamyka ją razem z nami. Jej buty zostawiają otarcia na plastali, kiedy kopie w drzwi, wrzeszcząc na całe gardło:

- Pewnie, lepiej uciekaj, ty tchórzliwy dupku!

- Cat? - pyta Scar, wstając. - Nic ci nie jest?

- A wyglądam, jakby nic mi nie było? - warczy Cat. - Nie, wyglądam, jakbym była gotowa skopać tyłek następnemu... - znowu kopie w drzwi - ...zbirowi z TSO, który pojawi się w moim zasięgu!

- Cat - mówię, też wstając. - Wyluzuj.

- Oni ich sprzątnęli, Tyler! - krzyczy, obracając się do mnie gwałtownie.

Mrugam zaskoczony.

- Co? Kogo?

- Uchodźców! - warczy Cat, waląc w drzwi ręką. - Tanetha i pozostałych! Kiedy tylko zacumowałam Łuk, TSO zniszczyły całą stację. Nic nie zostało!

- Na Wielkiego Stwórcę - szepcze Finian.

Mrugam raz, próbując ogarnąć sens słów Cat. Scarlett siada z powrotem na ławce błada jak płótno.

Wszyscy patrzą na Kala.

Tradycyjny syldrański chłód naszego Czołga nie znika, ale linia jego szczęki staje się ostra jak stal, gdy chłopak wstaje i zaczyna krążyć po pokoju. Opiera się o ścianę, zwiesza głowę i mruży coś pod nosem. Nie mówię po syldrańsku nawet w połowie tak dobrze jak Scar, ale wiem, że przeklina.

- Kal? - pyta cicho Scar. - Nic ci nie jest?

Widzę gniew w jego oczach, gdy się do niej odwraca. Widzę walkę, jaka się w nim toczy. Jednak jego głos jest pusty i zimny jak próżnia wokół statku.

- Setka moich ludzi - mówi. - Setka pieśni, które teraz ucichły. Setka żywotów i tysiące lat, które przepadły w Pustce. Ziemi nie wystarczyło, że sami siebie szlachtujemy i teraz wspomagamy w wysiłkach Nieugiętych?

- Jestem pewna, że istnieje jakieś wyjaśnienie - mówi Scarlett.

- To byli Wędrowcy - mówi Kal, podchodząc do mojej siostry. - Mędrcy i uczeni. Jak można to wyjaśnić?

- Spocznij, legionisto - rzucam ostrzegawczo.

- De'sai! - syczy, popatrując to na mnie, to na Scar. - De'sai si alamm tiir'na!

Zaciskam zęby, kiedy rozpoznaję pojedyncze słowa.

- Czy on właśnie powiedział...?

- Hańba – tłumaczy Scarlett, trzęsąc się z gniewu. – Hańba spada na dom waszego ojca.

To by było tyle. Przebrała się miarka. Utrata miejsca w Poborze. Misja donikąd. Z drużyną do niczego. Kłamstwo dowództwa i spojrzenie Auri, gdy ją zabierano. A teraz ten Elfik przywała mi tekstem na temat mojego ojca.

Ta iskra to początek pożogi.

Kal blokuje mój pierwszy cios, okazuje się, że jest szybszy ode mnie. Zakładam mu jednak dźwignię, podcinam go i obaj padamy, a kiedy się tak kotłujemy, jego szybkość ma mniejsze znaczenie. I niech Stwórca mi dopomoże, ale kiedy drugim ciosem rozcinam mu wargę, to łapię się na tym, że się uśmiecham. Cała frustracja ostatnich kilku dni gotuje się we mnie i skwierczy, gdy się siłujemy. Cat krzyczy, żebym przestał, Fin klaszcze, a Zila zaczyna pisać na unikronie, jakby była śmiertelnie znudzona. Palce Kala zamykają się na moim gardle, sięgam po jego...

Oblewa nas zimna woda. Charczę i łapię gwałtownie powietrze, ściągając ręce Kala z gardła. Podnoszę wzrok i widzę, że stoi nad nami Scarlett i wylewa cały zbiornik wody z dystrybutora na nasze głowy. Wytrząsa ostatnie krople dla podkreślenia gestu, zanim odrzuci zbiornik na bok.

- Dorośnij – mówi. – Dowódcu.

Moja siostra maszeruje z powrotem na ławkę, siada ze skrzyżowanymi nogami i rękami.

Finian odzywa się cicho, unosząc brew.

- Uczą was tego na zajęciach z dyplomacji?

- Improwizowałam – odpowiada Scarlett, piorunując go wzrokiem.

Cat podaje mi rękę, więc ją łapię i wstaję z jękiem. Woda gromadzi się w kałuży u moich stóp, przemoczone włosy opadają mi na oczy. Mój As patrzy na mnie z cierpkim uśmiechem, kręcąc głową. Kal wstaje za mną płynnym ruchem. Mundur ma przemoczony, w oczach nadal płonie mu furia, na wardze ma fioletową krew. Pewnie rozniósłby mnie na strzępy, teraz, kiedy straciłem element zaskoczenia. Zastanawiam się, czy szykuje się na drugą rundę, i w tym momencie rozlega się sygnał w naszych unikronach.

Patrzę na urządzenie przy moim pasku. Widnieje tam jedno zdanie.

WIADOMOŚĆ, CZAT DRUŻYNOWY, NADAWCA: ZILA M, OFICER NAUKOWY.

Scar i pozostali pukają w ekrany, żeby otworzyć wiadomość.

ZILA M: DOMYŚLAŁAM SIĘ, ŻE TSO JESZCZE NIE ROZGRZYŁY SZYFROWANIA SIECI NASZEJ DRUŻYNY, ALE Z PEWNOŚCIĄ TERAZ SPRÓBUJĄ. POWINNIŚMY SIĘ STRESZCZAĆ.

Cat patrzy na Zilę, jakby całkiem jej odbiło.

- Coś ci się stało w język?

Zila znowu pisze i chwilę potem mój unikron znowu brzęczy.

ZILA M: TO POMIESZCZENIE JEST NIEWĄTPLIWIE MONITOROWANE I PODSŁUCHIWANE. ROZMOWA WPROST MOGŁABY ICH SKŁONIC DO SZYBSZEGO ZABICIA NAS. MUSIMY WYDOSTAĆ SIĘ Z TEJ CELI I URATOWAĆ UWIĘZIONĄ AURORĘ. INACZEJ WSZYSCY ZGINIEMY.

Marszczę czoło i już otwieram usta, żeby się odezwać, ale Zila ostrzegawczo kręci głową, aż porbrzękują jej wielkie złote koła w uszach. Coś w jej spojrzeniu każe mi zamiast tego napisać.

TYLER J: NA STWÓRCĘ, CO TY WYGADUJESZ?

ZILA M: SZACUJE, ŻE MAMY TYLKO KILKA CHWIL, ZANIM ŻOŁNIERZE TSO ZJAWIĄ SIĘ, ŻEBY ZABRAĆ CIĘ NA „ROZMOWĘ”, DOWÓDCO. POD KONIEC PRZESŁUCHANIA ZOSTANIESZ ZABITY. BĘDĄ NAS PRZESŁUCHIWAĆ PO KOLEI I ZABIJAĆ.

Fin odpisuje szybko, patrząc na Zilę.

FINIAN DS: ZAPOMNIAŁAŚ WZIĄĆ RANO PIGUŁKĘ?d

ZILA M: NIE, ZAWSZE JESTEM TAKA.

TYLER J: FIN, DARUJ SOBIE. ZILA, CO PRÓBUJESZ POWIEDZIEĆ?

Zila wzdycha i pisze błyskawicznie.

ZILA M: ZAŁOGA BELLEROFONTA WŁAŚNIE ZLIKWIDOWAŁA W STU PROCENTACH NIEWINNYCH SYLDRAŃSKICH UCHODZCÓW. DOMYŚLAŁAM SIĘ, ŻE TAKŻE ZNISZCZYLI ZJAWĘ NIEUGIĘTYCH, ZGADZA SIĘ, LEGIONISTKO BRANNOCK?

Cat kiwa głową.

ZILA M: TO ZNACZY, ŻE JESTEŚMY JEDYNYMI ŚWIADKAMI, JACY ZOSTALI PRZY ŻYCIU.

Piszę szybko krzywiąc się z niedowierzania.

TYLER J: CHCESZ POWIEDZIEĆ, ŻE NAS ZAŁATWIĄ, ŻEBY UKRYĆ FAKT, ŻE NARUSZYLI NEUTRALNOŚĆ TERRY Z POWODU NIEUGIĘTYCH? CENIĘ TWÓJ WKŁAD, ALE TO NIE MA SENSU. MIE-LIBY NAS RATOWAĆ TYLKO PO TO, ŻEBY ZARAZ POTEM NAS ZABIĆ?

ZILA M: NIE UKRYWAJĄ NARUSZENIA NEUTRALNOŚCI, DOWÓDCO. UCISZAJĄ WSZYSTKICH, KTÓRZY WIEDZA, ŻE AURORA O'MALLEY ZNALAZŁA SIĘ W ICH RĘKACH.

SCARLETT J: CZEKAJ, CO MA DO TEGO WSZYSTKIEGO AURORA?

ZILA M: ROZWAŻCIE TO LOGICZNIE. JAK TO MOŻLIWE, ŻE NISZCZYCIEL TSO PRZYPADKIEM ZNALAZŁ SIĘ W TEJ OKOLICY, KIEDY WYSŁALIŚMY SYGNAŁ SOS?

CAT B: MÓWIŁAM, ŻE KONICZYŃKA PRZYNIESIE NAM SZCZĘŚCIE.

FINIAN DS: NIE SŁYSZAŁAŚ, LEGIONISTKO MADRAN? „ŪPIORNY GŁOS” POWIEDZIAŁ PRZE-CIEŻ, ŻE GLOBALNA AGENCJA WYWIADOWCZA MA TYSIĄC OCZU, CHWYTASZ?

ZILA M: LECIELI ZA NAMI. TO JEDYNE LOGICZNE WYJAŚNIENIE. AURORA POWIEDZIAŁA, ŻE NADKOMENDANTKA DE STOY KAZAŁA JEJ UKRYĆ SIĘ NA POKŁADZIE ŁUKU. DE STOY CHCIAŁA, ŻEBY AURORA WYLĄDOWAŁA Z NAMI, Z DAŁA OD GAW.

CAT B: CHRZANISZ. O'MALLEY SIEDZIAŁA ZDECYDOWANIE ZA DUŻO CZASU W FAŁDZIE I CAŁKIEM JEJ ODWALIŁO.

ZILA M: ZASTANÓW SIĘ NAD SŁOWAMI DE STOY. „ŁADUNEK, KTÓRY PRZEWOZICIE, JEST O WIELE CENNIJSZY, NIŻ MYŚLICIE”. ZAWIEZIENIE SPRZĘTU NA SAGANA NIE BYŁO NASZĄ MISJĄ. NASZYM ZADANIEM BYŁO ZABRAĆ AURORĘ O'MALLEY Z AKADEMII, ZANIM GAW PRZYLECI, ŻEBY JĄ ZABRAĆ NA TERRE.

FINIAN DS: NIE MAJĄ TWARZY.

CAT B: NA ODDECH STWÓRCY, FINIAN, TOBIE TEŻ ODWALIŁO?

FINIAN DS: PIEPRZE CIĘ, CAT.

CAT B: WOLAŁABYM JUŻ PRZELECIEĆ WIELKIEGO ULTRAZAUURA Z ABRAAXIS IV, WIELKIE DZIĘKI.

TYLER J: SKOŃCZCIE Z TYM! FIN, WYJAŚNIJ.

FINIAN DS: AURORA POWIEDZIAŁA TO, ZANIM POJAWILI SIĘ AGENCI. „ONI NIE MAJĄ TWARZY”. I DODAŁA COŚ O WYCZYSZCZENIU WSZYSTKIEGO. ZAMALOWANIU NA CZARNO.

ZILA M: CO WŁAŚNIE W TEJ CHWILI ROBIĄ AGENCI GAW. AURORA TWIERDZIŁA TAKŻE, ŻE WIDZIAŁA KALA W WIZJI, ZANIM GO POZNAŁA.

CAT B: BO FAŁDA NAMIESZAŁA JEJ POD CZACHĄ!

KALIIS G: TO ZABRZMI JAK SZALEŃSTWO, ALE W ŁADOWNI, KIEDY AEDRA MNIE ZAATAKOWAŁA, AURORA CISNĘŁA NIĄ O ŚCIANĘ NAWET JEJ NIE DOTYKAJĄC.

FINIAN DS: JAJA SOBIE ROBISZ?

KALIIS G: PRZYSIĘGAM NA DUCHY PUSTKI. JEJ PRAWO OKO ZROBIŁO SIĘ TAK JASNE, ŻE NAWET PATRZENIE NA NIE BOLAŁO. PO WALCE ZMIENIŁO KOLOR.

Scar i ja patrzymy po sobie. Widzę powątpiewanie w jej niebieskich oczach.

Jednakże oko Auri rzeczywiście zmieniło kolor.

F TYLER J: SŁUCHAJCIE, NIE WSPOMINAŁEM O TYM W RAPORCIE, BO SAM NIE CHCIAŁEM W TO UWIERZYĆ, ALE KIEDY RATOWAŁEM AURORĘ NA HADFIELDZIE, MYŚLĘ ŻE ONA...

TYLER J: PORUSZYŁA MNĄ.

SCARLETT J: PORUSZYŁA? W TAKIM SENSIE, W JAKIM PORUSZA ROMANTYCZNA PIOSENKA?

CAT B: LITOŚCI.

TYLER J: BYŁEM O KROK OD UTRATY PRZYTOMNOŚCI I ZNAJDOWAŁEM SIĘ DWIEŚCIE METRÓW OD FANTOMU. I NAGLE STAŁEM TUŻ PRZED SŁUŻĄ.

ZILA M: TELEKINEZA. PREKOGNICJA. CIEKAWE.

CAT B: TO JEST KOMPLETNIE POCHRZANIONE.

SCARLETT J: NIESTETY MUSZĘ ZGODZIĆ SIĘ Z MOJĄ BITNĄ ALE UCZONĄ KOLEŻANKĄ.

CAT B: DZIĘKI, WSPÓŁKATOROKO.

SCARLETT J: NIE MA SPRAWY. NAWIASEM MÓWIĄC, WCIAŻ PAMIĘTAM, ŻE MASZ MÓJ EYELINER.

ZILA M: TO POWSZECHNIE ZNANY FAKT, ŻE PRZEDŁUŻONA EKSPOZYCJA NA DZIAŁANIE FAŁDY WYWOŁUJE OGROMNY STRES MENTALNY U PODRÓŻNYCH. PRZYPOMINAM, ŻE AURORA DRYFOWAŁA TAM PRZEZ PONAD DWIEŚCIE LAT. NIKT NIGDY NIE PRZETRWAŁ RÓWNIE DŁUGIEJ EKSPOZYCJI.

FINIAN DS: TO CZEGO CHCE OD NIEJ GAW?

ZILA M: DOSKONAŁE PYTANIE, ALE MYŚLĘ, ŻE O WIELE BARDZIEJ NAGLAĆ KWESTIĄ JEST NASZA BLISKA I NIEWĄTPLIWIE BRUTALNA ŚMIERĆ Z RĄK AGENTÓW.

FINIAN DS: PRZYNAJĘ, ŻE PRYNCYPAŁ NIE ROBIŁ WRAŻENIA ŻARTOWNISIA.

SCARLETT J: PRINCEPS. TO Z ŁACINY. OZNACZA „PIERWSZY POŚRÓD RÓWNYCH”.

ZILA M: NIE WIDZIAŁAM, ŻE ZNASZ ŁACINĘ, LEGIONISTO JONES.

FINIAN DS: A CO TO, NA STWÓRCĘ, JEST TA ŁACINA?

CAT B: SŁUCHAJ, TO NADAL NIE MA SENSU. SKORO CHCĄ NASZEJ ŚMIERCI, TO CZEMU NIE ZAŁATWILI NAS NA STACJI?

ZILA M: MOŻE CHCĄ POROZMAWIAĆ Z TYLEREM NA TEMAT TEGO, JAK ODNALAZŁ AURORĘ? ALBO CHCĄ MIEĆ PEWNOŚĆ, ŻE NIE PRZEKAZALIŚMY NIKOMU INFORMACJI O MIEJSCU POBYTU AURORY? BEZ WZGLĘDU NA POWODY NIE OPUŚCIMY STATKU ŻYWI.

TYLER J: MÓWIMY O TERRAŃSKICH SIŁACH OBRONNYCH.

ZILA M: TU DOWODZI GLOBALNA AGENCJA WYWIADOWCZA, DOWÓDCO. TSO ICH TYLKO PODWOZI.

TYLER J: TO NADAL TERRANIE! NA MIŁOŚĆ STWÓRCY, CO MAMY ZROBIĆ? ZAATAKOWAĆ WŁASNYCH LUDZI?

FINIAN DS: ŻEBY NIE DAĆ SIĘ IM ZABIĆ?

W głośnikach statku rozlega się klakson alarmu, a potem komunikat:

– CAŁA ZAŁOGA, PRZYGOTOWAĆ SIĘ NA WEJŚCIE DO FAŁDY. ZOSTAŁO PIĘTNAŚCIE SEKUND.

Dudnienie silnika zmienia ton i wszyscy bierzemy wdech. Nadchodzą lekkie zawroty głowy, przelotne uczucie nieważkości i zmieniają się otaczające nas kolory, kiedy niszczyciel wchodzi do Bramy Fałdy i w końcu wszystko staje się czarne i białe. Drużyna patrzy na mnie, czekając na decyzję.

Chociaż brzmi to nieprawdopodobnie, słowa Zili mają potwornie dużo sensu. Niebezpieczeństwo grozi życiu ludzi, którzy mi podlegają. Skutki niewierzenia jej i pomyłki mogą być śmiertelne.

Kłopot w tym, że jeśli TSO naprawdę zamierzają nas sprzątnąć, to jedyne wyjście, jakie tu widzę, to walka, a to oznacza walkę z naszymi – z Terranami. Mój ojciec należał do TSO, zanim został senatorem. Gdyby Legion Aurory nie istniał, pewnie sam wstąpiłbym do TSO.

Napotykam spojrzenie Scar. Przechyliła odrobinę głowę.

To przedziwna rzecz być bliźniakiem. Tata mówił, że Scar i ja wymyśliliśmy własny język jako małe dzieci. Rozmawialiśmy słowami, których nikt inny nie rozumiał. Scar potrafi opowiedzieć mi całą historię spojrzeniem. Napisać powieść jednym uniesieniem brwi.

I w tej chwili dobrze wiem, co mi mówi bez ani jednego słowa.

Wskaż drogę, bracie.

Drzwi otwierają się z sykami i czterech żołnierzy TSO wmaszerowuje do środka. Od stóp do głów są ubrani w pancerze taktyczne, mają karabiny-dezelatory. Dowodzi nimi młoda porucznik, z którą rozmawiałem przy służbie na stacji Sagan. Z uniesioną brwią za przyłbicą zatrzymuje się, żeby przyjrzeć się kałuży wody na podłodze i mojemu przemoczonemu mundurowi.

– W porządku, legionisto. – Uśmiecha się. – Jeśli pójdziesz ze mną, to wysłuchamy twojego sprawozdania i wrócisz ze swoją drużyną na Stację Aurora jeszcze przed kolacją.

Zerkam znowu na Scar, sprawdzając jej wrażenia. Nie przesadzę, mówiąc, że potrafi czytać w ludziach jak w książkach. To czasem trochę przerażające. Odkąd skończyliśmy pięć lat, ani razu nie udało mi się jej oszukać.

Scar obrzuca porucznik spojrzeniem od stóp do głów.

Zerka na mnie.

Odyma usta.

Ona kłamie.

Wyczuwam wokół siebie napięcie. Cat zaciska ręce w pięści. Kal promieniuje lodowatą furją, gdy wpatruje się w żołnierzy, którzy zamordowali setkę jego ludzi, a zachowują się, jakby nic złego się nie stało. Nie jestem pewien, do czego przydaliby się Finian i Zila w ogólnej

bijatyce, ale nas jest sześcioro, a ich czwórka. Jeśli myślą, że należą do gości, którzy pomaszują na własną śmierć, to nie znają mnie dość dobrze.

Stoję ze swobodnym uśmiechem, podkreślam moc dotęczyków.

– Nie ma sprawy, pani porucznik.

I wbijam łokieć w jej gardło.

Pancerz taktyczny absorbuje większość siły ciosu, ale to i tak wystarczy, żeby pozbawić ją równowagi. Kopię ją w kolano, ona pada na podłogę i dezelerator wypada jej z ręki.

Nagły ruch w całym pokoju i trzech pozostałych żołnierzy celuje mi w pierś. Kal staje za kobietą i uderza ją palcami za uchem. Żołnierka pada, jakby dostała dawkę leiriumskiego dymka. Cat rzuca się na następnego żołnierza, próbując wyrwać mu karabin. Scar ciska pustą butlą z automatu na wodę w głowę trzeciego. Żołnierz leci do tyłu na Finiana, którego egzoskielet jęczy, gdy chłopak go łapie jak w imadło.

Podnoszę upuszczony karabin-dezelerator porucznik, uderzam ją kolbą w twarz, hełm wykrzywia się pod ciosem. Padamy i siłujemy się, porucznik odpycha karabin w bok. Trafia mnie kolanem w krocze i z bólu cały świat przed moimi oczami płonie bielą. Obracam się na plecy, a jej udaje się wyjąć broń osobistą zza paska i wycelować w moją głowę.

Ręka łapie ją za szczękę i trzy palce wbijają się w bok jej szyi. Porucznik z westchnieniem spada ze mnie, oczy uciekają jej w głąb czaszki. Nade mną stoi Kal i mruży oczy. Ani jeden włoszek na jego srebrnej głowie nie jest potargany. Nawet się nie zadyszał. Krzywiąc się z powodu bólu w kroczu, rozglądam się po celi. Pozostali żołnierze leżą jak połamane zabawki.

Wszyscy są nieprzytomni. Poobijani i zakrwawieni, mają połamane kości. Scar, Cat i Finian patrzą na naszego Czołga na poły z przerażeniem, na poły z podziwem. Wszyscy milczą.

– Nie chcę, żebyś pomyślał, że to znaczy, że cię lubię, Kal – odzywa się w końcu Cat. – Ale w porządku. Oficjalnie stwierdzam, że jestem pod wrażeniem.

– Czy tu się nagle zrobiło gorąco, czy tylko mnie się tak wydaje? – pyta Scarlett.

– Nie tylko tobie – mruczy Finian, wachlując się.

Syldranin podaje mi rękę.

– Musimy ruszać, dowódco.

Zdaję sobie sprawę, że po raz pierwszy Kal zgodził się mnie dotknąć, odkąd przywalił mi w akademię. A wiedząc, że dla Syldran to poważna sprawa pozwolić sobie na jakikolwiek dotyk, uznaję, że powinienem przyjąć podaną mi dłoń. Łapię go, a on mnie pociąga. Staram się nie patrzeć na krwawiących wokół mnie żołnierzy. Na krwawiących Terran. Zastanawiam się gorączkowo, szukając drogi wyjścia z tej kabały.

Przeciwnik ma przewagę jeden do stu. GAW trzyma Auri u siebie. Mają nasz Łuk. Z drugiej strony studiowałem terrańskie statki kosmiczne, odkąd skończyłem sześć lat, i znam rozkład pomieszczeń na niszczycielu jak własną kieszeń. I nawet jeśli ta banda nieudaczników, przypadków dyscyplinarnych i socjopatów nie została wybrana przez nikogo w pierwszej kolejności na Poborze, to okazuje się, że wszyscy są niezli w tym, co robią. Jeśli utrzymam tę drużynę w kupie, dopilnuję, żebyśmy pracowali jak zgrany zespół, to może uda nam się ująć z tego z życiem...

Zaczyna wyc alarm i w głośnikach rozlega się ogłoszenie:

- OCHRONA DO CELI 12 A. POWTARZAM, OCHRONA DO CELI 12 A. BEZZWŁOZNIE.
- To my – ostrzega Cat.
- No dobra, słuchajcie – odzywam się. – Mam plan.

* * *

- ALARM PRZECIWOŻAROWY, POZIOM DWUNASTY. ODDZIAŁ RATUNKOWY WZYWANY NATYCHMIAST NA POZIOM DWUNASTY.

Maszerujemy do wind pośród wyjących alarmów, gdy natrafia na nas pierwszy oddział TSO. Żołnierze wypadają zza rogu z uniesionymi karabinami-dezelatorami, celowniki laserowe przecinają ulewę z instalacji tryskaczowej. Nadal znajdujemy się w Fałdzie, więc wciąż wszystko jest monochromatyczne, mgielka wodna się srebrzy, oczy sierżanta są prawie czarne.

- Stać! – warczy.

Scarlett wychodzi naprzód, insygnia porucznik błyszczą na jej kołnierzyku, ogniste włosy przerygasy do szarości. Moje buty są za duże i wcale nie chcę się przechwalać, ale krok w pancerzu taktycznym naprawdę źle mi się układa. Zważywszy jednak, że ukradliśmy mundury czwórce nieprzytomnych żołnierzy TSO, to całkiem nieźle wypadamy. Cat i Zila trzymają się z tyłu, Kal i Finian stoją między nami z magnetokajdankami na nadgarstkach i sprawiają wrażenie stosownie zastraszonych. Wszelkie nasze braki Scarlett nadrobi swoją pewnością siebie.

- Mamy tę dwójkę – warczy. – Pozostała czwórka uciekła przewodami wentylacyjnymi. Zabierz oddział na poziom trzynasty, a my zaprowadzimy tę dwójkę do aresztu!

Sierżant marszczy czoło za przyłbicą.

- Przewodami? Przecież...

- Upuścili pana na główkę w dzieciństwie, sierżancie? – warczy Scarlett. – Wydałam rozkaz! Ruszcie tyłki, zanim wyrzucę je do Fałdy!

Można powiedzieć wiele rzeczy o wojsku, ale – niech będzie błogosławiony Stwórca – nie uczą cię tam myśleć. Uczą cię wypełniać rozkazy. Bez względu na noszony mundur – Legionu, TSO, czy czegoś innego – kiedy porucznik zaczyna wrzeszczeć na przeciętnego sierżanta, żeby skakał, to jedyne pytanie brzmi „jak wysoko?”.

Na szczęście dla nas sierżant jest przeciętnikiem.

- Tak, pani porucznik, natychmiast – odpowiada i odwraca się do oddziału. – Poziom trzynasty, ruchy!

Oddział mija nas biegiem. Scarlett wrzeszczy do mikrofonu w kołnierzu, dopytując się, gdzie jest ekipa przeciwpożarowa. Docieramy do turbowindy, uderzam w panel sterujący pośród srebrnego deszczu i świateł migoczących szarością.

- W porządku, Finian, ile czasu minie, zanim włączą z powrotem kamery? – pytam.

Zerka na unikron, kręci głową.

- Hakowałem system w dość prosty sposób. Mamy jeszcze z minutę, może dwie.

- W porządku. Wszystkie oddziały ochrony wybierają się na poziom dwunasty. Hangar znajduje się na piątym. Cat, zabierz tam Zilę, Fina i Kala i przygotuj Łuk do startu. Po cichu.

Jeśli nie wrócimy na pokład za pięć minut...

- Nie odleczę bez ciebie – odpowiada Cat.

- Chciałem powiedzieć, żebyś poczekała wtedy następne pięć minut, ale nie, masz rację, zdecydowanie powinniście odlecieć beze mnie.

- Dokąd się wybierasz? – pyta Finian.

- Scar i ja idziemy po Aurorę.

- Idę z wami – oznajmia Kal.

- Nie – rzucam. – Nie idziesz. Pasujesz tu jak mierzący sześć stóp i osiem cali wzrostu wół ze spiczastymi uszami do karety. Idź do hangaru. Możliwe, że będziecie musieli walczyć po drodze.

- A wy na pewno będziecie musieli walczyć, żeby dotrzeć do Aurory – odpowiada Kal, robiąc krok naprzód. – Jestem w tym lepszy od ciebie.

- Właśnie wydałem ci rozkaz, legionisto – warczę.

Kal przechyla głowę.

- Nie krępuj się, w każdej chwili możesz zgłosić moją niesubordynację, dowódcu.

- Na miłość... – Scar wzdycha. – Nie możecie wreszcie dać sobie buzi i się pogodzić?

- W końcu nie byłby to najgorszy widok na świecie, nie? – wtrąca Finian.

Przyjeżdża winda i drzwi otwierają się z sykiem. Alarm nadal wyje. Zastanawiam się, o co tyle zamieszania. Dlaczego Kal tak się rwie, żeby uratować Aurorę, skoro na Saganie zachowywał się wobec niej jak dupek. Kiedy jednak patrzę mu w oczy, widzę, że nie ustąpi, o ile nie nacisnę, a, na oddech Stwórcy, naprawdę nie mam na to czasu.

- Scar, idź z Cat. Pięć minut, a potem startujecie. To rozkaz.

Scarlett patrzy na mnie i mruga w srebrnym deszczu.

- Tak jest.

Cała czwórka wsiada do turbowindy, a ja patrzę Cat w oczy, kiedy drzwi zamykają się z sykiem. Odwracam się, żeby spiorunować wzrokiem Kala, i napotykam spojrzenie twarde jak diament.

- Priorytetowi więźniowie będą w areszcie na jedenastym – mówię.

- Za mną – reaguje na to Syldranin. – Dowódcu.

Pędzimy do klatki schodowej i zbiegamy, pokonując po cztery stopnie na raz. W korytarzu Kal idzie przodem z rękami przed sobą, jakby nadal nosił magnetokajdanki. Maszeruję za nim w nadziei, że wyglądam jak strażnik eskortujący więźnia. Mija nas ekipa techniczna z gaśnicami, a za nimi oddział żołnierzy TSO. Żaden z nich nawet nie zerknął w naszą stronę. Alarm nadal wyje, głośniki wciąż wykrzykują ostrzeżenia przed pożarem, który wywołała Zila, robiąc zwarcie w przewodach elektrycznych. Zakonotowałem sobie, by zapytać Fina, dlaczego ukrywa propanowy palnik w egzoszkielecie i jakie jeszcze niespodzianki tam chowa.

Pod warunkiem, rzecz jasna, że wyjdziemy z tej przygody żywi.

Areszt jest prawie pusty – większość żołnierzy szuka nas na górze. Za biurkiem rejestracji ciągnie się korytarz z szeregiem ciężkich drzwi. Młodszy oficer pisze coś za biurkiem, drugi siedzi za kontuarem i wrzeszczy coś przez system łączności, przekrzykując alarm. Podnosi rękę, dając znać, żebył poczekał.

I wtedy się zaczyna.

Najpierw czuję dziwne mrowienie na karku. Powietrze nagle wydaje się lepkie, wręcz naładowane statyczną elektrycznością. Coś słuchać mimo wibracji silników i wrzasku alarmów. Coś prawie...

...jak szept?

Zerkam na Kala i widząc, jak marszczy brwi, orientuję się, że on też to słyszy. Oficer w areszcie zerka w stronę cel.

Bez żadnego ostrzeżenia światło gaśnie, pogrążając nas w ciemności. Szept narasta, jest prawie tak wyraźny, że dałoby się zrozumieć słowa i całe pomieszczenie... wibruje. Przenikliwie krzyki rozlegają się w czerni, a po nich wilgotny chrzęst i wszystkie drzwi celi jednocześnie wypaczają się, tytan gnie się jak papier.

Wszystkie wyświetlacze na konsoli gasną.

Silnik i alarmy nagle cichną.

Nad nami włącza się przyćmione światło awaryjne.

Terrańskie niszczyciele mają cztery osobne reaktory, setkę zabezpieczeń w razie uszkodzenia i kilkanaście systemów rezerwowych. A jednak zdają sobie sprawę, że chociaż to wydaje się niemożliwe, statek stracił nagle całe zasilanie. Cisza, jaka zapadła po wcześniejszym hałasie, jest wręcz ogluszająca. Zerkam w korytarz, zastanawiając się, co u licha się tu dzieje. Spod jednych ze zgniecionych drzwi wylewa się długa, ciemna, szara i lepka struga czegoś, co może być tylko...

- Krew - szepcze oficer z aresztu, sięgając po osobistą broń.

Kal ryzykuje, zrzuca magnetokajdanki i uderza go nimi w gardło. Mężczyzna pada, łapiąc gwałtownie powietrze. Kal przeskakuje nad kontuarem, uderza go dwa razy i zostawia nieprzytomnego i zakrwawionego na podłodze. Młodszy oficer odwraca się z uniesioną bronią, a Kal łamie mu nadgarstek i łokieć, a potem oglusza, zanim zdąży przycisnąć spust broni.

Syldranin prostuje się, odrzuca długie warkocze przez ramię. Ma beznamiętną twarz, jakby właśnie zamówił kolację.

Dobry Stwórco, jest naprawdę niezły...

Nie mam pojęcia, co właśnie pozbawiło statek zasilania, ale nie mamy czasu, żeby zacząć teraz dochodzenie. Światła zaczynają migać stroboskopowo, a ja otrząsam się i przeskakuję kontuar z moim Czołgiem. Pędzimy korytarzem i zatrzymujemy się z poślizgiem przed mokrymi od krwi drzwiami. Unoszę karabin, serce mi bije gwałtownie, kiwam głową na Kala. Chociaż jest silniejszy od człowieka, nadal musi się wysilić, zanim wreszcie udaje mu się odciągnąć drzwi celi przy wtórze zgrzytu metalu.

Wchodzę do środka z uniesioną bronią.

- Na oddech Stwórco - szepczę.

Aurora garbi się z zakutymi nadgarstkami w samotnym metalowym krześle. Ma zamknięte oczy, krew kapie jej z nosa i spływa po podbródku. Podłoga, sufit i ściany wyginają się na zewnątrz, tworząc prawie sferyczny kształt. Dwa hełmy leżą na podłodze, obok nich dwa grafitowoszare zwinięte mundury, ich zawartość została rozsmarowana na ścianie w dziwnej mie-

szaninie szarości i czerni; faktura jest prawie nie do rozpoznania. Plama ciągnie się aż po sufit, jakby ludzie w mundurach byli tubką pasty, którą ktoś właśnie... wycisnął.

– Amna diir... – szepcze Kal.

– Weź Aurorę – mówię, walcząc z burzącym się żołądkiem. – Musimy się zwijać.

Kiwa głową z ponurą twarzą. Klęka obok strzępów mundurów i przeskukuje mokre kieszenie, wreszcie wyjmując kartę dostępową. Wystarczy wsunąć ją do czytnika i kajdanki Aurory się otwierają, Kal podnosi ją bez wysiłku i bierze delikatnie na ręce. A potem wybiegamy po zakrwawionej podłodze na korytarz z migającym światłem, zostawiając za sobą krwawe ślady butów. Pod luną karabinu jest podwieszona mała latareczka, odrobina światła wskazuje nam drogę w migotliwej ciemności.

Windy straciły zasilanie, zbiegamy więc schodami tak szybko, jak się da, żeby dotrzeć na poziom piąty. Gdy przemykam przez drzwi, widzę czterech żołnierzy TSO zebranych przy ściennej konsoli łączności. Próbują wywołać mostek.

Wiem, że albo oni, albo my, wiem, że nie mam wyboru, ale żołądek mi się zaciska, gdy przykłękam i strzelam. Krzyczą i rozbiegają się, szukając osłony, czego manekiny na ćwiczeniach nigdy nie robią. Odwracam się do Kala i krzyczę:

– Biegiem! Biegiem!

Wybiega z klatki schodowej i pędzi przez hangar *Bellerofonta* w stronę naszego Łuku z Aurorą na rękach. Żołnierze w hangarze odwracają się na dźwięk strzałów. Scar wyskakuje zza stosu skrzyni i zaczyna strzelać z karabinu. Ogień dezelatora rozbłyskuje bielą w ciemności. Widzę przez przednią osłonę Łuku, że Cat udało się jakoś prześlizgnąć na statek, korzystając z chaosu. Modłę się w duchu do Stwórcy, żeby to, co wyłączyło całe zasilanie, nie wpłynęło na nasz statek, i wzdycham z ulgą, gdy Cat uruchamia silniki.

Iskry sypią się rykoszetami od pokładu, gdy żołnierze strzelają do Kala. Wykorzystuję przeciwko nim resztki mocy w moim dezelatorze, żeby zapewnić mu osłonę. Cat otwiera ogień z działek Gaussa i żołnierze TSO są zmuszeni szukać osłony, gdy grad naddźwiękowych pocisków wybucha w hangarze.

Scar wybiega zza osłony i pędzi w stronę Łuku. Ja też postanawiam zaryzykować. Pędzę za Kalem z sercem bijącym mi w piersi. Silniki Łuku pracują coraz głośniejsze, statek zaczyna unosić się nad pokładem. Finian stoi na naszej rampie i macha na mnie rozpaczliwie, kiedy Scarlett wskakuje bezpiecznie do statku. Kal pokonuje rampę trzema długimi krokami, a ja wpadam tuż za nim. Pociski TSO przelatują mi koło uszu ze świstem. Padam na brzuch, wrzeszcząc:

– CAT, GAZ DO DECHY!

Rampa zamyka się z dygotem i nasz Łuk przechyla się ostro na lewą burtę. Rozlega się cichy jęk i przenikliwy syk, kiedy Cat strzela dwoma plazmowymi pociskami w wewnętrzne drzwi hangaru, topiąc je na żużel. Kule uderzają o nasz kadłub jak grad, kiedy Cat znowu strzela, tym razem w plastal zewnętrznego pancerza, odsłaniając znajdującą się dalej Fałdę.

Następuje gwałtowna dekompresja, powietrze wylewa się do Fałdy, zmuszając żołnierzy TSO do wycofania się, jeśli nie chcą się udusić. Alarmy wrzeszczą, nasze silniki ryczą, głos Cat trzeszczy w wewnętrznym systemie nagłaśniającym:

- Dzieciaki, trzymajcie się majtek!

Wylatujemy z niszczyciela, garść pocisków TSO całuje nas na pożegnanie. Silniki na lewej burcie ocierają się ze zgrzytem o stopione drzwi, kiedy wylatujemy do Fałdy.

Rozglądam się po drużynie i widzę, że nikt chyba nie jest ranny. Kal kuca obok Aurory, pilnując, żeby się nie przesuwiała po podłodze. Jest nieprzytomna. Ma zamknięte oczy, usta i podbródek zabrudzone krwią. Wyraz twarzy ma tak błogi, jak wtedy, gdy znalazłem ją w krikap-sule.

To się wydarzyło raptem trzy dni temu.

- Wszystko u was w porządku? - pyta przez system nagłaśniający Cat.

Pukam w unikron, żeby odpowiedzieć.

- U nas wszystko w porządku. - Wzdycham.

Scarlett patrzy mi w oczy przez ładownię Łuku.

- Masz niewątpliwie dziwną definicję „wszystkiego w porządku”, Szczawiku.

Zerkam na siostrę i wiem, co myśli. Równie dobrze, jakby to powiedziała na głos.

Właśnie dopuściliśmy się zbrojnego powstania na niszczycielu Terrańskich Sił Obronnych.

Właśnie złamaliśmy ponad setkę przepisów Legionu, a jeszcze nie ma pory kolacji.

Właśnie zaatakowaliśmy personel TSO.

Wielki Stwórco...

Silniki ryczą, gdy mkniemy przez migotliwą ciemność Fałdy jak najdalej od okaleczonego *Bellerofonta*, miejsca naszej zbrodni.

Może i uszliśmy z życiem, ale z pewnością nie uciekliśmy z czystymi rękoma. Nie po tym, co Aurora zrobiła w celi. Nie możesz zamordować agentów GAW i spodziewać się, że ujdiesz z tego z życiem. To kwestia czasu, nim Globalna Agencja Wywiadowcza i Terrańskie Siły Obronne zaczną nam deptać po piętach. Już wcześniej zamierzali nas zabić, ale teraz...

Jesteśmy zbiegami, zdają sobie sprawę. Uciekamy przed własnymi ludźmi.

Scar zagryza usta i kiwa głową.

Co by powiedział na to tata?

Finian rozgląda się po ładowni i w końcu spojrzenie jego wielkich czarnych oczu zatrzymuje się na mnie.

- Dobra, Złotko, to co teraz?

Biorę głęboki wdech i zdmuchuję włosy z oczu.

- To... - Wzdycham. - Jest bardzo dobre pytanie.

CZĘŚĆ 2



**NIEBO
PEŁNE DUCHÓW**

DRUŻYNY LEGIONU AURORY

► CZŁONKOWIE DRUŻYN

▼ TWARZE

Jeśli macie do czynienia z legionistą Aurory gładszym od kieliszka najlepszego laraskiego semp-taru, to istnieje spora szansa, że właśnie spotkaliście Twarz. To dyplomaci z natury i z wykształcenia, ich zadaniem jest zajmowanie się przyjaciółmi i wrogami, a dobra Twarz często zamienia to drugie w pierwsze za pomocą paru dobrze dobranych słów.

Bez względu na to, czy chodzi o nawiązanie pierwszego kontaktu, mediacje w lokalnym sporze czy wyślizganie z cuchnącego stosu kosmicznego łajna, Twarze mogą się popisać znajomością kultur, tradycji i języków różnych obcych ras. Słyną także z tego, że są zręcznymi negocjatorami.

Nie zaleca się gry w karty z Twarzami.



Marc de Vries. Były chłopak nr 29. Plusy: ciało twarde jak beton. Minusy: pod względem umysłowym też beton.

- Mmmoże - mruczę.

[ZACHOWAJ]

Tré Jackson. Były chłopak nr 41. Plusy: wygląda jak Adonis. Minusy: wie o tym.

- Nnnie.

[USUŃ]

Siedzę na mostku naszego Łuku, opieram nogi na konsoli i trzymam unikron. Na statku panuje cisza, jeśli nie liczyć cichego szumu silników i czasem brzęknięcia LiDAR-u, który cały czas bada przestrzeń. Wskoczyliśmy z Fałdy przez bramę w okolicy NZ-7810 i teraz lecimy na małej mocy przez przypadkowy i nieistotny system w strefie neutralnej. Cat zaprogramowała kurs, żeby trzymać nas blisko bramy, zanim poszła odpocząć do swojego buduaru. Na wypadek gdybyśmy musieli uciekać.

Pozostali też poszli się przespać do swoich kwater, a ja miałam to szczęście, że wylosowałam pierwszą wachtę. Dlatego korzystam z czasu, żeby przejrzeć kontakty i wykasować paru byłych.

Pamięć zaczyna mi się zapychać.

Riley Lemieux. Były chłopak nr 16. Plusy: szaleńczo we mnie zakochany. Minusy: SZALEŃCZO we mnie zakochany.

[USUŃ]

Może się wydawać, że to dziwny moment, żeby załoga szła spać. Ręce nadal trochę mi się trzęsą, kiedy myślę o wszystkim, co wydarzyło się w ciągu ostatniego dnia, i nie potrafię sobie wyobrazić, co powinniśmy zrobić teraz. Jednakże drzemka dla urody to dobry pomysł - wszyscy potrzebują odpoczynku po zamęcie na stacji Sagan i na niszczycielu TSO. Poza tym Tylerowi lepiej się myśli po kimanku, a decyzja, jaką podejmie w następnej kolejności, będzie pewnie najważniejsza w jego życiu.

Ale spokojnie, zero presji, braciszku.

Jesteśmy wyjęci spod prawa. Jesteśmy pewnie poszukiwanymi przestępcami. Drużyną Legionu Aurory, która działa na własną rękę. Chociaż teoretycznie podlegamy dowództwu Legionu, to uciekliśmy ze statku TSO. Zaatakowaliśmy terrański personel. Naszych własnych ludzi. I po co?

Zagryzam usta, zerkając na ekran unikronu.

Alex Naidu. Były chłopak nr 38. Plusy: bicepsy!!! Minusy: nieznanne.

- Dlaczego właściwie z tobą zerwałam?

[ZACHOWAJ]

Muszę przyznać, że kiedy zgłosiłam się do Akademii Aurora, nie tak wyobrażałam sobie swoją karierę. Szczerze mówiąc, nie chciałam tak naprawdę wstąpić do Legionu, ale Ty zaparł się jak koza w kapuście, że „musi zmienić świat”, a za nic nie zgodziłabym się, żeby wstąpił sam. Dorastaliśmy bez mamy. Tata zginął na Orionie, kiedy mieliśmy po jedenaście lat. Niech mnie szlag, ale nie stracę też brata.

Pamiętam, jak stałam w kolejce z Ty'em na stacji Nowy Gettysburg. Oboje mieliśmy po trzynaście lat i czekaliśmy, aż przyjdzie nasza kolej, żeby podejść do oficera werbunkowego. Pamiętam, że zapytałam Tylera, czy robimy właściwą rzecz. Czy to się dobrze skończy.

- Nie wiem - odpowiedział.

A potem dotknął znaku Stwórcy na kołnierzyku i wzruszył ramionami.

- Ale czasem trzeba mieć wiarę.

W zakuwaniu nie ustępuję najlepszym, więc poradziłam sobie na egzaminach. Mogłabym wręcz być dobra, gdybym się postarała. Doradca w akademii powiedział mi raz, że fraza „gdyby tylko się przyłożyła” pojawiła się więcej razy na moich arkuszach ocen niż u jakiegokolwiek innego kadeta w historii akademii. Ja jednak nienawidziłam tego miejsca.

Nienawidziłam reguł, nienawidziłam rutyny, nienawidziłam stacji.

Chociaż chłopcy byli zabawni.

Jesse Broder. Były chłopak nr 45. Plusy: Zgrabna d.... Minusy: Straszny d...k.

- Hmmmm...

[ZACHOWAJ]

Co mam powiedzieć? Jestem dziewczyną o prostych gustach.

Słyszę cichy szept otwierających się drzwi na mostek. Podnoszę wzrok, spodziewając się Zili, która przysłała wziąć wachtę po mnie. Zamiast tego widzę naszą pasażerkę na gapie, Aurorę O'Malley. Dziewczynę spoza czasu.

Dziewczynę, która powinna być w łóżku?

- Skąd się tu wzięłaś? - pytam.

To może się wydawać trochę podłe, ale Ty rozsądnie uparł się, żeby zadbać o bezpieczeństwo naszej panny O'Malley i nie pozwolić jej szwendać się swobodnie po statku. Cokolwiek zobaczył na pokładzie niszcyciela TSO, kiedy ratował dziewczynę, nieźle to nim wstrząsnęło. Kiedy więc ona, Kal i Ty wyglądali już jak ludzie, Finian ulokował Aurorę w ładowni razem z kocykiem i dodatkowym kodem zamykającym drzwi, które najwyraźniej zapomniał zamknąć, bo dziewczyna stoi właśnie przede mną, a to pewne jak diabli, że nie powinna.

Zapamiętuję sobie, żeby później ochrzanić za to Finiana.

- Aurora? - pytam.

Dziewczyna nie odpowiada. Włosy ma zmierzwiłone po spaniu, grube siwe pasmo w grzywce plasuje się na delikatniej granicy między elegancją a dziwacznością. Oczy ma prawie zamknięte. Rzęsy jej trzepoczą. Jej prawa tęczówka jest teraz równie wybielona jak pasmo

w grzywce i niestety przekracza granicę między szykiem a dziwacznością, wpadając prosto w kategorię upiooooooorności.

Jej ruchy są sztywne, język ciała zupełnie niepoprawny i w pierwszym odruchu podejrzewam, że lunatykuje. To jednak nie wyjaśnia, jak wydostała się z ładowni. Chyba że kodowanie Finiana jest tak fatalne, że potrafi je złamać dziewczyna urodzona dwa stulecia temu. Przez sen.

Aha, naprawdę nagadam mu z tego powodu...

Aurora obraca głowę, jakby przyglądała się pomieszczeniu. Trudno wyobrazić sobie, co się dzieje w jej umyśle. Dwieście lat. Nie ma tu swojego miejsca, a w dodatku w Galaktyce wszystko się pochrzaniło. Niemniej jedno jest pewne: nie powinna znaleźć się na mostku.

- Nic ci nie jest? - pytam.

Zaczyna iść, klucząc w stronę pulpitu sterowniczego pilota. Mniej więcej w tej właśnie chwili uznaję, że bez względu na to, co tu się dzieje, nasza piękna bohaterka, legionista Scarlett Isobel Jones ma tego serdecznie dość.

Sięgam po pistolet-dezelator u pasa i wstaję.

- W porządku, moja piękna, jeśli tylko...

Jej prawe oko rozbłyskuje słabą, migoczącą poświatą, bładą jak księżycowe światło. Aurora unosi rękę, nawet na mnie nie patrząc, i niewidzialny cios w pierś sprawia, że uderzam o ścianę. Próbuję złapać oddech, wyciągnąć dezcelator, ale Aurora zagina palce jak szpony, jej oko płonie jaśniej i jakaś siła naciska na mój nadgarstek, powstrzymując mnie przed uniesieniem broni.

- *Mazsarpezip* - mówi głosem, który zupełnie nie brzmi jak jej własny. Jest pusty. Można odnieść wrażenie, że rozbrzmiewa w komorze pogłosowej. - *Imzcabiyw*.

Czuję ból, jakby niewidzialny uścisk miażdżył mi nadgarstki rąk. Wypuszczam dezcelator i kiedy upada ze stukotem na podkład, nacisk nieco słabnie.

Moje serce bije szaleńczo, zimny pot zlewa mi ciało. Zdaję sobie sprawę, że nie mogę poruszyć ani jednym mięśniem, że gardło tak mi się zaciska, że nie mogę odezwać się słowem. Aurora zerka na konsolę pilota, przechyla głowę, rzęsy jej trzepoczą. Prawe oko nadal jej płonie, włosy poruszają się lekko, jakby na wietrze. Wolną ręką zaczyna wpisywać komendy. Palce przeskakują po klawiaturze.

- C... - Krzywię się, próbując wykrztusić słowo przez miażdżone gardło, zaciskam zęby. - Co... robisz?

Zaczyna jej lecieć krew z nosa. Cienka czerwona linia sunąca ku ustom. Nie przestaje pisać, żeby ją otrzeć, i wtedy zdaję sobie sprawę, że majstruje w systemach nawigacyjnych. Wpisuje nowy kurs. Jest nowicjuszka, zupełnie nieprzeszkolona, nie zaliczyła ani jednej godziny lotu. Na Stwórcę, spędziła dwieście lat we śnie w Fałdzie.

Skąd ona wie, jak działają systemy nawigacji na Łuku?

- *Ytsiukeiw* - szepcze. - *Ezrbodezrbod*.

Słyszę, że zmienia się odgłos pracy silników, dyskretna zmiana związana z nowym kursem. Krew spływa teraz Aurorze po podbródku, skapuje na konsolę. Dziewczyna odwraca do mnie twarz. Nadal wyciąga rękę. Jej prawe oko świeci delikatnym, ciepłym blaskiem. Żołądek napęł-

nia mi się lodem, strach dudni mi w skroniach. Jednak mimo wszystkich wysiłków wciąż mam wrażenie, że niewidzialny ciężar wgniata mnie w ścianę.

Nie mogę się ruszyć.

Nie mogę walczyć.

Nie mogę nawet krzyknąć.

Aurora drży, krew spływa jej po podbródku. Marszczy czoło, porusza ustami powoli, stannie, jakby wymowa słów kosztowała ją wiele wysiłku.

- Z-z-zzappal-nnikkkk – mówi, wskazując na siebie. – Zapp...

Słyszę znajome bach! strzału z dezelatora. Aurora wytrzeszcza oczy i zatacza się. Nacisk trzymający mnie w miejscu słabnie i osuwam się na kolana. Zila stoi w drzwiach z bronią wycelowaną prosto w Aurorę.

Jeden strzał z dezelatora ustawionego na ogłuszanie wystarczy, żeby załatwić wyrośniętego rigelskiego kamiennego byka, ale jakimś cudem Aurora nadal stoi. Odwraca się i Zila znowu strzela, jej pistolet rozbłyśkuje. Aurora pada na kolana, jęczy, unosi jedną rękę w stronę naszej oficer naukowej. Jej prawe oko płonie jak słońce. I z bezdusnością, dzięki której zarobiła trzydzieści dwie kary dyscyplinarne, Zila nie przestaje strzelać...

BAM!

BAM!

BAM!

...aż Aurora pada twarzą na pokład.

- Zila – jęczę.

BAM!

- Zila!

BAM!

Zila mruga, patrzy na mnie z palcem wciąż na spuście.

- Tak? – pyta.

- Ona p-padła – jęczę. Głowa mi pęka. – Możesz p-przestać już do niej strzelać.

Zila patrzy na dezelator. Potem na nieprzytomną Aurorę wyciągniętą na pokładzie. I może dla pewności, a może dla zabawy nasza oficer naukowa strzela do nieprzytomnej dziewczyny raz jeszcze.

BAM!

- Ciekawe – mówi.

* * *

- Powinniśmy po prostu wyrzucić w przestrzeń to pomyłone chuchro – warczy Cat.

Zebrałiśmy się na mostku i stoimy wokół ciała nieprzytomnej Aurory O'Malley. Posadziliśmy ją przy jednym z dodatkowych stanowisk z magnetokajdankami na rękach, chociaż nie jestem pewna, co to da, jeśli dziewczyna się obudzi. Cat, Zila i ja celujemy w nią z dezelatorów, na wypadek gdyby postanowiła powtórzyć swój popisowy numer z atakiem na piękną, lecz twardo stąpającą po ziemi dyplomatkę. Mam teraz czas zauważyć, że Zila nosi nowe kolczyki –

te mają kształt małych złotych łańcuszków, z których zwieszają się malutkie wisioriki w kształcie broni. Ma tam pistolet, nóż i shuriken.

Poszła się przebrać, zanim przybiegła mi na ratunek?

Kal stoi w milczeniu w drzwiach, odymając w zamyśleniu te swoje jakże kształtne syldrańskie usta. Słyszając pomysł, żeby wyrzucić Aurorę za burtę, zerka na Cat.

- Nie bądź głupia - mówi głosem ociekającym pogardą. - Nie możemy jej zabić.

- Odpieprz się, Elfiku - warczy w odpowiedzi nasz As. - Prawie załatwiła Scarlett. Wyciągnij, proszę, głowę z własnego tyłka. Z góry dziękuję.

- Scar, na pewno nic ci nie jest? - pyta Tyler.

- Jasne - odpowiadam. - Jestem tylko trochę roztrzęsiona.

- Ona naprawdę... unieruchomiła cię, tylko na ciebie patrząc?

Kiwam głową, masując szyję. Znowu jesteście w Fałdzie i lecimy tam, dokąd skierowała nas Aurora, majstrując w nawigacji, zanim Zila ją ogłuszyła. Siniaki na moim nadgarstku są ciemne i paskudnie szare. W Fałdzie skóra przybiera odcień kości - prawie tak jasny jak światło wylewające się z oka Aurory, gdy mnie miażdżyła.

- Tyler... - odzywa się Cat. - Powinniśmy przebadać sobie głowy, jeśli zatrzymamy tę dziewczynę na pokładzie. Powinniśmy albo od razu ją wyrzucić w przestrzeń, albo solidnie ją uśpić i oddać władzom, zanim wyrokiem sądu wojskowego odeślą nas z powrotem do epoki kamienia łupanego.

Kal wygląda tak, jakby był gotowy sypnąć kolejnymi inwektywami, ale zanim się odezwie, rozlega się głos w systemie łączności.

- Złotko, jak mnie słyszysz?

Tyler puka w unikron.

- Słyszemy cię dobrze, Fin. Melduj, co u ciebie.

- Jestem w ładowni i muszę powiedzieć, że to chyba najbardziej przerażająca rzecz, na jaką się natknąłem, odkąd nakryłem moich trzecich dziadków, gdy miałem dwanaście lat.

- Wyjaśnij.

- No wiesz, odwołano moją wizytę lekarską, wróciłem do domu wcześniej i zastałem moją babcię i dziadka z miską sagaryny i długim na dwanaście cali...

- Na oddech Stwórcy, Finian, miałem na myśli stan ładowni! - warczy Tyler.

- Aha. Jasne. Nie jestem pewien, jak tego dokonała nasza mała pasażerka na gapę, ale wewnętrzne drzwi zostały obrane jak te rzeczy, jakie jadacie wy, ziemniaki. Nie pamiętam, jak się nazywają... Są okrągłe. Pomarańczowe.

- Pomarańcze?

- Aha, jak zwał, tak zwał. Rzecz w tym, że te drzwi są zrobione z utwardzanego karbonitu i tytanu. Wygięła je jakby były z tektury.

- Wyrzuć ją, Tyler - mówi Cat.

Kal odpycha się od ściany i staje nad Cat. Odzywa się głosem zimnym jak lód.

- Nie skrzywdzisz jej.

Zagryzam usta, zauważając spokój w głosie Kala przeczący intensywności jego spojrzenia. Syldrańska mowa ciała potrafi być bardzo trudna do odczytania, gdy w grę wchodzi coś więcej

niż stwierdzenie „Jesteśmy o nieeebo lepsi od was i owszem, dobrze o tym wiemy”, ale Kal wygląda, jakby był gotowy roznieść Cat na strzępy, gdyby choćby zamrugła, patrząc na dziewczynę, wobec której raptem dwanaście godzin temu zachował się jak skończony dupek.

Cat jest o stopę niższa od Kala, może nawet nieco więcej w tej chwili, gdy po drzemce jej irokez nieco oklapł. Tyle że nasz As nigdy nikomu nie ustępuje, więc teraz tylko prostuje się na całą długość przed naszym Czołgiem.

– Słyszałeś, co zrobiła w ładowni, Elfiku! Na wypadek gdybyś oblał inżynierię mechaniczną, to nasz kadłub jest zbudowany dokładnie z takich samych materiałów, co tamte drzwi. A ona na dodatek majstrowała przy moich sterach. Skąd mogła wiedzieć, jak to się robi, skoro dryfowała po Faldzie przez dwieście lat? Ta dziewczyna nie jest tym, czym się wydaje.

– Zgadzam się – odpowiada Kal. – I właśnie dlatego jej nie tkniesz.

Aurora jęczy i trzy dezelatory natychmiast zostają skierowane w jej stronę. Kal robi krok naprzód, patrząc na Tylera.

– Dowódcu, gdyby Aurora chciała zabić twoją siostrę, ona już by nie żyła – mówi. – Widziałeś, co zrobiła tamtym agentom.

– Nie da się ukryć, że widziałem. – Tyler przygląda się wiercącej się dziewczynie, a ja praktycznie widzę, jak obracają się trybiki w jego głowie. – Cat, jaki kurs wprowadziła do nawigacji?

Nasz As mruga zaskoczony i opuszcza broń. Odwraca się do konsoli pilota i klnąc pod nosem, ściera z niej krew, która skapnęła Aurorze z nosa, po czym wpisuje serię poleceń.

– Wiekuisty – oznajmia wreszcie.

– Co to takiego? – pytam.

– Nigdy nie słyszałaś o Statko-Świecie? – dziwi się Cat.

– Astrografia nie jest moją mocną stroną – odpowiadam. – Pamiętam, że większość zajęć przespałam.

– Pamiętam, że przespałaś się z...

– WIEKUISTY – rozlega się radosny głosik i stary unikron Tylera rozświetla się w kieszeni na piersi Aurory. – ZNANY TEŻ JAKO STATKO-ŚWIAT. ZNAJDUJE SIĘ GŁĘBOKO W STREFIE NEUTRALNEJ I STANOWI CENTRUM HANDLOWE POZA RZĄDOWĄ JURYSDYKCJĄ, KTÓRYM KIERUJĄ... MIĘDZYGWIEZDNI PRZEDSIĘBIORCY.

– To oznacza kosmicznych piratów – odpowiada Cat.

– STARAŁEM SIĘ BYĆ UPRZEJMY – odpowiada urządzenie.

– Tryb cichy – warczy Tyler.

– RETY...

Unikron milknie, a Cat wywołuje trójwymiarowy schemat Wiekuistego nad centralną konsolą. To ogromna zbieranina setek tysięcy statków różnych typów, modeli i rozmiarów, poskręcanych razem, pospawanych ze sobą i zgniecionych w jedną masę, żeby przyjęły z grubsza kształt ogromnej, krzywej sfery. Piękna. Ohydna. Pod każdym względem niemożliwa.

– Wiekuisty był początkowo samotnym portem kosmicznym, którym zarządzał kartel kosmicznych rabusiów – wyjaśnia Cat. – Pirackie załogi wyładowywały tam towar, sprzedawały łupy, wyruszały stamtąd po nowe zdobycze. Jednak przez ostatnie pięćdziesiąt lat Wieku-

isty się rozrósł. Statki, które postanawiały zostać, po prostu dołączały się do już istniejącej struktury. Teraz Wiekuisty ciągnie się w nieskończoność. Jest praktycznie tak duży jak mały księżyc. Stąd nazwa: Statko-Świat.

Patrzę na Aurorę, która nadal garbi się w krześle.

- To dlaczego ona chce, żebyśmy tam polecieeli?

Jakby wyczuła, że o niej mówię, Aurora jęczy i powoli unosi głowę. Krzywiąc się z bólu patrzy na trzy dezelatory wycelowane w jej twarz. Jej oczy nie od pary najpierw otwierają się szeroko, a potem dziewczyna mruży oczy, gdy zdaje sobie sprawę, że ma założone kajdanki. I z tego, że czuje smak krwi na ustach.

- Ehm... Jeśli to kolejna wizja, to chcę się obudzić - mówię.

- Nazywasz to przeprosinami? - pytam.

- A za c-co przepraszam? - Znowu się krzywi, powoli poruszając szyją i ramionami, żeby je rozluźnić. - I... dlaczego czuję się, jakbym brała udział w... wypadku s-samochodowym?

- Co? Nie pamiętasz, jak cisnęłaś mną o ścianę, nawet mnie nie dotykając? Ani tego, że Zila strzeliła do ciebie pół tuzina razy z dezelatora?

Kalejdoskop emocji na jej twarzy. Strach. Niepokój. Frustracja. Niekłamana konsternacja, kiedy się rozgląda i zdaje sobie sprawę, że nie znajduje się w pokoju, w którym zasnęła.

- N-nie - odpowiada.

- Komputer - wołam. - Odtwórz zapis z kamery monitoringu, 01:29 czasu okrętowego.

Komputer ćwierka i na głównym ekranie pojawia się nagranie. Aurora patrzy, całkowicie nieruchomieje, gdy widzi siebie - wchodzi na mostek, jej oko zaczyna płonąć, gdy unosi rękę i ciska mną o ścianę statku.

- *Mazsarpeżrp* - mówi Aurora na nagraniu dziwnym, kwilącym głosem. - *Imzcabyw*.

- Ja nie... - Aurora kręci głową i patrzy coraz bardziej spanikowana na Tylera. - Nic z tego nie pamiętam.

- To bardzo wygodne - stwierdza Cat.

- Ogromnie - wtrącam.

- Auri, dlaczego majstrowałaś przy nawigacji? - pyta Tyler beznamiętnym, surowym głosem. - Dlaczego chcesz, żebyśmy polecieeli na Wiekuistego?

Aurora kręci głową i szepcze:

- A co to jest Wiekuisty?

- Chwileczkę.

Wszyscy odwracają się do Zili. Bawi się leniwie malutkim nożykiem w kolczyku i wpatruje się w wyświetlane nagranie.

- Komputer, odtwórz nagranie od końca. W czasie rzeczywistym. Łącznie z audio.

Komputer potwierdza przyjęcie polecenia cichym sygnałem i zaraz patrzymy na postać Aurory przy konsoli pilota, jak wpisuje polecenia od tyłu. Strumyki krwi cofają się po jej podbródku i chowają w nosie. Upuszczony dezelator podskakuje z powrotem do mojej ręki. Aurora zerka na mnie i odzywa się tym dziwnym, świergotliwym głosem. Tyle że tym razem nagranie audio jest odtwarzane wstecz.

- Wybacz-mi - mówię. - Przepraszam.

Zila mruga, patrząc na nagranie.

- Komputer, odtwórz sekwencję między 02:43 a 02:52.

Nagranie przeskakuje do Aurory stojącej przede mną, wskazującą na siebie z twarzą wykrzywioną w ogromnym skupieniu.

- Z-z-zzappal-nnikkkk - mówi. - Zapp...

- Zapalnik - powtarza Zila, przechylając głowę.

- Co to znaczy? - pyta ją Tyler.

Nasza oficer naukowa odwraca się do Aurory, żeby obrzucić ją spojrzeniem ciemnych oczu.

- Nie mam pojęcia, dowódcu, ale jestem pewna, że nadkomendantka de Stoy miała powód, żeby umieścić tu Aurorę. Moim zdaniem powinniśmy dalej lecieć tym kursem.

Finian odzywa się przez system łączności.

- Może to ma niewielkie znaczenie, ale zgadzam się z małą świruską, Zlotko. Zaczyna się robić ciekawie.

- To pewne, że myśl o czekającym nas sądzie wojskowym na Stacji Aurora w żaden sposób nie wpływa na twoją decyzję, Finian? - pyta Tyler.

- W żadnym razie, dowódcu.

Tyler wzdycha i odwraca się do mnie. To może wyglądać jak drobiazg, ale jest jednym z głównych powodów, dla których mój młodszy brat stał się najlepszym Alfą w akademii. I to jeden z głównych powodów, dla których nie udusiłam go jeszcze podczas snu. Nigdy nie boi się prosić o radę, gdy tego potrzebuje.

Myślę o rozdartych drzwiach prowizorycznego więzienia. O cieniutkim kadhubie, który chroni nas przed czernią czekającą na zewnątrz.

- Powinniśmy wracać do akademii - mówię. - Jeśli porozmawiamy z dowódcztwem, może zdołamy jakoś się z tego wykaraskać. Wdepnęliśmy naprawdę solidnie.

- Pewnie, że wdepnęliśmy - warczy Cat. - Uważam, że powinniśmy oddać ją agentom.

- Czy muszę wam wszystkim przypominać słowa, jakimi ostrzegła nas nadkomendantka de Stoy? - pyta Kal. - Powiedziała „Ładunek, który przewozicie, jest o wiele cenniejszy, niż myślicie”. - Syldranin patrzy Ty'owi w oczy. - Admirał Adams zwrócił się bezpośrednio do ciebie, dowódcu. Powiedział, że musisz wierzyć. Co innego mógł mieć na myśli, jeśli nie to?

Tyler zagryza w zadumie usta.

Wtedy odzywa się Aurora.

- Ja chcę do d-d domu - mówi drżącym głosem. Łzy napływają jej do oczu i chociaż stara się zachować panowanie nad sobą, to powoli je traci. Podnosi wzrok na Tylera. - Nie powinno mnie tu być.

I chociaż prawie mnie zabiła, to gdy patrzę na tę biedną dziewczynę, ogarnia mnie współczucie. Kładę rękę na jej ramieniu i ściskam je delikatnie, a ona zwiesza głowę i łzy skapują jej na uda.

- Już w porządku, Auroro.

- Chcę się obudzić - szepcze zaciekle. - Chcę się obudzić na Octavii III, gdzie powinnam była się znaleźć.

Zila przechyla głowę.

– *Hadfield* leciał na *Lei Gong III* i...

– Nieprawda! – upiera się *Aurora* i ogień płonie w jej zapłakanych oczach, gdy piorunuje nas wzrokiem. – Mówię wam, że lecieliśmy na *Octavię*! Całymi latami studiowałam każdy centymetr tej planety. Wiem, dokąd lecieliśmy! Nie wiem, dlaczego próbują usunąć każdy ślad tego miejsca, każdy ślad mnie, ale to właśnie robią.

Cat kwituje jej wybuch, przewracając oczami, i bębni palcami o konsolę. Kal krzyżuje ręce, powraca jego typowa *syldrańska* bezdusznosc w obliczu wybuchu jakże ludzkich emocji. *Aurora* jednak ma to najwyraźniej w nosie.

– J-ja chcę do d-domu – powtarza i łzy znowu wzbierają jej w oczach, gdy porzuca próby zapanowania nad sobą. – Chcę odzyskać rodzinę. Nie prosiłam o nic takiego! Nie prosiłam o nic takiego i chcę wrócić do *DOMU*!

Tyler patrzy, jak dziewczyna się załamuje, i serce podchodzi mu do gardła. Jest ewidentnie zdezorientowany. Prawda jest taka, że nikt z nas nie wie, co, u diabła, tu robimy. Możliwe, że *de Stoy* i *Adams* mieli powód, żeby posłać tę dziewczynę z nami. *Tylera* jednak wychowano tak, żeby grał zgodnie z regułami, i widzę jak bardzo to teraz go gryzie. Ta myśl, że jesteście poszukiwanymi przestępcami, pewnie podejrzanymi o zamordowanie własnych ludzi.

Pogrążyliśmy się bardziej, niż mogliśmy to sobie wyobrazić.

– Trzy głosy za tym, żeby lecieć dalej, trzy przeciwko. Głos dowódcy rozstrzyga. – *Tyler* patrzy ze smutkiem na *Aurorę* i wzdycha. – Cat, ustaw kurs na *Akademii Aurora*. Lecimy do domu.

– Przyjęłam. – Cat się uśmiecha.

Kal wzdycha i kręci głową, ale nie sprzeciwia się. *Tyler* przeczesuje włosy ręką, gdy palce *Cat* śmigają nad przyciskami układu sterującego.

– W porządku, nowy kurs wprowadzony – melduje *Cat*. – Powinniśmy znaleźć się na stacji prz...

Łuk dygoce nagle i mocno. Wyciągam rękę, żeby się nie przewrócić, kiedy statek znowu się szarpie, ale lecę na ścianę i aż wrywa mi się okrzyk, gdy uderzam o tytanową grodz, a potem o podłogę. Odgarniam włosy z oczu i rozglądam się po mostku. Wszyscy leżą na pokładzie, wszyscy jęczą i się krzywią. Tylko *Kal* zdołał się nie przewrócić. Głos *Finiana* rozlega się trzaskiem w głośnikach:

– Na *Stwórce*, co to było?

– Coś w nas uderzyło? – dopytuje się *Tyler*.

– Nie ma niczego na skanerach – melduje *Zila*.

– *Cat*, raport – żąda *Tyler*.

– Właśnie... – *Cat* uderza w pulpit sterowniczy, żeby uzyskać potwierdzenie – ...się zatrzymaliśmy?

– Silniki są wyłączone?

– Nie, mam na myśli to, że stanęliśmy. Silniki pracują, ale my stoimy, zupełnie jakby... – *Cat* kręci głową. – Jakby coś trzymało nas w miejscu.

– Nie coś. – Biorę wdech. – Tylko ktoś.

Reszta drużyny patrzy w tym samym kierunku co ja i wreszcie wszyscy gapimy się na Aurorę. Nasza dziewczyna spoza czasu odchyliła głowę, jej prawe oko płonie widmową bielą. Całe jej ciało drży z wysiłku, żyły napinają się na jej szyi, na rękach. Na naszych oczach kolejna strużka krwi wypływa jej z nosa.

- Na oddech Stwórcy - szepcze Tyler.

- Z-z-zzapal-nnikkkkk - mówi Aurora.

Kłęcząca Cat celuje z dezelatora w głowę Auri, ale Kal ruchem miękkim jak jedwab staje między naszym Asem i jej celem.

- Zejdź mi z drogi!

- Nie skrzywdzisz jej!

Aurora patrzy na Tylera i całe jej ciało dygoce. Łuk też się trzęsie gwałtownie, przerażająco, jakby zaraz miał zostać rozdarty na strzępy.

- U-uuu... - jąka się Auri.

- Co? - szepcze Tyler, pochylając się.

- U-u-uwierz...

Kolejna seria dygotów obala mnie na podłogę. Kadłub jęczy wokół nas, nity piszcza, gdy zaczynają się obracać. Tyler patrzy na mnie. Na swoją drużynę. Na statek wokół nas, który dygoce tak potwornie, że może rozlecieć się na kawałki. Widzę trybiki obracające się szalenie czo za jego oczami. Ocenia niebezpieczeństwo grożące załodze. Myśli o ostrzeżeniu, jakiego udzielili nam de Stoy i Adams, gdy opuszczaliśmy stację. Sięga do wyrzuszenia pod kurtką mundurową - pierścień senatora, który należał do naszego ojca. Nosi go na tytanowym łańcuszku na szyi. Ty zawsze grał zgodnie z regułami. Odkąd, mając trzynaście lat, wyładowaliśmy na Nowym Gettysburgu i podpisaliśmy się na wykropkowanej linii.

„Ładunek, który przewozicie, jest o wiele cenniejszy, niż myślicie”.

- Uwierz... - szepcze Aurora.

Tyler zaciska zęby. Jego ręka wędruje z pierścienia taty na znak Stwórcy na kołnierzyku. Łuk dygoce i trzęsie się wokół nas, a Ty zaczyna czołgać się po wyginającej się podłodze do konsoli dowódcy. Loguje się do systemu nawigacyjnego i wprowadza nowy kurs.

Niemal natychmiast statek przestaje się trząść. Silniki nabierają mocy i czują nacisk wywołany przyspieszeniem mimo tłumików przeciążeniowych.

Światło w oku Aurory migocze i gaśnie, jakby ktoś przekręcił włącznik. Dziewczyna garbi się na krześle, krew kapie jej z nosa. Znowu jest nieprzytomna. Zila podbiega do niej, żeby sprawdzić jej stan, Kal oferuje pomoc. Cat mruży oczy, w drżących rękach ścisną dezelator. Ja patrzę na komputer nawigacyjny, nowy kurs wprowadzony właśnie przez Ty'a.

- Dokąd lecimy, Szczawiku? - pytam, chociaż znam odpowiedź.

- Na Wiekuistego - odpowiada cicho, rozglądając się po mostku.

- Jesteś pewien, że to dobry pomysł? - pytam.

- Nie wiem.

Znowu dotyka znaku Stwórcy na kołnierzyku i patrzy na Auri.

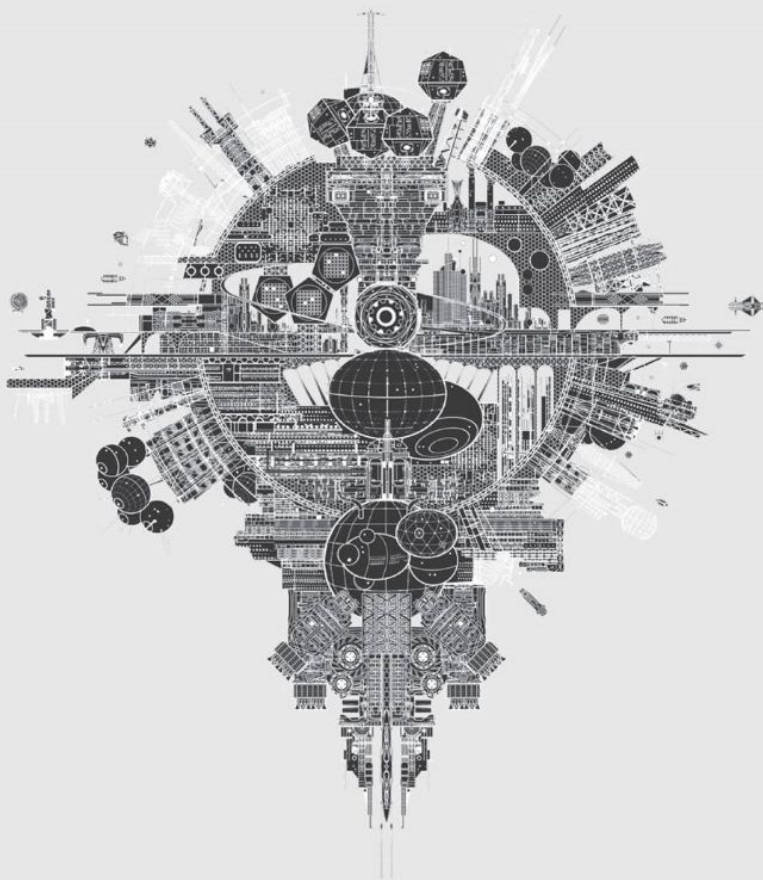
- Ale czasem trzeba po prostu mieć wiarę.

MIĘJSCA, KTÓRYCH NALEŻY UNIKAĆ

► ENKLAWY PIRACKIE

▼ WIEKUISTY

Aby wyświetlić szczegółową historię Statko-Świata, naciśnij **tutaj**.



Mapa niekompletna z powodu niesprzyjających warunków

Hic sunt zle istoty

- Jie-Lin, obudź się.

Otwieram oczy i przez chwilę zastanawiam się, gdzie jestem. Przypominam sobie sprzeczkę na mostku. Tylera, Kala, Scarlett i Cat. Jasne światło. Teraz jednak leżę na miękkim łóżku. Otacza mnie ciepła poświata. Poznają plakaty na ścianach. Obok mnie leży znajoma pluszowa wiewiórka.

Mój pokój.

Jestem w swoim pokoju.

- Jie-Lin?

Podnoszę wzrok i widzę nad sobą twarz, o której myślałam, że już nigdy więcej jej nie zobaczę. Okrągłe policzki. Zmarszczki na czole, z których moja mama zwykła żartować, że są tam, odkąd skończył piętnaście lat, bo tak bardzo zaskakuje go świat.

- Tata?

- Czekałem na ciebie, Jie-Lin.

Bierze mnie w objęcia i pierś mu drży, bo śmieje się i płacze, i ja też śmieję się i płaczę. I wszystko, co mogłam powiedzieć i powinnam powiedzieć, wypełnia mi głowę, bo on żyje i jeszcze nie jest za późno. Próbuję odsunąć się i odezwać, bo tak wiele rzeczy chcę mu powiedzieć.

Ale nie mogę.

Nie mogę się odsunąć. Trzyma mnie za mocno. Nie mogę oddychać i nie mogę mówić. Odpycham się ze wszystkich sił, próbuję go zepchnąć z siebie, ale on jakby był zrobiony ze smoły, kawałki ojca odrywają się, kiedy się odsuwam, długie nici jego postaci rozciągają się między nami, jakby był człowiekiem-ciągutką. Wsiąka pod moją skórę.

- Puść mnie!

Patrzy na mnie i uśmiecha się, jego tęczęwki mają kształt niebieskich kwiatów.

- Ra'haam - mówi.

- Puszczaj!

- Ra'haaaaaaam.

* * *

- Auroro?

Otwieram oczy z walącym sercem. Scarlett siedzi obok mnie, Zila i Kal stoją nade mną. W ustach mi zaschło i cała jestem obolała. Jednakże powoli dociera do mnie, że nadal tu jestem. Nie tam.

W koszmarze.

Nie wiem, czy powinno mi ulżyć, czy powinnam znowu się załamać. Nie jestem w domu, nie jestem w swoim pokoju. Znajduję się na statku kosmicznym milion lat świetlnych od domu. Zdaję sobie sprawę, że wszyscy przepadli, a mój tata...

Scarlett podaje mi kubek wody, patrzy z troską i podejrzliwością. Nie uszło mojej uwagi, że Zila trzyma rękę na pistolecie. Kal też jest uzbrojony i obserwuje mnie chłodnym spojrzeniem fiołkowych oczu, stojąc koło drzwi.

- Pamiętasz, co się stało? - pyta Scarlett.

Obrazy rozblyskują mi w głowie. Rzucam Scarlett o ścianę. Krew na moich ustach. Podniesione głosy. Skóra mojego taty stapiająca się z moją jak ciagutka. Jeden obraz płonie jaśniej od innych. Nazwa.

- Wiekuisty - mruczę.

Zila i Scarlett patrzą po sobie, ruda kiwa głową.

- Lecimy przez Fałdę już niemal cztery godziny. Prawie dotarliśmy na miejsce. Tyler poprosił, żebyśmy zabrali cię na mostek, na wypadek gdybyś miała... coś zobaczyć.

Mrugam mocno, żeby pozbyć się obrazu taty. Kawałków jego ciała stapiających się ze mną. Krzywię się, gdy Scarlett pomaga mi wstać. Znajdujemy się w jakichś pomieszczeniach mieszkalnych. Piętrowe łóżka, szafki i stalowoszary kolor, logo Legionu Aurory na ścianach. Dostrzegam swoje odbicie w lustrze. Białe pasmo w grzywce, biel mojej prawej tęczęwki. Nie wiem, co to wszystko znaczy, ale mam wrażenie, że z lustra patrzy na mnie ktoś obcy. Bezradny. Gniewny.

- Wiem, że wszyscy uważacie mnie za wariatkę - mruczę.

- Nikt nie uważa cię za wariatkę - mówi Scarlett, dotykając mojego ramienia. - Wiemy, że dużo przeszłaś.

- *Hadfield* leciał na Octavię III - tłumaczę zaciekle Scarlett. - Całymi latami przygotowywałam się do tej misji, czegoś takiego się nie zapomina. W każdej wolnej chwili studiowałam: uczyłam się na pamięć map, trenowałam wspinaczkę skalną, brałam udział w zawodach na orientację. A to wszystko z myślą o jednym celu: Octavii.

Scarlett uśmiecha się współczująco, ale kręci głową.

- Auri, sprawdziliśmy dane. Octavia III nie nadaje się do zamieszkania.

- To samo mówiłem - dobiega z mojej kieszeni. - Ale czy ona słucha? A skąąąą...

Zasłaniam ręką Magellana, żeby go uciszyć.

- To może polecimy to sprawdzić, co? Znam skład atmosfery, rozkład kontynentów, pokażę wam, gdzie są zewnętrzne posterunki i osada Butler...

- Octavię III obejmuje od setek lat kwarantanna - odzywa się Zila.

- A kiedy ostatnim razem obraliśmy inny kurs, prawie zniszczyłaś statek.

Podnoszę wzrok na Kala, gdy się odzywa. Jego twarz pozostaje jak zawsze nieodgadniona. Przypominam sobie nagrania, na którym atakuje Scarlett i jak trzymam rozdygotany statek

w miejscu, podczas gdy oko płonie mi bielą, więc trudno mi się z nim spierać.

– Wygląda na to, że tam masz się znaleźć – mówi Scarlett. – Możliwe, że my też lecimy tam, gdzie powinniśmy się znaleźć.

Znowu dotyka mojej ręki, uśmiecha się ciepło i życzliwie w porównaniu z lodowatym wzrokiem Kala. Wbrew sobie odpowiadam jej słabym uśmiechem. Głosowała, żeby zabrać mnie do akademii, ale teraz kiedy ich kurs został ustalony, dociera do mnie...

Że stara się być dla mnie miła.

– Chodź – mówi. – Tyler chce cię mieć na mostku.

Nie przeoczam spojrzeń, jakie Zila i Kal wymieniają, kiedy wychodzimy, ani tego, że Zila nie zdjęła ręki z broni przez całą naszą rozmowę. Idziemy jednak razem długim korytarzem, Kal przodem, Scarlett obok mnie i Zila za nami. Kości mi trzeszczą i serce dudni, dręczy mnie potworny ból głowy.

Kiedy wchodzimy na mostek, pozostali odwracają się do mnie, ale tylko na chwilę. Widzę na ogromnym ekranie nad centralną konsolą, że zbliżamy się do czegoś, co musi być Wiekuistym. Cat i Tyler są zajęci kluczeniem w labiryncie statków i członów cumowniczych, ładowarek i wahadłowców otaczających najbardziej niesamowitą rzecz, jaką widziałam w swoim życiu.

Przyszłość jest bardziej paskudna, niż się spodziewałam. Brudniejsza, niż być powinna. Wiekuisty wygląda jak wywrócone na nice gniazdo termitów z niekończącą się liczbą dobudówek ciągnących się we wszystkie strony. Tak wiele lśniących świateł, dziwnych kształtów i dziwacznych kątów, tysiące statków zespawanych i ześrubowanych razem w jeden wielki Statko-Swiat.

– Motyla noga – mrużę.

Skąd wiedziałam o istnieniu tego miejsca?

Skąd znałam jego nazwę?

Jak zatrzymałam nasz statek i skierowałam go do tego świata skleconego z setek tysięcy statków, których historia zakończyła się w tym miejscu?

Gdybym potrafiła odpowiedzieć na choćby jedno z tych pytań, zbliżyłabym się do zrozumienia tego, co się ze mną dzieje. Dlaczego mój własny rząd próbuje usunąć wszelkie ślady mojego istnienia. Korci mnie, żeby wybrać kurs na Octavię i przekonać się, co zostało z kolonii, o której wiem, że tam istniała. Jednakże to coś, co przejmuje nade mną kontrolę, doprowadziło nas tutaj, na Wiekuistego.

Idę więc tą ścieżką, próbuję zrozumieć, dlaczego skręca w tym kierunku. Mam nadzieję, że doprowadziła mnie tutaj, bo znajdę tu część odpowiedzi.

Scar pomaga mi usiąść przy dodatkowym stanowisku, a potem zajmuje swoje miejsce przy okrągłej konsoli. Wiem, że powinnam patrzeć na niesamowitą stację, do której powoli się zbliżamy, ale zamiast tego przyglądam się drużynie, która mnie otacza. Na szóstkę młodych żołnierzy. Nieznajomych, od których najwyraźniej zależy moje życie.

Drużyna 312.

Zastanawiam się, co sprawia, że są tym, kim są.

Co sprawia, że w ogóle tu są.

Cat skupia się głównie na lawirowaniu wśród dziesiątek przylatujących i odlatujących statków, na podpięciu się do słuzy i włączeniu do tłumy. Jednak kątem oka obserwuje mnie, co jakiś trzydzieści sekund zerka na mnie, prawie jak w zegarku.

Nie ufa mi.

Wcale się jej nie dziwię.

Tyler robi wrażenie zupełnie spokojnego, jeśli wziąć pod uwagę okoliczności. Zmierzwione blond włosy opadają mu na niebieskie oczy skupione na odczytach danych. Najwyraźniej obrał już kurs, podjął decyzję na dobre czy na złe. Mimo to czeka mnie długa droga, żeby przekonać jego siostrę i jego samego, a ja nawet nie wiem, co chcę, żeby wiedzieli na mój temat i za kogo mnie uważali.

Obok Tylera siedzi Fin, białe włosy nastroszone nad białą twarzą, trudno cokolwiek wyczytać z czarnych szkieł kontaktowych na jego oczach. Czasem trudno nawet się zorientować, gdzie patrzy. A z tego powodu w połączeniu z równie skuteczną tarczą w postaci sarkazmu trudno wyczytać, kim w ogóle jest. Teraz siedzi z pochyloną głową – naprawia albo modyfikuje coś w mechanizmie na przedramieniu za pomocą magnetycznego śrubokręta. Zila siedzi obok niego, ale wciąż wbija wzrok we mnie, jakbym była zagadką, którą zdoła rozgryźć, o ile włoży w to dostatecznie dużo pracy.

Kal zerka czasem na mnie, ale nie potrafię niczego wyczytać z jego oczu. Ponad sześć i pół stopy wzrostu, srebrne włosy i smukłe mięśnie. Wygląda, jakby wybierał się na naradę z Gandalfem albo coś w tym guście. Zachowuje się przy tym, jakbym był lepszy ode mnie. Uznał, że będę tylko zawadzać. „Nie zasługuje na twoją uwagę” – powiedział. Chyba to, że jest z obcej rasy, nie oznacza, że nie może być skończonym dupkiem.

Wszyscy są wobec mnie w większym lub mniejszym stopniu podejrzliwi. Niektórzy się mnie boją. Sama boję się siebie, ale staram się być odważna. Nie wiem, co się dzieje, ale chcę to zrozumieć równie mocno jak oni. Wiedzieć, dokąd zmierzam i dlaczego. Jak mogę dokonywać niemożliwych rzeczy, których dokonałam. Niestety ledwie ogarniam, od czego uciekam, nie wspominając już o tym, ku czemu zdążam.

Mimo to na tej stacji mogą znajdować się wszystkie potrzebne mi odpowiedzi. Jak powiedziała Scarlett, może zmierzymy dokładnie tam, dokąd powinniśmy.

Cumowaniu towarzyszy delikatny wstrząs, rozlega się seria łoskotów i krótka seria elektronicznych sygnałów, kiedy podłączamy się do systemu dokującego. Ręce Cat tańczą nad konsolami, kiedy wyłącza główny napęd. Całuje opuszki i przyciska do monitora, a potem do pluszowego smoka, który na nim siedzi. Dudnienie silnika powoli cichnie, komputerowe odgłosy milkną. Wszyscy patrzą po sobie, zastanawiając się, co teraz.

– Potrzebujemy trzech rzeczy – odzywa się Tyler, przerywając krępujące milczenie.

Fin podnosi wzrok znad robótki i odpowiada bez chwili wahania:

– Wybieram parę czystych spodni, profesjonalną masażystkę i kieliszek laraskiego semp-taru.

Tyler dzielnie kontynuuje.

– Schronienia, informacji i nowych ubrań. Zatem Fin z jedną rzeczą trafił. Tym miejscem zarządzają międzygwiazdni piraci, więc nie zajdziemy daleko w mundurach.

- Potrzebujemy czterech rzeczy – poprawia go Cat.

- Musimy dowiedzieć się, dlaczego Aurora nas tu sprowadziła – podsuwa Zila.

I znowu wszyscy na mnie patrzą. A mnie bolą mięśnie po poprzednim napadzie (czy jak nazwać to, co się ze mną działo), echa koszmaru wciąż zalegają w mojej głowie, jestem zmęczona i nadal nie znam żadnych odpowiedzi.

Scarlett przychodzi mi na ratunek.

- Pójdę kupić ubrania. W takim miejscu z łatwością znajdę targ. I mam lepszy gust od was wszystkich razem wziętych.

Tyler sprawia wrażenie odrobinę urażonego.

- Ej, ja...

Scarlett piorunuje go wzrokiem i Tyler rozsądnie milknie.

- Mam tu kuzyna – odzywa się Fin. – Mogę załatwić nam miejsce, gdzie się przyczaimy.

Zila patrzy na niego zdziwiona.

- Co za niezwykły zbieg okoliczności.

- Nie całkiem – odpowiada Fin, machając ręką, jakby mówił „masz rację, ale nie do końca”.

- Ściślc rzecz biorąc, to daleki kuzyn mojej trzeciej matki po kądzieli, wnuk jej brata cioteczno-go, ale zwykle mówimy po prostu „kuzyn”.

- Kuzyn trzeciej matki...? – Ty przechyła głowę i prawie wyczuwam, jak pozostali liczą na palcach rąk i nóg, żeby doliczyć się tego pokrewieństwa.

- Rodzinne zjazdy to skomplikowana rzecz dla Betraskan. – Fin uśmiecha się znacząco.

- Idź poszukać swojego kuzyna – mówi Tyler. – Weź ze sobą Cat.

Cat się dziwi.

- Powinam...

- Nie wyślę go samego. Nikt nigdzie nie chodzi sam. Scarlett, weź ze sobą Zilę. Ja wezmę Kala i Auri, rozejrzemy się trochę. Może Auri zobaczy coś albo kogoś, kogo rozpozna, i zorientujemy się, co tu właściwie robimy. Korzystając z kont, zdradzimy swoją lokalizację, więc robimy zrzutkę, niech wszyscy wyskakują z kredytów.

* * *

Nikt nie sprawdza naszych dokumentów ani nie zadaje żadnych pytań, gdy wychodzimy przez służbę powietrzną do długiego korytarza z licznymi ciężkimi drzwiami. Jest zbudowany z przezroczystego materiału, więc widzę, że od każdego łuku ciągnie się kolejny korytarz, łączący się ze statkiem na drugim końcu, jakbyśmy byli częścią jednej ogromnej kiści winogron. A poza statkami błyszczą gwiazdy, przyćmione przez światła stacji.

- Pięknie – szepczę.

- Upiornie – odzywa się idący obok mnie Fin.

Macha ręką, zbywając całą chwałę Galaktyki. I chociaż gdera, dociera do mnie, że próbuje nawiązać rozmowę. Nikt inny w tej chwili nic nie mówi, więc pytam:

- Nie lubisz gwiazd?

- Nie - odpowiada cicho, chociaż raz bez kpiny, i wpatruje się w podłogę. - Mnóstwo tych gwiazd tak naprawdę umarło miliony lat temu. Po prostu są tak daleko, że światło, które wyprodukowały przed śmiercią, jeszcze nie skończyło do nas dolatywać. - Macha ręką na Galaktykę za szkłem. - Patrzysz na niebo pełne duchów.

- To przygnębiające.

- Moi ludzie mieszkają pod ziemią. - Wzrusza ramionami. - Otwarte przestrzenie... nie szczególnie nam leżą.

- I zgłosiłeś się do służby wojskowej w kosmosie? - Scarlett prychna obok nas.

- Aha. - Mruga porozumiewawczo. - Jestem intrygujący, co?

Scarlett przewraca oczami. Docieramy na drugi koniec hangaru. Kolejna śluza przepuszcza nas przez jakiś skan pełen rozbłyskujących kul i przecinających się nad naszymi ciałami promieni, a potem wypadamy na promenadę tętniącą życiem, światłem i dźwiękami. Kiedy gwiazdy znikają nam z oczu, Fin robi wrażenie odrobinę spokojniejszego. Prostuje się i klepie Cat po plecach.

- Poszukajmy miejsca, gdzie, wiesz, możemy „rozbić obóz”.

- Nigdy nie posługuj się słowem „rozbić” w rozmowie z pilotem. - Cat się krzywi. - I jeśli raz jeszcze mnie dotkniesz, to nakarmię cię własnymi palcami.

- Lubię cię, Zero. - Fin uśmiecha się szeroko, a przydomek brzmi w jego ustach, jakby tylko odrobinę się z niej nabijał. - Nigdy się nie zmieniaj, dobrze?

Cat rzuca Tylerowi oskarżycielskie spojrzenie, a potem razem z Finianem znikają w tłumie, żeby znaleźć nam miejsce, gdzie zdołamy się przyczaić. Scarlett i Zila ruszają na targ z większością naszych pieniędzy w kieszeniach (czy też biustonoszu, jak to jest w przypadku Scarlett), żeby znaleźć nam przebrania. Zostają z Kalem i Tylerem. Stoją po obu moich stronach, a ja gapię się na otaczający nas tłum.

Wielu przechodni to ludzie, a przynajmniej większość przypomina ludzi. Jest tu całkiem sporo Betraskan, ubranych głównie w ciemne kolory dopasowane do ich szkieł kontaktowych, które podkreślają papierowy odcień ich skóry. Zdają sobie sprawę, że żaden z nich nie nosi stelażu na całym ciele jak Fin. Zastanawiałam się, czy to coś typowego dla jego rasy, ale najwyraźniej tylko on nosi coś takiego.

Dostrzegam paru srebrnowłosych Syldran w oddali, ale bliżej nas są inni... kosmici, jak się domyślam. Widzę ciemnoniebieską skórę i czerwone łuski, oczy zakryte goglami z żółtymi szklami, ukrytymi głęboko w zmarszczkach wilgotnych szarych twarzy.

Gapię się na parę w powłóczystych jedwabnych szatach, które falują jak woda, a potem na grupkę postaci, które ledwie sięgają mi do pasa, ale są potężnie zbudowane - domyślam się, że to skutek życia na planecie o dużej grawitacji. Muszą tu być dziesiątki ras, których nigdy dotąd nie widziałam. Żadna z tych istot nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi.

- To dokąd idziemy? - pytam.

- Tam, gdzie zawsze znajdzie się najświeższe wieści. - Uśmiech Tylera zdradza zmęczenie.

- Do baru.

Wchodzimy w tłum, który gęstnieje, gdy oddalamy się od hangarów. Kal idzie przodem, a wyraz jego oczu w cudowny sposób chroni przed naruszeniem naszej przestrzeni osobistą.

Idzie wyprostowany, krokiem drapieżnika, z ręką blisko broni. Większość ludzi zerka raz na trzy skrzyżowane ostrza na jego czole i omija nas szerokim łukiem.

Nie potrzebujemy dużo czasu, żeby namierzyć coś, co, jak się domyślam, jest barem. Fasada jest upstrzona światłami i dziwnymi neonowymi literami. Wchodzimy wąskimi drzwiami, tak niskimi, że obaj chłopcy muszą się schylić. Słabe światło rozbłyskuje we framudze, gdy jesteśmy skanowani, powietrze smakuje cynamonem i gumą. Przystajemy na chwilę i się rozglądamy.

Ja piórkuję, to miejsce jest niewiarygodne.

Wygląda jak skrzyżowanie baru w klubie sportowym z knajpą z westernu rozciągnięte na trzech obracających się kolistych poziomach. Ciała wszelkich kształtów i rozmiarów siedzą na stołkach barowych i przy stolikach, głowy są pochylone, ich właściciele prowadzą ściszone rozmowy. Zespół pięciu... Stworów? Istot? Jedno i drugie? Gra w kacie przepiękną muzykę. Wszyscy muzycy mają przezroczystą skórę i macki zamiast palców.

Zaciskam zęby, żeby szczeka nie wlokła mi się po podłodze.

Na obrzeżach sali stoją stoły wyłożone fluorescencyjną żółcią. Znajdują się na nich barwne kamienie – okrągłe, sześciennie i nieregularne – ułożone w zawiłych wzorach, które ewidentnie coś znaczą dla tłoczących się wokół nich graczy. Widzę kobietę o niebieskiej skórze i wysoko wysklepionej głowie, w tunice, która wygląda prawie jak jej własna skóra, więc trudno powiedzieć, gdzie jedno się kończy, a zaczyna drugie. Uśmiecha się i delikatnie szturcha zielony kamień długim kijkiem, odpychając inny kamień na bok. Rozlega się chór okrzyków w tłumie. Nie potrafię powiedzieć – zachwyconych czy gniewnych.

Wielki bar wygląda jak wyspa pośrodku pomieszczenia. Jest spowity bladuróżowym dymem. Ciąg ekranów obraca się wokół niego, pokazując tuzin szybko rozgrywających się meczów. Nie poznaję sportów, ale wiem, co widzę.

– Znajdź stolik, Kal – mówi Tyler. – Ja zamówię nam coś do picia.

Wygląda na to, że nie stanowią części drużyny w głowie Ty'a, gdy trzeba podjąć decyzję. To mnie trochę irytuje. Wiem, że jestem tu całkiem nowa, ale nie lubię, gdy traktuje się mnie jak bagaż. Zamiast więc dać się zaprowadzić, ruszam pierwsza w głąb pomieszczenia, a Kal idzie za mną.

Kiedy znajdujemy pustą wnękę ze stolikiem z dobrym widokiem na cały bar, siadam obok pustych kieliszków i zerkam na Syldranina.

– Może być?

Kal rozgląda się i najwyraźniej odpowiada mu mój wybór, bo siada naprzeciwko bez słowa. Przyciska guzik na stole, wyłączając maleńkie trójwymiarowe postaci grające w kosmiczny futbol na białej. Wciskam się w kąt, a on zostaje bliżej wyjścia i obserwuje obracające się pomieszczenie. Kosmici w barze mają różne kształty i kolory, są ubrani w najróżniejsze stroje od niechlujnych kombinezonów mechaników po opalizujące szaty i wszystko, co znajdzie się pomiędzy.

Mam wrażenie, że śnię.

Możliwe, że wariuję.

Przynajmniej głowa mnie nie boli, ale za to ból mięśni przypomina mi, co się wydarzyło na mostku Łuku. Przed oczami wciąż mam obraz siebie na ekranie, jak ciskam Scarlett o ścianę nawet jej nie dotykając. Wciąż słyszę słowa, które wypowiedziałam nieswoim głosem. Zmuszam się, żeby znowu rozejrzeć się po barze. Czy kryje się tu jakaś wskazówka, coś, co pomoże mi domyślić się, dlaczego ja, albo coś, co mnie opętało, uparło się, żebyśmy tu przylecieli?

– Niedługo wróci. – Głos Kala mnie zaskakuje.

– He?

Kiwa głową w stronę Tylera.

– Nie martw się. Niedługo wróci.

Nie martwiłam się tym szczególnie. Jeśli już, to raczej Kal robi wrażenie bardziej zaniepokojonego niż ja. Wtedy zdaję sobie sprawę, że nie patrzy na Tylera, ale na grupę ubranych na czarno Syldran przy barze.

– Twój przyjaciele? – pytam, zerkając na grupę.

– Nie.

To słowo ma swój ciężar i upada między nami jak kamień.

– To kim są?

Kal udaje, że mnie nie słyszy. Nie odrywa oczu od Syldran. Łapię się na tym, że znowu jestem poirytowana. Mam dość tego, jak się do mnie odzywa, i tego, że czasem w ogóle nic nie mówi. W porządku, to sześć i pół stopy seksownego ciacha, ale, ja piórkuje, jak on mnie wkurza!

– Niech zgadnę – mówię. – Nie zasługuję na ich uwagę.

– Prawie na pewno – odpowiada, wciąż na mnie nie patrząc.

– Więc zasadniczo nie powinnam zawracać sobie nimi mojej ślicznej główki?

– W rzeczy samej.

Biorę głęboki wdech i w końcu złość bierze we mnie górę.

– Wszyscy Syldranie są tacy zarozumiali?

Mruga i wreszcie raczy na mnie spojrzeć.

– Nie jestem zarozumiała.

– Gdybyś jeszcze bardziej zadarł nosa, znalazłby się na orbicie. Co masz do mnie? Nie prosiłam się o to, żeby tu być. Miałam obudzić się na Octavii III u taty, a zamiast tego ukrywam się na pirackiej stacji kosmicznej z powalonym okiem, idiotycznymi włosami i protekcjonalnym dupkiem.

Kal marszczy wytatuowane czoło.

– Co to jest dupek?

– Sprawdź w lustrze, Elrondzie.

Patrzy jeszcze bardziej zdumiony.

– Nazywam się Kal.

– Jesteś. Nie. Do. Wyrzymania.

Krzyżuję ręce i piorunuję go wzrokiem. Patrzy na mnie, przechylając głowę.

– Jesteś na mnie... zła?

Zatkało mnie, więc tylko patrzę.

- Dlaczego jesteś zła? Przecież cię chronilem.

- Nie, traktowałeś mnie jak smarkulę. Nie jestem głupia. Nie oderwałeś oczu od tych Syl-dran, odkąd usiedliśmy, ani na chwilę nie zdjąłeś ręki z pistoletu. Jeśli więc tak bardzo chcesz mnie chronić, pomóż mi zrozumieć, dlaczego się denerwujesz, zamiast mnie ignorować.

Patrzy na mnie w milczeniu przez długą chwilę. Zastanawiam się, czy w ogóle mi odpowie. Ten chłopak w jednej chwili jest letni, a w drugiej lodowato zimny. W ogóle go nie rozumiem.

W końcu jednak się odzywa.

- Moi ludzie dzieli się na grupy, które nazywamy ligami. Tkacze. Robotnicy. Obserwatorzy. Syldranie, których poznałaś na stacji Sagan, to byli Wędrowcy. Najwięksi mistycy spośród nas, oddani studiom nad Fałdą. - Puka się w tatuaż na czole. - Wszyscy nosimy tu symbole. Znaki swojej ligi.

Uspokajam się nieco. Nadal przemawia jak lord Nadęty Pyszałek, ale przynajmniej coś mówi. To punkt na jego korzyść.

- Nosisz inny symbol niż tamci z Sagana - zauważam.

- Tak. - Kolejne ciężkie słowo. - Należę do Zbrojnych. Jesteśmy wojownikami.

Obrzucam go spojrzeniem. Tak. Tym właśnie jest. Kiedy mu się przyglądam, dociera do mnie, że jest stworzony do przemocy. Sposób, w jaki chodzi, w jaki mówi, każdy jego ruch subtelnie to komunikuje. Kryje się w nim gniew, żarzy się pod zimną, opanowaną powierzchnią. Kal trzyma ten płomień na uwięzi, ale wyczułam go, gdy stawał przed Aedrą na stacji Sagan. Wyczuwam go też teraz, kiedy odwraca się, żeby popatrzeć na Syldran.

- A oni, z której są ligi? - pytam, kiwając głową w stronę grupy w czerni.

- Z żadnej. To Nieugięci.

- Przecież dopiero co powiedziałaś...

- Moi ludzie walczyli z twoimi przez wiele lat - przerywa mi, tracąc zarobione punkty i znowu mnie wkurzając. - To były zaciekle walki. Należę do garstki Syl-dran, którzy wstąpili do Legionu Aurory po zawarciu pokoju. Większość nadal mi nie ufa. Dlatego wylądowałem w drużynie Tylera Jonesa. Jednak nawet po zakończeniu wojny część Zbrojnych wciąż nie chce uznać pokoju zawartego między Terranami i Syl-dranami. Nazwali siebie Nieugiętymi i teraz walczą z Syl-dranami, którzy poparli pokój z Terrą.

- Robią wrazenie... przyjaznych - ryzykuję stwierdzenie.

- To sarkazm, mam nadzieję.

- Genialna dedukcja, Sherlocku.

Tyler siada obok mnie i słyszy ostatnie słowa Kala. Przyniósł trzy szklanki tak zimne, że pokryła je cienka warstewka szronu. Każda ma pasek izolacyjny, żeby można było ją złapać i palce nie przymarzły do powierzchni. I drugi pierścień z gumowych pasków chroniących język przed podobnym losem.

- O czym rozmawiamy? - pyta, podając nam drinki.

- O dupkach - odpowiada Kal.

- Po której stronie stoją ludzie? - pytam Tylera, żeby dowiedzieć się więcej. - To znaczy w syldrańskiej wojnie?

Ty patrzy na Kala i na mnie, ewidentnie zastanawiając się, ile mi powiedzieć.

- Po niczyjej - odpowiada w końcu. - Gwiazdobójca o to zadbał.

Urywa, a Kal zamyka oczy, słysząc to dziwne określenie.

- A to co znowu?

- Nie co, tylko kto - mruczy Kal.

Z mojej kieszeni na piersi dobiega cichy sygnał.

- CAERSAN ZWANY GWIAZDOBÓJCĄ TO ZBUNTOWANY SYLDRAŃSKI ARCHONT I PRZYWÓDCA NIEUGIĘTYCH. JEGO ODŁAM WYŁOŃIŁ SIĘ Z SYLDRAŃSKIEGO RZĄDU W 2370, KIEDY WYDAWAŁO SIĘ, ŻE ROZMOWY POKOJOWE Z ZIEMIĄ ZAKOŃCZĄ SIĘ SUKCESEM. NIEUGIĘCI ZAATAKOWALI TERRAŃSKIE SIŁY PODCZAS WYNEGOCJOWANEGO ZAWIESZENIA BRONI, UDERZAJĄC W STOCZNIE NA SIGMA ORIONIS. - Kolejne piknięcie. - CHCESZ DOWIEDZIEĆ SIĘ WIĘCEJ?

- Magellan, siedź cicho - szepczę.

Dotykam ekranu, włączając tryb cichy. Mieć gadającą encyklopedię w kieszeni to jedno, ale porozmawiać z ludźmi, którzy to rzeczywiście przeżyli, to całkiem co innego. Widzę, że i Tyler, i Kal mają więcej do powiedzenia. Dla nich obu ta historia naprawdę coś znaczy.

Patrzę na Tylera, czekając, aż się odezwie.

Dotyka łańcuszka na szyi i zawieszono go na nim pierścienia. Patrzy w dal. Przypominam sobie, że to samo zrobił w centrum medycznym.

- Mój tata... był senatorem. A także byłem terrańskim żołnierzem. Kiedy Nieugięci zaatakowali Sigma Orionis, Terra wezwała wszystkich pilotów w rezerwie...

Widzę smutek w jego oczach, gdy mówi, i dociera do mnie...

Jego ojciec musiał tam zginąć.

- Pamiętajcie o Orionie - mówi cicho Kal.

Tyler zerka wtedy ostro, ale wysoki chłopak znowu patrzy na tamtych Syldran. Mówi tak cicho, że ledwie go słyszę.

- Atak na Oriona przedłużył wojnę o osiem lat. Ostatecznie nasze ludy zawarły pokój, ale Nieugięci prowadzą od tamtej pory rebelię. Rok temu... - Kal zaciska usta i kręci głową. - Zaatakowali Evaę. Gwiazdę, wokół której krążył nasz ojczysty świat, Syldra.

- Nikt nie wie, jak tego dokonali, ale sprawili, że syldrańskie słońce zapadło się w siebie - dodaje ściszym głosem Tyler. - Zmienili gwiazdę w czarną dziurę, która zniszczyła wszystko w swoim układzie planetarnym.

- Zginęło dziesięć miliardów Syldran. - Kal patrzy na mnie, a smutek w jego oczach przeżywa mi serce. - Dziesięć miliardów dusz poszło do Pustki.

Myślę o tej liczbie. Próbuję ją jakoś ogarnąć.

- Gwiazdobójca - mruczę.

Tyler kiwa głową.

- Póki dysponuje taką bronią, cała Galaktyka się go boi. Dał jasno do zrozumienia, że dopóki Ziemia będzie zachowywała neutralność w konflikcie, który teraz przerodził się w syldrańską wojnę domową, nie skieruje swojej uwagi na nas.

Siedzimy przez chwilę w milczeniu, powietrze w pomieszczeniu wydaje się cięższe, światło nieco bardziej przygaszone. To Kal zmienia temat. Jego głos brzmi chłodno, emocje znowu

ukrywa za lodowym murem:

– Usłyszałeś coś ciekawego w barze?

Tyler wzdycha i kręci głową.

– Barmanka bez wątpienia zauważyła mój mundur, ale najwyraźniej nie uważała, że ma jakieś wieści, którymi warto się podzielić. Przynajmniej na razie nie rozniosła się wieść o naszym ataku na TSO.

Popijam powoli drinka, myśląc o tym, czego się dowiedziałam. Słodki, musujący napój prawie wibruje mi na języku, jest orzeźwiający i zarazem pobudzający. Zerkam to na Tylera, to na Kala i zastanawiam się, na których z naszych licznych problemów i tajemnic skupiają się najbardziej w tej chwili. Na tym, że stali się wyrzutkami pośród własnych ludzi? Że są jedynymi świadkami terrańskiej masakry na stacji Sagan? Że wylądowaliśmy tu bez planu czy nawet pomysłu na plan?

Czy też na tym, że jestem jedyną przyczyną tego całego bałaganu?

Nie mam żadnych odpowiedzi. Nic nie wiem o kolonii, o moim ojcu, o tym, co się ze mną dzieje. Jednak z każdym dniem dowiaduję się czegoś więcej na temat Galaktyki, w której się znalazłam. I poznam prawdę, nawet jeśli to będzie ostatnia rzecz, jakiej dokonam.

– Nie podnoście głów – mówi Kal głosem chłodnym jak drink w moim ręku. – Ci Nieugięci właśnie idą w naszą stronę.

Robię, co każe Kal, i unoszę tylko wzrok. Pół tuzina Syldran idzie do nas, przecinając tłum jak noże. Na pierwszy rzut oka są do siebie podobni. Podobni do Kala. Długie srebrne włosy mają splecione w zawiłe warkocze, ich oczy są w różnych odcieniach fioleto. Noszą eleganckie czarne zbroje, porysowane i podniszczone w walce, pomazane liniami białej farby, skręcającymi się w piękne litery języka, którego nie znam. Wszyscy są wysocy, smukli i silni. Eteryzni i pełni gracji. I wszyscy mają taki sam symbol, jaki zdobi czoło Kala.

Trzy ostrza.

Kiedy się zbliżają, zauważam, że każdy różni się trochę od pozostałych. Jeden ma wsunięte we włosy kości. Kobieta nosi przewieszony przez pierś pas. Po chwili zdaje sobie sprawę, że jest zrobiony z nanizanych szpiczastych uszu. Nosi go, jakby to była najbardziej upiorna na świecie szarfa królowej piękności. Najwyższy Syldranin ma potworną bliznę na przystojnej twarzy. Jednak wszyscy zachowują się podobnie – są zimni i groźni, promieniają pogardą i otacza ich aura sygnalizująca, że w każdej chwili mogą użyć przemocy. Wiedziałabym, nawet gdyby nikt mi o tym nie powiedział – ci Syldranie żyją dla wojny.

Na przedzie idzie kobieta. Jej srebrne włosy są splecione w tak ciasny warkocz, że musi powodować niezły ból głowy. Może z tego powodu ma wyjątkowo nieprzyjazną minę.

– Istota ludzka, widzę, że masz pupilka – odzywa się do Ty'a.

– To członek mojej drużyny, który właśnie relaksuje się przy drinku, tak samo jak ja – odpowiada Tyler, uprzejmie kiwając głową na powitanie. – Nie szukamy kłopotów.

Fala niechęci przepływa przez grupę Syldran.

– Porzucił słuszną sprawę swoich ludzi – mówi przywódczyni. – Szuka towarzystwa Terran, kiedy niedokończona praca wciąż czeka na wszystkich Zbrojnych. Dopóki nasi ludzie nie zjed-

noczą się pod przywództwem archonta Caersana, nie ma dla nas spoczynku, bez względu na nasze chęci. To zdrajca. Cho'taa.

Za jej plecami rozlega się zgodny pomruk. Wszyscy mrużą skrzyżując się nienawiścią oczy. Są piękni i brzydki zarazem. Kobieta pochyla się i powoli spluwa na stolik między Kalem i Tylerem.

- Powinieneś uważać, żeby w następnej kolejności nie zdradził ciebie, Terraninie.

- Nie chcesz tego, templariuszko - mówi cicho do kobiety Kal, nawet na nią nie patrząc. - Możesz mi wierzyć.

- Wierzyć ci? - Syldranka śmieje się krótko i przenikliwie. - Tobie, który nie wie co to honor? Tobie, który nosi mundur naszego wroga?

- Prawie skończyliśmy pić - oznajmia nadal przyjaznym tonem Tyler. - Zaraz ruszymy swoją drogą, a wy możecie odejść własną.

- Doprawdy? - Kobieta przechyla głowę, jakby powiedział coś ciekawego. - Nie widzę ścieżki między tobą a drzwiami.

Kal zerka na kobietę i znowu odwraca wzrok.

- Może to dlatego, że jesteś równie ślepa, jak głupia.

Tyler zerka na chłopaka.

- Spokojnie, legionisto Gilwraeth.

Kal na chwilę nieruchomieje i kobieta z warkoczem patrzy na niego ostro. Mam wrażenie, że nagle całe powietrze zostało wysrane z pomieszczenia.

- I'na Sai'nuit - szepcze.

Kal odwraca głowę i mówi do mnie:

- Trzymaj się za mną, be'shmai.

Kobieta patrzy na mnie z niedowierzaniem.

- Nazwałeś istotę ludzką u...

Kal uderza ją otwartą dłonią w żołądek, a łokciem w szczękę i kobieta upada do tyłu wśród rozbryzgu krwi. Kal zrywa się od stolika i atakuje kolejnych dwóch Syldran i ci padają z rozkwaszonymi ustami i połamanymi nosami. Zaskoczył swoich przeciwników, lecz tamci szybko dochodzą do siebie. Warczą i krzyczą. Tyler też się dał zaskoczyć, ale otrząsa się, podrywa się i staje obok Kala z uniesionymi pięściami.

Kłopot w tym, że ich jest szóstka, a nas tylko dwójka.

To znaczy trójka, jeśli liczyć też mnie.

Kal nadal trzyma szklanekę. Ciska nią błyskawicznie w głowę następnego Syldranina. Szkoło tłucze się, mężczyzna upada, ciemnofioletowa krew wzbiera w ranach. Kal i Ty wymachują pięściami, każdy celuje w innego przeciwnika. To nie wygląda jak walka na wizualu, to brutalna, paskudna, okrutna bójka. Przeciwnicy cofają się chwiejnie, ale chłopcy nie napierają, stoją przy wnące ze stolikiem obok siebie, dzięki czemu nie można podejść do nich ze zbyt wielu stron.

Ich style walki są całkowicie odmienne. Kal walczy z ponurą gracją. Mimo znacznego wzrostu porusza się niezwykle płynnie. Kiedy blokuje atak i kontratakuję, to ma się wrażenie,

że każda chwila została wyreżyserowana przez choreografa – jakby to był piękny i śmiercionośny taniec.

Ty walczy bardziej jak sportowiec. Jest sprawny i silny, ma dobrą technikę. Nawet ja to widzę. Uderza pięściami, kopie, wali poniżej pasa, kiedy trzeba. Wszyscy przeciwnicy są wyżsi od niego. Szybsi i silniejsi. Mimo to Tyler nie okazuje lęku.

Trzeci Nieugięty leży już na ziemi u stóp Kala, kolejni napierają, żeby zastąpić powalonych.

Ty wymienia ciosy z przeciwnikiem, tańcząc w przód i w tył jak bokser. Kal robi zamachy i kluczy, mówi do przeciwnika coś, co wywołuje gniewne warczenie, które Kal szybko ucina, wybijając mu zęby. Teraz wokół bójki zebrał się krąg gości z baru, którzy chcą sobie popatrzeć. Część mojego umysłu jest zajęta obserwacją walki, ale druga część monitoruje mnie samą – obawiam się, że poczuję, jak się wymykam, że zamyka się wokół mnie szarość, że zrobię coś okropnego w ich obronie na oczach wszystkich w barze.

Z drugiej strony nie chcę siedzieć beczynnie...

Jeden z Nieugiętych popycha gracza przy stole z kamieniami, zabiera mu kij i bierze zamach, jakby to była włócznia. Nie myśląc, łapię szklanke, zimno parzy mi palce, zanim nią rzucę. Trafiam go prosto w twarz. Zatacza się do tyłu z czymś, co bez wątpienia jest przekleństwem na ustach.

Kal ogląda się przez ramię, krzywiąc usta w czymś, co może jest uśmiechem.

I niech to motyla noga, sama łapię się na tym, że się uśmiecham.

Nagle zewnętrzny krąg gapiów rozstępuje się, odsłaniając sześć stóp wścieklej terrańskiej barmanki. Ma kolczyk w nosie, ręce całe w tatuażach i wygląda, jakby nie była w nastroju. Trzyma wielki kanister z wężem, celuje w plecy jednego z Nieugiętych, a potem wypuszcza strugę białej piany w drugiego, a do mnie dociera, że to gaśnica.

– Ochrona zaraz tu będzie! – ryczy. – A teraz wynocha na zewnątrz, zanim wykopię was przez służbę powietrzną!

Punkty za styl, pani barmanko. Podoba mi się pani podejście.

Wszyscy solidnie marzniemy, Ty i Kal chwieją się na nogach, Syldranie stoją rozproszeni wokół nas, wszyscy ociekamy panią. To naprawdę dobra chwila, żeby się stąd wynieść. Obrzucam bar spojrzeniem, sprawdzając, czy nic nie zagraża nam drogi do wyjścia, i wtedy spostrzegam Zilę i Scarlett.

Stoją w drzwiach z rękami pełnymi wypchanych toreb z zakupami. Scarlett wchodzi w swoją rolę dyplomatki, ale jej słowa zostają zagłuszone przez głośny, niski dźwięk alarmu.

Wszyscy w barze zamierają. Przez głośniki płynie kilkanaście ogłoszeń w różnych językach. Holograficzne obrazy nad barem zamieniają się w śnieg, a potem znowu ożywają.

Każdy ekran przedstawia mnie.

To kadr z nagrania, które musieli wykonać na pokładzie niszczyciele TSO. Mam na sobie ten sam mundur co teraz. Nie ma wątpliwości, że to ja – krótko przycięte czarno-białe włosy okalają moją twarz, nieco bardziej zmierzwiłone niż zwykle, różnobarwne oczy mam szeroko otwarte.

Pod moją twarzą na każdym ekranie pojawia się tekst.

POSZUKIWANY ZBIEG

NAGRODA ZA POMOC W UJĘCIU
SKONTAKTUJ SIĘ Z TSO,
ŻEBY OTRZYMAĆ WIĘCEJ INFORMACJI

Czas staje. Serce mi wali, gdy patrzę na ekran. W końcu jednak, chociaż tego nie chcę,
odrywam od niego oczy i rozglądam się po barze.

Wszyscy klienci gapią się na mnie.

O, motyla noga.

SPOŁECZEŃSTWO BETRASKAŃSKIE

►Struktura klanowa

▼Zobowiązania

Spółeczeństwo betraskańskie jest tak skomplikowane, że głowa pęka, i nawet Betraskanie w połowie przypadków z trudem ogarniają sytuację. Najważniejsza rzecz to wiedzieć, że betraskańska struktura klanowa jest bardziej skomplikowana niż sześcioraka firalorska ceremonia ślubna. Zobowiązania ciążyą na Betraskanach na dwóch poziomach, na co wskazują ich nazwiska.

Na przykład Sara de Mosto de Tren jest w pierwszej kolejności członkinią klanu de Mosto – który obejmuje jej rodzeństwo i nie więcej niż tuzin rodziców (patrz: betraskańska struktura rodzinna) oraz stu do dwustu krewnych.

W drugiej kolejności jest członkiem klanu de Tren, który obejmuje kilka tysięcy osób. Spółeczeństwo betraskańskie kładzie ogromny nacisk na zobowiązania rodzinne, które nazywa się Przysługami. Każdy członek klanu może zostać poproszony o Przysługę, którą winien jest klan jako całość.

Jak Betraskanie panują nad tym wszystkim, można tylko zgadywać.

Mój jakby-prawie-kuzyn Dariel blokuje drzwi i spotkanie nie przebiega tak dobrze, jak miałem nadzieję. Próbuję go przekonać, żeby nas wpuścił, dał nam miejsce, gdzie moglibyśmy na chwilę się przyczaić, aż wymyślimy, co tu właściwie robimy. I w związku z tym przez jakieś ostatnie dwadzieścia minut, podczas których Cat czała się za mną jak bardzo zręczliwy ochroniarz, wymieniamy się szczegółami rodzinnymi, próbując się zorientować, gdzie się znajdujemy na naszym wspólnym rozległym drzewie genealogicznym i w związku z tym, kto komu co jest winien i jaka cena za jego pomoc byłaby uczciwa. Bo w takim miejscu jak Wiekuisty nic nie jest za darmo.

Pierwszy raz spotykam Dariela, ale widzę, że ma nos de Seelów. Ufarbował długie do ramion włosy na czarno, pod kolor smoliście czarnych szkieł kontaktowych, i dzięki temu wygląda jak trup. Biała skóra, która prezentuje się zupełnie normalnie w zestawieniu z normalnie białymi włosami, wygląda teraz dziwnie i chorobliwie blado.

W dodatku Dariel nie wygląda po prostu jak trup, ale jak trup lowelasa, który chce udawać twardziela, bo nosi czarne spodnie i czarną koszulę, która jest rozpięta o co najmniej dwa guziki za dużo.

Nie będę kłamać – to trochę żenujące, że Cat musi to widzieć.

– Czyli brat mojej trzeciej matki to Ferilien de Vinner de Seel – wyjaśniam cierpliwie.

– Ale ty jesteś de Karran de Seel – mówi po raz trzeci.

Poprawka: jak trup wyjątkowo głupiego lowelasa, który chce udawać twardziela.

Niech to!

– Moja trzecia matka została de Karran... – Wzdycham. – Ale oryginalnie była de Vinner, a de Vinnerowie to twoi...

– W mordę kopane – przeklina za moimi plecami Cat.

Odwracam głowę, ale ona przestała interesować się naszą zabawą w „połącz kropki”. Patrzy w górę na wielki holoeokran zawieszony w kącie brudnego korytarza, gdzie znajdują się kwatery Dariela. Patrzą tam, gdzie ona, i... widzę zbliżenie naszej pasażerki na gapę z napisem poszukiwana przesuwającym poniżej. Gdzieś tam nasz Złoty Chłopak ma jeszcze gorszy dzień, niż miał do tej pory.

A to stawia mnie w wyjątkowo niezręcznej pozycji, jeśli idzie o toczące się negocjacje.

Dariel opiera się obiema rękami o framugę drzwi i wychyla się do korytarza, żeby spojrzeć na ekran.

– Twoja przyjaciółka?

Nie mogę ścierpieć tego, że muszę to powiedzieć, ale przybieram najbardziej neutralny wyraz twarzy, na jaki mnie stać.

– Jeśli nas wpuścisz, będę ci winien Przysługę.

Dariel uśmiecha się szerzej i przyciska dłoń do mojej, przypieczętowując umowę, a ja staram się nie okazywać paniki. Zaciąganie takiego długu bez ustalenia żadnych szczegółów... Cóż, teraz Dariel już wie, w jak fatalnej sytuacji się znaleźliśmy. Bez słowa więcej cofa się i pozwala nam wejść do środka.

– Witaj, kuzynie, witaj.

Cat już rozmawia przez unikron. Sprawdza w lustrze fryzurę, gdy wchodzi do środka.

– Tyler, wysyłam ci naszą lokalizację – mówi, a jej głos rozbrzmiewa echem w mojej słuchawce.

– Przyjąłem – pada odpowiedź.

– Wszystko w porządku? – pyta Cat. – Mam wrażenie, że jesteś zadyszany.

– Biegnę – dyszy Tyler.

– Dlaczego?

– Z powodu bójki w barze.

– Do diabła, wszcząłeś bójkę beze mnie?

Unoszę brew, patrząc na Cat, i mówię do swojego unikronu:

– Potrzebujesz wsparcia, Złotko?

– Nie – burczy nasz szlachetny przywódca. – Zostańcie na swojej pozycji.

Wzruszam ramionami i wchodzę za Cat do środka. Gdy tylko przekraczam próg, odczuwam szok całym ciałem. Zupełnie jakbym wszedł przez Bramę Fałdy prosto do pokoju na Trasku. Ściany wyłożono białym kamieniem, zielone pnącza flic opadają kaskadami z nisz pod sufitem, gdzie je posadzono, delikatnie jarzące się liście wspomagają oświetlenie pomieszczenia. Woda ciurka po ścianach, a sufit to postrzępiony stalaktytowy krajobraz.

Czuję się tak, jakbym wrócił do miejsca, którego prawie nie widywałem, odkąd skończyłem sześć lat, i jestem zupełnie nieprzygotowany na falę... Nawet nie jestem pewien, jakie to uczucie.

– Wyhodowałem większość z soli. – Głos Dariela w moim uchu zaskakuje mnie. Odwracam się i widzę, że wskazuje stalaktyty nad nami. – Zamówiłem parę wyciętych ze skały, jeden gość robi je w rodzinnych stronach.

– Tu jest bardzo... autentycznie – udaje mi się wykrztusić.

Cat rozgląda się po zagraconym salonie, jakby się bała, że powierzchnie są radioaktywne, i wcale jej się nie dziwię – stoją tu sięgające sufitu stosy skrzyniek, wszędzie wala się sprzęt komputerowy, notatki, zdjęcia i ekrany poprzypinane do każdej dostępnej powierzchni, z których żadna nie jest zbyt czysta. Wygląda na to, że mój kuzyn rozkręcił tu niezłe imperium handlowe. Dziwię się, że jego mózg to ogarnia.

Mija ze czterdzieści minut, zanim pojawia się reszta drużyny, a Dariel i ja spędzamy go głównie na rozmowie o rodzinie. Gdy tylko spotyka się dwóch Betraskan, próbują ustalić, gdzie ostatnio wylądowali członkowie ich rozległych rodziny. Cat krąży po pokoju, klucząc między pudłami i skrzynkami pełnymi śmiecia, kiedy zjawiają się pozostali.

Nasi towarzysze znaleźli jakiś kąt, w którym się przebrali, i rezultaty są imponujące. Bliźnięta Jones wyglądają naprawdę smakowicie – on w jakiejś opinającej ciało koszuli, podkreślającej wszystkie mięśnie, a ona w równie obcisłym trykocie uszytym z... czegoś... czarnego.

Ej, trudno skupić się na tkaninach, kiedy atakują mnie takie walory, i to w stereo, w porządku?

Elfik nosi płaszcz z kapturem, który ocienia jego czoło i co za tym idzie znak Zbrojnych – dobra robota, Scarlett – a Zila schludny niebieski kombinezon z mnóstwem kieszeni; czarne loki spłotła w warkocz.

Kal i Tyler wpychają się przez drzwi z wielkim plastenowym pojemnikiem. Obaj są zadyuszani i wyglądają, jakby wplątali się w jakieś kłopoty – Złoty Chłopak ma rozciętą wargę, a Kal kuleje. I mają wilgotne włosy.

– Nikomu nic się nie stało? – pyta Cat, zerkając niespokojnie w korytarz.

– Żyjemy – odpowiada Tyler, zamykając za sobą drzwi.

W słabym świetle rozgląda się szybko po pokoju, widzi skalne ściany, delikatnie jarzące się rośliny, ciurkającą wodę. To niezła jazda – przejście z metalowych korytarzy na zewnątrz do tego skrawka Trasku.

– Nigdy nie pomyślałam, że to powiem, ale dzięki niech będą gwiazdom za te okrażenia, do których przebiegania zmuszali nas na akademii – mówi Scar, odrzucając wilgotne rude włosy z oczu.

Tyler tylko kręci głową.

– Nigdy nie pojmem, jakim cudem tak szybko poruszasz się na obcasach.

– To dar, Szczawiku. – Scarlett obraca się, popisując się nowymi butami. – Prawda, że są prześliczne?

– Co zrobiliście z dziewczyną, którą kochają kłopoty? – pyta Cat.

W odpowiedzi Tyler puka knykciami w pojemnik, a Kal klęka, żeby go otworzyć, ukazując nam w środku mrużącą oczy Aurorę. Czarno-białe włosy ma potargane, lekko śniade policzki zaróżowione tak, że nie widać piegów. Nosi czarną długą tunikę z kapturem i czarne legginsy. Nie wygląda najlepiej.

– Możecie następnym razem przemycać mnie w czymś miększym? – jęczy, gdy nasz Złoty Chłopak pomaga jej wstać. – Z obsługą hotelową najlepiej?

Dariel obserwuje to wszystko z nieskrywanym zainteresowaniem, opierając się o suchy kawałek ściany i krzyżując ręce na rozchełstanej koszuli. Wzdycham w duchu i przechodzę do formalności:

– Słuchajcie wszyscy, to mój kuzyn Dariel. Dariel, to wszyscy.

Tyler patrzy na naszego świeżo upieczonego gospodarza i kiwa do niego uprzejmie głową.

– Jesteśmy wdzięczni za pomoc.

– Z pewnością tego właśnie się spodziewam. – Dariel uśmiecha się i to chyba wyjaśnia, jak zamierza wykorzystać mój dług.

– Wszyscy przyjaciele Finiana... – mówi Scarlett, skupiając uwagę na moim kuzynie i napuszczając na niego jeden ze swoich najbardziej śmiertcionych uśmiechów.

Dariel najwyraźniej jest tak samo pod wrażeniem naszej Twarzy jak ja, bo bez słowa wyjmuję zielone pudełko, na którego widok ślina napływa mi do ust. Potem zdejmuję pokrywkę, a Scarlett pochyla się i wydaje pełen podziwu pomruk.

– To ciasteczka luka?

– Jak najbardziej. – Dariel kiwa głową, podsuwając pudełko, żeby się poczęstowała.

Scarlett bierze jedno i podkreśla uśmiech do poziomu wywołującego atak serca.

– Znak gildii oznacza, że pochodzą prosto z Traska, o ile się nie mylę? Nawiasem mówiąc, jestem pod wrażeniem tego, jak urządziłeś mieszkanie. Pnącza flic sprawiają, że całość ogromnie zyskuje.

Nie zrozumcie mnie źle, gdybym miał szansę, z radością bzyknąłbym dowolne z bliźniąt Jones, ale w takich chwilach jak ta, naprawdę trudno oderwać od niej oczy. Płomiennie czerwona szminka pod kolor płomiennie rudych włosów, ten sam ognisty odcień wokół dużych, niebieskich oczu. To, czym Dariel ją częstuje, to ewidentnie próba zaimponowania – smakołyki z naszego świata to rzadkość. A Scarlett doskonale rozgrywa tę chwilę, doceniając jego gest.

Natychmiast biorę jedno ciastko, na wypadek gdyby Dariel zapomniał podsunąć pudełko i do mnie. Przysmak składający się z cieniutkich warstw ciasta rozpada się mi na języku, a odrobinę słodkie, odrobinę kwaśne mielone orzechy luka zalewają usta smakiem. Takie pyszności przywołują wspomnienie domu, ale jeśli nie będę uważać, to przywołają także tęsknotę za nim. Za bezpieczeństwem. Przywołają pragnienie, żeby uciec w diabły od tej sytuacji. Przełykam szybko smakołyk.

Scarlett skubie ciastko wolniej, bardziej się nim delektuje.

– Podobają mi się mężczyźni, którzy wiedzą, jak dostać to, czego chcą. Musisz znać to miejsce na wylot.

Zgodnie z przewidywaniami Dariel nadyma się jak paw.

– Bywało się tu i tam.

– No jasne. – Scarlett mruga porozumiewawczo. – Możesz mnie nauczyć tego i owego?

Podchodzi bliżej, jak oleisty dym.

– Mogę cię nauczyć mnóstwa rzeczy, ziemską dziewczyno.

Scarlett tylko uśmiecha się szerzej.

– Miałam na myśli stację. Przynajmniej na razie. Nie ma to jak miejscowy, który powie ci, co i jak.

– A co chcesz wiedzieć?

Scarlett wzrusza ramionami, oczy jej błyszczą.

– Co tylko zechcesz nam powiedzieć.

Dariel zerka na mnie, a potem pochyla się do panny Jones.

– Cóż, przede wszystkim nie możesz myśleć o tym miejscu jak o wielkim mieście – mówić w sposób, który w jego przekonaniu ma podkreślać obycie i autorytet. – Myśl o nim raczej jak o setce różnych miast, które, tak się składa, graniczą ze sobą, rozumiesz? Na pokładzie przebywa pewnie z milion dusz. Mamy tu zarządy i strefy bezprawia, watazków, śmietankę towarzyską i plotki na temat czarnych sektorów w głębinach. Można tu znaleźć wszystko za wła-

ściwą cenę. Mamy wyrefinowaną sztukę, mamy broń, mamy smakołyki, dzięki którym zapominasz o kłopotach. Gdybyś na przykład szukała miejsca, żeby potańczyć w tych świetnych nowych ciuszkach...

Nie potrafię nawet powiedzieć, czy celowo jest oblesny, czy po prostu brakuje mu jakiegokolwiek oglądy towarzyskiej, a kiedy ja zauważam niezręczność gościa, to delikwent powinien przyjrzeć się sobie naprawdę dokładnie i surowo. Scarlett jednak tylko wzrusza elegancko ramionami, jakby mówiła „być może”.

- To była długa jazda, zanim tu trafiliśmy, przystojniaczkę. - Przeciąga się i podnosi rękę, żeby stłumić ziewanie. - A jeśli tak naprawdę szukam miejsca, gdzie moglibyśmy się prześpać?

Dariel mruga zaskoczony.

- Masz na myśli nas dwoje, czy...

- Mam na myśli mnie i ich. - Scarlett się uśmiecha i wskazuje naszą ekipę.

- Czekaj, wy wszyscy...

- Nie myśl tyle, bo ci żyłka pęknie - warczę.

Mój kuzyn potrzebuje paru chwil, żeby jego samotny neuron ogarnął sytuację, ale w końcu poddaje się i prowadzi nas na tyły. Ten pokój nie został urządzony - ściany i sufit są zwyczajne. W głębi rośnie jedno pnącze flic, ale liście prawie nie świecą. Pomieszczenie jest malutkie, stoi tam trzypiętrowe łóżko, na dwóch niższych poziomach wala się mnóstwo puszek z luminescencyjną białą farbą i liofilizowanymi strączkami sarbo. Nie pytam. Mogę tylko domyślać się, że ubił dobry interes.

- Super - mówi Scarlett. - Dzięki, przystojniaku.

- Nie ma sprawy - odpowiada Dariel. - Gdybyś potrzebowała towarzysz...

Nie kończy, bo Scarlett mruga do niego porozumiewawczo i zasuwa drzwi, wreszcie zapewniając nam odrobinę prywatności. Nie wiem, co jest z tą dziewczyną, ale udaje jej się to zrobić i go nie obrazić. Pewnie mogłaby faceta spoliczkować, a on i tak czułby się świetnie. Pozostali zaczynają uprzątać pomieszczenie, żeby się położyć. Tyler robi miejsce na łóżkach, Kal ustawia kłamoty w idealnych stosach. Scarlett zatrzymuje się jednak przy drzwiach blisko mnie, z dala od reszty.

- Potrzebujesz pomocy? - pyta.

Mówi cicho, żeby inni nie słyszeli. Wskazuje na mój egzozkiolet. Myślałem, że udało mi się zachować płynność ruchów, odkąd weszliśmy na pokład stacji, ale prawdę mówiąc, bolało mnie mięśnie. Nie lubią, kiedy raz za razem zalewa je adrenalina. I chociaż zwykle pierwszy rzucam się do gryzienia, kiedy ktoś zwróci na to uwagę, to jej udaje się to tak powiedzieć, że nie czuję urazy. Nie ma w jej słowach współczucia, nie towarzyszy im delikatny grymas. To po prostu zwyczajna propozycja.

Prawda jest taka, że zabiłbym dla paru godzin w niskiej grawitacji. Mógłbym zdjąć egzozkiolet, zwinąć się do snu, jak należy, ale musiałbym wtedy opuścić drużynę. I dodać jeszcze jedną przysługę do długu, który zaciągnąłem u Dariela.

Miałem dostać pokój z obniżoną grawitacją na Łuku, gdy już trafię do jakiejś drużyny. W akademii miałem własny pokój, gdzie mogłem obniżać grawitację na noc i funkcjonować

bez egzoszkieletu. Później zapłacę cenę za takie spanie, ale będę się tym martwił jutro. Na razie naprawdę nie mam ochoty prosić kogokolwiek, żeby pomógł mi się rozebrać.

- Dzięki, nie trzeba - mówię. - Został tak zaprojektowany, żebym mógł go nosić przez kilka dni bez przerwy, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Scarlett kiwa głową zadowolona z tego, że ja jestem zadowolony.

- Myślisz, że możemy ufać twojemu kuzynowi? - szepcze. - Ja mam odczucie, że tak.

Kiwam głową.

- Rodzina uszczelnia kwaterę, tak się mawia w moim klanie.

- Nigdy nie słyszałam tego powiedzenia - przyznaje, nadal mówiąc cicho. - Co to znaczy?

- Że możemy mu ufać.

Na tym miała zakończyć się moja odpowiedź, ale Scarlett patrzy wyczekująco. Można się spodziewać, że Twarz będzie chciała dowiedzieć się czegoś nowego na temat obcych zwyczajów, nawet jeśli powinna się zdrzemnąć.

Wzdycham i staram się wyjaśnić najlepiej, jak potrafię:

- Wiesz, że na Trasku żyjemy pod ziemią z powodu wiatru, prawda? Niesie mikroskopijne odłamki skalne. Jeśli dość ich uzbierasz w płucach, to cię zabijają.

- Dlatego uszczelniacie swoje domy, by nie wpuszczać wiatru? - domyśla się.

- Właśnie. Kiedy budujesz nowy dom, rodzina przychodzi i robi uszczelnienie wzdłuż krawędzi drzwi z błota peta. Każdy przykłada się do tego.

- Rozumiem - mruzczy. - Pokazujesz rodzinie, że jej ufasz, pozwalając jej wykonać uszczelnienie. Jeśli się nie sprawi, to...

- Właśnie, wtedy umrzesz. Dlatego budujesz potężne uszczelnienia, a potem zamykasz drzwi i walczysz za nimi, jeśli musisz. Dariel nie zdradzi nas, bo to rodzina. - Uśmiecham się znacząco. - A poza tym moje babki są naprawdę przerażającymi kobietami.

Scarlett milczy przez chwilę, a potem szepcze ostrożnie:

- To musi być trudne żyć z dala od rodziny.

Prycham.

- Dla mnie? Nieszczęśliwie. Bardzo wcześnie zostałem odesłany i przebywałem z dala od większości rodziny.

Patrzy, jakby nie do końca wierzyła, ale odpuszcza temat.

- Odpocznij - proponuje. - Ja zostanę i przez chwilę będę nas pilnować.

Drużyna jest zajęta zajmowaniem miejsc - wszyscy są wykończeni po walce na Saganie, potem *Bellerofoncie*, a na końcu w Fałdzie. Wielgachny Kal ładuje się na najwyższe piętro, Auri i Zila zajmują razem środkowe. Tyler sadowi się na podłodze - wygląda na to, że nasz szlachetny przywódca zamierza spać na siedząco z plecami przy ścianie i jestem pewien, że wcale tego jutro nie odczuje. Cat układa się naprzeciwko. Nadal robi wrażenie urażonej tym, że przepięła bójkę.

Oboje ze Scarlett wiemy, że będę potrzebował dolnego łóżka, więc bez słowa podaję jej poduszkę i koc, a ona układa się na podłodze obok brata. Kładę się na materacu, wpatrując się w buty Aurory zwieszające się znad krawędzi łóżka nade mną. Po poświęceniu na suficie domy-

ślam się, że podpięta się do swojego używanego unikronu i chłonie informacje tak szybko, jak zdoła czytać.

Jest taka drobna. Nie wyższa od Zili. Nic w niej nie wskazuje, jakich kłopotów może napytać. W każdym razie do chwili, kiedy... sami wiecie... kiedy oko zaczyna jej świecić...

Wiem, że wpakowaliśmy się po uszy z jej powodu. Wiem, że rozsądek każe sprzedać ją GAW i modlić się, żeby sąd wojskowy nie skazał nas na odsiadkę. Ja jednak przez całe życie byłem wyrzutkiem stojącym na zewnątrz i patrzącym na wszystkich w środku. Problem. Brzenię. Aberracja. Tak samo jak ona. I to mnie nauczyło jednego.

My, wyrzutki, musimy trzymać się razem.

Leżę w ciemności. Patrzę, jak Scarlett nas pilnuje. Podciąga koc Cat pod szyję, poprawia okrycie na bracie. Coś się w niej kryje pod fasadą seksownej jędzy. Coś prawie matczynego. Złoty Chłopak dba o nas, bo jesteśmy jego drużyną. Jego obowiązkiem.

Scarlett dba o nas, bo się troszczy.

Przyląpuje mnie na tym, że się jej przyglądam.

– Śpij, Finian – szepcze.

Zamykam oczy i pozwalam, żeby powolne oddechy drużyny mnie uspiły.

Śnię o domu, o Trasku z jego czerwonym słońcem i rozległymi rojami miast głęboko pod ziemią. We śnie stoję na powierzchni i właśnie pada śnieg. Małe śnieżynki sypią się z nieba i pokrywają okrutną białą skałą powierzchni planety nieskończonym cieniutkim dywanem, który ciągnie się tak daleko, jak sięga mój wzrok.

Przedziwna rzecz...

Bo przecież śnieg nie powinien być niebieski...

* * *

Budzę się, słysząc, że Tyler i Cat sprzecząją się szeptem.

– W nosie to mam – syczy Cat. – To cholernie upierne. Już siedzimy w tym cuchnącym bloku po uszy. Jest poszukiwanym zbiegiem. Musimy oddać ją władzom.

– Nawet nie wiemy, co to jest – odpowiada Ty równie cicho.

Wtedy rozlega się głos Zili:

– Wygląda na to, że to powtarzający się ten sam obraz.

Odwracam się pod ścianą, pod którą się skuliłem. Główne serwomechanizmy reagują natychmiast, ale palce potrzebują dłuższej chwili. Uchylam powieki i wita mnie nasz niechlujny pokój oraz...

Na klejnoty Stwórcy.

W świetle unikronu Cat widzę rysunek, powtarzający się wzór namalowany luminescencyjną bielą. Na każdej brudnej ścianie, na każdej klapie, na każdej skrzynce. Farba skapuje na podłogę, którą też – wszędzie tam, gdzie nikt nie leżał – wypełnia pojedyncza wielgachna wersja tego samego rysunku.

To postać. Humanoidalna. Ma tylko trzy palce, coraz dłuższe, patrząc od lewej do prawej. Oczy postaci są różne – lewe jest puste, a prawe wypełnione bielą. A na piersi w miejscu serca

znajduje się jakiś kształt.

Romb.

Kal się budzi, Scarlett otwiera oczy, gdy brat ją szturcha. Opiera się na łokciu z jękiem, wygina plecy, a potem zamiera, kiedy spostrzeżga setki lśniących postaci, które zdołają teraz nasz tymczasowy dom. Cała nasza szóstka siada i gapi się na farbę na ścianach.

- Zero ma rację - mówię cicho, rozglądając się. - To naprawdę jest upiorne jak diabli.

Na dźwięk mojego głosu nasza pasażerka na gapę porusza się na łóżku, na którym spała razem z Zilą. Przeciera zaspane oczy, rozgląda się, mrugając, i wreszcie zauważa, że wszyscy się na nią gapimy.

- Co? - pyta. - Chrapałam czy co?

Palce ma pomazane luminescencyjną bielą.

Ma smugę farby na policzku.

Patrzy na rysunek na ścianie. Potem na farbę na palcach. Wyrzuciła jej twarz, kiedy zdaje sobie sprawę, że to ona zrobiła (a w każdym razie namalowała to jej ręka, nawet jeśli nie do końca ona sama), prawie łamie mi serce. A przynajmniej domyślam się, że to właśnie oznacza ból w mojej piersi.

Rzadko coś takiego czuję.

- Ja nie... - Jej szept się urywa.

Kal zeskakuje bezgłośnie z górnego łóżka, żeby zerknąć na wzór. Spogląda na Aurorę, marszcząc lekko brwi.

- Dlaczego się boisz? - pyta chłodno. - To znak. Jesteśmy w miejscu, w którym powinniśmy być. I teraz wiemy coś więcej na temat tego, czego szukamy.

To zdecydowanie najbardziej rozsądna rzecz ze wszystkich, jakie do tej pory powiedziano, ale jego ton nie uspokaja Auri. Dziewczyna zaciska zęby, wytrzeszcza oczy i walczy z krzykiem, który chce jej się wyrwać z gardła. Z płaczem. Wybuchem. I właśnie wtedy drzwi otwiera Dariel. Bez pukania.

Zatrzymuje się w progu i mruga zaskoczony.

- Widzę, że zmieniliście wystrój - mówi w końcu. - Doliczę koszt farby do waszego rachunku.

Nikt nie odzywa się słowem, bo tak naprawdę, co możemy powiedzieć? Jednak mój kuzyn najwyraźniej nie rozumie, że zastał nas w kłopotliwej sytuacji. Znowu mruga, a potem przygląda się, mrużąc oczy, największemu rysunkowi, namalowanemu na podłodze u stóp Scarlett.

- Jesteście wielbicielami sztuki? Po co namalowaliście to stare chakka na mojej podłodze?

Wszyscy się ożywiają.

- Rozpoznajesz ten wzór? - pyta Tyler i natychmiast się podrywa.

- Co to, u diabła, jest? - dopytuje się mniej delikatnie Cat.

Scarlett podnosi się jednym płynnym ruchem, zapominając o jęku przed chwilą i nocy przespanej na podłodze. Rzuca Cat spojrzenie, które mówi „zamknij się”, i uśmiecha się promiennie do mojego kuzyna.

- Ty naprawdę znasz to miejsce na wylot. Przyjmij do wiadomości, że jestem pod wrażeniem. - Uśmiecha się nieco szerzej i pochyla nieco. - To... chakk... to coś, czego szukamy. Gdybyś tylko nam pomógł...?

Mnóstwo ludzi zakłada, że wszyscy Betraskanie to handlarze, co jest właściwie idiotyczne, jak się nad tym zastanowić. Całe społeczeństwo miałoby zajmować się tylko jedną rzeczą? A kto by miał cokolwiek wytwarzać? Kto zrobiłby hydraulikę w twoim domu, zaprojektował najnowszy sprzęt komunikacyjny? Betraskanie są równie różnorodni jak wszystkie inne gatunki.

Tyle że każdy Betraskanin lubi dobić dobrego targu, co do tego nie ma wątpliwości. I wiemy, jak tego dokonać. Stąd pewnie bierze się opinia na nasz temat.

Potrafimy się targować, a klan de Seel z tego słynie.

- Mmoże - odpowiada powoli Dariel tonem człowieka, który właśnie zdaje sobie sprawę, że dysponuje cenną informacją. - Aha, myślę, że może byłbym w stanie.

- W zamian za przysługę? - pytam.

Dariel uśmiecha się do mnie.

- Szybko się uczysz, kuzynie.

Zerkam na Aurorę. Na naszego Złotego Chłopaka. Mam nadzieję, że Tyler wie, co, u diabła, wyprawia i jak głęboko się pogrążamy. Jednak prawda jest taka, że nie mamy teraz za dużego wyboru.

Idziemy za Darielem do głównego pokoju, gromadzimy się wokół niego, kiedy siada przy konsoli. Scarlett pochyla się nad nim nisko z jedną ręką na jego ramieniu i patrzy na ekran, gdy loguje się do sieci Wiekuistego. Znajduję suche miejsce i opieram się o chłodną kamienną ścianę, odsuwając przeszkadzające świetliste pnącze.

- To było na wystawie - mówi Dariel, przesuwając ręką w powietrzu, żeby zmienić obraz holograficzny. - Mniej więcej rok temu. Zarobiłem parę szybkich kredytów, rozklejając plakaty. Casseldon Bianchi, znawca sztuki i mieszkaniec jedyne w swoim rodzaju Statko-Swiata, Wiekuistego, umieścił to w swoim muzeum... Proszę bardzo.

Konsola Dariela wyświetla trójwymiarową reklamę, którą wyszperał z archiwum. Znowu porusza ręką i obraz się obraca, pokazując wazy i obrazy, naszyjniki i misy, rzeźby i rzeczy, których nie jestem w stanie docenić, bo nie jestem dość cywilizowany.

Obok mnie Auri pochyla się nagle na widok szklawionej ceramicznej misy.

- To chińska ceramika. Skąd się tu wzięła?

Dariel zatrzymuje ruch obrazu, unosząc palec, i zerka na nią przez ramię z nagłym zainteresowaniem.

- Jesteś znawcą ceramiki? Bo mam...

- Nie - odpowiada Auri. - Mój tata jest... to znaczy był Chińczykiem.

Przypomnienie sobie, że powinna używać czasu przeszłego, ewidentnie jest dla niej jak kopniak w brzuch. Spuszcza wzrok i zaciska usta, z trudem przelękając ślinę. Dariel zauważa zmianę jej nastroju, ale Scarlett szybko odwraca jego uwagę.

- Zatem jest kolekcjonerem? - pyta, pochylając się bardziej. - Ten Casseldon Bianchi?

- I to nie byle jakim - odpowiada Dariel, odwracając się do niej. - Jeśli masz coś nadzwyczajnego i chcesz to opchnąć, to jest twój facet na Statko-Świecie. Zajmuje się rzeczami egzotycznymi. Artefaktami. Technika. Formami życia w szczególności. Jeśli coś jest trudne do znalezienia, on wam to znajdzie. Jeśli to coś drogiego, on pewnie ma to już na własność.

- SAM MOGŁEM WAM TO POWIEDZIEĆ - dobiega szczebiotliwy głosik z kieszeni na piersi Auri.

- Magellan, cicho - szepcze Aurora i podnosi rękę, żeby stłumić dźwięk. - Później.

- SERIO MÓWIĘ - upiera się unikron. - JESTEM SIEDEMNAŚCIE RAZY BYSTRZEJSI OD...

- Tryb cichy - warczy Tyler.

Zerkam na Aurorę, unosząc brew.

- Nazwałaś swój unikron?

Auri zerka na mnie.

- Kiedy go włączyłam, pojawił się komunikat „nazwij urządzenie”.

- Pewnie, na przykład „unikron Fina” albo coś podobnego.

- Jestem oryginalna.

- Można to i tak ująć - prycha Cat.

Obraz Dariela znowu nieruchomieje i nagle na ekranie pojawia się to, czego szukamy - nasz tajemniczy przedmiot. To rzeźba wykonana z dziwnego metalu. Ma kształt jak nasz trójpalczasty przyjaciel namalowany na ścianach pokoju. Posążek ma klejnoty zamiast oczu - lewe jest z wypolerowanego czarnego onyksu, a prawe z lśniącej perły. Głęboko w piersi w miejscu serca osadzono diament.

- Co to jest? - dopytuje się nieco niecierpliwie Tyler.

- Tu napisano, że to artefakt religijny z... imperium ludu Eshvaren? - Scarlett pochyla się, żeby odczytać podpis i gwizdże cicho. - Podobno ma milion lat.

- Co za bzdura. - Cat rechocze.

Jednak Auri wytrzeszcza oczy i wpatruje się w ekran Dariela, jakby właśnie dostała sierpowym w twarz.

- Eshvaren? - szepcze.

- To przekręt - zapewniam ją. - Nie przejmuj się.

- Co masz na myśli? - pyta Kal, patrząc na mnie z grymasem.

- Mam na myśli Eshvarenów. To bajka, Elfiku.

- Kupa bredni. - Cat kiwa głową, a ja zapamiętuję sobie, żeby zaznaczyć ten dzień w kalendarzu, bo po raz pierwszy, odkąd sięgam pamięcią, zgadza się ze mną w...

- Kim albo czym byli Eshvarenowie? - odzywa się Auri, mówiąc coraz ostrzejszym tonem.

- Babcine opowieści - odpowiada Dariel.

- Bajka o duchach. - Kiwam głową. - Podobno istniała rasa, która żyła milion lat temu. Tyle że nie ma na to żadnych dowodów.

- Poza relikdami, które zostawiła po sobie - mówi Kal, wskazując na ekran.

- To przekręt, Kal - mówię ze znaczącym uśmiechem. - Sposób, w jaki antykwariusze pomagają ludziom bogatym i głupim rozstać się ze swoimi kredytami. Rodzice opowiadają dzieciom o Eshvarenach, kiedy chcą, żeby wyrosły na międzygwiazdnych archeologów.

Kal piorunuje mnie wzrokiem swoich wielkich, ślicznych oczu w taki sposób, że trudno jest mi się skupić na tym, co mówi.

– Syldranie to najstarsza rasa w Galaktyce. Jest starsza od Terran. Starsza od Betraskan. I mamy opowieści o ludzie Eshvaren. To były pierwsze istoty, jakie pokonały przestrzeń między gwiazdami. Jako pierwsi odkryli Falde.

– A Terranie nadal opowiadają historyjki o Wróźce Zębuszce i Świętym Mikołaju. – Cat opiera się o framugę drzwi i krzyżuje ręce. – Co nie znaczy, że któraś z tych rzeczy istnieje.

Aurora oblizuje usta i z trudem przełyka ślinę.

– Czy słowo... „Ra’haam” coś dla kogoś z was znaczy?

Zerkamy po sobie skonsternowani. Kręcimy głowami i wzruszamy ramionami.

– Po prostu... słyszałam już wcześniej słowo „Eshvaren” – mruczy Auri. – „Ra’haam” też.

Unoszę brew.

– Od swojego walniętego unikronu czy...

Auri kręci głową.

– W snach...

Zapada krępujące milczenie. Cat zerka na Tylera i kręci głową. Tyler patrzy na Auri, muskając palcami znak Stwórcy na kołnierzyku. Aurora patrzy na ekran Dariela, na obracający się hologram rzeźby. Sprawia wrażenie po części przerażonej i po części rozemocjonowanej.

– Czyli to coś należy do Casseldona Bianchiego? – odzywa się Scarlett, przerywając ciszę.

Dariel otrząsa się i kiwa głową.

– Aha, to i połowa sektora.

Mój kuzyn pisze na klawiaturze i obraz obcego pojawia się na drugim monitorze. To Chel-lerianin – wysoki, dwunożny, o szerokich ramionach. Ma gładką i jasnoniebieską skórę, mocną szczękę i pozbawioną włosów głowę. A także czworo oczu, idealnie okrągłych i czerwonych. Mięśnie na wszystkich czterech rękach napinają się pod materiałem porażająco drogiego garnituru. Jego uśmiech jest olśniewająco biały, szeroki i pełen ostrych jak brzytwy zębów.

– To Bianchi? – pyta Scarlett.

– Jedyny i niepowtarzalny. – Kuzyn kiwa głową. – Stwórcy niech będą dzięki.

– Opowiedz mi o nim.

Dariel znowu uśmiecha się znacząco i kręci głową.

– Kochanie, jeśli pominąć bajki, to żadne z was do niego nie dotrze. On praktycznie rządzi tym miejscem. Mieszka na wyremontowanym luksusowym liniowcu, na jednym z tych starodawnych statków wycieczkowych, którymi Tesellon S.A. latał przez thiidańską mgławicę. Nikt tam nie wchodzi bez zaproszenia, a większość zaproszonych nigdy stamtąd nie wraca. Casseldon zarządza całą ochroną na Statko-Świecie. Ma pod swoją „posiadłość” cele więzienne, w których ludzie na zawsze znikają. Jeśli wasze interesy sprowadzają was na orbitę Bianchiego, to radzę albo zmienić kurs, albo rozliczyć się ze mną, zanim zmienicie się w trupy.

– Jest aż tak niebezpieczny?

– Jest gorszy od zarazy lysergijskiej i selmiskiej opsy razem wziętych.

Rozglądam się po pokoju, po twarzach towarzyszy. Cat jest jak mała kulka podejrzliwości, wbija wzrok w potylicę Auri. Kal zaciska w zamyśleniu usta. Nawet Zila robi wrażenie nieco zgaszonej. Scarlett zerka na brata, ale Tyler nadal wpatruje się w obraz na pierwszym monitorze.

Na rzeźbę, której wizerunek Aurora namalowała na ścianach.

- Zauważyliście coś ciekawego w jej oczach? - pyta cicho.

Patrzę na wizerunek. Chociaż jestem sceptyczny co do pochodzenia rzeźby, to nie mogę nie zauważyć, że jej oczy są potwornie podobne do oczu Auri.

Jedno ciemne.

Drugie białe.

Młodsze z bliźniąt Jones łapie krzesło Dariela i obraca go twarzą do siebie.

- No dobrze, szefie - mówi Ty. - Powiedz nam wszystko, co wiesz.

WSZECHŚWIAT

► HISTORIA

▼ BARDZO DAWNO TEMU

Dokładne ustalenie, kiedy zaczęła się udokumentowana historia Galaktyki, to koszmar dla archeologów, historyków i matematyków.

Wiemy, że Wszechświat ma około 13,8 miliardów lat, ale koncepcje czasu i prowadzenia kronik ogromnie się różniły wśród znanych obecnie 475 cywilizacji w Drodze Mlecznej. Syldranie są uważani za najstarszą cywilizację w Galaktyce, ale ich historycy – lubujący się w tajemnicach łajdacy – uwielbiają dawać do zrozumienia ze znaczącą miną i protekcyjnym uśmiechem, że przed nimi byli jeszcze inni.

Oczywiście możliwe, że po prostu zmyślają, zarozumiałe dupki.

Dalszych informacji szukaj w następujących hasłach na temat grup, które podobno istniały, chociaż tego nie udowodniono:

► Eshvarenowie

► Flotyła Octarine

► Saine z Ista

- Rety - szepcze Scarlett.

Rzadko kiedy moja starsza siostra daje się sprowadzić do pojedynczych sylab. Ojciec powiedział nam, że kiedy byliśmy dziećmi, Scar mówiła pełnymi zdaniami, kiedy ja wciąż próbowałam opanować słowo „tata”. Kiedy jednak przechodzimy przez hologram „Muzeum Bianchiego – witamy odwiedzających” i wchodzimy do wspaniałego holu statku, to nie mogę nie zgodzić się z jej reakcją. Wędruję wzrokiem po wdzięcznych łukach nad naszymi głowami, gładkich krzywych obcej architektury, po kłębiących się tłumach, pięknych eksponatach. Szukamy informacji na temat tajemniczego artefaktu Aurory. W drużynie panuje spore napięcie po jej improwizowanej sesji malarskiej minionej nocy. Jednak nawet jeśli siedzimy w tej małej przygodzie po uszy, to fakt pozostaje faktem – muzeum zapiera dech w piersi.

- Fakt, niezły widok – mruczę.

- Nie myślałam, że podobają ci się blondyni, Szczawiku – odpowiada Scar.

Unoszę brew i patrzę na siostrę z ukosa. I wtedy dociera do mnie, że nie podziwia architektury, tłumów ani eksponatów; przygląda się stojącym przy drzwiach strażnikom ochrony. Obaj to przystojni Terranie, dobrze uzbrojeni i ubrani w ciemnoniebieskie pancerze wspomagane. Scar nawiązuje kontakt wzrokowy z jednym z blondynów i mruga do niego porozumiewawczo. Strażnik uśmiecha się szeroko ze stosownym entuzjazmem.

- Chodź, rozejrzyjmy się – mówię.

- Przecież właśnie się rozglądam – protestuje moja siostra.

Łapię Scarlett za rękę i ciągnę do środka, skupiony na misji. Po raz setny zastanawiam się, czy nie powinienem zbadać sobie głowy, czy nie mądrzej byłoby przekazać Aurorę w ręce władz, czy szukanie wiatru w polu nie doprowadzi mnie do karnego zwolnienia i celi więziennej.

„Musisz wierzyć, Tyler”.

Tak powiedział admirał Adams. A przez pięć lat mojej służby dowódca naszej akademii ani razu nie wykierował mnie niewłaściwie. To on załatwił mi dodatkowe godziny w symulatorach, kiedy potrzebowałam potrenować walkę w nieważkości. To on załatwił mi ponowne podejście do egzaminu z astronawigacji i gdy zaliczyłem go tylko na dziewięćdziesiąt osiem procent – powiedział, że stać mnie na więcej. To on siedział ze mną w kaplicy, opowiadając historie o moim ojcu – jak razem awansowali w TSO, jak razem zostali pilotami myśliwców. Rywale, którzy zostali najlepszymi przyjaciółmi.

Adams wygłosił mowę pogrzebową na pogrzebie mojego taty.

Adams zawsze mnie wspierał. Zawsze.

Ale tym razem...

„Musisz wierzyć, Tyler”.

Idziemy ze Scar przez Muzeum Bianchiego, symulacja światła słonecznego oświetla rozległą otwartą przestrzeń. Nie potrafiłbym nawet odgadnąć pochodzenia tego fragmentu stacji, ale konstrukcja jest ogromna – może to był frachtowiec?

Filary ciągną się od podłogi po sufit. Panuje tu tłok. Betraskanie, Rigelczycy, Lieranie i Teranie. Dziesiątki zbirów w pancerzach wspomaganych obstawiają wejścia i wyjścia, ale my jesteśmy w cywilnych ciuchach, więc nikt nie zwraca na nas uwagi. Otaczają nas dzieła sztuki i eksponaty z całej Galaktyki. Według kuzyna Finiana muzeum zajmuje siedemnaście poziomów. Musi więc znaleźć...

– Przewodnik?

Odwracamy się ze Scar na dźwięk głosu. Młoda Betraskanka stoi za nami i uśmiecha się do mnie ciepło. Nosi dopasowany do figury niebieski mundur z gwiazdzistym herbem Casseldona Bianchiego na piersi. Nad jej kapelusikiem wiruje tuzin holograficznych logo, a jedno z nich przestawia znak zapytania.

– Szukacie czegoś? – pyta. – Muzeum pana Bianchiego bywa za pierwszym razem przytłaczające. Interesuje was konkretna wystawa?

– Och tak, jaka pani miła! – Scar się uśmiecha. Sięga do kieszeni długiego, czerwonego płaszcza i pokazuje zdjęcie rzeźby, której wizerunek Aurora namazała na ścianach zeszej nocy. – Szukamy tego.

Betraskanka patrzy na fotkę, mała dioda rozbłyśnie w jej implancie pamięciowym na skroni. Stronice jarzących się danych przesuwają się przez chwilę po czarnych szklach kontaktowych, jej rzęsy trzepoczą.

– Nieznany artefakt religijny z imperium Eshvarenów – oznajmia w końcu. – Obawiam się, że ten przedmiot zdjęty z wystawy jakiś czas temu. Znajduje się obecnie w prywatnej kolekcji pana Bianchiego.

– Istnieje szansa, żeby go obejrzeć? – pyta Scarlett, podkreślając moc uśmiechu do jedynastki. – Studiuję historię Galaktyczną i piszę pracę na temat...

Kobieta kręci ze smutkiem głową.

– Niestety to byłaby kiepska prywatna kolekcja, gdyby była dostępna dla zwiedzających. Mamy jednak parę starożytnych artefaktów na poziomie trz...

Słyszymy głośny alarm i oświetlenie nad nami słabnie i czerwienieje. Terranin w dżetbolowej czapce i w T-shircie z napisem „Kocham Ziemię” wygląda na zaniepokojonego, gdy osiem ciężko uzbrojonych i opancerzonych ochroniarzy otacza jego i szklaną gablotę, o którą się oparł. Przenikliwy elektroniczny głos niesie się przez system nagłaśniający w kilkunastu różnych językach.

– PROSZĘ NIE DOTYKAĆ EKSPONATÓW.

– Przepraszam – mówi chłopak. Zdejmuje tłustego kosmobergera ze szkła z beczcennym obcym artefaktem w środku. – Ja wcale...

Krzyczy, gdy zbiry z ochrony okładają go pałkami-rzygalkami i pada na ziemię w kałużę własnych wymiocin. Ochroniarze łapią go pod pachy i jęczącego wywlekają przez tłum do wyjścia. Nasz chodzący punkt informacyjny obserwuje przedstawienie z grymasem.

– Wasza ochrona dość poważnie traktuje swoje obowiązki – mruzcze.

– To nie jest nasza ochrona – odpowiada Betraskanka, patrząc z niesmakiem na ochroniarzy. – Pan Bianchi zatrudnił dodatkowy personel z okazji maskarady jutro wieczorem.

– Maskarady?

Kobieta wskazuje na wyświetlony obraz na jednej ze ścian.

– Z okazji pięćdziesięciolecia Statko-Świata. To będzie huczne święto. Pan Bianchi urządzi przyjęcie. Bardzo ekskluzywne. Bardzo ekscytujące.

– Ach, jaaaasne. – Kiwam głową. – Pewnie. Maskarada.

Kobieta mruga, obrzucając mnie spojrzeniem od stóp do głów.

– Nie masz zaproszenia, co?

– Ehm, nie. Dopiero co przyleciałem.

– Szkoda – mruczy seksownie. – Wyglądam bosko w sukience bez pleców.

Spuszczam dołeczki ze smyczy, a kobieta odwraca się z prowokacyjnym uśmiechem i odchodzi, żeby pomóc innym zagubionym zwiedzającym z tłumy. Patrzę za nią, a słowa „sukienka bez pleców” niosą się echem po mojej głowie. Dopiero kiedy się rozejrzę, dociera do mnie, że zgubiłem Scarlett.

Moja siostra ma sześć stóp wzrostu, przesywające niebieskie oczy i ognistorude włosy – niełatwo ją zgubić w tłumie. Wspinam się na palce, rozglądam się i wreszcie dostrzegam płomienny rozbłysk w pobliżu wejścia. Scar rozmawia z dwoma ochroniarzami, śmieje się i uśmiecha, kiedy blondyn pochyła się z jednym łokciem na ścianie nad jej głową w klasycznej pozie „międzygalaktycznego Romeo”. Ona uśmiecha się szeroko, bawiąc się kodowanym identyfikatorem, który chłopak nosi na pasku na szyi.

Podchodzę i staję za siostrą. Odchrząkuję.

– Cześć, Szczawiku – mówi. – To Declan i Lachlan.

– Cześć – mówi Blondas, nawet na mnie nie patrząc.

Drugi tylko kiwa głową.

– Zostali tu przeniesieni – wyjaśnia Scar. – To dopiero ich czwarty dzień na Statko-Świecie. Declan przyleciał aż z marsjańskich kolonii. Prawda, że to niesamowite?

– Scar, musimy iść – mówię. – Zapomniałaś? Mamy tu coś do załatwienia.

Blondas szepcze jej coś do ucha. Scar się śmieje i uderza go w zakrytą pancierzem pierś. Masuję skronie i wzdycham.

– Scarlett? – mówię, starając się nie okazać frustracji.

Ona rzuca mi zabójcze spojrzenie, odwraca się z powrotem do Blondasa i zderzają się unikonami, wymieniając się danymi kontaktowymi.

– Nie spóźnij się.

– Wielki Ultrazur z Abraaxis IV nie zdołałby mnie zatrzymać – odpowiada z uśmiechem facet.

Kręcę się niecierpliwie, kiedy jeszcze chwilę szepczą, a potem Scar bierze mnie za rękę, mruga ostatni raz do Blondasa i wychodzi ze mną z muzeum. Idziemy promenadą z powrotem w stronę mieszkania Dariela. Kolory, widoki i dźwięki Statko-Świata zalewają nas tęczą. Czekam, aż odpowiednio się oddalimy, i pytam:

- Gorące randka dziś wieczorem?

- O siódmej – odpowiada Scar. – Zaraz po tym, jak zejdziesz z dyżuru.

- Co oznacza, że ciągle będzie w stroju ochroniarza. I będzie miał przy sobie identyfikator.

- Powiedziałaś mu, że mam słabość do mundurów.

- Cwana dziewczynka.

- W końcu jestem Jones. – Uśmiecha się i ściska moją rękę.

Odpowiadam tym samym i nagle znowu cieszę się, że mam przy sobie siostrę. Scarlett nigdy nie przegapi okazji, żeby mi dopiec, ale wiem, że poszłaby za mną na koniec Galaktyki, gdybym ją poprosił. Mówi się, że krew to nie woda, ale nasza wiąże nas jak beton.

- Jestem zaskoczony, że nie pracuje tu żaden z twoich byłych – mówię, wsiadając do turbowindy, która zjeżdża na poziomy mieszkalne. – Mam wrażenie, że gdziekolwiek się ruszymy, trafiamy na któregoś z twoich byłych.

- Czy ty krytykujesz moje życie uczuciowe?

- Niech mnie Stwórca broni.

- To nie moja wina, że szybko się nudzę. Albo że chłopcy robią się nudni. – Scar dąsa się i puka się w usta. – Jest jednak jeden maleńki problem. A raczej nie taki mały, bo ma sześć stóp i siedem cali wzrostu.

- Drugi strażnik?

- Aha. Kumpel Declana zapytał, czy mam przyjaciółkę.

- Mam nadzieję, że powiedziałaś, że nie.

- Musiałam czymś go przekupić. Powiedziałaś, że znam dziewczynę w jego typie.

Krzyżuję ręce, kiedy winda zaczyna zjeżdżać.

- Scar, nie możesz zabrać Zili na podwójną randkę. Najpewniej strzeli do gościa tylko po to, żeby zobaczyć, co się stanie.

- Nie mówię o Zili.

- Nie możesz zabrać Aurory, bo za jej głowę wyznaczono nagrodę!

Moja siostra przewraca oczami.

- I nie mówię o Aurorze.

Mrugam, licząc w myślach.

- Nie, nie mogłaś przecież...

Scarlett zagryza usta i kiwa głową.

- Owszem.

* * *

- Za nic w świecie – oznajmia Cat.

- Słuchaj, to proste – upiera się Scar. – Po prostu siedź i się uśmiechaj, a ja zajmę się resztą.

- Za nic. Kurna. W świecie.

- Nooo dajże spokój, kumpelko – przekonuje ją Scarlett. – Będzie jak za starych czasów. Ty i ja? Dwie kosmiczne królowe na łowach? Będzie ubaw!

- To nie będzie ubaw. To będzie pie...

- Przestań być taką pesymistką!

- Nie jestem pesymistką, tylko realistką.

- To świetnie, bo oni są naaaprawdę słodcy.

- Widzę, do czego zmierzasz.

- Słodcy.

- Nie.

- Słodziaaaści – nuci Scar, machając palcami.

- Na oddech Stwórcy, w tej chwili naprawdę cię nienawidzę, Jones...

Zebrałiśmy się w wilgotnym kamiennym mieszkaniu Dariela, siedzimy w małym pokoju, a system podtrzymywania życia brzęczy i grzechocze nad naszymi głowami. Światło tutaj jest trochę za słabe dla ludzi, większość oświetlenia zapewniają pnącza opadające z sufitu.

Aurora zwinęła się na kanapie, kolana podciągnęła pod brodę i przegląda historię Statko-Świata na unikronie, który jej dałem. Kal siedzi niedaleko i umyślnie ignoruje dziewczynę obok siebie, przyglądając się importowanym stalaktytom. Nie bardzo wiem, co się dzieje między tą dwójką, ale muszę na to uważać.

Zila jak zwykle bawi się unikronem, Scar stoi w drzwiach sypialni. Dariel wyszedł, by zająć się swoimi mętnymi interesami, więc kazał Finowi pilnować, żebyśmy nie spalili mu mieszkania pod jego nieobecność. Na widok rumieńców płonących na twarzy Cat nie jestem pewien, czy mu się uda.

- Słuchaj, to misja dla dwóch dziewczyn – tłumaczy Scar. – Nie mogę zabrać ze sobą Zili albo Aurory. Musimy zająć tych facetów na tak długo, żebym zdołała zwinąć identyfikator. Wtedy będziemy mieli dostęp do sieci ochrony Wiekuistego.

Finian kiwa głową.

- Zerknąłem na schematy, które wyciągnął Dariel, i grzebałem trochę w tutejszym systemie. Cała stacja opiera się na przeróbce sieci Oculus 19 z szyfrowaniem mimetycznym. Jeśli uda mi się przyssać do jednego z głównych węzłów, to pewnie włamię się do sieci kamer. Będziemy widzieli wszystko na stacji. Łącznie z wnętrzem luksusowego liniowca Bianchiego. Co znaczy, że zobaczymy, gdzie trzyma... – Finian mruga, zerkając na obraz rzeźby Auri na jednym z mniejszych monitorów. – Jak właściwie nazywamy to coś?

- Tenteges? – podsuwa mu Scar.

- Dinks? – sugeruję.

- Zapalnik – odzywa się cicho Zila, nie odrywając oczu od unikronu.

- Możecie sobie wsadzić ten Zapalnik tam, gdzie słońce nie dochodzi – odpowiada Cat, rozglądając się z grymasem po pokoju. – Nie po to tyle trenowałam.

- To będzie sześćdziesiąt minut maks – upiera się Scar. – Wyluzuj. Zabaw się trochę. Nie najężej się tak.

Cat rzuca znaczące spojrzenie w stronę swojego irokeza.

– Zawsze jestem zjeżona.

Scar zerka na mnie, więc odpycham się od ściany i ostrożnie podchodzę do naszego Asa.

– Cat, wiem, że to nie jest dla ciebie wymarzona misja, ale potrzebujemy informacji.

Finian kiwa głową.

– Najlepszy sposób, żeby zajrzeć do liniowca Bianchiego, to włamać się do systemu kamer.

– Proszę, teraz ufamy tępakowi, który napromieniował laboratoria napędów w akademii. –

Cat krzywi się. – Pięknie, kurna, pięknie.

– Zaufaj mi. Wiem, co mówię.

– W takim razie ty idź na podwójną randkę – warczy do Finiana Cat.

Fin przykładła dłoń do policzków, odgrywając zgrozę.

– O rety... ale w co ja się ubiorę?!

Cat rzuca się przez pokój na naszego Machera, łapie ją za ramiona i zmuszam do cofnięcia.

Przez chwilę stoimy pierś w pierś i przypomina mi się ostatni raz, gdy staliśmy tak blisko.

Ostatni raz, kiedy piłem.

W dzień końca szkoły na Cohenie IV.

– Spocznij, legionistko Brannock – mówię do niej.

Piorunuje wzrokiem Finiana, ale przestaje się szarpać. Poprawia ubranie, a potem włosy. Ma krótki rękawek, więc widać logo Asa na jej prawym ramieniu pośród innych tatuaży. Przypominam sobie, jak siedzieliśmy razem u tatuażysty, pamiętam alkohol, którym później tłumił mi w barze ból. Patrzyliśmy na siebie ponad stolikiem i pustymi kieliszkami między nami ze świadomością błędu, do którego doprowadzą.

Bo to właśnie powiedziałem jej potem.

Że tym właśnie to było.

Błędem.

Cat piorunuje wzrokiem Aurorę, a oskarżenie w jej spojrzeniu jest jasne jak słońce: „To twoja wina. Gdyby nie ty, Tyler miałby teraz wymarzoną drużynę, a ja byłabym jej częścią i żadna z tych rzeczy w ogóle by się nie wydarzyła”.

To prawda. Każde słowo. Nie pierwszy raz mam nadzieję, że nadkomendantka de Stoy wiedziała, co robi, gdy powiedziała Auri, żeby ukryła się na naszym statku. Mam nadzieję, że Adams wiedział, co robi, gdy powiedział mi, że bym wierzył. Bo z każdą minutą to jest coraz trudniejsze.

– Cat, proszę – mówię cicho. – Naprawdę potrzebujemy twojej pomocy.

Nasz As patrzy mi w oczy, a potem zerka na Auri. Dziewczyna odpowiada na spojrzenie, unosząc podbródek. W jej oczach tli się słabo wyzwanie. Cat zaciska zęby. Wiem jednak, co powie, zanim to zrobi. To samo, co powiedziała następnego ranka, leżąc w pogniecionej pościeli, kiedy powiedziałem jej, że dowódca nie może spotykać się z podwładną, że Alfa nie może umawiać się z Asem, że najlepsi przyjaciele, którzy znają się od przedszkola, nie powinni narażać przyjaźni w nadziei na coś więcej.

– Tak jeesst, dowódco – mówi Cat.

- Ta toaleta nie jest dość duża dla naszej piątki – mówi Kal.

- To nie moja wina, że masz siedemnaście metrów wzrostu, Elfiku – warczy Finian.

- I tylko na tyle nas stać – dodają. – Więc przestań zrzedzić, niedługo tu będą.

Kal, Fin, Zila, Auri i ja tłoczmy się w małej i obskurnej łazience w moteliku z pokojami na godziny w gorszej części dzielnicy z nocnymi klubami na Statko-Świecie. Stoimy upakowani jak żelazne racje, łokieć Fina wbija mi się w żebra, Kal musiał włożyć lewy but do toalety. Pokój przylegający do naszej łazienki został wynajęty na nazwisko mojej siostry i znajduje się kawałeczek od baru, gdzie ona i Cat oczarowały – miejmy nadzieję – chłopaków. W każdej chwili możemy usłyszeć, jak wchodzi przez drzwi, a potem zacznie się zabawa.

Na razie jednak...

- Tu śmierdzi jak w szufladzie z bielizną mojej czwartej babki – mówi Fin.

- Wiesz, jak pachnie w szufladzie z bielizną twojej czwartej babki? – pytam.

- Moja rodzina jest bardzo kosmopolityczna.

- Wątpię, żeby to słowo znaczyło to, co myślisz, że znaczy – mruczy Zila.

- Ehm, przepraszam... – szepcze Auri – ...ale czy ktoś mnie maca po tyłku?

- A chciałabyś, żeby ktoś macał cię po tyłku? – pyta Fin.

Kal odchrząkuje.

- Jeśli tego pragniesz, to ja...

- Zamknąć się! – warczę.

Słyszę brzęk elektronicznego zamka we frontowych drzwiach i stłumiony śmiech. Moja drużyna milknie, kiedy słuchamy ciężkich kroków i pijanego rechotu. Drzwi zatrząskują się, ktoś się potyka, słychać brzęk tłuczonego szkła.

- O, nieeeee – rozlega się męski stłumiony głos. – Declan, upuściłeś gorzałkę.

- Serio?

- S-se... hik!... S-serio.

- O, nieeeee.

- Declan, chodź no tutaj – mruczy ktoś.

Scarlett.

- Lachman, zooooostań tam, gdzie stoisz.

Cat.

- Dlaczego... hik... jest was trójka? – pyta Declan.

- Jestem tylko ja jedna. – Scar śmieje się. – Jesteś podcięty, chodź, usiądź.

- Właściwie... hik!... to podoba mi się myśl o waszej trójce.

- Uwierz mi, przystojniaku, że ja jedna to i tak dla ciebie o wiele za dużo.

- Chyba... robi mi się niedobrze – oznajmia Lachlan.

- Znam to uczucie – mówi Cat.

- Nie, serio mówię. – Odbija mu się. – Gdzie jest... łazienka?

Nasza piątka w łazience patrzy po sobie z przerażeniem.

- Nie czuję stóp - mamrocze Declan.

- Tym bardziej masz powód, żeby dać im odpocząć - mruczy Scar. - Chodź tu, siądź ze mną na łóżku.

- Sserio, naprawdę ich nie czuję. - Chichocze. - Co było w tym ostatnim drinku?

- Mniej więcej dwanaście mililitrów benzotelenenu - szepcze za mną Zila. - Jeśli Scarlett trzymała się dokładnie moich instrukcji.

Słyszę głośnie łomot, a zaraz potem kolejny.

- Wygląda na to, że się trzymała. - Uśmiecham się i otwieram drzwi łazienki.

I oczywiście widzę wyciągniętych dwóch ochroniarzy, których spotkaliśmy wcześniej tego dnia w muzeum - jeden leży na podłodze, drugi w nogach łóżka. Obok Blondasa na łóżku siedzi moja siostra i sprawia wrażenie odrobinę rozczarowanej. Cat siedzi na drugim łóżku i wygląda na lekko poirytowaną, buty opiera na większym zbirze, który leży pod jej nogami.

- No dobra, do roboty - mówię.

Fin pochyla się, żeby przyrzeć się trofeum Cat.

- Gdybyś powiedziała mi, że jest aż tak przystojny, to na pewno poszedłbym na tę randkę.

- Zamknij się, Finian - odpowiada tylko.

Rozbieramy śpiących ochroniarzy do naga i wciągamy ich na łóżko. Kal i ja zakładamy ich pancerze wspomagane i identyfikatory na szyje. Finian wpatruje się w zdjęcie na moim identyfikatorze, a potem w moją twarz.

- Muszę przyznać, że podobieństwo jest wręcz upiorne - stwierdza.

Zerkam na nieprzytomnego matołka na łóżku.

- W niczym nie jesteśmy podobni.

Mój Macher wzrusza ramionami i wręcza mi małe urządzenie.

- Wy, ziemniaki, wszyscy wyglądacie dla mnie tak samo, Złotko. Musisz to podpiąć do węzłów łączy. Centr...

- Słyszałem za pierwszymi siedmioma razami, dzięki.

Kal kończy się ubierać, wygładza warkocze i kiwa do mnie głową. Wygląda naprawdę imponująco. Dobrze, że Lachlan jest taki wysoki.

- Przy tej dawce będą spali co najmniej sześć godzin - mówi Zila, patrząc na ochroniarzy. - Niewiele będą pamiętać.

- Dopilnujcie tylko, żeby przed świtem dostali z powrotem swoje zbroje - mówi Scar i bez żadnych ceremonii przysysa się do szyi śpiącego blondyna.

- Ja piórkuję - szepcze Auri, wytrzeszczając oczy. - Nie mówcie mi, że na dodatek wampiry naprawdę istnieją.

- Dowody. - Scarlett podnosi się ze znaczącym uśmiechem i widzę wściekle czerwoną malinkę na szyi matołka. Odpina biustonosz i zdejmuje przez rękaw, a potem przewiesza go przez lampę i ciemnoczerwoną szminką pisze na ścianie „Dzięki, całuski”. - Nie ma zbrodni bez dowodów.

Cat się krzywi.

- Jeśli myślisz, że zostawię swój stanik w tym śmietniku, to się głęboko mylisz.

- Mój wystarczy za nas dwie.

- Fakt. - Cat kiwa ze smutkiem głową.

- Jesteś gotowy? - pytam Kala.

Mój Czołg tylko poprawia identyfikator na szyi i skłania się lekko.

- Zawsze jestem gotowy - odpowiada.

Odwracamy się do drzwi, ale zatrzymuje nas głos Aurory.

- Ej... chwileczkę...

Patrzy na mnie, gdy obaj się odwracamy. Przeczesuje palcami białą jak śnieg grzywkę, zagryza usta. Szuka słów.

- Dziękuję - mówi, rozglądając się. - Wiem, jakie to dziwne. Wiem, że żadne z nas nie chce tu być. Nie podoba mi się to, że siedzę z boku, gdy wy narażacie się dla mnie. Chcę, żebyście wiedzieli... że to doceniam.

Rozglądam się po pokoju. W odpowiedzi na jej podziękowania Zila kiwa głową, Fin uśmiecha się leciutko. Scar jednak nadal patrzy na nią niepewnie. Cat ledwie na nią zerknęła. A Kal tylko się gapi.

Aurora garbi się odrobinę. Zaciska usta i wbija wzrok w podłogę. Pewnie nie oczekiwała, że wszyscy zaczną wywijać koziółki, ale mimo wszystko...

- Nie ma za co - odpowiadam.

Podnosi wzrok. Klepię ją po ramieniu, co wypada niezręcznie z powodu pancerza wspomaganego. Cat mruży oczy, ale Aurora zdobywa się na słaby uśmiech.

Nie może być jej łatwo. Dwieście lat poza swoim czasem. Wszyscy, których znała, wszystko, co miała - przepadło. Nie znam wielu ludzi, którzy nadal stali by o własnych siłach po czymś takim. Ona nie dość, że stoi i działa, to jeszcze walczy. Walczy o odpowiedzi w jedyny sposób, jaki zna. Nie brakuje jej hartu ducha. Nawet gdyby de Stoy nie powiedziała, że to cenny ładunek, doceniłbym Aurorę.

- Nic nam nie będzie, Auri - mówię, starając się ją uspokoić. - Tym właśnie się zajmujemy. Trzymaj się, Scar. Zobaczymy się ponownie u Dariela, dobrze?

- Dobrze...

- Tracimy czas, dowódcu - mruży za moimi palcami Kal.

- No dobra, jasne. - Wzdycham.

Naprawdę muszę porozmawiać z nim na temat tej dziewczyny.

Kiwam głową do Scar, ona odpowiada tym samym.

- Uważaj na siebie.

Wychodzimy.

SPOŁECZEŃSTWO SYLDRAŃSKIE

► ZWYCZAJE

▼ JAK NIE OBERWAĆ PO PYSKU

Pierwsze, co trzeba wiedzieć, jeśli idzie o syldrańskie obyczaje, to fakt, że nie uda wam się ich zgłębić. Są niemożliwie subtelne i większość ras uważa Syldran za oficjalnych do bólu. Syldranie kłaniają się, zamiast kiwać głowami. Przymykają oczy, zamiast się kłaniać. Skoro to już ustaliliśmy, oto główne pułapki, jakich należy unikać:

Okazania braku szacunku najstarszej osobie w pomieszczeniu. Syldranie uważają, że mądrość przychodzi z wiekiem. To bardzo wygodne, zważywszy, że potrafią dożywać kilkuset lat i każdy Syldranin, z jakim rozmawiacie, jest pewnie od was starszy.

Nieproszonego kontaktu fizycznego. Zwłaszcza natury intymnej. Dla Syldran to oznacza wszelki dotyk twarzy, szyi, uszu i dłoni. Objęcia też nie wchodzą w grę.

Obrażania ich matek. Nie róbcie tego. Nigdy.



Szczęka mnie boli od ciosu łokciem wczoraj w barze.

Żebra mam posiniaczone po tym, jak kopnął mnie jeden z Nieugiętych, i mam lekko opuchnięte kostki lewej dłoni po niezdarnie zadanym ciosie.

To było nieuważne z twojej strony, szepcze mój Wewnętrzny Wróg.

Okazałeś słabość.

Jedziemy turbowindą w skradzionych pancerzach wspomaganych, przygotowując się do przeniknięcia do ochrony Statko-Świata. To nie będzie łatwe, więc powinienem całkowicie skupić się na misji. Jednak zamiast tego myślę o wczorajszej bójce z Nieugiętymi. O pogardzie w ich oczach. O ich krwi na moich rękach.

Wcale nie myślę o Aurorze.

Skupiam się na bólu, jak nauczył mnie ojciec. Te niekończące się lekcje Aen Suun – Drogi Fali – które powtarzałem od dnia narodzin. Pamiętam, jak staliśmy we dwóch pod drzewami lias na Syldrze, zanim spłonęła. Jego ręka na moim ramieniu, kierująca moimi ciosami. Jego głos w moim uchu. Był Zbrojnym tak jak ja. Dumnym. Nieulekłym. Niezrównanym. Jednak ostatecznie wszystkie jego umiejętności i całe szkolenie zdały się na nic.

Dlatego pozwalam sobie odczuwać ból.

W miejscach, których mój wróg dotknął za moim pozwoleniem.

Przysięgam sobie, że nigdy więcej mnie nie dotknie.

– Wszystko w porządku?

Zerkam przez turbowindę, gdy odzywa się mój Alfa. Tyler Jones przygląda mi się chłodnymi, niebieskimi oczami, a ja wyczuwam umysł pracujący za tym spojrzeniem. Zastanawia się, jak to się stało, że tak szybko znalazł się na krawędzi. Zastanawia się, czy istnieje stąd jakaś droga wyjścia. I chociaż zaprzeczyłby temu każdą cząstką swojej istoty, gdybym go o to oskarżył, to zastanawia się też, czy może mi zaufać.

Nie mam o to do niego pretensji. Natychmiast przyszedł mi z pomocą wczoraj w barze, ale to był odruch, pamięć mięśni – Alfa stający w obronie członka swojej drużyny.

Zastanawiam się, co naprawdę myśli na mój temat w ciemnych i cichych godzinach.

Wiedziałem ból w jego oczach wczoraj, gdy mówił o ojcu. Nawet Syldranie znają wielkiego Jericho Jonesa, dowódcę Terrańskich Sił Obronnych, który zabił tysiące moich ludzi podczas wojny, a potem nagle stał się pacyfistą. Był najdonioślejszym głosem w Terrańskim Senacie dopominającym się o pokój między naszymi ludami. To Jericho Jones doprowadził do pierw-

szej rundy pokojowych rozmów między Terrą a Syldrą. To jego negocjacje doprowadziły do zawieszenia broni w 2370.

A kiedy Gwiazdobójca i jego Nieugięci wykorzystali chwilę spokoju, żeby zaatakować stocznię na Orionie, Jericho Jones był jednym z tych, którzy zareagowali na wezwanie skierowane do rezerwistów. Nie latał myśliwcem od trzynastu lat. Miał dwójkę dzieci, które czekały na Terrze na jego powrót.

I nie wrócił do nich.

Zastanawiam się, w jakim stopniu Tyler Jones obwinia mnie o to. Zastanawiam się, czy gdy patrzy na znak na moim czole, to widzi to co wszyscy inni.

Zbrojnego.

Zdrajcę.

Zabójcę.

I'na Sai'nuit.

- Tak, dowódco - odpowiadam. - Dziękuję, że pytasz.

Tyler oblizuje wargi, drobne rozcięcie, które ma po wczorajszej bójce.

- Słuchaj, nie wiem, jak zacząć ten temat... - mówi. - I może to nie jest moja sprawa, ale jesteś moim Czolgim i odpowiadam za ciebie.

- Jesteś moim Alfa, pytaj, o co chcesz.

- Auri - mówi. - Aurora.

Brzmienie jej imienia jest jak muzyka. Żołądek zaciska mi się nerwowo, skóra mnie mrowi pod pancerzem. Wyobrażam sobie jej oczy, bezdennie czarne źrenice, jedną okoloną siedemnastoma różnymi odcieniami brązu, a drugą obwiedzioną bielą jasną jak światło gwiazd. Myślę o jej ustach i ...

- Co jest między wami? - pyta Tyler.

Nagła wrogość odzywa się we mnie z rykiem. Terytorialność. Agresja. Wiem, że to nie jest miejsce dla tego prymitywnego instynktu, więc walczę z nim, jak walczyłem, odkąd pierwszy raz zobaczyłem ją w ładowni, a ona wypowiedziała słowa, których nigdy nie zapomnę...

„Widziałam cię już wcześniej...”.

Mrugam mocno powiekami. Skupiam umysł, jak nauczyła mnie matka.

- Niczego między nami nie ma.

- Nazwałaś ją „be'shmai” - odpowiada Tyler. - W barze przed bójką.

Znowu walczę z gniewem. Wojna w mojej krwi spleciona z przytłaczającym požądaniem Przyciągania. Wewnętrzny Wróg szepcze mi do ucha. Wbija palce w mój kręgosłup. Tłamszę go. Odpycham. Oczyszczam myśli.

Ta rozmowa źle się skończy, myślę sobie.

Odchrząkuję i staram się mówić spokojnie:

- Z całym szacunkiem, dowódco, myślę, że masz rację. To nie jest twoja sprawa.

- Nie mówię po syldrańsku tak dobrze jak Scar, ale wiem, co znaczy „be'shmai”.

Gorzki uśmiech wykrzywia mi usta.

- Nie, dowódco, nie wiesz.

- Nigdy dotąd nie słyszałem, żeby Przyciąganie zaistniało między Syldraninem a człowiekiem. Do tego właśnie doszło? Mówiłeś o tym Aurorze?

- Nie – odpowiadam przerażony samą myślą. – Oczywiście, że nie.

- Słuchaj, chcę, żebyś wiedział, że cię szanuję. Szanuję to, skąd pochodzisz. Jeśli jednak miałbyś stracić głowę w krytycznej chwili z powodu syldrańskiego instynktu godowego, to...

- Przyciąganie to coś więcej niż instynkt godowy – odpowiadam, a w moim głosie pobrzmiwa stalowa nuta. – A wyjaśnianie tego istotcie ludzkiej byłoby jak objaśnianie tęczy ślepcowi. Nie zrozumiesz... nie jesteś w stanie.

Przełykam stal. Smak gniewu w ustach.

- Dowódcu – dodaję.

- Przyciąganie jest zwykle wzajemne, prawda? – pyta, przechylając głowę. – Co się stanie...

- Nie musisz się tym martwić. – Krzywię się, bo nawet rozmowa o tym z Terraninem jest dla mnie krępująca. – Zapewniam, że nad wszystkim panuję.

- Z pewnością wczoraj szybko straciłeś głowę przy spotkaniu z Nieugiętymi.

- Niczego nie straciłem. Doskonale wiedziałem, co robię. Przemoc była konieczna.

- Bo zagrozili Auri?

- Bo wypowiedziałeś moje imię.

Tyler mruga zaskoczony.

- A co do tego ma twoje imię?

Krzyżuję ręce i nic nie mówię, dając do zrozumienia, że pragnę zakończyć tę rozmowę. Jednak Tyler Jones nie odpuszcza, jak keddai, który dopadł trupa.

- Słuchaj, wiem, że to nie jest łatwe. Wiem, że nie mogę tego w pełni zrozumieć, ale musisz pojąć, w jak niebezpiecznym położeniu jesteśmy. Nie możemy pozwolić sobie w tej chwili na tego typu uwikłanie. Musisz nad tym panować.

- Mógłbym to samo powiedzieć o tobie. Dowódcu.

Tyler się dziwi.

- Co to ma znaczyć?

- Widziałem, jak legionista Brannock patrzy na ciebie.

Tyler jeży się na te słowa, prostuje się nieco bardziej. Mimo to sięga mi raptem do podbródka.

- To nie twoja sprawa, legionisto.

- Owszem, dowódcu. To w żadnym razie nie jest moja sprawa.

Stoimy w milczeniu, elektryczność skrzy się między nami. Istota, na którą mnie wychowano, jest boleśnie świadoma tego, z jaką łatwością mógłbym zniszczyć to ludzkie ciało. Jednakże mężczyzna, którym staram się być, krzyżuje zamiast tego ręce. Zachowuje neutralny wyraz twarzy. Ma spokojny puls. Kiedy turbowinda zatrzymuje się z sykiem, drzwi rozsuwają się i rozlega się cichy dzwonek. Czas stoi w miejscu, podobnie jak my, aż drzwi zaczynają się zamykać.

Natychmiast wyciągam rękę, żeby się nie zamknęły.

- Proszę przodem, dowódcu – mówię.

Po dłuższej chwili Tyler wysiada z windy. Wychodząc, stuka w unikron.

- Finian, tu Tyler, jak mnie słyszysz?
- Głośno i wyraźnie, Zlotko.
- Jesteśmy na siedemdziesiątym pierwszym poziomie. Skieruj nas do centrum ochrony.
- W tej chwili. Według Dariela za pięć minut będzie zmiana wacht, więc pospieszcie się, jeśli chcecie wchodzić się w tłum.

Idziemy szybko korytarzami zgodnie ze wskazówkami Finiana i trafiamy do rozległego, otwartego pomieszczenia. Dziesiątki innych pracowników ochrony w takich samych jak nasze pancerzach wspomaganych zbiera się w pobliżu czegoś, co wygląda jak śluza powietrzna starego neltaariańskiego krażownika, gdzie pokazują swoje identyfikatory, zanim zostaną wpuszczeni do środka. Jest już późno, prawie północ lokalnego czasu i strażnicy na służbie robią wrażenie znudzonych i zmęczonych.

Doskonałe połączenie.

Barczysty Terranin przed nami podsuwa identyfikator pod skaner, co wywołuje rozbłysk czerwonego światła i gniwne brzęczenie. Strażnik na służbie mówi mu, żeby spróbował raz jeszcze. Tamten robi to i znowu rozlega się gniewny brzęk.

- Niech to szlag – mówi strażnik i kopie skaner.
- Spiesz się, szefie – gładko kłamie Tyler, machając identyfikatorem tak, że kciukiem zasłania zdjęcie. – Spotykamy się z paniami, które nie lubią czekać.
- Jasne, jasne, przeskakujcie – mówi strażnik, znowu waląc w skaner.

Kiedy barczysty Terranin narzeka za nami, my przechodzimy do centrum ochrony. Idziemy długim głównym korytarzem. Tyler puka w słuchawkę komunikatora w ucho.

- Dobra robota, Finian – mruczy.
- Dziecinada. Wystarczy, że wasze unikrony znajdują się metr od systemu bezprzewodowego, a mogą działać cuda. Powinniście rozglądać się za znakiem wskazującym rdzeń serwera.

Kiedy przechodzimy przez służę, czerwone lasery kolejnego skanera przesuwają się po naszych identyfikatorach i pancerzach, elektroniczny głos ponagla, żebyśmy szli dalej. Na korytarzach panuje tłok, pracownicy ochrony odbijają karty, przychodząc albo wychodząc z pracy. Dostrzegam tabliczkę systemu serwerowego i pokazuję Tylerowi. Idę swobodnie, uśmiecham się uprzejmie. Ignoruję napięcie w mięśniach, wrażenie, że ze wszystkich stron otaczają mnie wrogowie, powoli wzbierającą we mnie przemoc. Słyszę w głowie głos ojca.

Docieramy do dwuskrzydłowych zamkniętych drzwi z zamkiem z klawiaturą i tabliczką „rdzeń serwera”. Udajemy, że gawędzimy, kiedy mężczyzna w stroju administratora przechodzi obok nas pospiesznie. Kiedy korytarz jest pusty, Tyler przysuwa unikron do zamka.

Czekamy. Staramy się nie wzbudzić podejrzeń. Co, zważywszy, że właśnie włamujemy się do pokoju pośrodku uzbrojonego centrum ochrony, jest nieco trudne.

- Nie śpiesz się, Finian – mruczy Tyler do komunikatora.
- Słuchaj, jeśli znasz kogoś innego, kto włamie się przez sieć bezprzewodową zabezpieczoną osiemnastocyfrowym szyfrem, to nie krępuj się – pada odpowiedź.
- Wydawało mi się, że powiedziałeś, że potrafisz działać cuda.

Zamek brzęczy. Drzwi do serwera się otwierają.

- No proszę, tylko popatrz na to - nadchodzi odpowiedź.

Zakradamy się do środka i zamykamy za sobą drzwi. Powietrze jest chłodne, wypełnione poddźwiękową wibracją. Migoczące diody i jarzeniówki nad naszymi głowami rozświetlają pomieszczenie zastawione rzędami serwerów i płataniną kabli. Głos Finiana rozlega się z trzaskiem w naszych uszach:

- Rety, to było niesamowite, Finian. Naprawdę jesteś cudotwórcą. Myślę, że nazwę swojego pierworodnego na twoją cześć, bo...

- Skończ z tym - warczy Tyler. - Gdzie podpiąć pijawkę?

- Wystarczy trzeciorzędne łącze. A teraz słuchaj uważnie. Postaram się wyłożyć to łopatologicznie.

Pilnuję drzwi, zerkając przez szparę, a Tyler wypełnia instrukcje Finiana. Drzwi mijają pracownicy ochrony, paru spóźnialskich idących na swoją zmianę. Dron z przekąskami przetacza się po torach z tacą z kawą i środkami pobudzającymi. Mija pięć minut, które ciągną się w nieskończoność, i wreszcie odwracam się, żeby szepnąć do dowódcy.

- Ktoś idzie.

Tyler podnosi wzrok znad serwera zanurzony po łokcie w kablach.

- Na pewno?

Zerkam znowu na korytarz i widzę zbliżającego się Terranina. Niesie mnóstwo sprzętu komputerowego i ma na sobie pas z narzędziami elektrotechnicznymi. Od trzech dni się golił, piorunuje wzrokiem pracowników ochrony z nieskrywaną pogardą i wygląda, jakby nie spał od siedmiu lat.

- Tak, z pewnością wygląda na człowieka, który pracuje przy komputerach.

- Finian, jesteśmy gotowi? - pyta Tyler.

- Tak jest, odbieram sygnał z pijawki. Podpięliśmy się.

- Przyjąłem - mówi Tyler i zamyka szafkę serwera.

Przechodzący ochroniarz wpada na nadchodzącego technika. Technik przeklina, zatrzymuje się, żeby pozbierać rzeczy, które upuścił. Znajduje się jednak niecałe cztery metry od drzwi do serwerowni. Z pewnością zauważy, jeśli wyjdziemy stąd tuż pod jego nosem.

Tyler staje obok mnie przy drzwiach i zerka na korytarz.

- Nie jest dobrze.

- Zgadzam się.

Mój Alfa rozgląda się po otoczeniu. Natychmiast dochodzi do tego samego wniosku co ja. Nie ma się tu gdzie schować, zwłaszcza w masywnych pancierzach wspomaganych, jakie mamy na sobie. Wewnętrzny Wróg szepcze, że spokojnie mogą załatwić technika po cichu - wystarczy, że zmiażdżę mu krtań zaraz po tym, jak wejdzie. Złamię mu kark. Uduśzę. Tuzin różnych śmierci tańczy w mojej głowie. Jednakże spokojniejsza częśćka mojej osoby wie, że trup pozostawiony w serwerowni doprowadziłby do śledztwa, przez co nasza pijawka mogłaby zostać wykryta.

Zastanawiam się gorączkowo. Ale to nie ja zaliczyłem bezbłędnie egzamin z taktyk wojskowych na ostatnim roku, tylko legionista obok mnie.

- Jakieś sugestie, dowódco?

Tyler się krzywi. Permutacje i możliwości przesuwiają się w jego umyśle. Technik zbliża się do drzwi, szura nogami i ugina się pod ciężarem sprzętu, mruczy coś pod nosem. Tyler zerka na mnie. Bierze głębszy wdech.

- Słuchaj, z góry za to przepraszam, ale cokolwiek zrobię, nie bij mnie, dobrze?

- Dla...

Tyler łapie mnie za przód pancerza i przyciąga do siebie. Drzwi otwierają się i technik wchodzi akurat, kiedy usta Tylera zatrzymują się na moich. Otwieram szeroko oczy. Technik rozdziawia usta.

Jestem tak zaszokowany, że nieruchomieję. Wiem, że Terranie dotykają się przy łada okazji, poklepują się po plecach, ściskają dłonie. Ale to coś więcej niż uścisk dłoni. Tyler przyciska się do mnie, odwraca się powoli do technika, chociaż nasze wargi nadal są do siebie przyciśnięte...

Technik stoi w drzwiach i patrzy na nas. To Tyler przerywa pocałunek i robi wrażenie stosownie speszzonego. Ja zaś stoję po prostu zaszokowany. Poprawiając naręczce sprzętu, technik cofa się powoli na korytarz.

- Chyyyba dam wam, chłopcy, jedną chwilę - mówi.

Zamyka za sobą drzwi z przeproszającym uśmiechem. Tyler odrywa się ode mnie.

- Nic ci nie jest? Nie pobijesz mnie ani nic takiego, prawda?

- Co... - dukam. - Ty...

Tyler czeka, aż się otrząsnę, a potem kiwa głową w stronę korytarza.

- Poczekaj sekundę, a potem wymknij się, robiąc wrażenie potwornie zawstydzonego.

- To nie będzie trudne - mówię.

Tyler śmieje się i otwiera drzwi.

- Ty pierwszy, skarbie.

Biorę głęboki wdech i wychodzę tyłem z serwerowni. Technik stoi kawałek dalej w korytarzu i udaje, że mnie nie widzi. Kiedy jednak go mijam, mruga do mnie porozumiewawczo.

Uszy mi płoną. Wchodzę po schodach, idę przez centrum ochrony i przesuwam identyfikator pod skanerem w korytarzu wejściowym. Strażnik na służbie kiwa głową, kiedy wychodzę, nawet nie podnosząc wzroku znad unikronu.

- Do miłego.

Kilka minut później Tyler dołącza do mnie w holu wejściowym i razem odmaszerowujemy. W turbowindzie staje obok mnie z rękami złożonymi za plecami i gwizdże cicho pod nosem. Muszę przyznać, że jego refleks uratował nas przed katastrofą, bo technik pomyślał, że weszliśmy do serwerowni... jeśli nie z niewinnych powodów, to przynajmniej nie z powodów niezgodnych z prawem. Dzięki temu nasza pijawka bezpiecznie siedzi w sieci ochrony i widzimy całą stację.

Taki dotyk to coś bardzo intymnego wśród Syldran.

Coś takiego należy traktować tu z nabożnym szacunkiem, a nie wykorzystywać do tanich sztuczek.

A jednak sztuczka wypaliła.

- Słuchaj, jeszcze raz przepraszam - mówi w końcu Tyler. - Musiałem szybko coś wymyślić. Wszystko między nami w porządku?

- Takich technik uczą was na zajęciach z taktyki w akademii?

Mój Alfa uśmiecha się szeroko i kręci głową.

- Najlepsi tacytocy potrafią improwizować. To oznacza, że trzeba pracować z tym, co ma się pod ręką.

- Albo przy ustach?

Tyler się śmieje.

- Najwyraźniej. Dobrze, że umyłem rano zęby.

Jedziemy przez chwilę w milczeniu, patrząc na zmieniające się numery na wyświetlaczu.

- Nie wiedziałem, że Syldranom rumienią się uszy - mówi Tyler.

- Nie rumienię się.

- A wyglądasz tak, jakbyś się rumienił.

- Nie rumienię się.

- W porządku - rzuca przeciągle Tyler. - Czasem tak działam na ludzi.

- Czy twoja prośba, żeby cię nie bić, nadal pozostaje w mocy, dowódczo?

Mój Alfa tylko uśmiecha się w odpowiedzi. I chociaż nadal jestem trochę zaszokowany, nie mogę nie poczuć niechętnego podziwu. Szybko myśli ten Tyler Jones. Nie waha się, nie roztrząsa. Mimo ogromnego ryzyka widzi wszystko wyraźnie i robi to, co trzeba, żeby wygrać. Jest urodzonym przywódcą.

Winda zatrzymuje się i drzwi się otwierają. Kiedy wychodzę na korytarz, słyszę, jak Tyler chichocze.

- Co cię tak bawi? - pytam.

- Tak sobie pomyślałem... - Uśmiecha się szeroko. - Scar przecież poprosiła nas, żebyśmy dali sobie buzi i się pogodzili...

DRUŻYNY LEGIONU AURORY

► CZŁONKOWIE DRUŻYN

▼ ASY

Asy szkolą się w lataniu wszystkim, od promów kosmicznych po krążowniki, frachtowce i niszczyciele; to piloci w drużynach Legionu Aurory. Przenieś ucho igielne, a As przeleci przez nie takim statkiem, jaki mu wskażesz.

Asy słyną z tego, że są śmiałe, pewne siebie (wręcz zuchwałe) i ponad przeciętnie atrakcyjne, jeśli idzie o wygląd zewnętrzny. Wystarczy któregoś zapytać, a sam ci to powie.

Bycie Asem wymaga błyskawicznego refleksu, błyskawicznego myślenia i narządów rozrodczych z czystego tytanu. Powiedzmy sobie szczerze: ich robota jest równie fantastyczna jak oni sami.



– Mam dobrą wiadomość – oznajmia Finian. – I doskonałą. A na koniec absolutnie potwornie złą.

Ty zapada się na siedzeniu obok mnie, Scarlett siedzi po jego drugiej stronie. Dopiero co wrócił z Kalem z ich roboty w centrum ochrony; wcześniej podrzucili pancerze wspomagane nieprzytomnym chłopakom z naszej podwójnej randki do motelu na godziny. Nasz znakomity przywódca pochyla się, żeby wytrzeć brud z buta, szopa zmierzwionych jasnych włosów opada mu na oczy. Kątem oka zerkam na grę mięśni na jego ręce. Udaję, że niczego nie zauważam. Udaję, że nic mnie to nie obchodzi.

– Najpierw dobra wiadomość – mówi Tyler.

Finian obraca się do nas na krześle. Jego unikron jest wsunięty w przedramię egzozskieletu, soczewki na nadgarstku wyświetlają holograficzny obraz. Światło jest jasne w półmroku salonu Dariela, obraz wyraźny. Zastanawiam się, ile danych jest w stanie przetwarzać ten jego sprzęt. Zastanawiam się, jaki umysł zdołał obmyślić taki pancerz. Finian niewątpliwie jest denerwującym dupkiem, ale przynajmniej ma głowę na karku.

– Dobra wiadomość jest taka, że pijawka działa doskonale – oznajmia. – Siedzę w ich sieci, poruszam się wolno, żeby nie zwrócić niczyjej uwagi. Mam jednak dostęp do niesławnego luksusowego liniowca Casseldona Bianchiego i do wszystkich znajdujących się tam kamer ochrony.

Rozgląda się po pokoju.

– Nie wrywajcie się tak z oklaskami.

– A jaka jest ta doskonała wiadomość? – pyta Scarlett.

Finian puka w klawiaturę na drugiej ręce. W miejscu małego hologramu rozbłyskuje większy i żywszy obraz na tle białej kamiennej ściany. Finian przesuwa ręką w powietrzu i hologram przeskakuje przez kilka różnych obrazów, zanim zatrzymuje się na wybranym.

– Doskonała wiadomość jest taka, że znalazłem Zapalnik.

Siedząca w kącie Aurora podnosi się. Wytrzeszcza różnobarwne oczy, wpatrując się w obraz wyświetlany przez Fina. Na promieniu niebieskiego światła unosi się rzeźba, której wizerunek namalowała wszędzie w schowku. Figurka o dłoniach z trzema palcami wykuta z dziwnego metalu. Nie wygląda na większą od mojej dłoni. Diament w piersi i perła w prawym oku to prawdziwe kamienie szlachetne. Unosi się w przezroczystej gablocie, która wygląda na szklaną, powoli się w niej obraca.

- To jest to? - pyta Tyler.

Aurora się gapi. Szepcze tak cicho, że ledwie ją słyszać.

- Tak.

Odrywa wzrok od ekranu i patrzy na Tylera.

- Nie wiem, skąd to wiem, ale wiem. To dlatego się tu znaleźliśmy...

- W porządku. - Tyler kiwa głową, patrząc na rzeźbę. - Mów, jaka jest zła nowina.

- Nie mówiłem, że mam złą nowinę - odpowiada nasz Macher, pukając w klawiaturę. - Powiedziałem, że absolutnie potwornie złą.

- Na oddech Stwórcy. - Wzdycham. - Wyrzuć to w końcu z siebie, dobrze?

Finian posyła mi całusa i porusza palcami, rozszerzając kadr. Widzę wielki okrągły pokój z eleganckimi meblami. Ogromne szklane okna wychodzą na coś, co wygląda jak dżungla. Dziesiątki szklanych gablot i szafek stoją w pomieszczeniu, oświetlone ciepłymi reflektorkami i wypełnione dziwnymi przedmiotami. Niektóre są gładkie i eleganckie, inne pokręcone i migoczące. Ale wszystkie są ładne.

- To gabinet Casseldona Bianchiego - wyjaśnia Finian. - Serce jego posiadłości. Zabezpieczone tak, że na wieść o tym profesjonalny przestępca obudziłby się z wrzaskiem w środku nocy. Skanery reagujące na temperaturę. Sensory genetyczne. Podłogi wychwytyjące mikrozmiany w ciśnieniu powietrza. I nawet gdyby udało się wam oszukać te wszystkie zabezpieczenia, prowadzą tam tylko jedne drzwi. I istnieje tylko jeden klucz. Który, o ile mi wiadomo, bez przerwy znajduje się na szyi Bianchiego.

Finian przełącza się na zdjęcie Bianchiego ubranego w elegancki garnitur, gdy odsłania jakąś egzotyczną rzeźbę w swoim muzeum. Szczerzy w uśmiechu rząd olśniewająco białych kłów. Na szyi ma kartę dostępu na platynowym łańcuszku.

- Oparte na kodzie genetycznym sześćdziesięciocyfrowe szyfrowanie polimorficzne - wyjaśnia Finian.

- To brzmi jak coś skomplikowanego - mówi Tyler.

- Słowo „skomplikowane” nawet nie próbuje oddać tego zabezpieczenia. Do jego gabinetu będzie trudniej się dostać niż do bokserek mojej drugiej połówki podczas zeszłorocznego balu z okazji dnia Stworzenia.

- Czy to w ogóle jest wykonalne? - pyta Tyler.

- Powiem szczerze, że nie mam pojęcia. - Finian wzdycha. - Próbowałem poezji, próbowałem z kwiatami...

- Mówię o gabinecie, Fin. A co z szybami wentylacyjnymi?

Nasz Macher kręci głową, znowu przeskakując na zdjęcie gabinetu.

- Mają trzy centymetry szerokości w najlepszym wypadku. I osłony jonowe. Więc o ile nie zamierzasz zrzucić naprawdę mnóstwa kilogramów...

- A co z tymi ogromnymi oknami? - pytam.

- To nie okna, to ściany - odpowiada Finian, obracając się o trzysta sześćdziesiąt stopni na krześle. - Cały gabinet jest zamknięty w przezroczystym spolaryzowanym krzemie.

- Dlaczego?

- Bianchi skupuje świecidełka i artefakty z całej Galaktyki, ale przede wszystkim interesuje się egzotycznymi formami życia. Ma ponad dziesięć tysięcy gatunków w swojej menażerii, według wywiadu, który czytałem w „Galaktycznym džentelmenie” z zeszłego miesiąca.

- Ludzie nadal subskrybują „Galaktyczne džentelmena”? - pyta Scarlett, unosząc brwi.

- No wiesz, krążą plotki... - mruczę.

- Kupuję go dla artykułów. W każdym razie gabinet Bianchiego... - palce Finiana tańczą i obraz na ścianie zamienia się w schemat - ...znajduje się w środku jego menażerii. Jego gabinet jest otoczony przez klatkę z najcenniejszym nabytkiem.

- Proszę, powiedz mi, że to mały przyjazny terierek imieniem Lord Szczekuś. - Tyler wzdycha.

- Prawie trafiłeś, Złotko - odpowiada Finian, znowu zmieniając obraz. - Niewiele ci zabrakło.

Na ścianie pojawia się wizerunek najbardziej przerażającego... stwora... jakiego w życiu widziałam. A muszę dodać, że widziałam dziś rano przy prysznicu Dariela de Vinnera de Seela w samej bieliznie (i omal nie wyłupiłam sobie oczu).

Potwór składa się z samych ostrych jak brzytwa zębów, jaskrawo zielonych oczu i falujących mięśni. Pazury ma jak miecze, skórę grubą i pokrytą rogami. Wydaje z siebie przenikliwie, metaliczne wrzaski, jakby dwie piły łańcuchowe uprawiały seks.

- Drodzy towarzysze, pozwólcie, że przedstawię wam dumę menażerii Casseldona Bianchiego - oznajmia Finian. - Wielkiego Ultrazaura z Abraaxis IV.

- Amna diir - szepcze Kal i jego chłodna fasada tym razem jakby odrobinę się kruszy.

- W rzeczy samej, Elfiku. - Finian kiwa głową. - Znaczy nie mam pojęcia, co właśnie powiedziałaś, ale owszem, masz rację. Podobno Bianchi oddał czwarte jądro, żeby dorwać tę bestię w swoje ręce.

- Dlaczego nazywają to coś „wielkim” ultrazaurem? - pyta Aurora. - Wyróżnia się nadzwyczajnym charakterem pisma, czy co?

- Jest ostatnim przedstawicielem swojego gatunku w całej Galaktyce - wyjaśnia Fin.

- Co się stało z resztą?

- On ich zabił - odpowiada zwyczajnie Betraskanin. - Jest ostatnim przedstawicielem swojego gatunku, ponieważ wszystkich pozostałych pożarł.

Dziewczyzna wytrzeszcza oczy.

- Ja piórkuję... że co proszę?

- Aha, ultrazaury to najbardziej agresywny gatunek w całej Drodze Mlecznej - mówi Finian, przeczesując ręką białe włosy i bardziej je strożąc. - Wybiły wszystkie żywe istoty na Abraaxis IV. A kiedy skończyły im się rzeczy do zabijania, pozabijały siebie nawzajem.

- Z ewolucyjnego punktu widzenia to ma mało sensu - zauważa Zila.

- Dla mnie wręcz przeciwnie. - Finian wzrusza ramionami. - Ludzie ciągle to robią.

- Dlaczego tak hałasuje? - Scarlett się krzywi.

- To chyba śpiew godowy. Pożarł wszystkie potencjalne przyjaciółki i teraz czuje się samotny.

- Dobrze, już dobrze - mówi Tyler. - Chyba już ustaliliśmy, że przejście przez menażerię nie wchodzi w grę. Zatem pozostają drzwi frontowe. Potrzebujemy tego klucza.

- To nic nam nie da - mówi Finian. - To polimorficzne szyfrowanie reagujące na kod genetyczny. To znaczy, że kombinacja zmienia się za każdym razem, gdy Bianchi wchodzi z nią w kontakt fizyczny. Jeśli ktoś choćby kichnie na klucz, ten zarejestruje obce DNA i zablokuje drzwi w całej posiadłości.

Na te słowa ogarnia mnie ulga. Misja z każdą chwilą wygląda na coraz bardziej niewykonalną. Im szybciej Tyler zda sobie sprawę, że marnujemy czas, tym szybciej porzuci to szaleństwo.

Przesuwam palcami po atramentowych meandrach i liniach na mojej prawej ręce. Robię tak, gdy się denerwuję. Kiedy się wkurzam. Kiedy muszę się skupić. Moje tatuaże zostały wykonane przez tuzin różnych artystów, to tęcza kolorów, kolaż stylów, ale jedno je łączy. Jedna rzecz, którą kochałam od dziecka.

Skrzydła.

Smoki. Ptaki. Motyle i ćmy. Mam sokoła na plecach i łopatkach, tak samo jak moja mama. Była pilotem TSO, zanim zachorowała. Nadal pamiętam uśmiech na jej twarzy, kiedy powiedziała jej, że wstępuję do Legionu. Powiedziała, że jest ze mnie dumna. To samo powiedziała, kiedy ostatni raz z nią rozmawiałam. Wyrzeźbiła to resztką powietrza, jakiej jeszcze nie odebrała jej zaraza.

„Jestem z Ciebie dumna, córeczko”.

Zastanawiam się, ile dumy by czuła, gdyby zobaczyła mnie teraz. Zbieg. Po szyję w kłopotach. Na czymś biurku już leżą papiery do sądu wojskowego wystawione na moje nazwisko. Wiem, że Tyler spróbuje wziąć wszystko na siebie, jeśli zostaniemy złapani. Wiem, że powie, że nam rozkazał, żebyśmy mu pomogli. Jednak pewna cząstka mnie nadal próbuje zrozumieć dlaczego.

Coś zobaczył na pokładzie tamtego terrańskiego niszczyciela.

O'Malley zrobiła coś, o czym on mi nie powie.

Kiedys ciągle ze sobą rozmawialiśmy.

- I nie ma sposobu, żeby pokonać ten zamek bez klucza? - pyta Kal.

- Może boska interwencja coś by zdziałała - odpowiada Finian. - Ale to nawet nie jest pierwszy z naszych problemów. Nie możemy nawet zbliżyć się do gabinetu Bianchiego. Jego posiadłość jest najsilniej chronionym obszarem w Statko-Świecie. I to za pomocą najnowocześniejszych metod ochrony. Włamanie się do systemu kamer to jedno, ale nie mamy szans tam wejść i nie dać się złapać.

W pokoju zapada cisza. I w tej ciszy w końcu odzywa się Aurora.

- Nie chciałam niczego mówić...

Wszyscy patrzymy na nią wyczekująco. Ewidentnie nadal się waha, napotyka zimne spojrzenie Elfika, mój wściekły wzrok. Zagryza usta i wreszcie mówi:

- Ale... widziałam coś dzisiaj pod prysznicem.

- Ta łazienka jest obrzydliwa - przytakuje jej Scar. - Pleśń rośnie na pleśni.

- To nie to... - Mała Pasażerka na Gapę patrzy mi w oczy. - Widziałam Cat.

- No proszę, proszę! - Finian uśmiecha się od ucha do ucha. - Nie wiedziałem, że twój cresh-pączuszek woli tego rodzaju lukier, Zero.

- Stul dziób - warczę.

- Ej, dzieciaku, ja cię nie osądzam...

- Nie, miałam na myśli... - Aurora kręci głową. - Miałam kolejną... wizję. Trochę zakręciło mi się w głowie, może od pary, sama nie wiem. Więc usiadłam na kafelkach, oparłam głowę o ścianę i wtedy... zobaczyłam Cat w masce i w eleganckim jednoczęściowym kostiumie. Scarlett i Tylera też. - Patrzy na nas. - Wszyscy wyglądaliście, jakbyście się wybierali... na przyjęcie?

- Przyjęcie w tej łaźni? - pyta Scarlett.

- Wiem, jak to brzmi - odpowiada Aurora. - Ale to nie był sen.

Tyler pochyla się, styka dłonie czubkami palców pod brodą, oczy mu błyszczą.

- Jutro wieczorem zapowiada się impreza - mówi, rozglądając się po pokoju. - Pięćdziesiąta rocznica Statko-Świata. Bianchi urządza maskaradę. - Patrzy na Aurorę i urywa, uśmiechając się i błyskając dołeczkami. - Jeśli załatwimy sobie zaproszenia, możemy po prostu wejść do posiadłości.

- W porządku... - mówi Scarlett. - A jak to załatwimy?

Tyler masuje podbródek i wpatrując się w schematy, odchyła się na krześle.

- Pracuję nad tym. Mamy przewagę w paru kwestiach.

Jego siostra unosi brew.

- Na przykład?

- Po pierwsze, tak niebezpieczny gangster jak Bianchi nie spodziewa się, że ktoś go okradnie. Nikt nie jest tak głupi, żeby mu się narazić.

- Poza nami najwyraźniej - warczę.

Ty mruga do mnie.

- Nigdy nie lekceważ siły elementu zaskoczenia.

- Świetnie - mówi Finian. - W takim razie wejdziemy na teren. Potem wystarczy, żebyśmy ukradli klucz, który nosi na szyi najbardziej niebezpieczny przestępca w sektorze, i to na oczach wszystkich gości oraz jego obstawy, nie uruchamiając przy tym alarmu genetycznego. Który uruchomimy, choćby dotykając klucza.

Obserwuję oczy Ty'a. Jego usta. Poświata z pńczy rzuca na jego twarz słabe światło i widzę, że dołeczki już czekają za kulisami. Nie bez powodu był złotym chłopcem w Aurorze. Pewnie, że doskonale zdał każdy egzamin, ale jego ulubionym przedmiotem zawsze była taktyka. Kiedy my graliśmy, piliśmy albo lataliśmy, Ty siedział w swoim pokoju i studiował dokonania starych martwych generałów. Sun Zi. Hannibala. Napoleona. Eisenhowera. Tankiana. Giąpa. Osweyo.

Większość chłopców chce grać w dżetbol albo zostać strażakiem, gdy dorośnie.

Ty chciał zostać Markiem Agrypą.

- I jeszcze trzeba zająć się zabezpieczeniami w samym gabinecie - dodaje Scarlett. - Chyba że po prostu wparujemy tam i zabierzemy Zapalnik, ale wtedy będziemy mieli na karku całą stację.

I wreszcie dołączki Ty'a wychodzą na scenę.

- Dla mnie to wygląda na wyzwanie.

Odpowiedź wzbiera mi w piersi. Staram się ją zwalczyć. Staram się ją powstrzymać. Ty jest moim dowódcą. Idę tam, gdzie on powie, robię to, co mi każe. Tego cię uczą na akademii. Zawsze wspieraj swojego Alfę.

Zawsze.

- Nie - słyszę własne słowa. - Za nic, kurna, w świecie.

Drużyna patrzy na mnie, kiedy wstaję z zaciśniętymi pięściami.

- Serio mówię, dość tego chrzanienia.

- Masz coś do powiedzenia, legionistko Brannock? - pyta Ty.

- Możesz się założyć o własną rurę wydechową, że mam. - Pozwalam, żeby gniew wypełnił mój głos. W tej chwili jestem na niego wściekła i ledwie mogę powstrzymać się przed krzykiem. - To już przekracza wszelkie granice głupoty, to już normalnie martwica mózgu. Nie wystarczy, że uciekamy przed własnymi ludźmi, że zaatakowaliśmy terrański personel i narażamy życie. Teraz chcesz, żebyśmy narazili się najbardziej niebezpiecznemu przestępcy w sektorze, dla błyskotki, którą szurnięta dziewczucha widziała we śnie?!

Wskazuję O'Malley, nadal piorunując wzrokiem Tylera.

- Serio, Ty, czy tobie całkiem odważyło?

- Tu chodzi o coś więcej niż sny - mówi Tyler. - I sama dobrze to wiesz. Widziałaś, co Auri zrobiła z Łukiem. Kiedy znalazłem ją w Fałdzie, prawie utonąłem w skafandrze, a ona nas przeniosła. Przeniosła w bezpieczne miejsce. I słyszałaś, co de Stoy i Adams powiedzieli nam na początku misji.

- To żadna, kurna, misja! - krzyczę. - To włamanie! I po co? Żeby zadowolić urojenia tego czubka? Czy tylko ja widzę, że to jest kosmicznie pochrzanione?

- Nie nazywaj mnie czubkiem! - krzyczy O'Malley.

- O, przemówiła! - odpowiadam, kłaniając się nisko. - Nie jesteśmy godni. Jakąż to radę masz dla nas, potężna prorokini?

Kal unosi srebrną brew, patrząc na mnie.

- Robisz z siebie widowisko, Zero.

- Wsadź sobie w tyłek te uwagi, Elfiku!

- Słuchaj. Nie udaję, że wiem, co tu się dzieje - mówi O'Malley. - Ale coś się dzieje. Widzę rzeczy, zanim się wydarzą. Widzę...

- A widzisz sposób, w jaki mamy odwalić ten numer i przy tym nie zginąć, jasno-kurna-widzko? - dopytuję się. - Widzisz sposób, w jaki wejdziemy do prywatnego gabinetu Cassel-dona Bianchiego i z niego wyjdziemy, nie dając się złapać?

O'Malley zaciska zęby. Zerka na schemat na ścianie.

- Nie - odpowiada cicho.

- Co ty powiesz? Możesz mnie uznać za zaszokowaną.

- Cat - odzywa się Tyler. - Odpuść sobie.

- Może ona ma rację.

Oczy wszystkich kierują się na Scarlett. Patrzy na brata i mówi cicho, w łagodny sposób, w jaki przekazuje się zle nowiny.

Tyler bierze głęboki wdech i patrzy na siostrę.

– Scar?

– Mówię tylko, że zapędziliśmy się naprawdę daleko. Zanim pójdziemy dalej, może powinniśmy zatrzymać się i zadać sobie pytanie, dokąd ta droga prowadzi.

– Z pewnością wyprowadzi nas z Legionu – mówię. – Do karnego zwolnienia. Prawdopodobnie do więzienia. Pracowałeś na to od trzynastego roku życia, Tyler. Taki jesteś zły z powodu przegapienia Poboru, że chcesz wyrzucić całą karierę do recyklera?

– Nie chodzi o Pobór – warczy Tyler. – Słyszałaś, co powiedział nam Adams. „Musicie wytrzymać. Musisz wierzyć”.

– Ale dlaczego? – naciskam. – Co jest w niej takiego, że chcesz tam iść?

– Nie wiem. – Tyler wzrusza ramionami i patrzy na O'Malley. – Ale chcę. Na tym polega wiara.

Zgrzytam zębami. Opieram się ciężce, żeby go spoliczkować. Ryknąć mu w twarz. Patrzę na Scarlett, a ona kręci głową. Twarz Finiana jest jak maska, ale to jasne, że jest dość zuchwały, żeby pisać się na tę jazdę. Zila przygląda mi się, jakbym była robakiem, którego próbuje zakwalifikować. Kal milczy, mruży odrobinę fiołkowe oczy. Przeciwnik ma przewagę liczebną. Ma większą siłę ognia.

– Do diabła z tym. – Spluwam.

Łapię kurtkę i maszeruję do drzwi.

– Dokąd idziesz? – pyta Scar.

– Muszę się, kurna, napić.

– Nie dałem rozkazu, żeby się rozejść, legionistko Brannock – ostrzega mnie Tyler.

– To wyślij mnie pod sąd wojskowy!

Wiem, że zamknięcie za sobą drzwi z hukiem to zagrywka smarkacza. Wiem, że wyglądam jak smarkula, która odstawia atak złości, bo nie dostaje tego, czego chce. Wiem to w głębi duszy. Ta wiedza rozpiera mnie aż po koniuszki skrzydeł.

Mimo to zatrzaskuję drzwi tak mocno, że praktycznie wyskakują z zawiasów.

* * *

– Jeszcze jeden.

Barman unosi troje brwi. Widzę, jak drży jego trąba.

– Na pewno? – pyta. – Wypiłaś już sześć.

– Wiesz, co? Coraz lepiej ci wychodzi odgrywanie mojej mamy – warczę, pukając w krawędź kieliszka palcem.

Barman wzrusza ramionami, nalewa mi i odwraca się do innych klientów.

To podła speluna, rozświetlona neonami, głęboko w najgorszym rejonie Statko-Świata. Zespół gra głośno i ostro, podłoga jest lepka. To jedno z tego rodzaju miejsc, w którym lądujesz

o trzeciej nad ranem, kiedy szukasz bójki albo bzykania. Nie jestem jeszcze pewna, ku czemu się skłaniam.

Tyler.

Wypijam tani etanol jednym haustem, krzywię się, czując chemiczne palenie w gardle. Staram się zorientować, dlaczego jestem taka wściekła. Czy naprawdę dlatego, że on na poważnie rozważa ten przekręt? Czy z powodu osoby, dla której to robi?

„Musisz wierzyć, Tyler”.

Tyler potrafi wierzyć. Jest w tym dobry. Admirał Adams to wiedział. Co sobota chodzili razem do kaplicy. Można by się spodziewać, że religia nie przetrwa w epoce międzygwiazdnych podróży. Idea wiary była martwa, kiedy ludzkość zaczęła sięgać ku gwiazdom. Jednak kiedy odkryliśmy pierwszą, a potem setki następnych ras, nie umknęło naszej uwagi to, że wszystkie są dwunożne. Oparte na węglu. I oddychają tlenem. Szanse na to były zbyt małe, żeby wydały się wiarygodne. Coś takiego nie dzieje się przypadkiem.

I tak, hokus-pokus i proszę, powitajcie Wiarę Zjednoczoną.

Dotykam symbolu Stwórcy na kołnierzyku. Idealne koło wytrawione w srebrze. Żałuję, że nie wierzę tak jak Tyler. Bo nie potrafię. Nie zamierzam. Bo chociaż przyjaźnimy się, odkąd rozwaliałam krzesło na jego głowie w przedszkolu, bo chociaż poszłabym za nim na koniec Drogi Mlecznej, on nie wierzył we mnie – w nas – tak jak wierzy w nią.

– O'Malley – warczę, znowu kiwając głową na barmana.

Już ma mi nalać następną kolejkę, kiedy ręka w rękawiczce zakrywa kieliszek.

– ZA POZWOLENIEM.

Odwracam się, zastanawiając się, czy to moje bzykanko na tę noc. Napinam wszystkie mięśnie, kiedy zdaję sobie sprawę, że wręcz przeciwnie.

Postać jest ubrana w grafitową szarość od stóp do głów. Lustrzana maska o kształcie wydłużonego owalu i pozbawiona jakichkolwiek wyróżniających cech skrywa twarz. Widzę swoje mętne odbicie w jej powierzchni. Oczy mam wytrzeszczone z zaskoczenia.

Jasna cholera, GAW.

Podnoszę się ze stołka i druga dłoń w rękawiczce zaciska się na moim ramieniu. Dociera do mnie, że stał za mną drugi agent. Siedząc plecami do wejścia w tak głośnym barze, pijąc tak mocny alkohol, nie zorientowałam się nawet, kiedy do mnie podeszli.

Nawaliłam.

Nie mam szans, ale mimo to zaciskam dłoń na kieliszku, szykując się do ciosu. Skoro mam paść, to padnę, walcząc.

– PROSZĘ SIĘ WSTRZYMAĆ PRZED NIEPOTRZEBNĄ PRZEMOCĄ, LEGIONISTKO BRANNOCK – mówi pierwszy agent pustym głosem, który nie zdradza płci. – CHCEMY TYLKO POROZMAWIAĆ.

– Wszystko w porządku? – pyta barman, znowu unosząc brwi.

Patrzę na agentów. Wybrzuszenia pistoletów pod ich kurtkami, odległość do drzwi. Szacuję swoje szanse, podczas gdy muzyka mnie ogłusza, a alkohol buzuje mi we krwi. Powoli siadam z powrotem.

– W porządku – odpowiadam.

- JESZCZE JEDEN? – pyta agent.

- Jeśli stawiasz.

- LARASKI SEMPTAR – mówi agent GAW. – TRZY KIELISZKI, Z ŁASKI SWOJEJ.

Barman przyjmuje zamówienie, nalewa nam trzy kolejki do świeżych kieliszków. Pierwszy agent siada na prawo ode mnie. Drugi staje za moimi plecami i obserwuje mnie w lustrze nad barem.

Kiedy już Trzyoki drepcze obsłużyć innych klientów, pierwszy agent sięga do szarego mundur. Powolnym, precyzyjnym ruchem kładzie unikron na kontuarze przede mną. Nad urządzeniem unosi się mały holograficzny obraz trzeciego agenta. To ten upiorny łajdak ubrany na biało, który zgarnął nas ze stacji Sagan. Widok instrumentów za jego plecami podpowiada mi, że stoi na mostku terrańskiego niszczyciela.

- DOBRY WIECZÓR, LEGIONISTKO BRANNOCK – mówi beznamiętnym głosem. – NIE ZOSTALIŚMY SOBIE PRZEDSTAWIENI. MOŻESZ ZWRACAĆ SIĘ DO MNIE PRINCEPS.

- Jestem oczarowana.

Unoszę kieliszek do ust i przechylałam powoli. Smak dymu, sugestia cukru i nutki czystej adrenaliny na języku.

Pozostałe dwa kieliszki stoją przed agentami.

Nietknięte.

- ZNALAZŁAŚ SIĘ BARDZO DALEKO OD DOMU, LEGIONISTKO BRANNOCK – mówi mały hologram.

- Nie ma lepszego domu od czerni – odpowiadam z uśmiechem starym powiedzonkiem Asów.

- WNEŹRZA CEL KSIĘŻYCOWEJ KOLONII KARNEJ NIE SĄ CZARNE – odpowiada princeps. – SĄ SZARE. NIE MA TAM NIEBA. NIE MA GWIAZD. TYLKO SZAROŚĆ. WIECZNIE.

- Próbujesz mnie nastraszyć? – Podsuwam barmanowi kieliszek, który trzymam w jednej, nieruchomej jak skała ręce. – Bo aż się cała trzęsę.

- WIEM, ŻE TRUDNO TO DOSTRZEC, ALE ISTNIEJE DROGA WYJŚCIA – mówi princeps, kiedy barman mi polewa. – DLA CIEBIE I TWOJEJ DRUŻYNY.

- NIE CHODZI NAM O WAS – mówi mi do ucha ten, który stoi za mną, a jego elektroniczny głos sprawia, że przechodzą mnie ciarki. – INTERESUJE NAS TYLKO AURORA O'MALLEY.

- RESZTA DRUŻYNY 312 BĘDZIE MOGŁA ODEJŚĆ, KIEDY ONA ZNAJDZIE SIĘ W NASZYCH RĘKACH. – Princeps kiwa głową. – WRÓCICIE DO AKADEMII. DO SWOICH KARIER. PRZYJACIÓŁ. DO WŁASNEGO ŻYCIA. NIE MUSISZ ODRZUCAĆ WSZYSTKIEGO, NA CO CIĘŻKO PRACOWAŁAŚ, LEGIONISTKO BRANNOCK.

Mrugam z trudem. Kręcę głową.

- Przepraszam, princepsie, czy możesz powtórzyć? Nic nie słyszałam, bo wszystko zagłuszało mi moje poczucie, że mam to w dupie.

Wypijam kieliszek i powoli wstaję.

- Dzięki za drinka.

Agent za mną łapie mnie za ramię. Chwył jest perfekcyjnie wymierzony. Dość mocny, żeby zabolalo. Dość delikatny, żebym wiedziała, że może zabolet znacznie bardziej.

- DZIEWCZYNA, KTÓRĄ UKRYWACIE, JEST WROGIEM TERRAN. WSZYSTKIE TERRAŃSKIE SIŁY OBRONNE ZOSTAŁY ZMOBILIZOWANE, ŻEBY JĄ SCHWYTAĆ. ONA BĘDZIE NASZA. - Głos agenta staje się łagodny i pobrzmiwa groźbą. - CZY NAM POMOŻECIE, CZY TEŻ NIE.

- To pewnie dlatego czaicie się w spelunach o nieludzkiej godzinie tuż nad ranem, co? - szydź, wskazując na unikron na barze. - Ten gość nie jest nawet w tym samym sektorze co my.

- BELLEROFONT WŁAŚNIE TU LECI, LEGIONISTKO BRANNOCK - odpowiada princeps. - NIE MOŻECIE NAM UCIEC. JEDNAK ATAK TSO NA STATKO-ŚWIAT SPOWODOWAŁBY NIEPOTRZEBNE STRATY W LUDZIACH. MAMY NADZIEJĘ ROZWIĄZAĆ TĘ SPRAWĘ BEZ STOSOWANIA PRZEMOCY. AURORA O'MALLEY I BEZ TEGO ZABIŁA JUŻ DOŚĆ NASZYCH AGENTÓW.

Mrużę oczy.

- NIE WIEDZIAŁAŚ? - pyta princeps. - ZAMORDOWAŁA DWÓCH NASZYCH AGENTÓW NA POKŁADZIE BELLEROFONTA. ZMIAŹDZIŁA ICH MYŚLĄ, JAKBY TO BYŁY PAPIEROWE KUBECZKI.

Princeps znika i w jego miejsce pojawia się obraz czegoś, co wygląda jak pokój przesłuchań. Dwa grafitowo-szare mundury. Krew i wnętrznosci rozsmarowane na podłodze i na wysokość trzech metrów na ścianach.

Żołądek podchodzi mi do gardła. Z trudem przełykam ślinę.

- Na Stwórcę... - szepczę.

- TO TA SAMA DZIEWCZYNA, KTÓRĄ UKRYWACIE. NIE JEST TYM, NA CO WYGLĄDA, LEGIONISTKO BRANNOCK. JEST NIEBEZPIECZNA. DLA CIEBIE. DLA TYCH, NA KTÓRYCH CI ZALEŻY.

Kręcę głową.

- To nie jest mój wybór. As zawsze wspiera Alfę. Zawsze.

Zerkam na agenta za mną, patrzę w odbicie w jego masce.

- Zawsze.

- TWOJA WIERNOŚĆ DLA TYLERA JONESA JEST GODNA PODZIWIU - mówi princeps. - ALE Z PEWNOŚCIĄ MUSIAŁAŚ MIEĆ WĄTPLIWOŚCI, CO DO JEGO OSTATNICH DECYZJI. CZY NAPRAWDĘ NADAL JEST SOBĄ?

- AURORA O'MALLEY POTRAFI MIAŹDZIĆ LUDZI SIŁĄ WOLI - odzywa się drugi agent. - ZASTANAWIAŁAŚ SIĘ, CO MOŻE ZROBIĆ Z CZYMIŚ UMYSŁEM?

- Chcicie powiedzieć, że może nas... kontrolować? - pytam. - Kontrolować jego?!

- MÓWIMY TYLKO, ŻE TWOJA MATKA BYŁA WIERNYM ŻOŁNIERZEM TSO AŻ DO DNIA ŚMIERCI - odpowiada princeps. - I MAMY NADZIEJĘ, ŻE JEJ CÓRKA JEST RÓWNIE LOJALNA.

Agent GAW puszcza moje ramię.

Patrzę na drzwi. Patrzę na odbicie swojej twarzy w jego masce.

Zmęczona. Nakręcona. Do głębi przerażona. Zerkam na obrazek na ekranie unikronu agenta. Myślę o tym, jak Łuk się trząśł niczym listek, gdy próbowaliśmy zmienić kurs. O Scarlett, gdy O'Malley cisnęła nią o ścianę jednym ruchem nadgarstka. O Tylerze, który popycha nas coraz bardziej do skrajów przepaści.

O tym, jak leżał w pogniecionej pościeli tamtego ranka, jak drżałam, gdy przesuwiał palcami po liniach moich tatuaży.

A to ciągle nie wystarczało, myślę sobie.

- MOŻEMY ZAPROPONOWAĆ GWARANCJE. NA PIŚMIE. DLA CIEBIE I TWOJEJ DRUŻYNY.

Zagryzam usta. Zgrzytam zębami. Siadam na stołku i patrzę w niewidoczną twarz agenta, podsuwając kieliszek barmanowi.

- Jeszcze jeden.

19



ZILA

Nie ma szans, żebyśmy niezauważeni weszli do gabinetu Casseldona Bianchiego i wyszli.

- Nie mogę uwierzyć, że uznałaś, że to będzie na mnie pasować – marudzi za mną Cat, znowu szarpiając jednoczęściowy kombinezon. – Walory na pewno mi stąd wyskoczą.

- Zaproponowałam ci przecież jeden z moich staników – odpowiada Scar.

- Myślałam, że to była sarkastyczna uwaga.

Scarlett rzuca Cat pełne współczucia spojrzenie.

- Może odrobinę.

Stoimy w długiej, krętej kolejce na wielką gałę u Casseldona Bianchiego, Ty ze mną, Cat i Scarlett za nami. Wszyscy jesteśmy ubrani w najelegantsze stroje, jakie Scarlett zdołała dla nas upolować, a Dariel zdołał załatwić przez swoje znajomości. Scarlett i Tyler wyglądają jak zawsze świetnie, ale Cat nie mogłaby robić wrażenia bardziej nieszczęśliwej w swoim stroju wieczorowym, nawet gdyby był utkany z jadowitego sumaka. Powoli przesuujemy się w stronę kosmitów pełniących rolę odźwiernych, którzy sprawdzają nasze zaproszenia. Wszyscy się denerwują.

- Twoim walorom nic nie będzie – znowu zapewnia Cat Scarlett, poprawiając maskę. – Ten strój powinien tak leżeć. Wyglądasz świetnie. Rety, tak samo jak ja. Uwielbiam tę kieckę.

Słyszę głos Finiana, czysty jak kryształ w małej słuchawce, ale brzmi odrobinę niepewnie.

- Na skarby Stwórcy, Scarlett... Pewnie, że masz tu w bazie pełną podziwu publikę, ale jeśli zamierzasz fundować nam takie widoki, to może następnym razem jedno słowo ostrzeżenia? Dariel właśnie wylał na mnie kubek gorącej kawy i chyba doszło do jakiegoś krótkiego spięcia w moim egzoszkielecie.

- Ja tylko robię, co mogę, żeby podnieść morale – mruczy Scarlett, zadowolona z siebie jak to tylko ona.

- Pewnie i normalnie słowem bym się nie poskarżył – dodaje Fin.

- Już ja ci dam powód do narzekania – mruczy Cat.

Jesteśmy już prawie przy drzwiach i teraz lepiej widzę dwóch kosmitów – obaj są identyczni – którzy sprawdzają zaproszenia. Mają grubą brązową skórę i małe głowy podobne do lornetek, wielkie dominujące w twarzach oczy. Ich szyje robią wrażenie za cienkich, żeby utrzymać głowy. Ręce mają długie i patykowate. Jeden wychyla się ze swojego srebrnego podium i wyciąga długi podobny do gałązki palec, po czym powoli przesuwa nim po zaproszeniu, które podsuwa mu do sprawdzenia nadzwyczaj wysoka kobieta o różowej skórze.

- Oni naprawdę uważnie sprawdzają zaproszenia - mrużę, a stojący obok mnie Tyler przechyla głowę w moją stronę, żeby popatrzeć.

- Bądź pewna siebie - mamrocze. - Oddychaj powoli. Rozegraj to tak, jakby to było twoje miejsce.

Żołądek mi się zaciska. To nie jest moje miejsce. Nie mam swojego miejsca ani tu, ani w całej Galaktyce. Miałam żyć dwieście lat temu. Mam wrażenie, że zmęczenie i strach rozciągają więzi łączące mnie z rodziną tak mocno, aż stają się niebezpiecznie wątle i w każdej chwili mogą pęknąć, zostawiając mnie całkiem samą.

Nie wiem, co się wtedy stanie.

Dariel przysięgał, że zaproszenia są tak dobre jak oryginały, co nie znaczy, że są prawdziwe, ale Fin najwyraźniej mu ufa. Nasz betraskański towarzysz broni miał minę, jakby chciał zwymiotować, gdy poprosił o przysługę. Zorientowałam się, że właśnie zaciągnął kolejny potężny dług w ramach swojej zawikłanej siatki rodzinnej. Od tego czasu nawijał trochę więcej niż zwykle i był odrobinę bardziej nieznośny niż zwykle. Myślę, że ukrywa to, jak bardzo się denerwuje.

Powoli poznają tę szóstkę młodych żołnierzy, którzy trzymają w swoich rękach moje życie. Chociaż nawet gdybym poznała ich pięć minut temu, nie przegapiłabym gotującej się w Cat frustracji. Stoję ręką w rękę z Ty'em, a ona stoi za nami, ramię w ramię ze Scarlett. Czuję, jak wypala wzrokiem dwie dziury między moimi łopatkami. Skóra mnie nieprzyjemnie mrowi.

Strój, w którym tak bardzo się męczy, to najbardziej niesamowity jednocześnie kostium, jaki w życiu widziałam - ciemnoniebieski i bez ramiączek. Tak samo była ubrana w mojej wizji. Cat marudzi, ale strój uszyto tak, żeby wszystko pozostało w nim na swoim miejscu. Do tego wybrała - a raczej Scarlett jej wybrała - srebrne buty, które wyglądają, jakby ktoś stłukł lustro na milion kawałków i skleił je, tworząc perfekcyjną mozaikę. Maską na jej twarzy jest zrobiona z podobnego tworzywa.

Poza tym Cat nosi gruby, lśniący złoty pas i żadnej innej biżuterii. Ma przepiękne tatuaże i one odwalają resztę roboty. Strój jest z tyłu dostatecznie nisko wycięty, żeby mogła popisać się olśniewającym sokołem na łopatkach, do pary z feniksem na szyi. Błada skóra, ciemne oczy, jeszcze ciemniejsze włosy - wygląda przerażająco. Cat jest osobą, którą chciałabym mieć po swojej stronie, gdybym tylko mogła mieć pewność, że stoi po mojej stronie.

Cały czas patrzy na mnie tak, że mam co do tego wątpliwości.

Sukienka Scarlett doskonale współgra ze strojem jej Asa - jest ciemnoturkusowa i sięga do podłogi. Nawet nie opisałam Scarlett tej sukienki, a mimo to kupiła dokładnie taką samą, jaką widziałam w swojej wizji. Dreszcz przeszedł mi po plecach na widok tego stroju.

Skąd Scarlett wiedziała, co kupić?

Suknia bez ramiączek (jej dekol - jestem pewna - zapewnił Finowi i Darielowi widok, którego nie zapomną do końca życia) podejmuje ten sam lustrzany motyw, co buty Cat w postaci tysiąca srebrzystych paciorków rozrzuconych po materiale jak gwiazdy na nocnym niebie. Z tyłu jest zapięta na jakieś trzysta guzików ciągnących się od połowy pleców do samej podłogi. Zila i ja - jako te, które mają najdrobniejsze palce - potrzebowałyśmy pół godziny, żeby wszystkie zapiąć. Maską podkreśla jej wielkie niebieskie oczy kolejnymi srebrzystymi rozbiłskami.

Obie wyglądają tak świetnie, tak straszliwie, kiedy nie ukrywają się pod mundurami Akademii Aurora. Wiem, że powinnam się denerwować, ale nic na to nie poradzę, że sama czuję się przy nich trochę silniejsza.

Moja własna sukienka to najładniejsza rzecz, jaką w życiu nosiłam. Dokładnie coś takiego włożyłabym na bal na koniec szkoły, gdybym taki zaliczyła.

Ciekawe, co Callie włożyła na swój.

Dopasowany gorset z czerwono-złotego jedwabiu w skomplikowany wzór z zawijasów. Ma idealne krótkie rękawki i stójkę. Górna część wygląda dokładnie jak qipao, które nosiłam w domu, ale dół składa się z tysiąca falbaniastych warstw z czerwonego tiulu do kolan. Miałam ochotę zacząć wykręcać piruety jak balerina, kiedy tylko włożyłam sukienkę, ale Scarlett przyglądała mi się bardzo uważnie.

- Nie byłam pewna, czy to odpowiedni jedwab - powiedziała.

Spojrzałam na sukienkę i wygładziłam ją dłońmi.

- Jest doskonały.

Ona jednak nadal patrzyła i minęła długa chwila, nim znowu się odezwała z nietypowym dla siebie wahaniem.

- Powiedziałaś, że twój ojciec... Wiem, rzecz jasna, że to nie jest naprawdę chiński jedwab, ale...

Wtedy pojmuję, że próbowała znaleźć dla mnie coś, co przypominałoby mi dom. Odbiera mi mowę i aż mnie zatyka.

- Jest... - Spróbowałam po raz drugi. - To jest naprawdę idealna sukienka, Scarlett, dziękuję. Myślę, że byłby zachwycony. Zachowanie naszej kultury było dla niego bardzo ważne.

Czuję się tak, jakbym słuchała kogoś innego, gdy mówię o ojcu w czasie przeszłym. Słyszę ostrożność w swoim głosie, wychwytyuję odrobinę zbyt radosną nutę. Przesadziłam akurat tyle, żeby zdradzić jej, że bardzo się staram.

Zachowanie naszych tradycji w rodzinie rzeczywiście było dla niego ważne. W dzieciństwie, jeśli chciałam opóźnić nieco porę snu, prosiłam o kolejną tradycyjną opowieść z wielkiej, staroświeckiej książki, którą trzymał na półce. Kiedy zostawił matkę, byłam na niego tak bardzo zła, że powiedziałam, że czytanie na dobranoc było kolejnym przykładem tego, że pewne rzeczy znaczą dla niego więcej niż rodzina. Nie poświęciłby dodatkowego czasu po prostu mnie, ale był gotowy to zrobić dla swoich strasznie ważnych tradycji.

A może on też szukał pretekstu, żeby spędzić ze mną trochę więcej czasu?

Scarlett zajęła się poprawianiem moich włosów, starannym farbowaniem na czarno białego pasma, przyklejaniem mikrokamery, która udawała pieprzyk na moim policzku. To była intymna chwila, ale jej dotyk nie był niemiły. Niósł pociechę.

- My z Ty'em rozumiemy - powiedziała cicho. - Wiemy, jak to jest stracić rodzica. Cat i Zila też. Jeśli chcesz porozmawiać, to za mną zawsze możesz.

Może po prostu weszła w rolę Twarzy, dyplomaty drużyny, który dba, żeby wszyscy byli w formie. Jednak wątpię w to, a w każdym razie wolę tak myśleć. Wolę wierzyć, że w tamtej chwili była szczerą.

Fin zaklaskał, kiedy wymaszerowaliśmy z sypialni w naszych strojach. Zila skinęła głową i powiedziała:

– Stosowne.

Kal nawet na mnie nie spojrział.

W przeciwieństwie do pozostałych jestem poszukiwanym zbiegiem, więc maskarada to właściwie jedyne publiczne miejsce, w jakim mogę się teraz pokazać. Maską zakrywa górną połowę mojej twarzy, pozostawiając odsłonięte tylko usta i podbródek. Barwione soczewki zakrywają moje dwubarwne oczy. Maskę wykonano z tajemniczego czerwonego aksamitu. Wygląda jak coś, co mógłby założyć szpieg ze starego wizualu.

Naprawdę czuję się trochę jak ktoś niebezpieczny.

Ostatnim członkiem naszego kwartetu jest Ty, który narzeka na strój prawie tak bardzo jak Cat. Byłam ciekawa, czy smoking nadal wygląda jak smoking po upływie dwóch stuleci i odpowiedź brzmi „w pewnym sensie”. Jego strój sprawia wrażenie, jakby w każdej chwili miał się rozpaść, a jednocześnie wygląda jak coś, co jest warte fortunę. A w każdym razie zaczął tak wyglądać po paru drobnych poprawkach Scarlett.

Tyler nosi wielgachne czarne ciężkie buty, czarne obcisłe spodnie (to z powodu ich obcisłości dołączył do Cat wykrzykującej „jaja sobie ze mnie robisz”) z czarnymi pasami na lewym udzie, kojarzącymi się z kaburą pistoletu i wielkimi srebrnymi zamkami na prawym biodrze. Czarna koszula i marynarka są równie dopasowane, a jego maska to kawałek czarnego materiału na oczach. Bliźniak Jones nr 2 wygląda równie fantastycznie jak siostra.

– Ej, Pasażerko na Gapę – odzywa się Fin na kanale drużynowym, kiedy zajmujemy drugie miejsce w kolejce do odźwiernych. – Właśnie czytam o znaczeniu czerwieni w chińskiej kulturze i...

– Czekaj, ty potrafisz czytać? – pytam.

– O, teraz ty też chowasz pod sarkazmem swoje uczucia do mnie? Czy wszystkie dziewczyny z drużyny zamierzają się we mnie zakochać?

– Przymknij się – mruczy Ty. – Już prawie nasza kolej.

Kiedy para przed nami wchodzi przez wielkie dwuskrzydłowe drzwi i dołącza do kłębiącego się barwnego tłumu, wdycham leciutko z ulgą. Jestem przekonana, że Fin zamierzał powiedzieć, że czerwień to tradycyjny kolor sukni ślubnej. Z Cat za moimi plecami. Kiedy Tyler stoi obok mnie. Nawet nieuzbrojona Cat pewnie urwałaby mi głowę i kozłowała nią jak piłką do koszykówki. Nie mam pojęcia, czy Ty wie, co Cat do niego czuje, ale jeśli ja to zauważyłam już po paru dniach...

Obcy wyciąga patykowaty palec, żeby dotknąć zaproszenia Ty'a. Giętka plastikowa powierzchnia staje się niebieska pod dotykiem, a potem z powrotem błednie i robi się kremowa. Zmuszam się do spokojnego oddychania, a potem zdaję sobie sprawę, że tak nerwowo zaciskam rękę, trzymając Tylera pod łokieć, że musi przechylać się w moją stronę, bo jestem sporo niższa. Puszczam go, rumieniąc się, i to rozprasza mnie na tyle, żebym wytrzymała kolejne kilka sekund.

Kosmita, macha, żebyśmy przechodzili, i zaczyna sprawdzać zaproszenie Scarlett i Cat.

Przechodzimy z Tylerem pod łukiem, gdzie kolejny obcy – wielgachny Betraskanin w białej ceramicznej masce i z czarnymi szklami kontaktowymi – wskazuje instrukcje przed kontrolą bezpieczeństwa. Oboje przystajemy na linii narysowanej na podłodze i unosimy ręce. Siatka czerwonych linii przesuwa się od naszych głów i wzdłuż ciał; może rejestruje nasze twarze, może szuka broni, nie wiem.

Fin gada nam do ucha, a my czekamy, aż dziewczyny przejdą za nami przez skaner.

– Pamiętajcie, będę potrzebował tyle czasu, ile się da zdobyć, żeby przechwycić sygnał. Najlepiej, gdybyście zagaili rozmowę z panem Bianchim.

– I postarali nie dać się pożreć – dodaje cicho Ty, odwracając głowę, jakby szeptał mi чуłe słówka do ucha.

– Im szybciej dotknie klucza, tym szybciej zacznę pracować – dodaje Fin. – Pamiętajcie, potrzebuję, żeby jedno z was znalazło się metr od niego, gdy kod będzie się zmieniał.

Mówi spokojnie, ale widziałam jego minę, gdy opracowywał plan w ciasnym mieszkaniu Dariela.

Nie jest pewien, czy mu się uda.

Powinam być przerażona, ale kiedy Scarlett i Cat przechodzą przez kontrolę ochrony, odkrywam, że jakimś cudem... nie jestem. Jestem przedziwnie spokojna, jak bywałam przed zawodami na orientację albo zawodami biegowymi. Denerwuję się, ale zmierzam do celu.

Nie jestem dziewczyną, która wyruszała na Octavię – która denerwowała się takimi rzeczami jak to, czy będzie tam ktoś w moim wieku, z kim mogłabym się spotykać, czy okażę się dość silna, żeby poradzić sobie z praktykami w sekcji eksploracji i kartografii u Patrice.

Nie jestem dziewczyną, która oplakiwała swoje życie towarzyskie, wchodząc do kriokapsuły, ani która upchnęła pluszową wiewiórkę do małej skrzynki z rzeczami osobistymi.

Teraz jestem czymś innym. Nie wiem czym, ale to nie umniejsza prawdziwości zmiany. Z każdą godziną, z każdym dniem czuję to coraz bardziej.

Jednakże dawna ja też ma tu rolę do odegrania. Trenowałam eksplorację, bo chciałam wszystko zobaczyć i ostatnio dużo się napatrzyłam. Kiedy moi rodzice przygotowywali się do misji, zmieniałam szkołę dwa, trzy razy w roku. Wiem, jak wejść do pokoju pełnego nieznanomych. I zrobię to teraz tak, jakby to od zawsze było moje miejsce.

Scarlett i Cat podchodzą do nas. Scarlett z pozoru pogodna, Cat skrzywiona. Całą czwórką wchodzimy do sali balowej.

To w niczym nie przypomina tego, co sobie wyobrażałam.

Ponieważ sala jest pod wodą.

Znajdujemy się w ogromnej, okrągłej jaskini i odruchowo skręcamy w prawo, trzymając się zakrzywionej ściany i próbując się zorientować w terenie.

Ściany wykonano ze szkła i gdy przyglądam się swojemu odbiciu, dociera do mnie, że patrzę na akwarium, które ciągnie się tak daleko, jak sięga wzrok. Gdy odchyłam głowę i patrzę w górę, widzę, że jest jasne, akwamarynowe u podstawy i ciemniejsze do aksamitnego granatu, a potem głębokiego fioletu.

Nie widzę miejsca, gdzie ściany stykają się ze sklepieniem, a nieskończona kopuła jest usiana światłkami, które...

Motyła noga, kopuła nad nami to galaktyka. Gromady gwiazd i mgławic wirują powoli, poruszając się z gracją po ustalonych ścieżkach, sunąc i lawirując jak pradawni tancerze. Miliony lat pędzą przed moimi oczami w kosmicznym balecie.

Lustrzane buty Cat i srebrzyste paciorki na sukni Scarlett skrzą się nieustannie w zmieniającym się błękitnym świetle. Zęby Ty'a rozbłyskują bielą, gdy uśmiecha się szeroko. Muszą tu być tysiące gości, a ja dostrzegam tylko kilkadziesiąt istot ludzkich.

Jestem pod wodą. Na stacji kosmicznej.

Pomieszczenie jest dudniącym kalejdoskopem jaskrawych barw, lśniących w tym oświetleniu. Każda możliwa sylwetka ma swojego przedstawiciela w tej żywej, oddychającej istocie, jaką stał się otaczający nas tłum. Wszystko porusza się tu w rytm muzyki, niski, dudniący bas przenika mój kręgosłup jak cudowny dreszcz. Słyszę rozmowy i śmiechy, napływające do nas falami, kiedy ręce tłumu podnoszą się jednocześnie wraz ze zmianą rytmu.

To jak podwodny klub, jak międzygwiazdna bajka dla bardzo dorosłych z niebezpiecznymi prądami podmorskimi, gdzie wszystkie twarze i sekrety chowają się za maskami. I kiedy się uśmiecham, znika resztką mojej niepewności. Tu znajduje się coś, czego chcę. Gdzieś w tej ciemności słyszę, jak mnie przyzywa.

Panie Bianchi...

Gdziekolwiek się chowasz, wyjdź do mnie...

JAK SIĘ DOBRZE ZABAWIĆ

► IMPREZY

▼ SŁAWNE W HISTORII PRZYJĘCIA

Trzecia najlepsza impreza wszechczasów odbyła się w układzie Wroten z okazji ślubu Grand Julesiego. W obchodach wzięło udział 437 tysięcy gości z dwudziestu siedmiu planet. Z okazji ślubu wykonano Zakazany Taniec Bas – to jeden z trzech znanych przypadków w historii Galaktyki. Ostatecznie Grand Julesli poślubił siedemdziesiąt troje małżonków i prawdopodobnie był bardzo zmęczony.

Drugie najlepsze przyjęcie w historii urządził na Terrze w 1694 roku admirał floty Edward Russell. Ten rekordzista pośród istot ludzkich wymieszał 250 galonów brandy z 125 galonami wina, 635 kilogramami cukru, 20 galonami soku z limonki oraz 3 kilogramami gałki muszkatołowej pod postacią ogromnej koktajlowej fontanny. Dosłownie. Barmani na pirogach pracowali w trwających tylko kwadrans (z racji oparów) wachtach. Pięć tysięcy gości potrzebowało ośmiu dni, żeby wszystko wypić. Admirale Russell, prosty ze mnie unikron, ale proszę pozwolić, że wyrażę swoje najwyższe uznanie.

Bez wątplenia największą imprezę w historii Galaktyki urządził lud Keet na planecie Leibowitz VII. Niefortunne odczytanie starożytnej przepowiedni doprowadziło Keetów do przekonania, że nadciąga apokalipsa, więc bawili się, jakby miał nadejść koniec świata. Chaotyczne zapiski sugerują, że w pewnym momencie podjęto niefortunną decyzję, która w jakiś sposób łączyła taneczny pojedynek i największy reaktor antymaterii na planecie, co ostatecznie doprowadziło do przedwczesnego wypełnienia się proctwa.

Okazuje się, że Dariela fascynują ryby. Tego się nie spodziewałem.

– Popatrz na tę!

Jest jak dzieciak, którego pierwszy raz zabrano na bazar Muthru, jego uwaga błyskawicznie przeskakuje z jednej rzeczy na drugą. Staram się przeprowadzić moją drużynę, korzystając z kamer ochrony i przyprawiającego o zawrót głowy zestawu mikrokamer przyczepionych do ich ciał, a on jest za bardzo zajęty gapieniem się na salę balową w akwarium, żeby mi pomóc.

– To nie ryba – mówię mu. – To kamień. Jesteś pewien, że jesteście spokrewnieni?

– To ryba – odpowiada triumfalnie, gdy fioletowawy pokryty porostami kamień daje się przepłoszyć przez chmurę jaskrawych różowo-żółtych mikrokalmarów. Ryba otwiera gwałtownie oczy i porusza się dzięki czemuś, co brałem za muszelki, a co okazuje się płetwami; czmycha w obłoku piachu.

– W porządku, to rzeczywiście była ryba – ustępuję. – Ale już odpłynęła, więc teraz mi pomóż.

– Finian? – To nasz nieulekły dowódca, który sprawia wrażenie nieco skonsternowanego nagłym zwrotem w naszej rozmowie.

W morde, zapomniałem wyciszyć swój unikron.

– Nic, nic – odpowiadam wesoło. – Sprawdzam, co u Zili i Kala, a Dariel przegląda kamery w poszukiwaniu naszego gospodarza. Masz...

Zerkam na wirtualny ekran mojego kuzyna i widzę, że on znowu gapi się na jakąś cholerną rybę. Jest wielka, owalna i wygląda trochę jak kebarowa piłka z szóstką ślepi przylepioną z przodu. Te oczy są jednak upiorne, wszystkie patrzą do przodu. A wierzch głowy tej ryby jest zupełnie przezroczysty, w środku widać błękitną wodę.

– To jej mózg – szepcze Dariel i patrzy jak urzeczony, wskazując na białą plamkę w środku przezroczystej głowy ryby.

– Zazdrościsz jej, że coś ma? – warczę. – Skup swoją mózgownicę na robocie, dobra?

Dariel nabzdycza się, a ja przełączam się na kamerę Zili i staram się nie myśleć o tym, że w tej chwili brzmię jak moja najmniej ulubiona matka.

Mam Kala i Zilę na osobnym kanale komunikacyjnym. Nasz Złoty Chłopak też jest na nasłuchu, bo musi mieć wszystkich pod sobą.

Gdzieś tu się kryje materiał na sprośny żarcik, myślę sobie.

Kal i Zila zaszli już całkiem daleko i prawie są przy wejściu; maszerują zatłoczonym publicznym korytarzem i wyglądają tylko trochę podejrzanie w kolorowych i zdecydowanie skradzionych mundurach. Kal ma ręce zajęte stosem płaskich, izolowanych pudełek podpisanych „Wuj Enzo – w 30 minut lub mniej”. Zila nosi kolczyki, z których zwieszają się ozdóbki w kształcie małych kawałeczków pizzy. W schowku na szczotki na poziomie siedemnastym leży dwóch prawie nagich dostawców pizzy, którzy obudzą się później z paskudnym kacem.

Zila okropnie lubi ten swój dezelator.

– W porządku, Zila, Elfik – rzucam przeciągle i patrzę, jak Kal marszczy brwi. – Kamery w tej strefie przekazują teraz zapętlone nagranie: transmitują przekaz z pustych korytarzy zbirom z centrali Bianchiego. Niestety dalsze korytarze są regularnie patrolowane. Przeprowadzę was przez nie. Dlatego macie ruszać tam, gdzie wam powiem, i wtedy, kiedy wam powiem, zrozumiano?

– Zrozumiano, legionisto de Seel – odpowiada Zila.

– Przysuńcie unikron do zamka, to go otworzę.

Oboje doszli do ciężkich pancernych drzwi z napisem wejście służbowe. Kal odgrywa scenkę z upuszczeniem pudeł z dostawą i klnie w żywy kamień, podczas gdy Zila przysuwa się do klawiatury zamka. Szyfr to nie bułka z masłem, ale unikron z akademii to nie zabawka, i chociaż jestem dobry w naprawianiu rzeczy, to jeszcze lepszy jestem w ich psuciu. Potrzebuję trzydziestu siedmiu sekund, żeby roznieść na strzępy elektronikę zabezpieczającą w zamku.

Na starość robię się powolny, myślę sobie.

– W porządku. Korytarz przed wami będzie pusty za dwanaście sekund – oznajmiam. – Nawiasem mówiąc, do twarzy ci w tym mundurku, Kal. Świetnie wyglądasz.

Elfik poprawia idiotyczny kapelusik na głowie.

– Wyglądam jak idiota. Strój jest za obcisły. Jak mam w tym walczyć?

– Nie wiem. Seksownie?

– Żaden z ciebie wojownik, co, Finian?

– No wiesz, a z ciebie... – Przełykam ripostę, kiedy patrol ochrony w korytarzu za drzwiami zawraca i skręca za róg. – W porządku, teren czysty, ruchy.

Zila otwiera pancerne drzwi i przechodzi przez nie, a tuż za nią idzie Kal. Elfik podaje jej pudła z dostawą, wyciąga z jednego z nich swój pistolet-dezelator. Oczywiście nie może tam strzelać, jeśli nie chce ściągnąć sobie na głowę całą ochronę, ale najwyraźniej lepiej się czuje z bronią w ręku.

Na mój sygnał pędzą do następnego korytarza i ukrywają się w schowku na szczotki, zanim kolejny patrol zdąży wyjść zza rogu. Obserwuję siedemnaście kamer naraz, wykreślając ścieżki patroli na schemacie powyżej, próbując przewidzieć, którędy przejdą, i przeprowadzić moje dzieciaki przez...

– Wielki Stwórco... – mruczy obok mnie Dariel.

Serce mi się zaciska, gdy zerkam na to, co go zmartwiło, i widzę wielkie srebrne... coś na monitorze. Ma rząd idealnie białych kłów, które napełniłyby dumą masowego mordercę. A za nim ciągnie się kolejny rząd kłów. Scarlett też musi być zafascynowana tym widokiem, bo jej

mikrokamera przesuwają się w ślad za stworzeniem, które podpływa do szkła. Skóra ryby faluje, zmieniając kolor ze srebrnego na niebieski, a potem czerwony, co jest jawną pogroźką.

- Myślałem, że jesteś ateistą - warczę, szturchając go łokciem i skupiając się ponownie na Zili, Kalu i skoku, który próbuję przeprowadzić.

Trudno jest znaleźć fachową pomoc ostatnimi czasy...

Chociaż narzekam - a z Dariela jest tyle pożytku, co z wodoodpornego ręcznika - nie mogę zaprzeczyć, że świetnie się bawię. Gdy wymieniamy się z kuzynem plotkami na temat rodziny, przeplatany uwagami na temat ryb, gdy wdycham zapach mokrego kamienia w słabej poświacie pnących i ekranów i kieruję towarzyszami podczas przerażającej przygody, czuję się, jakbym znowu przeżywał własne dzieciństwo.

Przeprowadzam dwójkę moich pomocników przez kolejne sześć korytarzy i dwa razy o włos unikamy wpadki. W końcu dochodzi do nieuniknionego.

- W porządku, koniec jazdy. Pokój z generatorem ciężenia jest dokładnie przed wami. Czas na fazę numer dwa, dzieciaki.

Kal odrywa się od Zili jak duch. Ona stoi całkowicie nieruchomo, czeka, aż on zajmie pozycję, wbija wzrok w sufit, jej ciemna skóra prawie jarzy się w górnym świetle. Jest w tym dobra - jeśli nie musi nic robić, to nic nie robi. Możliwe, że dzięki temu może skanalizować dodatkowe zasoby przerobowe mózgu na opracowaniu planu przejścia całej Galaktyki...

- W porządku, teraz - szepczę, a ona rusza i wychodzi zza rogu; w swoim stroju dostawcy wygląda na zagubioną.

Czwórka strażników przy ciężkich pancernych drzwiach na drugim końcu korytarza zamiera. Rejestrują strój Zili i pudełka, skonsternowani przeprowadzają rachunki w myślach i mimo to podnoszą broń.

- Stać! - krzyczy jeden, a Zila staje, więcej nawet: upuszcza pudła i na wszelki wypadek podnosi ręce.

- Tu obowiązuje zakaz wstępu!

- Co tu robisz? - pyta kolejny, nie zbliżając się, dopóki nie zorientuje się, czy Zila nie jest niebezpieczna.

Już widzę obracające się trybiki w jego głowie. Dziewczyzna jest bardzo drobna. Stoi dziesięć metrów dalej. Jakim cudem może być niebezpieczna?

- Mam pytanie - odzywa się Zila w ten swój typowy, poważny sposób.

Strażnicy patrzą na nią.

- W wizualach rozrywkowych często widziałam sceny, w których grupa strażników natyka się na rzekomo niegroźnego intruza, podczas gdy większy i zdecydowanie bardziej groźny intruz wykorzystuje ich nieuwagę, żeby ich obezwładnić. Zastanawiałam się jednak, czy to realistyczne zachowanie w przypadku przeszkolonego personelu ochrony.

Cała czwórka gapi się na nią tępo, jak to często przydarza się ludziom w kontakcie z Zilą Madran.

- Czyś ty...

Strażnik nie kończy zdania, bo Kal opada z przewodu wentylacyjnego i uderza go w podstawę czaszki. W kilka sekund powala pozostałą trójkę, która wydaje z siebie tylko stłumiony

jęk. Nawet nie musiał używać dezelatora.

– Szczerze spodziewałam się, że zostaniesz postrzelony – rzuca Zila.

Kal odwraca się do niej, unosząc brwi.

– Powiedziałas, że mam osiemdziesiąt siedem przecinek trzy procent szansy na sukces.

Zila przechyla głowę.

– Nie chciałam, żebyś się denerwował.

– No dobrze – odzywam się. – Muszę sprawdzić, co z drużyną A. Generatory ciężenia znajdują się za tymi pancernymi drzwiami. Kal, ukryj ciała. Zila, otrzymałaś już moje instrukcje.

– Czy ona spotyka się z kimś w tej chwili? – szepcze Dariel, wpatrując się w Zilę.

– Obetnę ci jeden palec stopy po drugim – odpowiadam. – A potem każę ci patrzeć, jak karmię nimi ryby, jeśli nie przestaniesz mi przerywać.

Dariel unosi ręce, jakby chciał powiedzieć „Rety, nie ma sprawy. Co się tak podniecasz?”, a ja zgrzytam zębami, skupiając się ponownie na kamerach.

Przeszukuję tłoczną salę balową sektor po sektorze w poszukiwaniu Bianchiego. Niestety on wyróżnia się jak Betraskanin podczas zawiei śnieżnej – czyli w ogóle. Jest niebieski, a dzięki światłu rzucałemu przez akwarium i usianemu gwiazdami sklepieniu, wszyscy inni na sali też są niebiescy. Nie pomaga fakt, że wszyscy goście noszą przeklęte maski.

Szukam go metodycznie, sprawdzając każdy kwadrat siatki, aż wreszcie go znajduję. Unosi w powietrzu wszystkie cztery ręce, wymachuje nimi do rytmu, od którego trzęsą się kości, szczerzy ostre jak brzytwa zęby w dzikim uśmiechu. Otacza go coś, co mogę opisać jedynie jako harem – tuzin pięknych młodych stworzeń o różnych kształtach, przedstawiciele płci żeńskiej, męskiej, obu i żadnej – który tłoczy się wokół niego. Haremik tańczy razem z nim, zwrócony ku niemu jak kwiaty maza zwracają się do słońca.

Otacza ich pierścień ochroniarzy, których spokojnie mogę opisać jako „przerażających”. Są Chellerianami jak Bianchi, wielkimi i niebieskimi; mają więcej zębów niż rozumu. Ich mięśnie ledwie się mieszczą w garniturach, a biorąc pod uwagę, jak znakomitych krawców ma Bianchi, to musiał być celowy zabieg. Stoją w tłumie wokół szefa, każdy czworgiem oczu obserwuje tłum. Widać, że pod marynarkami chowają broń.

– No dobra, dzieciaki – mówię do zespołu. – Bianchi jest w północno-zachodnim kącie. Stoi wokół niego tylu ochroniarzy, że możecie się do niego zbliżyć tylko w jeden sposób.

– To znaczy? – pyta Złoty Chłopak.

– Tańczcie, jakbyście zapomnieli o całym świecie.

– Jasne – odpowiada Ty bez chwili wahania, łapie Aurorę za rękę i wciąga ją w tłum.

Scarlett i Cat zostają jeszcze przez chwilę przy akwarium, Scarlett przygląda się innym, którzy stoją pod ścianą, ale przez jej mikrokamerę wychwytyują najbliższą rybę w polu widzenia – przez Dariela sam teraz gapię się na te przeklęte cholerstwa.

Na ile zdołałem się zorientować, Casseldon Bianchi naprawdę ma po jednym przedstawicielu każdego stworzenia z całej Galaktyki. Ta ryba przypomina węża, ma metr długości i jest ognieście pomarańczowa jak włosy Scarlett. Jednak jej prawdziwą atrakcją są ogromne worki jadowe po obu stronach paszczy, każdy większy od jej głowy, przez co ryba wygląda, jakby

zamiast policzków miała nadmuchane balony. Ma też białe wytrzeszczone oczy, jakby była zaskoczona obrotem sprawy równie jak ja.

Cat zaś gapi się na naszego Alfę i pasażerkę na gapię, jak to robiła przez całą noc.

Nie podoba mi się to, dokąd taka fiksacja prowadzi. Widzieliśmy już jeden wybuch. Nawet kiedy wróciła ukradkiem do mieszkania Dariela, cuchnąc laraskim semptarem, wciąż wyczuwało się w niej nerwowość.

- Ehm, Zero - mówię. - Możesz rozejrzeć się po sali?

Spełnia prośbę, obracając się o dwieście siedemdziesiąt stopni, pozwalając mi dobrze przyrzeć się tłumowi. Nie zobaczę w ten sposób nic, czego nie zobaczyłbym przez kamery ochrony na górze, ale, tak jak się spodziewałem, nasza niezawodna Twarz wychwytuje sygnał w moim głosie. Skupia się na stojącym obok niej Asie.

- Dlaczego tylko oni mają się zabawić? - pyta Scarlett i nagle łapie Cat za rękę i wciąga w tłum.

Cat prycha, a Scarlett się śmieje i mimo napięcia, jakie odczuwam, też się uśmiecham. Scarlett ma naprawdę wspaniały śmiech. A teraz porywa naszą pilotkę w ramiona i odchyła ją do tyłu w ekstrawaganckim tanecznym ruchu.

Jest tu tyle różnych ras, że każdy tańczy po swojemu. Pojedynczo, parami, w dziesiątkach, trzymając się za ręce, splatając ciała albo w ogóle się nie dotykając. Po pięciu latach w Akademii Aurora, w której korytarzach spotykało się Terran, Betraskan i od niedawno pojedynczych Syldran, odwykłem trochę od takiej mieszanki. Dorastałem z dziadkami na stacji takiej jak ta i uwielbiałem tę różnorodność.

Brakowało mi tego.

Scarlett i Cat tańczą teraz w najbardziej idiotyczny sposób pod słońcem, trzymając się za ręce i prą przed siebie.

- Co wy wyprawiacie? - pytam ze śmiechem.

- To tango. Tradycyjny terrański taniec, bardzo romantyczny - wyjaśnia mi Scarlett, ale sądząc po śmiechu Cat, wątpię, czy choćby zbliżyły się do rzeczywistego tanga.

Złoty Chłopak i Aurora nie mają pojęcia, jak tańczyć w parze, ale zerkając dyskretnie na tłum wokół, powoli co nieco podłapują. W pewnym sensie miło jest widzieć, że są rzeczy, których Tyler nie potrafi natychmiast opanować w stopniu doskonałym. Najważniejsze jednak, że zbliżają się do Casseldona Bianchiego.

- W porządku, musicie zbliżyć się na tyle, żebym wychwycił sygnał - mówię im, kiedy znowu sprawdzam kamery, szukając kłopotów. - Ale nie tak blisko, żeby któryś z tych oprychów spróbował odgryźć wam głowy. Pamiętaj...

- Jeden metr - powtarzają chórem Ty i Auri.

- A jednak czegoś się uczą!

Zila odzywa się przez komunikator:

- Finian, czy to jest właściwa pozycja?

Zerkam na drugi ekran. Cholera, są już przy generatorach ciężenia. Muszę pewnie trzymać cały ten interes w garści...

Ha, interes w garści.

- Wygląda to dobrze - mówię. - Ładunki muszą się znaleźć na pomocniczym drugim buforze.

- Mam tego świadomość - przytakuje Zila.

- Drugi patrol idzie w waszym kierunku - ostrzegam. - Możliwe, że będziecie musieli się nimi zająć, jeśli zauważą brak strażników i zajarzą do generatora. Może trzeba będzie odwrócić ich uwagę.

- Kal, myślisz dziś rano zęby? - pyta przez komunikator Tyler.

- Na szczęście wątpię, żeby musiało do tego dojść - odpowiada Kal.

Tyler śmieje się, a Auri pyta, co go tak bawi. Zapamiętuję sobie, żeby zapytać. Później. Na razie jestem zajęty.

- Ustawcie zdalne detonatory i wracajcie tutaj - mówię Zili i Kalowi.

Zerkam na ekran, żeby sprawdzić postępy naszego Złotego Chłopaka i Aurory. Zbliżają się - widzę Bianchiego przez ich mikrokamery. Tylko dwa rzędy tancerzy w maskach dzieli ich od celu. Kluczą między ochroniarzami, zagubieni w wirze świateł i kolorów, niewiele im brakuje do magicznego metra. Ochroniarze przyglądają się nieufnie, ale nie gryzą. Domyślam się, że Ty i Auri wyglądają odpowiednio ładnie i głupawo, kiedy uśmiechają się do siebie jak para idiotów.

Możliwe, że im się uda, myślę sobie.

Palce trzymam nad łączem, gotowy przechwycić sygnał, kiedy ręka Bianchiego dotknie bioklucza. Nie wiem, czy mi się uda. Przez salę i bez tego przepływa masa sygnałów. Wychwycenie jednego konkretnego strumienia to jak złapanie noża, kiedy rzucono w ciebie tysiącem. W szkole nigdy nie byłem dobry w łapaniu piłki.

Całe szczęście, że już nie jesteśmy w szkole.

- W porządku, jeszcze tro...

Drzwi do mieszkania wpadają do środka wyrwane z zawiasów, wprost na stos śmieci Dariela. Skrzynki rozsypują się na wszystkie strony. Liście pnączy flic płoną nagłym światłem z powodu fali uderzeniowej, stalaktyt odpada od sufitu i rozbija się o podłogę, mijając mnie ledwie o włos.

Wnętrznoci zalewa mi adrenalina, rzucam się w bok, nie myśląc o kablach łączących prozorycznie zestawiony sprzęt, więc je niechcący wyrrywam. Na wszystkich ekranach pojawia się śnieg, tracę z oczu drużynę.

Banda zbirów wpada do środka, celując do nas z broni. Mają nieoznakowane pancerze taktyczne, ale trudno przeoczyć fakt, że wszyscy są Terranami. Ostrzyżonymi po wojskowemu. Zbudowanymi jak ludzie, którzy spędzają znaczną część dnia, podnosząc ciężkie przedmioty i odstawiając je z powrotem.

Dariel gapi się jak jedna z jego przeklętych ryb.

- Mieliście zjawić się później! - krzyczy.

Żołądek mi się zaciska, kiedy dwie postaci wchodzą za zbirami. Szare mundury i gładkie szare hełmy, skrywające wszystko, co mogłoby zdradzać tożsamość tych, którzy je noszą.

W mordę, w mooorde, o, w mooorde.

To GAW.

Wyłączam dźwięk na unikronie i chowam go pod pustym opakowaniem po zupce instant.
A wtedy jedna z postaci odzywa się elektronicznym monotonnym głosem:

- DZIEŃ DOBRY, LEGIONISTO DE SEEL.

RZECZY, PRZED KTÓRYMI NALEŻY UCIEKAĆ

► FORMY ŻYCIA

▼ ULTRAZAUR (ABRAAXIS IV)

Ultrazaury z Abraaxis IV są powszechnie uważane za najbardziej agresywny gatunek w całej historii Drogi Mlecznej. Mają więcej zębów niż Centrum Protetyczne Tphara, mniej uroku osobistego niż wymierające oślizgawce z Banona III i mniej przyjaciół niż Samotna Pustelnica z Barr (jedyna mieszkanka swojego układu). To stworzenia o tak zdumiewająco paskudnym charakterze, że wbrew prawom ekologii powybijają się wzajemnie w potwornej mięsożernej rzezi.

To ogromne szczęście dla wszystkich innych żywych organizmów w Galaktyce, że ultrazaury praktycznie wyginęły, ale gdyby doszło do mało prawdopodobnego spotkania z przedstawicielem tego gatunku, mądrość ludowa sugeruje, że najlepiej jest jak najszybciej umrzeć.

- Finian, jesteśmy na pozycji.

Prawie zagłuszony przez muzykę meldunek Tylera niesie się po kanale łącznościowym drużyny. Patrząc na wirujący tłum, rozbłyskujące światła, pulsujący błękit. Rytm dudni mi w oczach, puls dudni mi w skroniach, kiedy patrzę, jak Tyler i O'Malley tańczą. Są teraz blisko, dość blisko Bianchiego, żeby Finian zaczął swoje czary. Tyler pochyla się, jakby szeptał coś O'Malley do ucha. Ona uśmiecha się, jakby mówił coś zabawnego. Zaciskam zęby.

- Finian? - dopytuje się przez łącze Tyler. - Jak mnie słyszysz?

Żadnej odpowiedzi.

Wtedy zaciska mi się żołądek. Burzył mi się coraz bardziej od spotkania w barze zeszłej nocy, odkąd agenci pożegnali się i przesłali na mój unikron oficjalne dokumenty opatrzone pieczęcią GAW i odciskiem mojego kciuka. Słowa takie jak „immunitet”, „współpraca” i „pojmowanie” wypisane wytłuszczoną czcionką. Słowa, o których teraz nie chcę myśleć.

- Czy ktoś ma łączność z Finianem? - pyta Tyler.

- Fin, słyszysz mnie? - pyta Scarlett obok mnie.

Nic.

Nie tak miało się to rozegrać.

Tyler znowu pochyla się do ucha O'Malley, żeby ukryć to, że porusza ustami.

- Zila, Kal, meldujcie, co u was.

- Ładunki założone - odpowiada Elfik. - Właśnie wyszliśmy z pomieszczenia generatora.

- Możliwe, że mamy problem. Finian zerwał połączenie. Jeśli nie przechwyci sygnału, to nie otworzymy drzwi do gabinetu Bianchiego.

- Dlaczego się rozłączył?

- To właśnie próbuję ustalić. Wracajcie do mieszkania Dariela. Spodziewajcie się kłopotów. Scar, chcę, żebyś poszła z nimi jako wsparcie.

- A co ty zamierzasz zrobić? - pyta Scarlett.

Patrząc przez tłum i odnajdując zamaskowaną twarz Tylera w pulsującym świetle. Wokół niego kołysz się i przewala masa ciał, istoty wszelkich kształtów i rozmiarów, poruszające się razem do tego samego rytmu. On jednak stoi zupełnie nieruchomo. Marszczy czoło. Mruży oczy. Zastanawia się gorączkowo.

- Cat, spotkaj się z nami w okolicy toalet.

Scarlett zerka na mnie i widzę jej niezdecydowanie. Jednak gdy Ty raz wydał rozkaz, nie będzie się z nim publicznie sprzeczać. Jest wobec niego równie lojalna jak ja.

Równie lojalna jak ja...

- Uważaj na siebie, kumpelko – ostrzegam ją.

- Ty też. – Kiwa do mnie głową.

Rozstajemy się, Scar idzie w stronę wyjścia, a ja nurkuję w tłum. Tyler i O'Malley wynurają się ze ścisku wokół Bianchiego, powoli, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Idąc, przesu-
wam ręką po ścianie akwarium, przyglądam się tuzinowi świecących niby-robaków, które płyną w ślad za moimi palcami. Serce mi bije jak szalone. Muzyka jest bardzo głośna.

- Nic ci nie jest? – pyta na mój widok Tyler.

- Oki-doki – odpowiadam odruchowo.

Staram się nie zauważać wiszącej u jego ramienia O'Malley. Wmawiam sobie, że jest bardziej przytłoczona tym wszystkim niż ja sama, że nic nie wie. Przecież nie może wiedzieć.

- Jakie rozkazy, dowódco?

- Zila i Kal rozmieścili ładunki. – Puka w unikron. – Nawet bez Fina mogę je zdalnie zdetonować. Kiedy wybuchną, zapanuje chaos w ochronie Bianchiego. Nadal mamy swoje okienko, tak jak planowaliśmy.

- Ale bez Fina nie zdobędziemy kodu – sprzeciwia się O'Malley. – Nawet jeśli dotrzemy do gabinetu Bianchiego, nie pokonamy drzwi.

Tyler wywołuje schemat z prezentacji Finiana i pokazuje.

- Drzwi to nie jest jedyne wejście.

- Chyba nie mówisz poważnie? – pytam.

Tyler mruga do mnie i serce mi zamiera.

- Improwizuję – odpowiada z szerokim uśmiechem.

Kilka minut później czaimy się w pobliżu ciężkich plastalowych drzwi w kącie na tyłach sali balowej. Tu jest trochę ciszej, kilka par i jedna trójka próbuje poznać się lepiej w półmroku. Wielkie czerwone litery widnieją na drzwiach, napis w języku, którego nie znam. Gdybym była hazardzistką, założyłabym się o kod dostępu do Łuku, że napisano tam MENAŻERIA. ZAKAZ WSTĘPU.

Drzwi strzeże czterech ogromnych chelleriańskich zbirów, ich stwardniała niebieska skóra lśni w przyćmionym świetle, cienkie czarne maski zakrywają twarze z czworgiem krwistoczerwonych oczu. Każdy stoi z czterema skrzyżowanymi na szerokiej piersi rękoma, ale nie są zbyt czujni – w końcu wszędzie są kamery, a po sali krąży prawie setka innych strażników. I tak jak powiedział Ty: nikt w całej Drodze Mlecznej nie jest tak głupi, żeby zadzierać z Casseldonem Bianchim.

A w każdym razie prawie nikt, myślę sobie.

Tyler patrzy na mnie, białka jego oczu jarzą się w ultrafioletowym świetle.

- Gotowa?

- To podchwytliwe pytanie?

Wszyscy sięgamy w dół i włączamy przełączniki na butach. Elektromagnesy, które Finian zainstalował nam w obcasach, zaczynają cicho szumieć, przyklejając nas do metalowej pod-

logi. Tyler zerka na O'Malley i ściska jej rękę.

– Udawajcie pijane i głupiutki – mówi.

– Ta druga część powinna być dla nas naaaprawdę łatwa – mruczę pod nosem.

Ruszamy w stronę strażników, stukając obcasami o pokład. Poruszanie się w magnetobutach jest trochę niewygodne, ale Tyler idzie przodem, udając, że jest zalany. Chwieje się i prawie się przewraca. Podtrzymuję go, robiąc zakłopotaną i zarazem podchmieloną minę. O'Malley idzie kawalek za nami. Zbiry obrzucają nas spojrzeniem od stóp do głów, gdy się zbliżamy.

Tyler podnosi unikron i pyta bełkotliwie:

– Któryś z was ma lokalny czas?

– Nie zatrzymuj się tu, ludziu – warczy jeden z ochroniarzy.

Kiedy wchodzi w zasięg, Ty daje rozkaz detonacji.

Sekunda zwłoki. Światła migoczą nad naszymi głowami, kiedy ładunki Zili i Kala wybuchają głęboko w trzewiach stacji. Czuję zawroty głowy i ogarnia mnie przyprawiające o mdłości wrażenie, że wnętrzności wypływają mi z ciała, gdy grawitacja na Statko-Świecie umiera.

Chellerianie chwiewają się i delikatnie odrywają od ziemi. Łapią się ścian, żeby odzyskać równowagę, ale ich ruchy są zbyt gwałtowne, reagują za mocno. Słyszę okrzyki radości w tłumie, a potem niepewne krzyki, gdy ocean gości zaczyna wzbijać się nad pokładem w stronę galaktycznego sklepienia.

Tyler porusza się szybko, ja jeszcze szybciej, oboje sięgamy do kurtki jednego z ochroniarzy po dezelator. Strzelam raz, drugi. Tyler wyładowuje swoją broń, celując w pierś trzeciego. Czwartemu udaje się złapać Tylera za nadgarstek i wykręcić mu mocno rękę, zanim strzelę mu w twarz. Czerwone oczy uciekają w głąb czaszki i strażnicy tracą przytomność. Pary i trójki wrzeszczą za nami, ale ich krzyki toną w chaosie, jaki rozpętał się na sali balowej. Wszędzie teraz unoszą się ludzie, morze ciał wzbija się w powietrze, muzyka nadal ryczy, stroboskopowe światło miga.

– Biegiem! – woła Ty.

Zabieram kartę dostępu wiszącą u pasa ochroniarza i przesuwam przez skaner. Drzwi do menażerii otwierają się szeroko. W okamgnieniu Tyler, O'Malley i ja jesteśmy w środku i zatraskujemy je za sobą.

Tyler idzie przodem, kierując się schematem od Fina. O'Malley wytrzeszcza oczy. Zastanawiam się, czy to agenci GAW wparowali do mieszkania Dariela przed czasem. Czy może rozegrał się jakiś inny dramat związany z Finem. Zastanawiam się, jak mam dopilnować, żeby sytuacja nie wymknęła się mi spod kontroli. Jak mamy wyjść z tego żywi.

Wychodzimy zza rogu i natrafiamy na dwóch strażników unoszących się w powietrzu i krzyczących przez komunikatory. Próbuje złapać się sufitu. Strzał z naszych dezelatorów ucisza ich. Przechodzimy przez ciężkie drzwi i zasuwamy je za sobą.

W pomieszczeniu śmierdzi jak w rynsztoku. Krzywię się z powodu odoru i rozglądam się po stworzeniach o sarnich oczach siedzących wokół nas w klatkach. Wyglądają trochę jak krowy; to delikatne, porośnięte sierścią czworonogi o wielkich brązowych oczach roślinozerców. Na nasz widok muczą i kładą po sobie uszy ze strachu.

– Co to za miejsce? – szepcze O'Malley.

- Spizarnia – odpowiada Tyler. Przełączył unikron na tłumaczenie i skanuje chelleriańskie litery na przyciskach w poszukiwaniu właściwego przełącznika.

- Bianchi je zjada? – pyta przerażona Auri.

- Nie Bianchi. – Wzdycham. – Jego pieszczoszek.

Ty naciska guzik i kawał podłogi odsuwa się z łomotem, ukazując stromą rampę, której dalsza część znika nam z oczu. Napływa zapach mokrej ziemi i słodkich kwiatów.

O'Malley pochyla głowę i przez moment myślę, że to strach. Potem jednak unosi podbródek i zaciska z determinacją usta.

- Czy to przejście prowadzi tam, dokąd myślę, że prowadzi?

- Do gabinetu Bianchiego? – Tyler kiwa głową. – Zgadza się.

Kręcę głową.

- To szaleństwo, Tyler. To jest głupie pod każdym względem.

- Przynajmniej jesteście konsekwentni – odpowiada, zdejmując maskę i marynarkę.

- Ten gagatek wybił wszystko, co żywe na swojej planecie. Naprawdę zamierzasz kręcić się po jego domu?

- Grawitacja wciąż nie działa, ultrazaur będzie unieruchomiony. Jeśli będziemy poruszać się szybko i cicho, to nic nam nie będzie. Doszliśmy tak daleko. Teraz już nie możemy się wycofać.

- Nawet jeśli uda nam się ominąć tego potwora na dole, to jak potem dostaniemy się do gabinetu Bianchiego?

Tyler się uśmiecha.

- Zaufaj mi.

Z paska O'Malley dobiega sygnał.

- ZDAJECIE SOBIE SPRAWĘ, ŻE ZARAZ UMRZECIE, PRAWDA?

- Magellan, siedź cicho – szepcze O'Malley i wyłącza dźwięk.

Chociaż ten mały łajdak jest wkurzający, to muszę się z nim zgodzić. Chcę znowu zaprotestować, ale Ty wyłączył swoje magnetoboty i właśnie odpycha się w dół rampy. Mimo nieskrywanego strachu O'Malley zrzuca maskę i rusza tuż za nim. Właśnie tak działa na ludzi Tyler Jones. Szybują za nim.

Rampa prowadzi na szeroką połąć niesamowitej dżungli. Mają tu pośrodku stacji kosmicznej najprawdziwszy las deszczowy. Nie wiem, dlaczego to mnie zaskakuje, po tym, jak zobaczyłam akwarium, ale z jakiegoś powodu dżungla robi na mnie jeszcze większe wrażenie.

Nie wyobrażam sobie, jaką kasę musiał Bianchi wywalić na coś takiego i jak bardzo będzie wściekły, jeżeli coś się stanie jego pupilkowi. Listowie jest gęste, migocze odcieniami czerwieni, złota, żółci i wiecznej jesieni. Powietrze pachnie słodko, pełno tu pnączy i barwnych obcych kwiatów. Odpychamy się od krawędzi, łapiąc się pokręconych fioletowych drzew. Przestrzeń jest rozległa, panuje tu śmiertelne znieruchomienie, więc odgłosy, jakie się rozlegają, gdy przepychamy się obok gałęzi, wydają się ogłuszająco głośne, chociaż to ledwie szelest.

W tej ciszy słyszę w oddali dudniący, szarpany ryk.

- Motyla noga! – szepcze O'Malley.

- Dlaczego nie przeklinasz jak normalny człowiek? – mruzcę.

Uśmiecha się wtedy, jakbym powiedziała coś zabawnego. Zerka na mnie tymi swoimi oczami nie od pary.

– Wybacz... ale czy ja robię na tobie wrażenie normalnej osoby?

Hmm, słuszna uwaga...

Kolejny ryk rozlega się w zagrodzie. Wibracje wywołują drgania w moim żołądku, działają mi na nerwy. Tyler wyciąga unikron, wprowadza kilka komend i ciska nim w stronę rampy, z której właśnie zesliśmy.

– Co ty, do diabła, wyprawiasz? – syczę. – To unikron legionisty! Cenniejszy dla nas niż Łuk!

– Nie zatrzymuj się – szepcze tylko w odpowiedzi.

Idzie przodem, porusza się pewnie i spokojnie – w końcu bezbłędnie zaliczył egzamin z orientacji w nieważkości. O'Malley idzie za nim ostrożnie i szybko. Domyślam się, że może ćwiczyła tego typu rzeczy w ramach szkolenia dla kolonistów, bo chociaż raz sprawia wrażenie, jakby dobrze wiedziała, co robi.

Słyszę, jak coś rozrywa ziemię, jak pęka drewno i znowu rozlega się ryk. Tyler unosi pięść, dając znak, że mamy się zatrzymać. Zerka mu nad ramieniem i żołądek skuwa mi się lodem pod wpływem tego widoku.

To najbardziej przerażająca rzecz, jaką w życiu widziałam, a przypomnę raz jeszcze, że widziałam Dariela w białiznie. Ultrazaur wygląda, jakby Stwórca wziął wszystkie potwory spod łóżka każdego dziecka, jakie kiedykolwiek się narodziło, i zlepil je w jednego über-potwora, a potem stworzył monstrum, które pożarło go na toście ze szklanką soku pomarańczowego, oglądając poranne wiadomości.

Jest wielki jak dom, cały składa się z zębów i pazurów, ma żyłaste nogi, którymi wymachuje, próbując chwycić się czegoś przy zerowej grawitacji. Wbił łapy w ziemię i najwyraźniej nie jest głupi, bo teraz podciąga się na przednich pazurach. Węszy, poruszając tępo zakończonym zasmarkanym ryjem, ślina wylatuje mu z pyska, ma szeroko otwarte czarne źrenice w pięciorgu szmaragdowozielonych oczu. Gadzia część mojego umysłu wrzeszczy właśnie „Uciekaj! Biegiem! Wynoś się stąd!”, bo istnieją drapieźniki ze szczytu łańcucha pokarmowego i istnieją Drapieźniki ze Szczytu. A potem jest Wielki Ultrazaur z Abraaxis IV.

– Czuje nasz zapach – szepczę.

– To jest gabinet Bianchiego. – Kompletnie niewzruszony Tyler wskazuje mi kierunek.

Widzę błysk ściany ze spolaryzowanego krzemu wśród poszycia, sugestię światła i mebli w gabinecie. Ściana jest całkowicie przezroczysta, ale nie ma żadnych łączeń. Żadnych zasuvek. Zawiasów. Nic.

– Jak się tam dostaniemy? – szepczę.

– Miej wiarę – mruczy z uśmiechem Tyler.

Krzywię się, patrząc na ultrazaura.

– Czy wiara pozwoli nam go ominąć?

– Wiara nie. – Tyler porusza znacząco brwiami. – Hormony.

W oddali słyszę dźwięk. Jest słaby, cichutki, mniej więcej taki, jakiego można się spodziewać z głośniczków unikronu. To zapętlone nagranie z prezentacji Finiana. Zerka na Tylera,

który uśmiecha się szeroko, i chociaż nadal mam ochotę mu przywalić, to odpowiadam uśmiechem.

Do diabła, to zew godowy.

- Ty zarozumiała sukin...

Ultraזור ryczy, ślini się, pluje i wrzeszczy, miotając się po zagrodzie. Zostawia potężne wyżłobione ślady w ziemi, łamie drzewa, próbując zbliżyć się do porzuconego unikronu Tylera. Szczęrzy zęby, oczy mu błyszczą, wyrywa wielkie kawały poszycia, znikając wśród listowia.

- Robi wrażenie raczej... rozgniewanego niż podnieconego? - rzuca pytająco O'Malley.

- Ty też byś się wkurzyła, gdybyś pomyślała, że w twoim domu pojawił się drugi samiec i przystawia się do twoich ultraזורzyc. - Tyler kiwa głową w stronę gabinetu. - Chodźmy.

Ty odpycha się mocno od najbliższego drzewa i porusza się teraz szybko. Śmigam za nim, O'Malley ląduje na końcu, falbany idiotycznego tiulu unoszą się wokół niej w nieważkości. Ty zwalnia trochę, łapiąc się paru grubych pnaczy, gdy zbliża się do krzemowej ściany. Łapie mnie, gdy podlatuję do niego. O'Malley ląduje obok nas, oczy jej błyszczą, pewnie rozpiera ją energia, gdy znalazła się tak blisko celu. W tym miejscu pod warstwą ziemi kryje się jakiś metal - domyślam się, że wsporniki ściany. Ty aktywuje magnetobuty i obcasy uderzają o ziemię.

- Jak się tam dostaniemy? - syczę, uderzając pięścią w taflę.

- Jeśli wszystko inne zawiedzie, to po prostu wysadzimy ścianę. - Ty wzrusza ramionami.

Wyciąga dezazelator, który zabrał ochroniarzowi Bianchiego, ustawia na zabijanie i kiwa do mnie głową. Robię to samo, przestawiając moc na maksa, i oboje strzelamy w krzemową ścianę. Rozlega się skwierczenie, pojawia się jasny rozbłysk światła. Strzały stopiły powierzchnię ściany, zostawiając czarny, zwęglony ślad głęboki na parę centymetrów.

Kłopot w tym, że to dziadostwo ma co najmniej pół metra grubości.

- Hmm - pomrukuje Tyler. - W porządku.

- W porządku? - powtarzam z niedowierzaniem.

- Mają tu echo? - pyta Tyler.

Słyszę cichy elektroniczny brzęk dobiegający z paska O'Malley.

- Jeśli wolno mi coś zasugerować...

- Nie, nie wolno ci, kurna! - warczę. - Tryb cichy!

Słyszymy ryk w oddali, odgłos wyrywania z ziemi potężnych drzew pazurami wielkimi jak miecze. Oglądam się przez ramię na Tylera.

- Powiedz mi, proszę, że „jeśli wszystko inne zawiedzie, to po prostu wysadzimy ścianę” nie jest naszym jedynym planem?

Tyler znowu strzela w ścianę, topiąc kolejne kilka centymetrów. Marszczy brwi, odgarnia włosy z oczu.

- Naprawdę myślałam, że to zadziała...

- Na Wielkiego Stwórce. - Miotam się bezsilnie. - I to mówi gość, który zaliczył bezbłędnie egzamin z taktyki wojskowej?!

Ty unosi przeciętą blizną brew.

- Cat, nie chcę zniszczyć opinii, jaką masz na mój temat, ale to chyba najlepszy moment, żeby ci wyznać, że od *Bellerofonta* właściwie ciągle improwizuję.

Kolejny ryk wstrząsa listowiem.

- W mordę jeżozwierza - szepcze O'Malley.

Odwracamy się wtedy i widzimy potwora.

I widzimy, że on widzi nas.

Ma otwartą paszczę, popisuje się kolejnymi rzędami ostrych jak brzytwa kłów. Jego oddech jest jak podmuch z pieca, pazury wbijają się głęboko w podłoże, grudy ziemi i kawałki roślinności unoszą się wokół przy braku ciężenia. Pięć ślepi rozbłyskuje z wściekłości, rozwidlony ozór bada powietrze, gdy potwór ciągnie cielsko w naszym kierunku. Podnoszę wzrok i widzę krzemowe szkło nad sobą. Krzemowe szkło za mną. Potwora przede mną.

Mamy przejechane.

- Cat, biegnij w lewo, zabierz Auri - szepcze Ty, wyłączając magnetobuty i delikatnie odpychając się od ziemi. - Ruszymy m...

Cokolwiek Ty chciał powiedzieć, nie ma okazji skończyć. Ultrazaur napina mięśnie i skacze, a nieważkość sprawia, że leci prosto na nas jak torpeda z kłami.

Łapię O'Malley za rękę, odbijamy się nogami od ściany. Słyszę, jak potężne cielsko uderza w spolaryzowany krzem za mną.

Ultrazaur ryczy, skrobie pazurami w krzemowe szkło. Ryzykuję i zerkam przez ramię. Tyler odbił się od ziemi i uniósł się pod sufit. Uderza mocno w sklepienie, rozbija sobie ramię o szkło. Zaraz jednak znowu rusza, rzuca się w kierunku ziemi, gdy ultrazaur uderza szponiastą pięścią w miejsce, gdzie jeszcze chwilę temu unosił się Ty.

- Tyler! - krzyczy O'Malley.

Wiem, że to pewnie niewiele zmieni, ale i tak strzelam z dezelatora i w nagrodę słyszę skwierczenie, gdy wypalam dziurę w boku ultrazaura. Strzał nie robi żadnych szkód, ale Ty zyskuje kilka sekund, żeby się ogarnąć i znowu skoczyć, z powrotem - w kierunku kłapy, którą zrzuca się karmę.

Niestety ściągnęłam na siebie uwagę bestyjki.

Ryczy i rzuca się na nas, a ja ledwie zdążam odskoczyć w bok, ciągnąc za sobą O'Malley. Zaczepiam palcami o wyciągniętą gałąź drzewa i zmieniam moment pędu. Szpony przecinają powietrze za mną, ledwie o włos od moich pleców. Kopię w drzewo, lecimy przez płataninę gałęzi, strzelam raz jeszcze, zerkając przez ramię. Słyszę, jak bestyjka ryczy, czuję smród przypalonego ciała, O'Malley jest tuż obok mnie. Serce mi wali. W ustach mi zaschło.

Znowu jestem w symulatorze lotów. W dniu, kiedy przechodziliśmy na specjalności. Inni kadeci zebrali się wokół mnie. Instruktorzy patrzą oniemiały, jak kluczę i wywijam koziołki. Wiwaty narastają, kiedy sygnał „śmiertelne trafienie” co rusz rozbłyskuje, a ja strzelam, jakby broń była przedłużeniem moich rąk, a statek przedłużeniem mojego ciała. W końcu na ekranie rozbłyskuje liczba spudłowanych strzałów i wszyscy skandują moje nowe imię.

ZERO.

ZERO.

ZERO.

Coś wielkiego trafia nas od tyłu, obie koziolkujemy na ścianę gabinetu. Dociera do mnie, że to drzewo – ten potwór jest dość bystry, żeby czymś w nas rzucić. Pewnie nie zostajesz ostatnim przedstawicielem swojego gatunku, jeśli jesteś matołkiem. Uderzam mocno, O'Malley wpada na mnie, wali głową w krzemową ścianę, zostawiając za sobą czerwoną smugę. Gryzę się w język, całe powietrze uchodzi mi z płuc razem ze śliną i krwią, dezelator wypada mi z ręki.

Odbijamy się od ściany i lecimy w powietrzu. Koziolkujemy, w ogóle nad tym nie panując. Nie ma czego się chwycić. Kiedy udaje mi się złapać O'Malley, widzę, że straciła przytomność, oczy uciekły jej w głąb czaszki, małe kulki krwi odlatują od jej rozciętego czoła. Ponad jej ramieniem spostrzegam bestię, która zbiera się do następnego skoku. Słyszę strzały z dezelatora, krzyk Ty'a.

Potwór jednak wpatruje się we mnie. Wkurzyłam go. Nie zostajesz ostatnim przedstawicielem swojego gatunku, jeśli nie jesteś pamiętliwym gościem.

Patrę znowu na O'Malley. Ma zamknięte oczy, otwarte usta, krwawi z czoła. Przeprowadzam szybki rachunek. Uznaję, że nie musimy umierać obydwie. Puszczam ja więc i odsuwam od siebie kopniakiem.

Odlatuje.

Ultrazaur skacze na mnie z rykiem.

Tyler znowu strzela, widzę jasny rozbłysk.

Świat porusza się w zwolnionym tempie. Wiruję w nieważkości, a ta machina z zębów i pazurów rzuca się na mnie. Ja jednak tylko się uśmiecham. Bo latam.

Koniec nadciąga, ale przynajmniej latam.

I wtedy uderzam w coś z całej siły.

Niczego tam nie ma, ale mimo to w coś uderzam – jakaś niewidzialna siła zatrzymuje mnie w locie. Trzyma w miejscu.

Ultrazaur też jest zamrożony, wisi w powietrzu wbrew wszelkim prawom zachowania pędu i grawitacji, jakie znam.

Ryczy z wściekłości.

Powietrze wibruje wokół mnie, świat się rozmazuje. Czuję smak soli w ustach. Widzę kątem oka O'Malley. Też unosi się w powietrzu, jej krótkie włosy falują, jakby rozwiewał je wiatr. Jej prawe oko świeci, wręcz płonie. O'Malley wyciąga ręce, poddźwiękowe buczenie narasta w powietrzu wokół mnie jak statyczna elektryczność.

- Z-z-zapal-llnikkkk - mówi.

Fala mocy wypływa z niej drżąca, półprzezroczysta, sferyczna. Rozpłaszcza poszycie, miążdży drzewa, rozszerza się wokół, aż uderza w potwora.

A on... po prostu się rozpryskuje. Jak robak zmiażdżony przez potężną niewidzialną rękę. Pancerna skóra pęka, wnętrzności lądują na zewnątrz, a ja odwracam głowę i zamykam oczy, żeby nie patrzeć na resztę widowiska.

Wybieg dygoce jakby to było trzęsienie ziemi. Wyczuwam coś miękkiego i gąbczastego pod stopami. Otwieram oczy i zdaję sobie sprawę, że moje buty dotykają teraz podłoża.

Na oddech Stwórca, przeniosła mnie...

O'Malley opada na ziemię, ręce nadal ma wyciągnięte, krew leje jej się z nosa i unosi w powietrzu. Oko nadal jej płonie upiorną bielą, niemal oślepiająco. Wiem jednak, że patrzy na mnie. Czuję, że mnie widzi.

- Uwierz - mówi.

Jedno konwulsyjne szarpnięcie i zamyka oczy, znowu tracąc przytomność. Powoli zwija się w pozycji płodowej i szybuje jak dziecko w łonie matki.

- Cat!

Odwracam się i widzę za sobą Tylera, jego potargane blond włosy unoszą się w nieważkości. Trzyma się przy linii poprzewracanych drzew, jest obryzganym krwią ultrazaury. Ma bladą twarz i szeroko otwarte niebieskie oczy. Pokazuje jednak coś za moimi plecami.

- Patrz - mówi.

Odwracam się i patrzę poprzez zaslonę z krwi potwora na ścianę gabinetu. Siła O'Malley... czy co ona tam uruchomiła... nie tylko poprzewracała drzewa, powyrywała krzaki i ścisnęła Wielkiego Ultrazaury z Abraaxis IV, jak bardzo dużego i rozgniewanego pączka z dżemem, ale też rozbiła ścianę gabinetu Bianchiego jak skorupkę jajka.

Udało jej się.

Możemy wejść.

- Mówiłem - mówi Tyler.

Patrzę na niego, a on tylko się uśmiecha.

- Wiara.

MOCE UMYŚŁU

► HIPOTETYCZNE

▼ TELEKINEZA

Telekineza to hipotetyczna zdolność manipulowania materią bez bezpośredniego użycia siły, czyli zdolność poruszania przedmiotami za pomocą umysłu.

O ile inne mentalne zdolności, w tym telepatia, empatia i łagodna forma prekognicji zostały dobrze udokumentowane u kilku gatunków, w szczególności pośród Syldran, Ilesarów i Kelinrorich, nie ma żadnych potwierdzonych naukowo przypadków telekinezy. Bez względu na to, co S'ren z księgowości opowiadał ci na temat swojego ciotecznego dziadka i o łyżeczkach.

– MAMY ŚWIADOMOŚĆ, ŻE MIESZKAŃCY STATKO-ŚWIATA MOGĄ OBECNIE ODCZUWAĆ TRUDNOŚCI ZWIĄZANE Z [GRAWITACJĄ]. PROSIMY O ZACHOWANIE SPOKOJU.

W odpowiedzi na nagrany komunikat nadawany z głośników rozlegają się setki oburzonych okrzyków ludzi, którzy doskonale zdają sobie sprawę z zaistniałych kłopotów. Wypycham się z turbowindy i sunę przez wielki bazar, na którym panuje absolutny chaos.

Ludzie, towary i wszystko inne unoszą się w powietrzu, płatanina barw i kształtów jak konfetti na bardzo gniewnym ślubie. Kiedy zatrzymuję się przy drabince, suknia unosi się wokół mojej talii falami migotliwego błękitu i lśniących kryształów. Cieszę się, że chociaż raz zdecydowałam się na praktyczną bieliznę.

– NASI TECHNICY WKRÓTCE PRZYWRÓCĄ NORMALNĄ [GRAWITACJĘ] – otrzymujemy zapewnienie odczytane w śpiewnym kobiecym głosie. – DZIĘKUJEMY ZA PAŃSTWA CIERPLIWOŚĆ.

Komunikat powtarza się w tuzinie różnych języków; ja znam tylko cztery z nich. Mieszkańcy reagują powszechnym oburzeniem. Co sprytniejsi ludzie na bazarze noszą magneto buty jak ja, ale niewiele pomogą w przypadku ich towarów, zwierząt i innej własności.

Trzymam się obrzeży bazaru, poruszam się wzdłuż ściany i włączam magneto buty tylko wtedy, gdy to konieczne. Lot jest szybszy, a czasu mamy najwyraźniej mniej, niż liczyliśmy.

– Kal, Zila, słyszycie mnie?

– Potwierdzam, legionistko Jones – odpowiada Zila.

– Wasza pozycja?

– Jesteśmy już prawie w mieszkaniu Dariela. Przewidywany czas przybycia: czterdzieści dwie sekundy.

Docieram do skraju bazaru, zerkam na schemat na unikronie i kręcę głową.

– Do diabła, ja potrzebuję co najmniej pięciu minut.

– Nie możemy na ciebie czekać – oznajmia Kal.

– Co trzy lufy, to nie dwie.

– Technicy Statko-Świata w każdej chwili mogą włączyć awaryjne generatory ciężenia. Jeśli Finian i Dariel wpadli, koszt zmarnowanego czasu przewyższy zysk z twojego udziału w walce wręcz.

Kopniakiem kieruję się do wejścia i wlatuję do kolejnej turbowindy.

– Chcesz powiedzieć, że nie potrafię walczyć?

– Mówię, że nie mamy czasu na dyplomację – odpowiada Kal.

- Słuchaj no, ty szpiczastouchy przystojny du...

- Jesteśmy na miejscu. Wchodzę.

Przeklinam, uderzam w panel sterowania windy, włączam buty, kiedy przyspieszanie wbija mnie w podłogę. Słyszę hałasy przez kanał komunikacyjny, odgłosy strzałów z broni. Serce bije mi jak szalone, żołądek się zaciska, kiedy kopię, żeby wyskoczyć z windy do sektora mieszkalnego. Słyszę krzyki w komunikatorze, strzały z dezelatora.

- Kal?! - krzyczę. - Zila, melduj!

Kolejne krzyki, wilgotny łomot, znowu krzyk. Kal przeklina po syldrańsku i chociaż robi to lodowato zimnym głosem, dociera do mnie, że jest o wiele bardziej twórczy w przeklinaniu, niż się spodziewałam.

- Tiir'na si maat tellanai (Ojcie wielu paskudnych i głupich dzieci!).

- Kii'ne dō all'iavesh ishi! (Plamo na bieliźnie kosmosu!).

- Aam'na delnii! (Przyjacielu bydła!).

Rozlega się skwierczący strzał z dezelatora i nasza łączność umiera.

- Kal?

Odbijam się kopniakiem od ściany, przelatuję między dwoma zdumionymi chłopakami, którzy właśnie wyczołgali się ze schowka na szczotki rozebrani do samej bielizny. Jeden z nich nosi czapkę pizzerii Wuja Enzo.

- Zila, słyszysz mnie?

Docieram do klatki schodowej, włączam magnetobuty i odpycham się w górę. Serce wali mi jak szalone, pot zalewa oczy, kiedy wyplątuję się z idiotycznej sukienki, pędzę na górę i włączam kolejny kanał na uni.

- Tyler, myślę, że Kal i Zila mają kłopoty...

Milknę, gdy docieram na piętro Dariela. Na korytarzu czeka na mnie postać w ponurym szarym stroju. W szarym gładkim hełmie. Ponad jej ramieniem widzę mieszkanie, Finiana zgarbionego w krzesle, bladoróżową krew płynącą mu z rozciętego czoła, ciała unoszące się w nieważkości, ścianę zwęgloną strzałami z broni.

Agent GAW chowa pod kurtką dezelator.

- Legionistko Jones, miło, że do nas dołączyłaś - mówi.

Bez unikronu czuję się trochę nagi, ale najpewniej wylądował w żołądku ultrazaura, a ja nie zamierzam włożyć w tę breję, żeby go odzyskać.

Odpycham się od połamanej roślinności, szybuję przez wybieg i delikatnie zgarniam bezwładne ciało Auri. Dziewczyna reaguje słabo, marszczy czoło, wyczuwając zmianę, gdy zatrzymuję się przy ścianie gabinetu Bianchiego. Spolaryzowany krzem popękał. Kawałki dryfują w powietrzu nad reagującą na nacisk podłogą – na szczęście, cokolwiek Aurora zrobiła, najwyraźniej pozbawiła też zasilania cały gabinet wraz z umieszczonymi tam alarmami.

Cokolwiek zrobiła?

Nazywaj rzeczy po imieniu, Tyler.

Telekineza.

Dotykam jej policzka i pytam cicho:

– Auri, słyszysz mnie?

Cat zatrzymuje się obok mnie, pobrudzona krwią i ziemią. Wygląda na równie wstrząśniętą jak ja. Jednakże wbrew temu, jak straszne było to, co właśnie widzieliśmy, mówi bez drżenia w głosie:

– Nic jej nie jest?

– Nie wiem – odpowiadam, zerkając przez popękana szklaną ścianę. – Ale musimy działać, ochrona na pewno już tu idzie. Popilnuj jej dla mnie.

Zostawiam Cat z Aurorą i przez dziurę wlatuję do gabinetu Bianchiego. Reflektory punktowe zgasły, powietrze jest wypełnione dryfującymi rzeźbami, dziełami sztuki, artefaktami obcego pochodzenia pozrucanymi z półek przez uderzenie telekinetycznej siły. Wokół wielkiego biurka stoi krąg dużych foteli, szklane gabloty ustawiono spiralnie w rozległym pomieszczeniu. Serce mi wzbiera, gdy widzę nasz cel – trójpalczastą statuetkę z dziwnego metalu, która unosi się w swojej wysokiej gablocie.

Zapalnik.

Oglądam się na Aurorę, widzę, jak się porusza w objęciach Cat. Moc, jaką ma ta mała, krucha dziewczyna spoza czasu, nie przypomina niczego, co kiedykolwiek widziałem. Gdybym nie uwierzył wcześniej, gdyby ostrzeżenia admirała Adamsa i nadkomendantki de Stoy oraz wydarzenia na *Bellerofoncie* i wizje przyszłości Auri nie przekonały mnie, że wplątaliśmy się w coś większego od nas samych, to podziałalby widok ultrazaura wyciskanego jak pryszcz.

I gdy patrzę w oczy Cat, wreszcie płonie w nich to samo, co w moich.

Wiara.

Mam nadzieję, że nie pojawiła się za późno.

Cat odpycha się, żeby wlecieć do gabinetu, unosi się nad ziemią, trzymając Aurorę. Auri jęczy, otwiera oczy, mruga. Potrzebuje długiej chwili, żeby zogniskować wzrok, znaleźć mnie, przypomnieć sobie, gdzie się znajduje. Potem jednak jej wzrok pada na Zapalnik i cała tężeje, odzyskując nagle przytomność. Oddycha szybciej, zaciska zęby. Patrzy na rzeźbę, patrzy na mnie. Mówi chrapliwie, jakby wcześniej krzyczała.

– Tego szukamy – szepcze.

Wyciągam dezelator i strzelam do innej gabloty Bianchiego. Popękany krzem rozbryzguje się na wszystkie strony, czworogłowy posązek z gabloty wylatuje, uderza w ścianę i się rozbija. Obniżam moc. Strzelam do kolejnej gabloty i patrzę, jak szkło pęka, ale się nie rozpryskuje.

Lepiej.

Odwracam się do gabloty z Zapalnikiem i strzelam w szkło. Tysiące pęknięć pojawiają się na powierzchni jak drobna pajęczyna. Unoszę dezelator i pukam delikatnie w gablotę, szkło sypie się i dokładnie w tej samej chwili włącza się grawitacja.

Wszyscy opadamy nagle na ziemię zaskoczeni, ja ląduję na brzuchu pośród gradu lśniących odłamków. Cat i Auri uderzają o podłogę nieopodal, mój As jęczy przy lądowaniu. Rozlega się przeciągły, obrzydliwy chłupot, gdy wnętrzości ultrazaura uderzają o ziemię na zewnątrz, a potem ciężki, wilgotny łomot, gdy spada reszta ciała. Podnoszę się na kolana, wytrząsając z włosów odłamki szkła.

Technicy Bianchiego musieli włączyć zapasowe generatory ciężenia.

Słyszę serię elektronicznych brzęknięć za plecami. Odgłos ciężkich zamków, które się otwierają. Serce mi się zaciska na dźwięk cichego, poważnego syknięcia, gdy otwierają się drzwi.

Już wiem, co zobaczę, gdy się obróczę, a mimo to żołądek zaciska mi się nerwowo, gdy zerkam przez ramię. Wypuszczam dezelator na wypolerowaną podłogę, gdy wrzask, od którego ścina się krew w żyłach, wypełnia powietrze.

Nasz czas dobiegł końca.

Casseldon Bianchi wpada do pokoju otoczony przez ochroniarzy. Wszyscy są Chellerianami, wielkimi jak małe samochody i uzbrojonymi po zęby. Bianchi wytrzeszcza czworo oczu z wściekłości, szczyrzy kły, warcząc, gdy wchodzi sztywno do gabinetu. Jednak to nie potłuczone gabloty, pobojuwisko, antyki porzucane wśród potłuczonego szkła na podłodze sprawiają, że unosi pięść i znowu krzyczy. To długa krwawa smuga na szkle od zewnątrz. Widok jego najcenniejszego zwierzaka, najrzadszego stworzenia w całej Galaktyce zredukowanego do konsystencji zupy dnia.

– *Skaa taa ve benn!* – ryczy.

Odwraca się do mnie i mruży ślepią na szerokość zadraśnięcia papierem.

– Ludziu! – warczy.

Jego cios podrywa mnie z ziemi i sprawia, że uderzam o ścianę. Walę kolanami o pokład, czuję potworny ból we wnętrzościach, mam krew w ustach. Bianchi wyrывa dezelator jed-

nemu ze swoich zbirów i celuje w moją głowę. Auri wykrzykuje moje imię, Cat unosi broń, kiedy zbiry Bianchiego zbliżają się do niej.

- PROSZĘ TU NIE STRZELAĆ, PANOWIE – rozlega się pozbawiony płci elektroniczny głos.

Podnoszę wzrok, ściskając się za brzuch. Ledwie oddycham. Agent GAW w nijakim szarym mundurze wchodzi do pokoju w towarzystwie drugiego.

Bianchi ryczy po chelleriańsku. Trzema rękami wskazuje rozbryzg szczątków ultrazaury, a czwartą, w której trzyma broń, wymachuje.

- DOCENIAM TO, PANIE BIANCHI – odpowiada agent, wskazując Auri. – ALE, JAK JUŻ WYJAŚNILIŚMY, POJMANIE TEJ OSOBY TO SPRAWA NAJWYŻSZEJ WAGI DLA TERRY. WOLELIBYŚMY, ŻEBY NIE ZGINĘŁA PRZYPADKIEM, GDY ZACZNIE PAN STRZELAĆ W PRZYPIYWIE ZŁOŚCI.

Bianchi przechyla głowę, piorunując agenta wzrokiem, i warczy; jego terrański jest doskonały.

- To jest mój statek. Mój świat. Wasza jurysdykcja tu nie sięga, ludziu.

Nie widzę jego twarzy, ale agent odpowiada bez mrugnienia okiem.

- NAWET NIE WIEDZIAŁBY PAN O TYM WŁAMANIU, GDYBYŚMY PANA NIE POINFORMOWALI, PANIE BIANCHI. NALEŻY NAM SIĘ ODROBINA WDZIĘCZNOŚCI.

- Gdybyście ostrzegli mnie wcześniej, mój pupil nadal by żył!

- BELLEROFONT ZNAJDUJE SIĘ RAPTEM KILKA GODZIN OD STATKO-ŚWIATA. ZARAZ PO PRZYBYCIU PRINCEPS WYNAGRODZI PANA STOSOWNIE DO PONIESIONYCH STRAT. POTRZEBUJEMY TYLKO DZIEWCZYNY. CO DO RESZTY TYCH ZDRAJCÓW... – agent wskazuje mnie i Cat – ... JESTEŚMY PEWNI, ŻE OSOBA O PAŃSKIEJ REPUTACJI Z RADOŚCIĄ ZAJMIE SIĘ NIMI W SWOICH PRYWATNYCH CELACH.

- Chwileczkę – odzywa się Cat, robiąc krok naprzód. – Nie taka była umowa...

Odwracam się do niej z wytrzeszczonymi oczami.

- Umowa?

Nie patrzy mi w twarz, wpatrując się tylko w agenta.

- Powiedzieliście, że gwarantujecie nam nietykalność! Powiedzieliście, że wyjdziemy z tego żywi!

Agent przechyla głowę.

- KŁAMALIŚMY, LEGIONISTKO BRANNOCK.

- Sprzedałaś nas? – szepczę do Cat, zaciskając dłonie w pięści.

Patrzy mi w twarz ze łzami w oczach.

- Zrobiłam... zrobiłam to dla drużyny.

- Dla drużyny?! – wrzeszczę. – Zdradziłaś mnie dla drużyny?!

- Zdradziłam? – Cat nie wierzy własnym uszom. – Jeśli ktoś nas zdradził, to ty!

- Co?!

- Słyszałaś! – Cat wskazuje Auri. – Odkąd pojawiła się na pokładzie Łuku, ignorujesz wszystkie przepisy! Spuściłaś nas w kibli! I po co? Dla niej? Bo przyciska rączkę do piersi i jęczy „O rety, jestem taka słodka i bezradna, panie Jones, dlaczego nie weźmie mnie pan w swoje wielkie, silne...”.

- To o to ci chodzi? – pytam ostro. – O ciebie i mnie?

Bianchi robi krok naprzód i warczy:

- Dość...

- To nie ma z nami nic wspólnego! - Cat całkowicie go zagłusza swoim krzykiem. - Tu chodzi o Legion! O akademię! O wszystko, na co pracowaliśmy od dziecka! Jakaś podfruwajka trzepocze do ciebie rżęsami, a ty wszystko z miejsca odrzucasz?

- To był błąd, Cat! - krzyczę. - Przykro mi z powodu tego, co się wydarzyło między nami na przepustce. Przepraszam, że wszystko popsulem! Ale czy nie czas, żebyś wreszcie to przebołała?

Ona wytrzeszcza na te słowa oczy.

- Ty sukin...

Rzuca się przez pokój, wali mnie w szczękę, popycha na gablotę, rozbijając mi czaszkę o szkło. Odpycham ją, wpadamy na gablotę z Zapalnikiem i przewracamy posążek, lecimy na biurko. Potłuczone szkło i pięści. Cat wali mnie w twarz i krzyczy. Wrzeszczy.

W pokoju wybucha chaos: grupka Chellerian patrzy na durnych ludzi, dwóch agentów GAW podchodzi, żeby nas rozdzielić, Auri kuca i zakrywa uszy, a Bianchi podnosi dezelator i strzela w sufit.

Agenci ściągają ze mnie Cat, która ma moją krew na pięściach. Dyszy, wymachuje rękami, wciąż mnie przeklina.

- Ty łajdaku! Tak skopię ci tyłek, ty pier...

- DOŚĆ! - ryczy Bianchi. - Zabrać ich do cel!

Jeden z agentów łapie Aurorę za rękę i wlecze ją przez szczątki gablot.

- ZABIERAMY PANNĘ O'MALLEY Z POWROTEM NA ZIEMIĘ ZGODNIE Z NASZĄ UMOWĄ.

Bianchi staje przed agentem, krzyżując wszystkie cztery ręce.

- ZAPRACOWAŁ PAN NA PRZYJAŹŃ TERRAŃSKIEGO RZĄDU, PANIE BIANCHI. ZAPEWNIAM PANA, ŻE NASZA WDZIĘCZNOŚĆ PRAKTYCZNIE NIE ZNA GRANIC.

- Być może kiedy rząd będzie mi okazywać wdzięczność, wyjaśni mi przy okazji, dlaczego przysłał dwóch agentów na Statko-Świat bez mojej zgody.

Agent tylko wzrusza ramionami.

- GLOBALNA AGENCJA WYWIADOWCZA MA TYSIĄCE OCZU, PANIE BIANCHI.

Gangster zgrzyta zębami, ale w końcu warczy i kiwa głową. Chelleriańskie zbiry wchodzą do pokoju i zabierają mnie i Cat. Agenci GAW wychodzą szybkim krokiem z gabinetu, ciągnąc między sobą Auri. Oстрыm pchnięciem zostajemy z Cat ponagleni do pójścia w ślad za nimi, podeszwy naszych butów zgrzytają na potłuczonym szkłe. Zostawiamy Bianchiego wpatrującego się żałośnie w szczątki ulubionego zwierzaka.

Maszerujemy ramię w ramię, a agenci GAW idą przed nami. Cat nie chce spojrzeć mi w oczy. Krew kapie mi z brody, z rozcięcia, które Cat ponownie otworzyła na mojej wardze, gdy mnie uderzyła. Słyszę oddech Auri więdnący jej w piersi, cichy metaliczny syk oddechu agentów. Nie słyszę już muzyki z przyjęcia.

Agenci ładują się do turbowindy, naciskają guzik poziomy hangarów. Jeden ze zbirów przesuwa kartę i naciska inny guzik - pewnie na poziom niesławnych cel Bianchiego. Ludzie trafiają tam i nigdy stamtąd nie wychodzą.

Stoję przodem do drzwi, szczęściu Chellerian stoi za moimi plecami, zaś dwóch agentów GAW za nimi. Jestem cały obolały. Jeden ze zbirów odzywa się do mnie, krzywiąc szyderczo usta.

- Nie mówię po chelleriańsku – odpowiadam, oblizując zakrwawione usta.

- PYTA, CZY JESTEŚ GŁUPI – podsuwa pomocnie jeden z agentów. – JAK MOGŁEŚ SPODZIEWAĆ SIĘ, ŻE WEJDZIECIE I WYJDZIECIE Z TEGO GABINETU, NIE DAJĄC SIĘ ZŁAPAĆ.

Uśmiecham się do zbira, a potem zerkam przez ramię na lustrzane hełmy.

- Powiedz mu, że się nie spodziewałem.

Agent wyciąga dezelator, strzela w tył głowy Chellerianina dawką ogłuszającą, drugiemu zbirowi prosto w twarz, gdy ten się obraca, a potem załatwia następnego strzałem z bliska w pierś. Nawiązuje się krótka szarpanina, znowu padają strzały ogłuszające i po paru sekundach wszystkie zbiry w windzie leżą na podłodze, dygocą i się ślinią.

- Cóż. – Scarlett zdejmuje maskę agenta, zerka w odbicie i poprawia ognicie rude włosy. – Wykonanie planu było dalekie od ideału.

- Każdy potrafi krytykować – odpowiadam. – Finowi nic nie jest?

- JEGO EGZOSZKIELET ZOSTAŁ USZKODZONY, ALE ŻYJE – odpowiada Zila spod drugiej maski agenta. – KAL ZABRAŁ GO NA ŁUK.

- To mogło się źle skończyć – mruczy Cat. – Łajdaki, powiedzieli mi, że poczekają, aż będziemy kartę dostępu, i dopiero wtedy wparują do mieszkania.

- Myślę, że można śmiało stwierdzić, że mieliśmy rację, nie ufając do końca agentom Globalnej Agencji Wywiadowczej – odpowiadam z uśmiechem.

Cat też się uśmiecha.

- Gdyby rzeczywiście byli tacy sprytni, to nie oczekiwaliby, że As sprzeda swojego Alfę. Powinni się spodziewać, że natychmiast pobiegnę do ciebie i powtórzę wszystko, co mi powiedzieli.

Wyciągam rękę i ściskam jej dłoń, a ona uśmiecha się szeroko, zaciekle, triumfalnie, z żarem tysiąca gwiazd.

- Dobra robota, legionistko Brannock.

- Zawsze wspieraj swojego Alfę – mówi. – Zawsze.

Drzwi turbowindy otwierają się i po drugiej stronie czeka na nas Dariel. Mruga zaskoczony i rozdziawia usta.

- Niech mnie licho, udało się? – Patrzy na ciała w windzie.

- Nigdy nie lekceważ siły elementu zaskoczenia – mówię, przechodząc obok niego.

Wychodzimy na korytarz, a potem idziemy służyć, kierując się do hangaru. Panuje tam bałagan po chwilowym braku ciężenia, ale ekipy sprząające już pracują. Idziemy szybko, Dariel wlecze się obok mnie, krzywiąc się i drapiąc po głowie. Przykro mi to mówić, ale Finian odziedziczył rozum po którejś z innych trzech gałęzi swojej rodziny.

- No dobra, wyjaśnij mi to raz jeszcze – mówi Dariel.

- To już będzie trzeci raz – zauważa Zila, zdejmując hełm.

- Jestem kochankiem, nie myślicielem – odpowiada Betraskanin, mrugając do niej znacząco. – Nawiasem mówiąc, masz jakiś numer, na który mógłbym...

- Tak jak powiedział Finian... - odzywam się. - Nie było sposobu, żebyśmy wykręcili ten numer i nie dali się złapać. Kiedy więc agenci GAW spróbowali przekabacić Cat, wykorzystałem to. Oryginalny plan polegał na tym, że zgarniemy kartę dostępu Bianchiego i dostaniemy się do gabinetu. GAW miała wparować do ciebie w czasie ustalonym z Cat, aresztować Finiana, uniemożliwić nam komunikację. Potem agenci mieli powiadomić Bianchiego o naszym przekręcie, żeby wszyscy wparowali do gabinetu i nas złapali. Gdyby GAW uprzedziła Bianchiego wcześniej, zostalibyśmy zabici przez jego ochronę i agenci nic by na tym nie zyskali. Jednakże łapiąc nas na gorącym uczynku, wyszliby na bohaterów.

- Wdzięczny Bianchi oddałby im Auri, a my zostalibyśmy zabici - dodaje Cat.

- Ale GAW wpadła do mieszkania wcześniej... - sprzeciwia się Dariel. - Potwornie złazi Finiana.

- Dlatego musieliśmy wejść przez zagrodę dla ultrazaura. - Kiwam głową. - A Kal musiał wparować do mieszkania, żeby załatwić agentów, zamiast czekać na nich w zasadzce.

- Był trochę... przerażający - mruczy Dariel.

- Jeszcze raz przepraszam za bałagan - mówi Scar.

- Liczyło się tylko to, żeby zdobyć mundury GAW - tłumaczy. - Trudno powiedzieć, kto się kryje pod tymi hełmami. A Scar na dobrą sprawę potrafi sprzedać wszystko.

Dariel mruga.

- Czyli... zadaliście sobie tyle trudu tylko po to, żeby... dać się złapać?

- Aha - odpowiadam. - Ale musieliśmy być w gabinecie, kiedy zjawi się GAW. Potem wystarczyło, żebyśmy z Cat wdali się w bójkę.

- Żeby Bianchi stracił nasz cel z oczu - dodaje Cat, kiwając głową.

- I żeby mieć pewność, że nikt na mnie nie patrzy - odzywa się cicho Auri.

Dariel odwraca się do niej. Z triumfalnym uśmiechem Auri sięga między fałbany tiulu wokół talii i wyjmuje trzypalczystą statuetkę wykutą z dziwnego metalu, na której piersi migocze diament, a w prawym oku lśni perła.

- Klasyczne odwrócenie uwagi. - Wzruszam ramionami. - Podstawowe taktyki, drugi semestr.

- Ile czasu minie, nim Bianchi zauważy, że zniknęła? - pyta Dariel.

- Zważywszy na stan, w jakim zostawiliśmy jego gabinet, spodziewałabym się jeszcze około trzech minut - odpowiada Zila. - W przybliżeniu.

- A *Bellerofont* nadal zbliża się do Statko-Świata - mówi Cat. - A wątpię, żeby pan princeps był zadowolony z tego, co Kal zrobił jego jedynym agentom na pokładzie stacji.

- Nawet nie masz pojęcia - mówi Scarlett.

Auri mruga zaskoczona.

- W takim razie... przypomnijcie mi, dlaczego nie biegniemy?

To słuszne pytanie, a ja nie potrafię podać dobrej odpowiedzi. Zrywamy się do biegu. Pędzimy, mijając ładowaczy i dokerów, w głąb płataniny miejsc cumowniczych Statko-Świata, wzdłuż przezroczystej pępowiny prowadzącej do naszego Łuku. Śluza jest otwarta, Kal na nas czeka. Jego strój dostawcy pizzy jest zbryzgany krwią, w ręku trzyma karabin-dezelator. Na nasz widok, zamiast zachować typowy chłód Syldranina, wykrzywia usta w lekkim uśmiechu.

Aurora patrzy mu w oczy.

I jego uśmiech natychmiast gaśnie.

- Powinniśmy ruszać, dowódcu – mówi.

Kiwam głową, odwracam się do Dariela i ściskam mu rękę w ramach podziękowania.

- Nie wiem, jaki dług zaciągnął u ciebie Fin, ale ja też jestem twoim dłużnikiem. Jeśli w przyszłości będziesz potrzebował pomocy, tylko krzyknij.

Scarlett całuje Dariela w policzek i mruga porozumiewawczo.

- Dzięki, Romeo.

Dariel odwraca się do Zili ze znaczącym uśmieszkiem.

- Od ciebie też dostanę całusa?

- Dziękuję, do widzenia – odpowiada Zila i idzie prosto na statek.

Aurora wyjmuje drugi artefakt spomiędzy fałd sukienki – małą figurkę wyrzeźbioną w zielonkawym kamieniu. Podaje ją Darielowi.

- Zabrałam to dla ciebie. Na wypadek gdybyś potrzebował funduszy na przeprowadzkę.

Betraskanin chowa ją z szerokim uśmiechem.

- To pewnie nie najgorszy pomysł – przyznaje. – I dzięki, stalaktyty nie były tanie.

Pospiesznie wchodzę razem z pozostałymi na pokład. Ostatni raz kiwam głową do Dariela, zamykamy śluzę i zbieramy się na mostku. Finian już siedzi w fotelu. Jego egzoszkielec wygląda najlepiej. Fin pracuje nad lewym przedramieniem z małą fotonową spawarką. Jest posiniaczony i wygląda żałośnie. Ożywia się jednak na nasz widok. Koniczynka siedzi na jego kolanach.

Cat krzywi się, siadając w fotelu pilota.

- To mój smok – mówi.

- Tylko go dla ciebie trzymałem – odpowiada Finian, rzucając jej maskotkę.

- Po co? – pyta, łapiąc lecącego Koniczynkę.

- Pomyślałem, że przyda nam się trochę szczęścia.

Cat uśmiecha się szeroko, całuje smoka w głowę i zaczyna wprowadzać polecenia na konsoli.

- Przymknij się, Finian.

Przypinamy się pasami i przeprowadzamy testy przed startem. Moje ręce przesuwają się płynnie nad przyciskami układu sterowania. Nie wiem, co teraz. Wiem, że *Bellerofont* zmierza na Wiekiustego. Wiem, że GAW nie wycofa się, dopóki Auri nie wyląduje w ich łapach. Nie wiem, kim ani czym jest, ani dokąd nas prowadzi. Bez wątplenia polują na nas terrańskie pancerniki, które patrolują Fałdę, i wiem, że właśnie uczyniliśmy sobie z Casseldona Bianchiego śmiertelnego wroga.

To jednak dopiero przyszłość. W tej chwili musimy się stąd wynieść, zanim...

- ALARM – rozlega się komunikat w głośnikach hangaru. – ALARM. Z ROZKAZU CASSELDONA BIANCHIEGO ŻADEN STATEK NIE MOŻE OPUŚCIĆ STATKO-ŚWIATA DO CZASU UKOŃCZENIA PRZESZUKIWANIA. PROSZĘ WYŁĄCZYĆ SILNIKI I...

- Dzieciaki, trzymajcie się majtek! – krzyczy Cat.

Włącza silniki, klamry cumownicze piszczą, próbując uniemożliwić nam wyrwanie się, ale po włączeniu pełnej mocy rozlega się zgrzyt metalu. Łuk dygoce tak, że czujemy to aż w kościach, i wyrrywamy się w czerni, zostawiając za sobą Statko-Świat. Pęd wbija mnie w fotel i przez chwilę trudno jest mi złapać oddech. A potem przypominam sobie, jakie mam szczęście, że w ogóle mogę oddychać.

Uciekamy.

Udało nam się.

Rozglądam się po mojej drużynie na mostku. Drużyna 312. Banda nieudaczników, przypadków dyscyplinarnych i socjopatów, wyrzutków, z którymi nikt w Akademii Aurora nie chciał mieć do czynienia. I dociera do mnie rozmiar tego, czego właśnie dokonaliśmy.

Myślę o tym, że właśnie poprosiłem każde z nich, żeby weszło w paszczę bestii, i zrobili to, ponieważ we mnie wierzą. I żadne z nich nawet nie mrugnęło okiem. I myślę o tym, że nie weszli do paszczy tak po prostu.

Oni do niej wlecieli.

Auri kuli się w fotelu przy dodatkowym stanowisku, podciąga kolana pod podbródek. Jest posiniaczona, zmęczona i zakrwawiona, ale w jej oczach płonie nowy ogień. Trzyma Zapalnik w pięści i wpatruje się w niego, jakby skrywał wszystkie odpowiedzi na wszystkie pytania.

Kim jestem?

Dlaczego tu jestem?

O co w tym wszystkim chodzi?

I teraz, kiedy już dorwaliśmy tę rzecz w nasze ręce, nie mogę opędzić się od jednej myśli. Wiem, że jestem częścią czegoś większego. Czegoś, co rozgrywa się od co najmniej dwustu lat. Może dłużej. Czegoś, o czym dowódcy naszej akademii wiedzieli przed nami. O czym wie też GAW.

Czuję się jak pionek przesuwany z pola na pole. Staram się, jak mogę, ale nie widzę reszty szachownicy. Jednak po pięciu latach nauki w akademii wojskowej musisz umieć parę rzeczy na temat tego, jak działa broń.

I jeśli to, co Auri trzyma w ręce, to Zapalnik...

To gdzie jest reszta Broni?

I do czego, na Drogę Mleczną, służy ta Broń?

CZĘŚĆ 3



**CZARNA DZIURA
W SERCU GALAKTYKI**

WSZECHŚWIAT

► FAŁDA

▼ RYZYKO

Powszechnie uważa się, że jedyny osobnik, który naprawdę rozumie matematykę podróży przez Fałdę, to über-mózgowiec dr Ramasculus Ch'Far Si-Liento III z Voli VI. Si-Liento sklonował swój mózg trzykrotnie i podłączył do zlokalizowanej biosieci zdolnej przeprowadzać rachunki na poziomie 1 eksaFLOPSa3. Mimo to nadal nie jest w stanie przeprowadzać rachunków Fałdy i jednocześnie zamawiać śniadania. Próbuję wam powiedzieć, że to naprawdę skomplikowana rzecz.

Na szczęście nie musicie rozumieć, jak przemieszczacie się z punktu A do B, żeby wiedzieć, co złego może wydarzyć się po drodze. Oto kilka niebezpieczeństw związanych z podróżą przez Fałdę:

► halucynacje

► Burze Fałdowe

► trwale uszkodzenia mózgu

► niespodziewane zamknięcie Bramy

► psychoza

Mimo to, ze względu na dystans, jaki statek może pokonać dzięki Fałdzie, warto podjąć takie ryzyko, zwłaszcza że, podróżując w tradycyjny sposób, umarlibyście ze starości.

Wskoczyliśmy do Fałdy dziesięć minut temu i nikt od tego czasu nie odezwał się słowem.

Kolory zniknęły na rzecz bieli, czerni i odcieni pomiędzy, pozbawiając ognia włosy Scarlett, zamieniając piękną brązową skórę Zili w ciemną stalową szarość. Statek sunie gładko, a ja siedzę na jednej z długich wyścielanych ławek na tyłach mostku. Ciężar Zapalnika spoczywa w moich rękach.

Każda cząstka mojej osoby jest obolała, od zębów po palce stóp, w głowie kręci mi się ze zmęczenia, ale czuję, że żyję. Nie chodzi tylko o adrenalinę krążącą w moich żyłach. Czuję, że znalazłam się na ścieżce, którą muszę podążać. Nie wiem, dokąd prowadzi, nie wiem nawet, gdzie teraz się udać, ale ogarnia mnie nieuchwytnie poczucie pewności, które wynika z robienia tego, co powinnam.

Powinnam? A kto ustala zasady? I z jakiego powodu?

Jeśli pójdę tą ścieżką, to czy dowiem się, co się stało z moim ojcem i pozostałymi ludźmi na Octavii? Czy dowiem się, dlaczego mój rząd próbuje usunąć wszelkie ślady mojego istnienia?

Czy dowiem się, czym jestem?

Zerkam na statuetkę w rękach, przesuвам palcami po powierzchni. Jest gładka, sprawia wrażenie wygładzonej przez czas. Dobrze leży w mojej dłoni, jakby to było jej miejsce. Nie mam jednak pojęcia, co mam z nią zrobić.

To Tyler przerywa milczenie, odpinając pasy i wstając. Nadal ma na sobie wieczorowy strój, czarny materiał jest teraz bardziej porwany, niż nakazuje moda.

– Musimy zdecydować, co teraz – mówi.

A potem milknie i rozgląda się po mostku. Przygląda się zmęczonym twarzom drużyny 312 Legionu Aurory. Wygina usta w uśmiechu, który tak dobrze mu wychodzi, błyska dołeczkami.

– Chciałem powiedzieć, że to było niesamowite – poprawia się. – Nie mógłbym być bardziej dumny z tego, że służę z każdym z was.

To odpowiednie słowa. Wszyscy członkowie drużyny siadają odrobinę bardziej wyprostowani.

Mimo to Fin brzmi tak jak zwykle, gdy odpowiada:

– Dzięki, Złotko, ale masz rację, musimy wymyślić, dokąd teraz się udać, bo inaczej zostaną nam w planach już tylko odsiadka. A za nic w świecie nie będę dzielił celi z wami, potępięcy.

- Przyznaję, że przydałaby mi się jakaś wskazówka nawigacyjna – mówi Cat, nie odwracając głowy, chociaż wołałabym widzieć jej twarz.

Otwieram usta, zamykam je i znowu patrzę na Zapalnik w dłoni. Coś, dla czego narażaliśmy życie. Wszyscy teraz na mnie patrzą, poza Kalem, rzecz jasna, który ignoruje mnie równie skrupulatnie jak zawsze. Zdaję sobie sprawę, że oczekują ode mnie odpowiedzi.

Nie mam pojęcia, dokąd powinniśmy lecieć.

Ratuje mnie Zila, która odpina pasy i wstaje.

- Udzielę teraz pomocy medycznej – oznajmia dokładnie tym samym spokojnym głosem co zawsze. Jakby wcale nie pomogła załatwić sześciu chelleriańskich ochroniarzy trzy razy od siebie większych po tym, jak wysadziła grawitację na całej stacji kosmicznej. – Scarlett, możesz sięgnąć do zaopatrzenia? Powinniśmy coś zjeść. I powinniśmy się przebrać.

Myśl o jedzeniu trochę nas ożywia. Mamy więc za powszechną zgodą chwilę przerwy, gdy bliźniaki Jones przynoszą i rozdają racje typu „potrząśnij i podgrzej”. Na mojej napisano „Zapiekanka z Pasztecikiem! z Nie-Wieprzowiny-z-Jabłkiem™”. Nie wiem, czy martwić się „Nie-Wieprzowiną”, czy „z Pasztecikiem!”, ale potrząsam racją, aż folia stanie się ciepła w dotyku, a potem rozdzieram ją na wykropkowanej linii.

Słyszę znajomy już dźwięk dobiegający z paska.

- ZDAJESZ SOBIE SPRAWĘ, ŻE W ŚRODKU NIE ZNAJDUJE SIĘ NIC, CO CHOĆBY W PRZYBLIŻENIU PRZYPOMINAŁO WIEPRZOWINĘ ALBO JABŁKA, PRAWDA?

Zerkam do środka, mrużąc podejrzliwie oczy. Podejrzewam, że Magellan ma rację, ale wzruszam ramionami i mimo to jem.

- Ty, musimy pogadać – odzywa się Scarlett.

- Ups – odpowiada Tyler z pełnymi ustami. – Żadna rozmowa w historii ludzkości, która zaczynała się od tych słów, nie skończyła się dobrze.

Zila staje obok Fina i nakłada coś na rozcięcia na jego twarzy.

- Powinniśmy porozmawiać o tym, co widzieliśmy w mieszkaniu Dariela. Ta informacja może wpłynąć na naszą następną decyzję.

- Dlaczego? – pyta Cat, patrząc na nich dwoje. – Co widzieliście?

Kal, który stoi obok mnie, odzywa się cicho:

- Z agentami GAW było coś nie tak. Zauważyliśmy to, kiedy zdjęliśmy im mundury, żeby Scarlett i Zila mogły je włożyć.

Tyler zerka na niego.

- Nie tak? Możesz to rozwinąć?

Scarlett odstawia swoją rację opisaną „Prawie Rybne Pierožki™”.

- Chyba nie ma sensu o tym mówić. Powinniśmy wam to pokazać.

Nadal ma na sobie szary pancerz GAW od szyi w dół. Otwiera napierśnik, wyjmuj unikron spod przepoconego gorsetu sukienki i kieruje go w stronę centralnego wyświetlacza holograficznego na mostku, a potem przesyła zdjęcia jednym ruchem palca.

Nowy obraz zastępuje dane dotyczące trajektorii statku. Cała drużyna zamiera i milknie.

Cat odzywa się pierwsza głosem, jakiego nigdy u niej nie słyszałam.

- Jasna cholera.

To zdjęcie kobiety. Istoty ludzkiej. Ma pewnie około trzydziestki, ale trudno to ocenić na pierwszy rzut oka. Nie żyje, ma zapadnięte policzki rozchylone usta, jej skóra jest pozbawiona życia, szara. A w miejscu prawego oka znajduje się... Roślina?

Przypomina mi jeden z sukulentów, jakie mama hodowała w naszym mieszkaniu. Grube, soczyste liście w kształcie rombów, niewiele większe od paznokcia na moim kciuku, wyrastają z oczodołu, tworząc ciasny bukiet. Mają podobny martwy odcień jak skóra kobiety i są ciemniejsze przy krawędziach. Widać przebiegającą przez nie siateczkę żyłek.

Jakiś mech porasta prawą stronę twarzy agentki. Składa się z miękkich, puszystych, delikatnych źdźbeł i pokrywa połowę jej czoła. Schodzi niżej, aż znika pod czarną podkoszulką. Te same czarne żyłki co na liściach znaczą jej skórę jak pajęczyna.

Zupełnie jakby ta kobieta była z kamienia, który porosły mech i inne rośliny. Nic dziwnego, że Kal powiedział, że coś było z nimi nie tak. Czuję aż w żołądku, że nigdy w życiu nie widziałam czegoś bardziej „nie tak”. Powinnam uznać, że to jest ohydne, niewłaściwe, ale widok sprawia, że nerwy odmawiają mi posłuszeństwa, ciarki przechodzą mi po plecach, ogarnia mnie panika.

– Nie znam się na ludzkich przypadłościach, ale domyślam się, że to nie jest coś typowego – oznajmia cicho Kal.

– Nie – odpowiada Ty i pierwszy raz sprawia wrażenie roztrzęsionego. – Chcesz mi powiedzieć, że ta kobieta była jednym z agentów GAW? Że chodziła i mówiła?

Zerkam znowu na jej twarz. Nie... Jest coś niewiarygodnie niewłaściwego w tym, co widzę, a jednocześnie coś znajomego. Unoszę rękę, żeby zasłonić oko z rozkwitającą w nim nienaturalną rośliną, i patrzę na resztę ciała.

I wtedy żołądek mi się zaciska.

– Tyler... ja ją znam... – Ledwie to wychrypiałam.

Ty patrzy na mnie i unosi brew z blizną.

– Spotkałaś ją na Wiekuistym?

Kręcę głową.

– Kiedyś ją znałam. Zanim znalazłam się na *Hadfieldzie*.

Nie tylko widzę, ale wręcz czuję, jak szóstka moich towarzyszy patrzy po sobie.

– To niemożliwe – mówi Scarlett. – Musiałaby mieć ponad dwieście lat. Już to, że przetrwała tak długo w kriokapsule, to niewiarygodny przypadek. Chcesz powiedzieć, że to samo przytrafiło się jej na jakimś innym statku, który nawet nie trafił do nagłówek?

– Albo to, albo naprawdę dbała o nawilżanie skóry – sugeruje Fin, ale nikt się nie śmieje.

– Wiem – odpowiadam słabo. – Ale to jest Patrice Radke. Była kolonistką na Octavii III, szefową sekcji eksploracji i kartografii.

Odrywam wzrok od zdjęcia. Wszyscy patrzą na mnie. Niektórzy wyczekująco. Inni sceptycznie. Wszyscy chwytają się każdego mojego słowa.

– Byłaby moją szefową – szepczę. – Miałam mieć u niej praktyki w sekcji eksploracji i kartografii. Ona i mój tata... oni...

„Dzięki za życzenia urodzinowe, tato”.

„Dzięki za gratulacje z okazji ponownej wygranej w zawodach międzystanowych. Dzięki, że pamiętałaś, żeby wysłać Callie wiadomość z okazji jej recitalu, który, nawiasem mówiąc, zaliczyła fanatycznie. Ale przede wszystkim dzięki za to. Nie puścili mamy na Octavię, więc... po prostu ją zastąpiłeś? Nawet się jeszcze nie rozwiedliście!”

Potem się rozłączyłam. Ostatnie słowa, jakie mu powiedziałam, to lista powodów, dla których uważałam go za ojca do bani.

A teraz on nie żyje...

Patrzę na pozbawioną życia twarz Patrice i zaciska mi się żołądek.

Ale jeśli ona...

- Oficjalnie nie było kolonii na Octavii III - oznajmia Zila. - Według archiwów miałaś lecieć na Lei Gong.

- Archiwa się mylą - odpowiadam.

Zila przechyliła głowę i przygląda mi się w typowy dla niej sposób.

- A ta Patrice była jednym z pierwszych osadników z twojej ekspedycji, jakieś dwieście dwadzieścia lat temu.

To nie brzmi, jakby mnie wypytywała, ale jakby myślała na głos. Pozostali są mniej pewni, chociaż nikt teraz już nie okazuje takiego nieskrywanego niedowierzania jak wcześniej. Myślę, że ten etap mamy już za sobą.

- To brzmi, jakbym zwariowała, ale wiem, że mam rację - mówię.

Tyle że Patrice Radke nie żyje od ponad dwustu lat.

Z drugiej strony sama mam dwieście trzydzieści siedem lat.

I znajduję się na statku pełnym obcych. Którzy właśnie okradli stację kosmiczną.

Nie ma rzeczy niemożliwych.

Ale coś tu bardzo, ale to bardzo nie gra.

DRUŻYNY LEGIONU AURORY

► CZŁONKOWIE DRUŻYN

▼ MÓZGI

Mózgi to oficerowie naukowcy i medycy w drużynach Legionu Aurory. Większość ma przerażająco wysoki iloraz inteligencji, oficjalne karty członkowskie do klubów dla obsesjonistów i tendencję do pchania się w niebezpieczne sytuacje, co tłumaczą słowami: „To może okazać się interesujące”.

Zadaniem Mózgów jest zajmowanie się obrażeniami odniesionymi przez towarzyszy, dostarczanie swoim Alfom na bieżąco informacji naukowych i od czasu do czasu wymyślanie, jak wysadzić coś za pomocą wykałaczki i gumy do żucia.

Nie chcę posługiwać się stereotypami, ale ludzie, którzy mają tyle komórek mózgowych, bywają czasem trochę... dziwni.



- Drugi agent GAW też tak wyglądał? – pyta Tyler.

Kiwam głową. Przypominam sobie, jakie były w dotyku ich ciała, gdy z nimi walczyłem. Jakie odgłosy wydawali, upadając. Ciało pod pięściami było... nienaturalne. Włókniste. Wilgotne. Kości wyginały się jak młode drzewka, zamiast pękać jak suche drewno.

- Często walczyłem na pięści z wieloma Terranami w Akademii Aurora – mówię. – Ci agenci nie są ludźmi.

- Ale należą do GAW – sprzeciwia się Cat. – To najwyższej stojąca komórka oddziału wywiadowczego Terrańskich Sił Obronnych.

- W takim razie Terrańskie Siły Obronne mają poważny problem – odpowiadam.

Wyczuwam siedzącą w pobliżu Aurorę. Jej obecność jest jak światło słońca na skórze. Czuję, jak mnie opromienia, chociaż staram się to ignorować, skupić się na twarzy mojego Alfego i na naszym kłopotliwym położeniu. Jednak przyciąganie z jej strony jest jak grawitacja. Bezdenne sadzawka, w której zatonałbym z radością.

- W jaki sposób osadniczka z Octavii mająca dwieście sześćdziesiąt lat trafiła do GAW? – pyta Aurora.

Słyszę niepokój w jej głosie. Znała tę kobietę. Może nawet ją lubiła.

- Ehm, mam bardziej naglące pytanie – odzywa się Fin, kiwając głową w stronę Auri. – O ile mi wiadomo, nasza Pasażerka na Gapę to jedyna osoba, jaka przetrwała sen krio dłuższy niż kilka dziesięcioleci. Jakim cudem dwustusześćdziesięcioletnia kobieta w ogóle żyje?

- Wątpię, żeby żyła.

Odwracamy się do Zili, która patrzy na unikon.

- Nie miałam zbyt wiele czasu na przeprowadzenie badań, ale u obu agentów wykryłam oznaki rozkładu naskórka odpowiadające wczesnej martwicy – mówi.

- Chcesz powiedzieć, że byli martwi, zanim Kal ich dopadł? – pyta Tyler.

- Mówię tylko, że mieli takie objawy.

- A mimo to chodzili i mówili?

- Nie potrafię tego wyjaśnić. Może te narośle... – Zila wskazuje srebrzyste listki wyrastające z oka agentki – ...mają z tym coś wspólnego. Jak betraskańskie polipy saski albo terrańskie drucieńce.

Zila widzi wyraz niezrozumienia na twarzach zebranych osób.

- Drucieńce to pasożyty z Ziemi – wyjaśnia. – Dojrzewają w organizmie gospodarza, a potem w sposób chemiczny przejmują kontrolę nad jego mózgiem, skłaniają go do utopienia się w zbiorniku wodnym, w którym rozmnażają się inne drucieńce.

- I mimo to włożyliście te mundury? – dopytuje się osłupiała Cat.

- Najpierw dokładnie je napromieniowałam – wyjaśnia niewzruszona Zila.

- Ona naprawdę lubi ten dezelator – mruczy Finian.

- Szkoda, że nie mogliśmy zabrać jednego z ciał do dokładniejszego zbadania. – Zila wzdycha.

- Nie, dzięki – odpowiada Tyler, patrząc ze zgrozą na wyświetlane zdjęcie. – Im dalej od tego czegoś, tym lepiej. Może to jakiś wirus, który złapali na Statko-Świecie, albo coś takiego?

- Wątpię – odpowiada Zila.

- Nawet gdyby, to jakim cudem żyli tak długo, żeby się tym zarazić na stacji? – pyta Fin.

Aurora patrzy w dal. Może powraca wspomnieniami do tej kobiety, partnerki jej ojca, która teraz stała się jej wrogiem.

- Auri, rozpoznajesz tego mężczyznę? – Scar pokazuje zdjęcie drugiego agenta GAW. Wygląda tak jak pierwszy: te same dziwne liście wychylają mu się z oka, pęk barwnych kwiatów wyrasta z ucha i pomiędzy włosów, prawą stronę twarzy ma pokrytą mchem. Drobne żyłki malują się w liściach na jego policzkach. Są ciemne jak krew.

Aurora zagryza usta.

- Może? To mógł być inżynier.

- Kolejny kolonista z Octavii – mówię.

- Który powinien być umrzeć dwieście lat temu. – Scar kiwa głową.

- Dobrze wygląda jak na swój wiek – wtrąca Fin. – Zasadniczo.

Żart ginie w milczeniu, ale jakaś cząstka mnie podziwia to, że Finian przynajmniej próbuje poprawić atmosferę. Na mostku panuje cisza, jeśli pominąć szum silników i brzęk konsoli. Aurora patrzy na główny ekran, na pozbawioną życia skórę ludzi, których знаła, na narośle wyrastające z ich głów. Czuję drżenie jej ciała, strach w jej duszy. Chcę wyciągnąć do niej rękę, wziąć część tego ciężaru, ale przeciwstawiam się Przyciąganiu całą siłą woli i staram się nie ujawnić pożądania w głosie, gdy do niej mówię:

- Zapalnik. – Kiwam głową wskazując posążek w jej rękach. – Coś ci to mówi?

Ona tylko kręci głową.

- Wszyscy właśnie nadstawialiśmy sekcję ogonową dla tego małego ustrojstwa – warczy Cat. – A ty mi mówisz, że na darmo?

- Nie wiem. Gdy to trzymam... dobrze leży mi w rękę. To powinno do mnie trafić. Ale nie wiem, jak się tym posłużyć. – Aurora kręci głową i patrzy na Tylera. – Słuchaj, może polecimy na Octavię III i sprawdzimy planetę? Jeśli ci koloniści...

- Nie możemy – przerywa jej Cat. – Kwarantanna, zapomniałaś?

- SŁUSZNIEM – odzywa się elektroniczny głos z pasa Aurory. – Z ROZKAZU TERRAŃSKIEGO RZĄDU ZABRONIONO WSTĘPU NA PLANETĘ KILKASET LAT TEMU.

- A ktoś wie dlaczego? – dopytuje się Aurora.

Urządzenie pobrzękuje.

- WEDŁUG ARCHIWÓW SONDY BADAWCZE ODKRYŁY AGRESYWNY PATOGEN W ATMOSFERZE OCTAVII III. OGŁOSZONO GALAKTYCZNĄ KWARRANTANĘ, ŻEBY UNIEMOŻLIWIĆ WIRUSOWI WYDOSTANIE SIĘ POZA PLANETĘ.

- Ale wygląda na to, że już mu się to udało! - mówi Aurora, wskazując na ekran.

- Zdecydowanie powinniśmy zgłosić to władzom - oznajmia Scarlett.

Kiwam głową w stronę agentów GAW.

- Ci ludzie to przedstawiciele waszych władz.

- Cokolwiek zrobimy, nie możemy po prostu pognać na cholerną Octavię - wtrąca się Cat.

- Kary za naruszenie zasad kwarantanny są naprawdę potworne.

- ONA MA NA MYŚLI TO, ŻE ZOSTANIECIE ZABICI - wyjaśnia urządzenie. - I TO W NAPRAWDĘ BOLESNY SPOŚÓB.

- Tak, dzięki, Magellanie. - Aurora wzdycha.

- EJ, NIE MA SPRAWY - odpowiada Magellan. - WSPOMNIAŁEM O TYM TYLKO DLATEGO, ŻE CZASEM JESTEŚ ROZGARNIĘTA JAK KU...

- Tryb cichy - mówi Aurora.

Zwiesza głowę, wpatrując się w Zapalnik w ręce. Walczy ze sobą. Chce poznać prawdę na temat losu tych, których kochała. Kolonii, która rzekomo nigdy nie istniała. Jednocześnie wie, że drużyna już wiele dla niej ryzykowała. Wie, że ściągnęła na nas zagrożenie. Nie chce prosić, żebyśmy znowu narażali dla niej życie.

- Auri, pamiętasz walkę przed gabinetem Bianchiego? - pyta Tyler. - Co zrobiłaś z ultra-zaurem?

- Nie - odpowiada szeptem.

Czuje, jak narasta w niej strach. Nie chce oskarżyć jej o kłamstwo, ale podejrzewam, że nie mówi prawdy. Może część jej osoby pamięta. Po prostu reszta jej osoby wołałaby nie pamiętać.

- Może ta... moc, którą się posługujesz, ma coś wspólnego z Zapalnikiem? - sugeruje Tyler. - Możesz spróbować...

Cichy dźwięk alarmu rozlega się na mostku, seria ostrzegawczych świateł rozbłyskuje na ekranach. Cat odwraca się do sterów, Tyler wskazuje na swoje stanowisko, jego palce śmigają po konsoli.

- Coś właśnie wykryło nas swoim LiDAR-em - melduje Cat. - Mam odczyty... Jest za nami, kierunek siedemdziesiąt sześć A-12 gamma cztery.

- Na główny ekran - mówi Tyler.

Cat wypełnia rozkaz i widzimy statek, przed którego pojawieniem się ostrzegły nas alarmy. Nastroj pogarsza się na mostku, gdy na ekranie pojawia się obraz.

Żyję już wśród Terran od dwóch lat, ale nadal z trudem ogarniam to, jak bardzo brzydkie są ich statki. Syldrańskie okręty to chwile piękna zamrożone w tytanie i czasie. Są naszą pieśnią dla Pustki, przez którą żeglują, to wdzięczne wzory, delikatne łuki, migotliwa powłoka.

Niszczyciel, który nas ściga, jest prymitywny w porównaniu z nimi, ma płaski pysk i tępa elegancję rzeczy, którą stworzono tylko z myślą o jej funkcji. Na ciemnym kadłubie widnieje logo Terrańskich Sił Obronnych. Imię wymalowane białą farbą.

- *Bellerofont* – mówi Tyler.

- Wiedzieliśmy, że lecą na Statko-Świat. – Cat wzrusza ramionami. – Wygląda na to, że w końcu nas dogonili.

Mówi jak gdyby nigdy nic, nadal świetnie blefuje, ale wie to samo, co my. Na pokładzie niszczyciela przebywa princeps. Pierwszy pośród równych, który ściga Aurorę z niezachwianą determinacją.

- Ej, przynajmniej teraz możemy złożyć raport władzom – odzywa się Fin.

W głosie naszego Alfy pojawia się napięcie, gdy mówi:

- Cat, możemy im uciec?

Nasz As kręci głową.

- Po jakimś czasie nas dogonią. Łuk jest wolniejszy od niszczyciela, a oni mają też więcej paliwa. Poza tym nie chcę się powtarzać, ale nie obraliśmy nawet kursu. Na razie lecę przed siebie i staram się robić wrażenie, jakbym wiedziała, co robię.

Scarlett kiwa głową i zaplata ręce na piersi.

- A jeśli zostaniemy w Fałdzie zbyt długo bez krio, zacznie nam odbijać.

- Musimy obrać kurs – dodaje Cat.

Oczy wszystkich kierują się na Aurorę. Ona patrzy na Zapalnik, obraca go to w tę, to we w tę jak łamigłówkę.

- Ale... – Kręci głową. – Nie wiem...

Bach!

Rozbłysk z dezelatora sprawia, że na mostku robi się białło. Aurora leci do tyłu, Zapalnik wypada jej z rąk i turla się po pokładzie. W okamgnieniu podrywam się, opanowany przez nagłą, niewiarygodną furję. Zila stoi przed Aurorą z bronią w ręku i zerka na dziewczynę nieprzeniknionym wzrokiem.

- Aha, ona naprawdę lubi to ustrojstwo – mówi Fin.

- Zila, odbiło ci? – pyta Scarlett.

- Sprawdzam tylko...

Zila nie ma szansy skończyć. Wymierzam cios Aen w jej ramię, więc traci czucie w rękę i broń ze szczękiem upada na podłogę.

Przestań, mówię sobie.

Niestety Wewnętrzny Wróg wyrwał się już spod kontroli. Widok nieprzytomnej Aurory na podłodze w końcu uwalnia potwora z klatki, który teraz wyje z zachwyty. Pieśń mordu wypełnia mi żyły, kiedy sięgam po upuszczony pistolet. Mój puls wrzeszczy. Wzrok wyostrza mi się nienaturalnie. Zaciskam palce na spuście i celuję w głowę Zili.

Przestań!

Coś trafia mnie od tyłu i dezelator wypada mi z ręki. Koziołkuje, atakuję wroga i trafiam pięścią w kość. Słyszę wtedy w głowie głos ojca. Ponagla mnie, żebym działał. Czuję jego rękę na ramieniu, gdy kieruje mój cios w gardło Tylera. Słyszę jego śmiech, gdy Alfa jęczy, krew tryska i chłopak zatacza się do tyłu, nie mogąc złapać oddechu. Cat atakuje mnie z flanki, ale ja się obracam. Mam krew na kostkach dłoni, unoszę ręce, serce mi wali jak szalone.

Przestań.

Wróg to teraz wszystko, czym jestem. Przyciąganie go uwolniło. Nawet tu, w Fałdzie, widzę wszystko przez czerwoną mgiełkę. Nie potrafię myśleć o niczym poza tym, że Aurora została zraniona, że nie jest bezpieczna, a jest dla mnie wszystkim, jest dla mnie...

- KAL, PRZESTAŃ! - krzyczy Scarlett.

Przestań.

Zamykam oczy. Walczę całą siłą woli. Wróg jest bardzo silny. Przyciąganie jest przemożne. I bardzo głośne. Każdemu z osobna trudno byłoby się oprzeć, ale razem wzięte są silniejsze od sił, które tworzą klatkę we mnie, które wiążą we mnie wszechświat. Nigdy w życiu nie czułem czegoś podobnego. Nie potrafię tego wyjaśnić. Nie potrafię tego zracjonalizować.

Muszę jednak nad tym zapanować.

Nie ma miłości w przemocy.

Nie ma. Miłości. W przemocy.

Powoli otwieram oczy.

Na mostku panuje chaos. Tyler podnosi się, ma krew na podbródku. Cat leży na podłodze i obejmuje żebra. Zila przywarła plecami do ściany i wpatruje się w chaos szeroko otwartymi oczami i z czarnym puklem w ustach.

- Był nastawiony na ogłuszanie - szepcze.

- A już tak świetnie się dogadywaliśmy - rzuca kpiąco Fin.

Kłęczę obok Aurory. Wszystko, co próbowałem ukryć, wypływa teraz na powierzchnię. Ściany z lodu, które strzegły moich uczuć, zostały strzaskane. Serce tłucze mi się o żebra.

Została ogłuszona przez strzał Zili, głowa jej opada na oparcie kanapy przeciżeniowej, oczy ma zamknięte, jakby spała.

Dociera do mnie, że nic jej się nie stało.

Wszystko jest w porządku.

- Nikomu nic się nie stało? - pyta chrapliwym głosem Tyler.

Pozostali kiwają powoli głowami.

- Kal, powiedziałeś, że nad tym panujesz! - mówi, piorunując mnie wzrokiem.

- Przepraszam - odpowiadam. Jestem wstrząśnięty tym, co zrobiłem. Tak całkowicie się zatraciłem. - Nie... nie chciałem... Nie wiedziałem, że broń ustawiono tak, żeby tylko ją uśpić. A widząc, że Aurorze grozi niebezpieczeństwo...

Kręcę głową. Próbuję znaleźć słowa. Jak mam opisać, co to znaczy latać, tym, którzy nawet nie widzieli nieba?

- Przepraszam - powtarzam, patrząc na Zilę. - De'sai. Wstyd mi.

- Legionistko Madran, wytłumacz się - żąda Tyler, odwracając się do niej.

Zila mruga, potrzebuje chwili, żeby się skupić.

- Dotarło do mnie, że Aurora najczęściej manifestuje swoje ukryte talenty, kiedy śpi albo jest nieprzytomna. Pomyślałam...

- Pomyślałaś, że strzelenie do niej bez ostrzeżenia to dobry pomysł?

- To było wkalkulowane ryzyko, dowódco - odpowiada Zila. - Gdybym ją ostrzegła, prawdopodobieństwo katastrofalnej reakcji obronnej wzrosłoby dramatycznie.

Moi towarzysze patrzą po sobie, nie bardzo wiedząc, które z nas stanowi dla nich większe niebezpieczeństwo: Zila czy ja. Może to było niewybaczalne, ale ja miałem przynajmniej powód, żeby zareagować przemocą, a Zila... zachowała się, jakby była z innej planety. Jakby na jakimś fundamentalnym poziomie była niezdolna do zrozumienia, jak można postępować, a jak nie należy.

Tyler zamyka oczy i masuje skronie.

- Zila, jesteś najbystrzejszą osobą na statku - mówi. - Możliwe, że najbystrzejszą osobą w całym Legionie. Wiesz, na czym polega twój problem?

- Ehm... chętnie poznam pańską opinię, dowódco - odpowiada.

- Kłopot w tym, że wiesz, jak działa wszystko poza ludźmi.

Zila tylko mruga.

Myślę, że widzę łzy błyszczące w jej oczach.

- Ja...

Cat przeklina i cofa się, gdy Aurora nagle wstaje. Napina mięśnie, całe ciało ma sztywne, jakby było zrobione ze stali. Oczy ma otwarte, prawie płonie bielą. Jej włosy unoszą się jak na wietrze, słaba poświata ultrafioletowego światła otacza jej ciało. Będąc tak blisko niej, wyczuwam prąd skrzący się na skórze Aurory. Czuję sól na języku. Czuję siłę wibrującą w powietrzu i w mojej piersi.

- No proszę, proszę. - Finian unosi brew, patrząc na Zilę. - Miałaś rację.

- Aurora? - mówię.

Powoli odrywa ręce od podłogi i wyciąga je przed sobą.

- Nnnnu-u-uuh - duka.

- Auri, słyszysz mnie? - pyta Tyler, robiąc krok naprzód.

Wyładowania elektrostatyczne. Włosy stają mi na głowie. Łuk dygoce, konsole migoczą, słaby krzyk narasta w powietrzu. Aurora kieruje spojrzenie płonących oczu na Tylera, światło wokół niej czernieje.

Scarlett podchodzi powoli, nie okazuje lęku, trzyma przed sobą uniesione ręce.

- Kim jesteś?

Statek dygoce wokół nas, krzyk narasta, światło staje się coraz ciemniejsze, gdy Aurora próbuje coś powiedzieć.

- N-nniekto - odpowiada. - Ccco-nnniektoniek-k-ko-CO.

- W porządku. To czym jesteś? - pyta Scarlett.

- Eshvarennnnnnnnn-n-nn.

Serce bije mi szybciej na dźwięk tego słowa. Imię Pradawnych, którzy wymarli tysiące lat temu. Pierwsi spośród nas, którzy odkryli Fałdę. Pierwsi spośród nas, którzy kroczyli wśród gwiazd. Patrzę triumfalnie na Finiana, sceptycyzm topnieje w jego czarnych oczach. Aurora przechyla głowę, serce mi się zaciska, gdy krew zaczyna płynąć z jej nosa i kapie na podbródek.

- Czego chcesz? - pyta Tyler, podpierając się, gdy statek dygoce.

Aurora nie odpowiada. Obraca się, widzi Zapalnik, który wturlał się pod główną konsolę. Sięga po niego i statuetka dygoce w odpowiedzi, unosi się z podłogi. Aurora mruży oczy i zaci-

ska palce w pięść. Na powierzchni Zapalnika pojawiają się szczeliny, powietrze wypełnia dźwięk pękającego metalu.

Robię krok naprzód, wyciągając rękę. Narażaliśmy życie, żeby zdobyć tę rzeźbę, wszyscy...
– Nie!

Zapalnik pęka, odłamki metalu rozlatują się po mostku. Jeden rozcina mi policzek. Drugi przelatuje koło mojego gardła, krzyk narasta w moich uszach. Przed Aurorą unosi się w powietrzu diament, który znajdował się wcześniej w piersi posążka. Jest większy, niż początkowo myślałem. Większość była ukryta w metalu, jak góra lodowa pod powierzchnią morza. Teraz jarzy się, jego powierzchnia jest pokryta skomplikowanym spiralnym wzorem.

Aurora macha ręką i klejnot leci do niej, wpada do dłoni dziewczyny. Gdy dotyka jej skóry, obraz z czystego światła wypełnia cały mostek. Kalejdoskop małych punkcików, miliardów punkcików, zawijasów i spiral, wzorów, które rozpoznałby każdy kadet Akademii Aurora.

– To Droga Mleczna! – woła Cat, przekrzykując narastający wrzask.

Cała nasza galaktyka.

Klejnot lśni, pulsuje. Pośród rozległej kolekcji jarzących się układów planetarnych, mimo monochromatyczności Fałdy, dziesiątki słońc zabarwiają się na czerwono. Jedyne kolory w czerni i bieli, szkarłatny jak ludzka krew. Krzyk w powietrzu staje się wręcz ogłuszający. Czuję zimną panikę w brzuchu, chociaż nie znam jej przyczyn. Narasta też w moich towarzyszach, delikatna siateczka ich umysłów pęka pod wpływem instynktownego strachu. To prymitywne uczucie. Strach talaeni, gdy pada na niego cień skrzydeł drakkana.

Strach zwierzyny.

Patrzę na projekcję, walcząc ze zgrozą w piersi. Widzę naszą galaktykę przed nami i wokół nas, wiruje wokół ogromnej czarnej dziury, która leży w jej targanym wichrami sercu.

Niewiarygodne niebo jarzące się i pulsujące małymi czerwonymi kropkami.

I dociera do mnie, na co patrzymy.

– To mapa gwiazd! – przekrzykuje wrzask.

Galaktyka zaczyna się ruszać. Jakby czas płynął do przodu. Droga Mleczna wiruje wokół błyszczącego czarnego serca coraz szybciej i szybciej. Niekończąca się spirala, miliardy gwiazd wchodzące w interakcje, zlewające się razem, rozbłyskujące i umierające.

Układy znajdujące się bliżej serca obracają się szybciej, wyprzedzając gwiazdy na obrzeżach, przelatując przez nie i nad nimi, a siła ich ruchu sprawia, że światło słoneczne faluje. Kosmiczny balet. Setki tysięcy lat mijają w okamgnieniu. Czerwień zaczyna sączyć się z kilku podświetlonych gwiazd, plama rozlewa się jak krew, aż cała Galaktyka zostaje zalana szkarłatem.

Aurora patrzy na mnie. Jej białe oko migocze wewnętrznym światłem, krew leje się jej na podbródek i rozbryzguje na pokładzie. Przyciąganie ryczy mi w żyłach na widok jej krwi. Pragnienie chronienia jej przezycięża wszelką myśl i rozsądek. Aurora wskazuje obrazy na głównym ekranie. Pokazuje agentów GAW z martwymi twarzami i naroślami.

– Ra’haam – mówi.

– Ranisz ją! – protestuję, robiąc krok naprzód.

- Jednia - powtarza coś, co opętało Aurorę, wskazując na szkarłatną plamę. - Strzeżcie się. Ra'haaaaaa-a-ammm.

- Wypuść ją!

Łapię ją za rękę. Jest tak potwornie zimna, że aż parzy. Pokład ucieka mi spod stóp. Wyczuwam ogrom wokół siebie, własną małość - jedna małeńka drobina ożywionego węgla i wody w oceanie nieskończoności.

Wszystko, co przeżyłem. Wszystko, co wycierpiałem. Zniszczenie mojego ojczystego świata. Upadek mojej kultury. Masowy mord na moim ludzcie. Utrata mojej matki. Siostry. Ojca. Wojna na zewnątrz i Wróg Wewnątrz.

To wszystko wydaje się pozbawione znaczenia.

- Wsssszzzzystko - mówi Aurora. - Spłooooonie.

A potem zamyka oczy i pada w moje ramiona.

- Niech to jasny szlag! Nic jej nie jest? - pyta Cat.

Zila podbiega do Aurory, sprawdza jej funkcje życiowe unikronem. Łuk przestaje się trząść, nabrzmiewający okropny wrzask urywa się gwałtownie, jakby ktoś zgasił lampę. Tyler i pozostali patrzą na resztki gwiazdnej mapy, która powoli blaknie jak powidok pod powiekami.

- Tętno normalne - melduje Zila i wzdycha z ulgą. - Rytm oddychania normalny. Wszystko wygląda normalnie.

- Ehm. - Scarlett unosi powoli rękę. - Mam odmienne zdanie.

- Popieram - mówi Fin, wytrzeszczając oczy.

Tyler nadal wpatruje się w gasnącą gwiazdną mapę. Rozlewająca się plama znowu cofa się do początkowych układów planetarnych, które wciąż płoną czerwienią na czarnym i białym tle wokół nas.

Kręci głową, zerka na mnie, a potem na dziewczynę w moich ramionach.

- Zabierz ją do izby chorych. Zila, idź z nim. Upewnij się, że Auri nic się nie stało.

Zerkam na Zilę, ale ona odzyskała już panowanie nad sobą po naszej konfrontacji. Kiwam więc głową i unoszę Aurorę delikatnie jak śpiące dziecko. Kiedy schodzimy z mostka i idziemy korytarzem, słyszę za sobą cichy głos Scarlett.

- Do diabła, co to wszystko znaczy, Ty?

Drzwi jednak zamykają się, zanim nasz Alfa zdążył odpowiedzieć.

A ja pozostaję zamknięty w ciszy.

Stoję nad nieprzytomną Aurorą z medycznym skanerem w rękę. Leży na biokoi w izbie chorych, a ja sprawdzam jej funkcje życiowe. Minęło już prawie pięć minut, odkąd ją ogłuszyłam. Powinna lada chwila odzyskać przytomność.

- Wszystko w porządku? - pyta cicho stojący obok mnie Kal.
- W odczytach nie ma nic, co powinno cię niepokoić.
- Pytam o ciebie.

Rękę nadal mam lekko odrętwiałą po ciosie w nerw, ale nie czuję bólu. Zerkam na Kala i widzę troskę w jego oczach. Jednakże ta troska topi się i zamienia w ulgę, gdy Aurora powoli porusza się, unosi rękę do czoła i jęczy. Kal robi krok naprzód, zapominając o mnie. Usta ma lekko rozchylone, patrzy tylko na nią.

- C-co się stało? - szepcze Aurora.
- Zostawię was samych - mówię.
- Zila... - zaczyna Kal, gdy odwracam się do drzwi. - Naprawdę mi przykro. Chciałem tylko odebrać ci broń.
- Rozumiem - kłamię.

Słowa mojego Alfego nadal dzwonią mi w uszach, gdy drzwi zasuwiają się za mną.
„Kłopot w tym, że wiesz, jak działa wszystko poza ludźmi”.

To prawda, ale i nieprawda. Aż za dobrze dowiedziałam się, jak działają ludzie, gdy miałam sześć lat. Wiem wszystko, co potrzebuję wiedzieć. Nadal jednak nie uważam, że ich rozumiem.

Powinienem być się tego spodziewać.

Aurora otwiera oczy, światło odbija się w jej tęczę i zamienia ją w błyszczącą perłę, a zalew ulgi w mojej piersi wymyka mi się z ust cichym westchnieniem.

- Be'shmai...

Pomagam jej usiąść na biokoi, patrzę, jak mruga, próbując otrząsnąć się z senności po strzale Zili. Myśl, że Aurora jest bezpieczna, gasi ogień, który pożerał mnie na mostku. Już sam jej widok jest jak woda na pustyni, jeśli mam powiedzieć prawdę. Jednak jeszcze nigdy w życiu nie czułem się równie rozdarty. Ponieważ to nie może dłużej trwać.

- Co pamiętasz? - pytam.

Patrzę jak zahipnotyzowany na małą zmarszczkę, która pojawia się na jej czole.

- Zila... strzeliła do mnie.

- Nie chciała cię skrzywdzić - tłumaczę. - Chciała tylko obudzić to, co jest w tobie.

Aurora patrzy mi w oczy i serce bije mi wtedy trochę szybciej.

- Eshvaren - szepcze.

- Pradawni. - Kiwam głową. - W jakiś sposób są w to wszystko zamieszani. A ty stanowisz tego część.

- To szaleństwo. - Zamyka oczy, masuje skronie, jakby bolała ją głowa. - Widziałam to wszystko, chociaż byłam nieprzytomna. Jakbym... znalazła się poza swoim ciałem. Jakbym oglądała to na ekranie. Zila strzela do mnie, a ty...

Znowu patrzymy sobie w oczy i serce mi się zaciska. Spodziewam się nagany. Słusznego napomnienia za przemoc, której się dopuściłem na mostku. Wyczuwam Wewnętrznego Wroga zwinętego w mojej piersi. Cień ojca za plecami.

- A ty mnie broniłeś.

Patrzę zaskoczony. Kręcę głową.

- Nie. Narobiłem sobie wstydu.

Patrzy wtedy na mnie. Obrzuca mnie spojrzeniem od stóp do głów.

- Nie rozumiem cię, Legolasie. - Wzdycha. - W ogóle cię nie rozumiem. W jednej chwili stwierdzasz, że tylko zawadzam, albo mnie ignorujesz, a w drugiej pędzisz przez niszczyciel TSO, żeby wyrwać mnie z więzienia, albo bijesz się z członkami własnej drużyny w mojej obronie.

Ponownie wzdycha i kręci głową.

- O co tu chodzi?

Biorę głęboki wdech, waham się i w końcu się poddaję. Wiem, że kiedy raz wypowiem te słowa, nie będę mógł ich cofnąć. Nigdy jednak nie powinienem był pozwolić, żeby to szasło tak daleko. Nie mogę na to dłużej pozwalać.

- Najwyższy czas, żebym o tym z tobą porozmawiał. Dlaczego tak się zachowuję wobec ciebie.

- To znaczy, dlaczego zachowujesz się wobec mnie jak skończony dupek?

Mimo bólu w piersi uśmiecham się. Szukam właściwych słów. Sposobu, żeby coś z tego, co powiem, miało dla niej jakiś sens.

- Grawitacja dotyczy wszystkiego - mówię w końcu. - Nie tylko planet. Nie tylko gwiazd. Każda komórka naszych ciał, każda komórka we wszechświecie przyciąga grawitacyjnie otaczające ją objekty i ludzi. I to właśnie czuję. Do ciebie.

Aurora marszczy lekko brwi, jej oczy błyszczą w ciepłym świetle. Przez sekundę wygląda tak pięknie, że aż mi zapiera dech w piersi. Mimo to walczę o kolejny oddech, bo jeśli nie powiem tego teraz, obawiam się, że nigdy nie zdołam.

- Syldranie nazywają to Przyciąganiem. To instynktowny... pociąg, jaki odczuwamy. Podstawowa więź. Pierwotna. Tak jak grawitacja. Nigdy dotąd nie słyszałem, żeby ktokolwiek z moich ludzi poczuł przyciąganie do istoty ludzkiej, ale... czuję to do ciebie, Auroro.

Otwiera usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale słowa płyną teraz ze mnie potokiem.

- Nie chciałem, żeby inni się dowiedzieli. A ty miałaś dość kłopotów i bez mojego wkładu. Pomyślałem, że ponieważ widziałas mnie, zanim się spotkaliśmy... może... jesteśmy sobie przeznaczeni, czy coś takiego. - Kręcę głową, czując się jak skończony głupiec. - Próbowałem więc zadbać o twoje bezpieczeństwo, nie zdradzając ci, co się dzieje. Nie chciałem, żebyś poczuła się do czegokolwiek zobligowana.

- A...do czego mogłabym się czuć zobligowana? Gdybym była Syldranką?

Zapada długie milczenie.

- Przyciąganie to więź między kochankami - odpowiadam w końcu. - Partnerami na całe życie.

Aurora przełyka ślinę. Ewidentnie nie wie, co powiedzieć.

- Nie powinienem był na to pozwolić. - Wzdycham. - Nigdy nie powinienem był postawić istoty ludzkiej w takim położeniu. To nie w porządku wobec ciebie i innych. Nie powinnaś być zmuszona do podejmowania tego wyboru.

Znowu biorę głęboki wdech i kiwam głową. Odpędzam ból. Pęknięcie rozszerza się w moje piersi, aż staje się tak ciemne i głębokie, że wiem, że być może już nigdy z tej otchłani nie wyjdę.

A jednak tak jest lepiej.

- Nie mogę nic poradzić na to, co do ciebie czuję, ale mogę panować nad tym, co w związku z tym robię - mówię. - Kiedy więc odkryjemy prawdę kryjącą się za Zapalnikiem i gwiezdą mapą, zrezygnuję z pozycji w drużynie. Zbyt długo ignorowałem wojnę między moimi ludźmi. Nie mogę dłużej stać z boku. Kiedy dotrzemy do końca tej drogi, nie będziesz musiała więcej mnie oglądać.

Cisza między nami jest rozległa i zimna jak Pustka. Przez chwilę nie potrafię wyobrazić sobie jej końca. Wtedy brzęczy mój unikron, wypełniając nieskończoną czelusć i przerywając czar, jaki na nas spadł.

- Kal? - rozlega się głos Tylera. - Jak mnie słyszysz?

Dotykam urządzenia przy pasie.

- Doskonale.

- Zila mówi, że Auri jest już przytomna.

Patrzę w jej różnobarwne oczy i ból przeszywa moje serce jak ostrze.

- Tak, jest przytomna.

- Myślę, że powinniście tu przyjść i zobaczyć to na własne oczy.

- Już idziemy.

Dotykam znowu unikronu, kończąc transmisję. Patrzę na dziewczynę naprzeciwko mnie, oddzieloną o stulecia i lata światła od miejsca, w którym spodziewała się znaleźć. Czuję krew i popiół w ustach.

Co masz powiedzieć, kiedy nie ma słów, żeby nazwać uczucia?

Co robisz, kiedy już nic więcej nie da się zrobić?

- Powinniśmy iść - mówię.

Bez słowa Aurora zsuwa się z biokoi i maszeruje do drzwi.

Pracuję przy nawigacji, kiedy O'Malley i Elfik wchodzą na mostek. Ona wygląda, jakby miała za sobą dziesięć kilometrów ciężkiej jazdy, a on, jakby ktoś zamordował mu szczeniaka i podrzucił mu jego głowę do łóżka. Ale prawdę mówiąc mamy teraz większe problemy niż kłopoty sercowe. *Bellerofont* zbliża się do nas, a po tym, co właśnie odkryliśmy...

- Auri, wszystko w porządku? - pyta Scarlett, bo kłopoty sercowe mają dla niej większe znaczenie niż dla mnie. Cała Scarlett.

O'Malley zerka na Elfika i widzę kłamstwo w jej oczach, zanim je wypowie:

- Pewnie.

- Cat, pokaż im - mówi Ty.

- Tak jest.

Ruszam nadgarstkiem i rzucam dane wizualne z komputera nawigacyjnego na główny ekran holograficzny. O'Malley gapi się na obracającą się spiralę z gwiazd.

- Na co patrzeć? - pyta.

- Na mapie z twojego Zapalnika podświetlono w sumie dwadzieścia dwie gwiazdy - mówię.
- Naniosiłam te układy na znane sektory Galaktyki.

- Chwilę to jej zajęło - wtrąca się Finian. - Nie wystarczył jej jeden rzut oka.

- Droga Mleczna zawiera dwieście miliardów gwiazd, Chudzielcu. Nie znam wszystkich na pamięć.

Finian pociąga nosem.

- A myślałem, że podobno jesteś niezła w te klocki.

- Stul dziób, Finian. - Moje palce śmigają nad układem sterowania i dwadzieścia dwa punkty płoną czerwienią pośród tych miliardów gwiazd. - Większość układów podświetlonych na mapie pozostała niezbadana. A wiele z nich znajduje się kawał drogi stąd, nawet przez Fałdę. Okazuje się jednak, że każdy lokuje się w znanym nam słabym punkcie Fałdy.

- Czyli wszędzie tam znajdują się naturalne bramy? - pyta Elfik.

- Na to wygląda. - Wpisuję serię poleceń. - I nigdy nie zgadniecie, który system znajduje się najbliżej naszych obecnych współrzędnych.

Kal unosi pytająco brew, a ja rzucam odpowiedź na główny ekran, gdzie wcześniej znajdowały się piekielnie upiorne fotki ludzi z porostami. Holograficzny obraz gwiazdy unosi się nad naszymi konsolami i płonie jasno. Wokół niego krąży siedem planet, trzy znajdują się

wewnątrz strefy sprzyjającej rozwojowi życia. Nazwa systemu widnieje pod spodem wypisana jarzącymi się literami.

- Octavia – szepcze Aurora.

Zerkam na Ty'a, a potem na Scarlett. Na wszystkich członków tej gównianej drużyny na gównianej misji, na którą pracowaliśmy pięć lat w akademii. Wszyscy wiemy, że to nie może być przypadek. Oficjalne zapiski kierują nas na Lei Gong, ale tamci agenci GAW ze stylowymi porostami na twarzach to byli koloniści z Octavii III, według O'Malley. Powiedziała, że jej statek, *Hadfield*, leciał na Octavię III, kiedy przepadł dwieście lat temu. A teraz ta mapa, która może mieć z milion lat, prowadzi nas prosto na tę samą cholerną planetę.

- No dobrze, legionieści, powiedzcie mi coś – odzywa się Tyler. – Założmy, że jesteście agentami GAW i istnieje układ planetarny, w którym nie życzyście sobie żadnych gości. Powiedzmy, że nie możecie zamknąć bramy, bo to naturalny słaby punkt Fałdy. To jak dopilnujecie, żeby ludzie nie wtykali swoich nosów, gdzie nie trzeba?

- Wymyślamy na przykład historyjkę o zabójczym wirusie w atmosferze – mruczy Scarlett.

- Może to nie jest wymysł – przypominam im. – Zila powiedziała, że ci koloniści w strojach GAW byli martwi, zanim Kal ich załatwił. Może zainfekowali się wirusem, przed którym ostrzega nas kwarantanna.

- To po co zmieniono zapiski w archiwach i skierowano uwagę na Lei Gong? – pyta O'Malley. – Dlaczego usunięto wszelkie zapiski na temat kolonii na Octavii? Czemu ścigają ostatnią osobę, która jest w jakiś sposób związana z tym miejscem?

Tyler krzyżuje ręce na szerokiej piersi.

- Nie wiem jak inni, ale ja zaczynam mieć przeczucie, że na Octavii jest coś, czego GAW nie chce nam pokazać. A co ważniejsze, czego nie chce pokazać Auri.

- Ra'haam – mruczy Zila.

Kal kiwa głową.

- Strzeżcie się.

Nie podoba mi się, dokąd to zmierza. Spiski rządowe, przykrywki i Stwórca jeden wie, co jeszcze. Mamy jednak poważniejsze problemy.

- *Bellerofont* znajduje się w zasięgu łączności – melduje Scar. – Wywołują nas.

- Na główny ekran – rozkazuje Tyler.

Obraz układu Octavii znika zastąpiony przez postać w białym mundurze, w białej koszuli i w białych rękawiczkach. Skrzydlaty herb Terrańskich Sił Obronnych zdobi ścianę w tle. Biała, lustrzana maska przesłania twarz postaci.

- Dzień dobry, princepsie – mówi Tyler.

- LEGIONISTO JONES, PONOSISZ ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA ŚMIERĆ PERSONELU GLOBALNEJ AGENCJI WYWIADOWCZEJ – odpowiada postać. – UDZIELIŁEŚ POMOCY W POPEŁNIENIU PRZESTĘPSTWA POSZUKIWANEMU ZBIEGOWI, POGWAŁCIŁEŚ ROZLICZNE PRZEPISY LEGIONU AURORY.

- To było kilka zabawnych dni – zgadza się Tyler.

- PRZEKONAMY SIĘ, CZY BĘDZIESZ RÓWNIE WYGADANY, KIEDY JUŻ TRAFISZ DO KSIĘŻYCOWEJ KOLONII KARNEJ – odpowiada agent GAW. – MASZ ROZKAZ WYŁĄCZYĆ SILNIKI I UTRZY-

MAĆ OBECNĄ POZYCJĘ W OCZEKIWANIU NA ODDZIAŁ ABORDAŻOWY.

- A jeśli odmówię?

- WTEDY ZNISZCZYMY WASZ STATEK – odpowiada princeps.

- Bez urazy, ale nie wierzę panu – odpowiada Tyler, kręcąc głową. – Obawiam się, że będzie musiał pan po prostu polecieć za nami do układu Octavii.

Princeps po raz pierwszy, odkąd się spotkaliśmy, podnosi głos:

- TEN SYSTEM ZOSTAŁ OBJĘTY GALAKTYCZNĄ KWARANTANNĄ Z ROZKAZU TERRAŃSKIEGO RZĄDU!

- Ekscytujące, prawda?

- NATYCHMIAST...

Tyler przesuwa dłońią na wysokości gardła, więc wyłączam sygnał i powraca obraz układu Octavii. Na całym mostku panuje cisza, słychać tylko szum silników. Scarlett unosi brwi, patrząc na młodszego brata, a ja wbrew sobie też się na niego gapię. Znam go tyle lat i jeszcze nigdy nie widziałam, żeby postawił się władzom. Ani razu. Jednak w ciągu ostatnich paru dni z najlepszego ucznia akademii zamienił się w poszukiwanego międzygwiazdowego zbiega.

I niech Stwórca nam dopomoże, bo mam wrażenie, że to mu się spodobało.

- Śmiała zagrywka, Szczawiku – mówi Scar.

- Nie całkiem – odpowiada Ty. – Od początku GAW chciała przechwycić Auri. Była gotowa zabić wszystkich, którzy wiedzieli, że Aurora trafiła w ręce agencji. Wszystko kręci się wokół tego. – Macha ręką w stronę ekranu. – Ewidentnie na Octavii jest coś, czego nie powinniśmy zobaczyć. Cokolwiek to jest, łączy się z nowymi zdolnościami Auri. Jej transy doprowadziły nas do Zapalnika, a Zapalnik prowadzi nas na Octavię. Nie wiem, czy nadkomendantka de Stoy i admirał Adams wiedzieli, że dojdzie do tego, ale wierzę, że mieliśmy się tu znaleźć. Wierzę, że dzieje się tu coś znacznie większego, niż zdajemy sobie sprawę.

Rozgląda się po zgromadzonych na mostku.

- Jednak tym razem przekraczamy granicę. Nie będę miał pretensji, jeśli ktoś z was postanowi się wycofać. W tej chwili ściga nas terrański rząd. Jeśli jednak przekroczymy granicę galaktycznej kwarantanny, narazimy się wszystkim rządóm.

Tyler ma rację i wszyscy o tym wiedzą. Galaktyczna kwarantanna to najtwardsze ze wszystkich twardych praw. Stosuje się je tylko w przypadku najbardziej niebezpiecznych sektorów Galaktyki – układów, w których szaleją plagi, stanowiące bezpośrednie zagrożenie dla galaktycznych cywilizacji. Zaraza lysergijska. Selmiska ospa. Burze temporalne. Nie tyka się systemów objętych GK. Jeśli złamiesz zakaz, nie wysyłają cię pod sąd wojenny. Sprzątają cię na miejscu i tylko pilnują, żeby żadne resztki nie obryzgały im butów.

Tyler patrzy nam w oczy.

- Jeśli ktoś chce odejść, to niech zejdzie na poziom trzeci, wskoczy do kapsuły ratunkowej i opuści statek. Nie będę miał żalu.

Scarlett kładzie ręce na biodrach.

- Żartujesz sobie, co?

- Mówię serio. Nie wiemy, co znajdziemy na Octavii. Żadne z nas nie pisało się na coś takiego.

Scar idzie przez pokład i kładzie obie ręce na ramionach brata, obraca go na fotelu tak, żeby patrzył na nią. Kiedy znajdują się tak blisko, to, chociaż nie są identyczni, zauważam, jacy są do siebie podobni. Widzę niewzruszoną więź między nimi. Mocniejszą niż więzi krwi.

Scarlett pochyla się i całuje brata w policzek.

- Ja pisałam się na ciebie, matkołku.

- As zawsze wspiera swojego Alfę - mówię.

Patrzą Tylerowi w oczy, a on patrzy na mnie.

- Zawsze - powtarza.

Uśmiecham się w odpowiedzi.

- Zawsze.

- Nie jestem normalna - odzywa się w ciszy, jaka wtedy zapada, Zila.

Patrzymy na nią. Spuściła wzrok, bawi się jednym ze złotych kółek w uchu. Dociera do mnie, że ma na nich wisioriki w kształcie małych kawałków pizzy. Loki tworzą ciemną kurtynę wokół jej twarzy, głos ledwie się niesie.

- Zila? - pyta Scar.

- Jedyne miejsca, do jakich pasuję, to miejsca w mojej głowie - mówi Zila. - Jak sam powiedziałeś, dowódcu, nie rozumiem ludzi. - Rozgląda się po mostku. - Ale wierzę, że we wszystkich miejscach, do których nie pasuję, tu pasuję najbardziej.

Scar się uśmiecha.

- Kto chce być normalny, kiedy może być interesujący?

Zila patrzy na nią i kiwa głową.

- Zostanę.

Kal odzywa się ze swojego miejsca przy pulpicie sterowniczym uzbrojenia. Kostki rąk ma pobijane, oczy mu płoną, gdy patrzy na O'Malley.

- Zostanę do końca tej drogi.

- No to życzę powodzenia - odzywa się Finian. - Ale osobiście uważam, że naruszenie galaktycznej kwarantanny to granica, której ten konkretny Betraskanin nie zamierza przekraczać. Nie chcę mieć wrogów we wszystkich rządach w Galaktyce z powodu dwustuletniego ziemniaka z telekinezą, który rzuca nami jak kebarowymi piłkami za każdym razem, gdy ktoś przyłoży jej w makówkę. Dobrej zabawy podczas misji samobójczej, dzieciaki!

Myślę, że wszystkich trochę zatkało. Cała drużyna patrzy, jak Finian obraca się raz na fotelu, wstaje i zaczyna powoli kuśtykać w stronę drzwi przy akompaniamencie pojękiwania egzoszkieletu. Tak naprawdę to nie mam do niego pretensji. W końcu jest Betraskaninem, a kłopoty, w jakie się na razie wpakowaliśmy, sięgają tylko Terry. Jeśli postawi na pewniaka i odetnie się od nas teraz, to może nawet uda mu się...

Finian odwraca się do nas i wytyka mnie palcem.

- Nabrałem cię, co?

- Co?!

Uśmiecha się od ucha do ucha.

- Przyszynaj. Wszyscy przyszynajcie. Myśleliście, że rzeczywiście się ewakuuję, co?

Łapię się na tym, że też się uśmiecham. Biorę Koniczynkę i ciskam nim przez mostek. Fin nawet nie próbuje go złapać, więc zabawka odbija się od jego piersi i uderza o pokład.

– Świński ryj jesteś, Finian. – Scarlett wzdycha.

– Fakt. Ale ten świński ryj należy do ciebie.

Krzywi się.

– Czekaj, źle to wyszło. Wybacz. Terrański to mój drugi język i wiesz...

Tyler uśmiecha się szeroko, patrząc na drużynę 312. Większość z nas zna się raptem od paru dni. Razem przeszliśmy już niemało. Możliwe, że teraz przejdziemy piekło. Jednak prawda jest taka, że wbrew wszystkiemu nie ma nikogo innego w całej Drodze Mlecznej, za kim chciałabym pójść.

– Kurs na układ Octavii, Zero.

Salutuję Tylerowi, a potem się uśmiecham.

– Tak jest, dowódco.

* * *

Jesteśmy prawie przy Bramie Fałdy na Octavię, kiedy *Bellerofont* zaczyna do nas strzelać.

Princeps próbował skontaktować się z nami przez ostatnią godzinę, ale Ty rozkazał Scarlett ignorować jego nawoływania. Jest tu dostatecznie głośno i bez pogroźek ze strony GAW. Nasze systemy wyją od dwudziestu minut, lokalna boja sygnalizacyjna ostrzega nas, że zbliżamy się do układu objętego galaktyczną kwarantanną, informuje, że wkroczenie do układu Octavii jest „nadzwyczaj niebezpieczne” i może mieć „katastrofalne skutki” oraz oznacza „pogwałcenie zapisów galaktycznego traktatu z Verduum IV i ratyfikowanego przez bla, bla, bla, bla”.

Zaczynam nienawidzić życia.

A kiedy w naszą stronę lecą pociski, przypominam sobie, dlaczego je tak lubię.

Wszyscy przebrali się z powrotem w mundury, więc przynajmniej mamy odpowiednie stroje. Rozlokowuję pozorne cele i ostrzegam wszystkich, żeby się trzymali, kiedy dodaję gazu i ostro skręcam, wykonując manewr wymijający. Nasze ekrany płoną, gdy pocisk eksploduje za nami, rozświetlając Fałdę czystą oślepiającą bielą.

– To był pocisk jądrowy? – pyta Scarlett, wytrzeszczając oczy.

– Na pewno nie bukciek fiołków – odpowiadam.

– Ta rymowanka dotyczy dżumy – odzywa się Zila. – Fiołki w kieszonce miały chronić przed...

– Tak, dziękujemy, legionistko Optymistko – przerywa jej Finian. – Pomijając odwołanie do makabrycznej terrańskiej poezji, myślę, że wasi rodacy rzeczywiście próbują nas zabić, a wydawało mi się, że nasz nieulekły przywódca powiedział, że wcale tego nie chcą!

Tyler patrzy z niedowierzaniem na swoje odczyty.

– Tak myślałem.

– Myślałeś? Podobno miałeś być taktycznym geniuszem!

Ty unosi poblżnioną brew.

- Finian, nie chcę zniszczyć opinii, jaką masz na mój temat, ale to chyba najlepszy moment, żeby ci wyznać...

- Trzymajcie się! - ryczę.

Kolejne trzy pociski pędzą w naszą stronę w podmuchu ognia z baterii dział elektromagnetycznych *Bellerofonta*. Napieram mocno na stery, wyrzucam kolejną porcję celów pozornych. Kluczę pośród ognia, czuję, jak silnik mruczy pode mną, moje palce śmigają po przyciskach układu sterowania szybko jak myśl. Kule podmuchu po wybuchach mają promienie długości tysięcy kilometrów, wypalają Fałdę rozprzestrzeniającą się falą żaru. Nasz Łuk jest jednak szybszy, wiruje i obraca się wśród gradu ostrzału, pociski suną bezgłośnie, omijając jego skórę, i wylatujemy z chmury bez ani jednego zadrapania.

- Te mendy nie żartują - warczę.

- Kiedy dotrzemy do Bramy Fałdy? - dopytuje się Tyler.

- Wejście za cztery minuty trzydzieści jeden sekund.

- Poradzisz sobie z nimi przez ten czas?

Podnoszę wzrok i mrugam do niego porozumiewawczo.

- Nie nazwano mnie Zerem bez powodu.

Widzimy ją już przed nami. Zamiast sześciokątnej tytanowej bramy, jakie budują Terranie, albo kryształowego przejścia w kształcie łyż, jakie stawiają Syldranie, ta jest zupełnie naturalna. Wygląda jak lśniące rozdarcie w materii Fałdy - jakby rozcięty ją pazury niewyobrażalnego zwierzęcia. Jest na dziesiątki tysięcy kilometrów szeroka, jej brzegi skrzą się kwantowymi błyskawicami. Obraz nad horyzontem bramy faluje jak pustynny miraż. I przez to niewyobrażalne rozcięcie w skórze wszechświata widzimy słaby błysk Octavii - słońca, które płonie czerwienią w barwnym morzu realnej przestrzeni.

Bellerofont zalewa nas teraz pociskami. Wszelkie wątpliwości co do ich rzeczywistych zamiarów zostały rozwiane przez tuzin pocisków, które przelatują tuż obok naszego lewego skrzydła, pudłując zaledwie o kilkaset metrów.

- Wielki Stwórco, niewiele brakowało - szepcze Finian.

- Przymknij się - warczę. - Panuję nad sytuacją. Wyjście z Fałdy za sześćdziesiąt sekund.

Pocisk z działa elektromagnetycznego trafia nas w rufę, wyrwijając w kadłubie dziurę wielkości piłki futbolowej. Alarmy wrzeszczą, włączają się systemy bezpieczeństwa, odcinając nas od naruszonej sekcji. Zerkam na raport na temat uszkodzeń i dociera do mnie, że oberwała maszynownia.

Niedobrze.

- Myślałem, że panujesz nad sytuacją! - Finian przekrzykuje wycie alarmów.

- Myślałam, że powiedziałam ci, że masz się przymknąć!

Kal się uśmiecha, oczy mu płoną, pośród chaosu bitwy czuje się jak w domu. Odkąd go poznałam, nie widziałam go równie rozluźnionego.

- Żaden z ciebie wojownik, co, Finian?

- No wiesz, a z ciebie żaden... - Betraskanin mruga wielkimi, czarnymi oczami, gdy kończy mu się natchnienie. - Czekaj, czekaj, wczoraj wymyśliłem coś naprawdę dobrego...

Kolejny pocisk ze zubożonym uranem przelatuje trzy metry od naszej sterburty. Chociaż latam szybko, manewruję ostro, *Bellerofont* ostrzeliwuje nas ze zbyt wielu dział. Łuki nie zostały skonstruowane do walki z okrętami wojennymi. To jakby rzucić terierka do walki z dobermanem. Pewnie, że maluch może urządzić niezłe widowisko, jeśli jest szybki i zaciekły, ale ostatecznie skończy w charakterze wykałaczkii większego psa.

– Wyjście z Fałdy za piętnaście sekund!

– Trzymajcie się ludzie! – krzyczy Tyler.

Rozdarcie przed nami wypełnia nasze ekrany. Czuję teraz przyciąganie bramy pełzające mi po ciele i rozciągające skórę. Alarmy wyją, ostrzegając przed kwarantanną, uszkodzeniem kadłuba w maszynowni, nadlatującymi pociskami *Bellerofonta*. Żołądek mi się zaciska. Zapada ogłuszająca cisza, kiedy cała Galaktyka wywraca koziołka. A potem przy wtórze wrzasku silników zderzamy się z rzeczywistością tak, że aż zgrzytają od tego kości, i wracamy do przytulnej normalnej i barwnej przestrzeni.

Dobra nowina jest taka, że dotarliśmy tu w jednym kawałku.

Zła jest taka, że *Bellerofont* nadal depcze nam po piętach.

Wyskakuje z Fałdy jak nietoperz z piekła, wypuszczając kolejną salwę pocisków jądrowych. Jeśli wcześniej rzeczywiście planowali przechwycenie O'Malley, to teraz najwyraźniej uznali, że trzeba zminimalizować straty i po prostu wszystkich nas załatwić. Najdziwniejsze jest to, że nie mam pojęcia dlaczego – według czujników Octavia to najnormalniejszy w Galaktyce układ planetarny. Nie widzę nic, co mogliby chcieć ukryć albo chronić za wszelką cenę, nawet za cenę utraty Aurory.

Kiedy się zbliżamy, widzę, że Octavia III to najzwyczajniejsza skalista planeta klasy M. Okruch z niebiesko-zielonymi łądami i niebiesko-zieloną wodą. Siedemdziesiąt cztery procent powierzchni to oceany. Łagodne temperatury, cztery główne kontynenty, innymi słowy... nuda.

To dlaczego, u diabła, nie chcieli, żebyśmy...?

– Dowódcu. – Zila podnosi wzrok znad swoich instrumentów, zerkając najpierw na Aurorę, a potem na Tylera.

– O co chodzi, legionistko?

Zila macha ręką i zrzuca ze skanera na główny ekran obraz kontynentu znajdującego się pod nami. Pośród bujnej roślinności w dolinie nad wstążką lśniącej wody stoi trzydzieści albo czterdzieści budynków.

– To Butler – szepcze Aurora. – Pierwsza osada na Octavii.

Czyli to prawda. Istniała tu osada. Ludzie żyli na tej planecie. Rodziny. Dzieci. Coś poszło nie tak i przez ostatnie dwieście lat najważniejsza sekcja oddziału wywiadowczego Terrańskich Sił Obronnych to tuszowała.

– Kłamliwe łajzy – szepczę.

Zerkam na obraz *Bellerofonta* za nami, a potem na Tylera, czekając na rozkazy. Postawił ryzykownie na to, że GAW nie będzie chciała nas zabić, i przegrał, a teraz bolesne realia są takie: musimy uciec przed statkiem, który jest od nas szybszy, albo walczyć ze statkiem, z którym nie mamy szans wygrać. Zbliżyliśmy się do Octavii III, ale system pociskowy *Bellerofonta* już

nas namierzył. Ich działa elektromagnetyczne są gotowe do kolejnej salwy. W dodatku tracimy moc – wygląda na to, że trafienie w maszynownię uszkodziło rdzeń naszego reaktora. I chociaż jestem świetna, naprawdę nie wiem, czy okażę się dość dobra, żeby wygrać tę rundę dla Tylera.

– *Bellerofont* znowu nas wywołuje – melduje Scarlett.

Tyler wzdycha i rozgląda się po mostku. W jego oczach widzę obawę o swoich ludzi, rozczarowanie sobą. Znajdujemy się teraz tak blisko Octavii III, że widać kłębiące się chmury w atmosferze, poszarpane kształty gór na kontynentach. Aurora stoi i patrzy na obraz kolonii na głównym ekranie. Na miejsce, w którym miała spędzić resztę życia.

Prawie nam się udało. Prawie dowieźliśmy ją do domu. Może jednak ostatecznie okaże się, że Tyler wierzył nie w to, w co powinien? Może ta podróż dobiega właśnie końca?

– Połącz nas – rozkazuje siostrze Tyler.

Obraz princepsa pojawia się na głównym ekranie, bezosobowa lustrzana maska, martwy metaliczny głos.

– LEGIONISTO JONES – mówi. – TO OSTATNIE OSTRZEŻENIE. JEŚLI NIE WYŁĄCZYCIE NATYCHMIAST SILNIKÓW, TO...

Huk eksplozji przerywa transmisję, zastępuje ją szum. Alarm wyje na mostku *Bellerofonta*, drugi wyje u nas. Patrzę na instrumenty, próbując ogarnąć to, co widzę.

– Cat, melduj! – warczy Ty.

– *Bellerofont*... został zaatakowany?

– Przez kogo?

Kręcę głową.

– Mam pół tuzina odczytów energetycznych, ale nie mam prawie żadnych profili na LiDARze. Skanery ledwie ich widzą.

– Ekran?

Rzucam obraz *Bellerofonta*; solidnie oberwał w silniki na bakburcie, chłodziwo wycieka mu w przestrzeń. Wokół niego roi się ledwie widoczny na tle czerni tuzin smukłych sierpowatych stateczków. Są zupełnie czarne, piloci utrzymują je pod kątem, żeby zminimalizować widoczność dla czujników, więc praktycznie nie ma powierzchni, od której sygnał LiDAR-u mógłby się odbijać. Zaatakowali przez zaskoczenie i uderzyli mocno; ich działa plazmowe topią kadłub niszczyciela. Nie mogę pojąć, czy właśnie wydarzył się cud w ostatniej chwili i zostaliśmy uratowani, czy może wpakowaliśmy się w jeszcze głębsze gówno, niż to, w którym byliśmy minutę temu.

– To są chelleriańskie niewidzialne fregaty – wyjaśnia Kal.

Głos princepsa niesie się przez nasz otwarty kanał komunikacyjny.

– UWAGA, NIEZIDENTYFIKOWANE CHELLERIAŃSKIE STATKI. STRZELACIE DO OKRĘTU TEREAŃSKICH SIŁ OBRONNYCH POD DOWÓDZTWEM GLOBALNEJ AGENCJI WYWIADOWCZEJ...

– Dobrze wiem, do kogo, kurna strzelam, ludziu – warczy ktoś w odpowiedzi. Na ekranie pojawia się przerażająca twarz najbardziej niesławnego króla świata przestępczego w tym sektorze. – Twoje shraakzy z GAW sprzedały mnie, a gdy dźgniesz Casseldona Bianchiego w plecy, to nie wychodzisz z tego żywy, żeby się potem tym przechwalać.

- Wygląda na to, że ktoś chce odzyskać Zapalnik - szepcze Scarlett.

- Hmm. - Finian zerka na Aurorę. - Ktoś chce mu powiedzieć, że go popsuliśmy?

Wpadamy do studni grawitacyjnej Octavii III, chłodziwo wyciekające z silników *Bellerofonta* na bakburcie opada powolną spiralą do górnych warstw planetarnej atmosfery.

Chelleriańskie statki poruszają się szybko jak kolibry, kluczą wśród pocisków z dział elektromagnetycznych i strzelają do większego statku jak rój mrówek atakujących słonia. Z *Bellerofonta* wylatują myśliwce, wylewają się strumieniem z hangaru. Większość myśliwców niszcyciela rzuca się do walki z chelleriańskimi statkami, ale co najmniej pół tuzina skręca i namierza się na nas.

Poziom mocy opada nam szybko, ale jestem w swoim żywiole. Obracam Łuk w stronę nadelatujących myśliwców, kluczę między strumieniami ognia, jakbym była nitką przechodzącą przez ucho igielne. Lata treningów, cały mój instynkt, rytm pulsujący mi w żyłach - teraz to wszystko wypływa na powierzchnię. Nie czuję rąk, gdy muskają przyciski układu sterowania. Nie czuję ciała, gdy statek obraca się i skręca pode mną.

Ciskam nami w studnię grawitacyjną Octavii III, żeby zaraz z niej wyskoczyć, bo dzięki temu zyskujemy nieco na szybkości. Kal obsługuje drugi zestaw dział i we dwoje zalewamy ogniem myśliwce TSO. Porywa mnie uniesienie, gdy patrzę, jak myśliwy staje się zwierzyną. Gdy patrzę, jak Chellerianie i *Bellerofont* roznoszą się na strzępy. Gdy strzelamy w myśliwce, które mieliśmy na ogonie, załatwiając jednego po drugim, widzę rozbłyski niebieskiego płomienia i odłamki.

I wtedy przypominam sobie, że moja mama była pilotem w TSO.

Dociera do mnie, że w tych myśliwcach siedzą prawdziwi ludzie.

Nigdy do tej pory nie zastrzeliłam żywej istoty. Długie godziny pracy, treningu, kokpit, w którym zapracowałam na przezwisko - to wszystko było fikcją, symulacją. A tam siedzą prawdziwi ludzie. Terranie, którzy walczą za to, w co wierzą.

Tak jak ja.

Silniki robią się ospałe. Utrata mocy z powodu uszkodzeń osiąga poziom krytyczny. Myślę o ludziach w kokpitach i sama zaczynam reagować ospałe. *Bellerofont* płonie, tlen ucieka ze stopionego kadłuba i płonie w czerni. Z Chellerian też zostały same strzępki. Kawalki smukłych czarnych fregat lśnią jak odłamki potłuczonego szkła, kiedy wirują w przestrzeni.

Rozbłysk jądrowego wybuchu podpala górną atmosferę Octavii III - desperacki cios umierającego *Bellerofonta*. Ryk Bianchiego przez łącze komunikacyjne, gdy jego statek obrywa w tym wybuchu. Widzę kulę ognia, patrzę, jak elektromagnetyczna fala uderzeniowa sunie ku nam.

Próbuję nas poderwać, ale silniki nie mają już dość siły - moja ptaszyna za bardzo obe-rwała, żeby latać tak szybko, jak tego potrzebuję. Impuls dociera do nas, potok światła i dźwięku, instrumenty przede mną tryskają fontanną iskier.

Mimo pasów bezpieczeństwa szarpie mną w bok. Słyszę krzyk Fina. Alarmy wrzeszczą. Temperatura rośnie. Uderzamy w atmosferę, nasz statek przeskakuje po niej jak kaczką rzuconą po wodzie. Próbuję walczyć z przyciąganiem, wkładam w to wszystko, co mam, ale tracimy zbyt dużo mocy.

Za mocno oberwaliśmy.

- Spadamy!

NIE ZNALEZIONO HASŁA: RA'HAAM

Szefie, w zasobach nie ma żadnych informacji na temat wyszukiwanego hasła. Nie znalazłem nawet okrucha. To żenujące.

Propozycje:

Sprawdź, czy dobrze wpisałeś wszystkie słowa.

Wypróbuj inne słowa kluczowe.

Wypróbuj bardziej ogólne hasło.

Wyłącz mnie i włącz ponownie.

- Tyler, dopalanie stabilizatorów! Przygotujcie się na wstrząs i zaczynajcie się modlić, jeśli ktoś to lubi!

Cat pracuje na konsoli, jakby była jednym z naszych czteroręcznych chelleriańskich przyjaciół ze statków nad nami – jej ręce są wszędzie, przestawiają przełączniki, tańczą po przyciskach, próbują wykrzesać jeszcze odrobinę mocy z naszego rannego wierzchowca.

- Wszyscy, zapiąć pasy! – rozkazuje Ty.

Aurora przypina się do zapasowego fotela przeciążeniowego w głębi kajuty. Wszyscy członkowie drużyny wokół mnie także się wpinają.

- Przygotować się na uderzenie – dodaje.

Cały Łuk dygoce, przechyla się na prawo ze zgrozonym protestem i Zila uderza o przeciwną ścianę, zanim dotrze do swojego miejsca. Żadne z nas nie może nawet podnieść ręki, żeby jej pomóc, a Cat nie przestaje wyszczekiwać rozkazów. Nasz Złoty Chłopak, chociaż jest Alfą, został tak wyszkolony, żeby w chwilach takich jak ta w pełni wspierać Asa, i teraz na jego przystojnej twarzy maluje się absolutna powaga.

- Stabilizatory odpalone – melduje.

- A nie mam takiego wrażenia! – wykrzykuje Cat, kiedy cały statek znowu się trzęsie i podskakuje, jakbyśmy jechali po wertepach. Po wertepach na drodze, która schodzi potwornie ostro w dół i kończy się spadkiem z urwiska.

Na klejnoty Stwórcy, umrzemy, myślę sobie.

- Mówię przecież, że są odpalone! – powtarza Ty, a Zili udaje się złapać fotela i rzucić się na siedzenie. Jedną ręką uderza przycisk od pasów bezpieczeństwa, więc zaraz oplatają się wokół jej ciała i należą ją unieruchamiają.

- Wszędzie są dziury powietrzne – warczy Cat.

Trafiamy na kolejną turbulencję i rozlega się uporczywe brzęczenie w moim nadgarstku. Mój egzozskielek próbuje mnie ostrzec przed tak gwałtownymi zmianami grawitacji, bo nie nadaża z kompensacją.

- Ścigają nas? – pyta Ty, kiedy błękitne niebo śmiga przed naszym przednim ekranem i widzimy przelotnie kontynent w dole. Znajduje się o wiele bliżej niż wcześniej.

- Jeszcze nie! – Cat przekrzykuje alarmy czujników zbliżeniowych i ostrzeżenia przed naruszeniem kwarantanny. – Zasilanie pomocnicze w pogotowiu, bo czeka nas lądowanie bez silników, jeśli poziom paliwa jeszcze trochę...

To się wydarza, zanim Cat kończy zdanie. Zasilanie migocze i znika, wszystkie światła na pokładzie gasną, syreny i alarmy wokół nas w jednej chwili zdychają. I teraz naprawdę się przekonujemy, jak to jest bez stabilizatorów.

Ty porusza bezgłośnie ustami, gdy odpala pomocniczy zespół silników. Mam wrażenie, że słyszę też szept Kala mimo jego typowej kamiennej fasady. Nadgarstki przestały mi wibrować w proteście, egzoszkielet wreszcie jest zadowolony, że poziom grawitacji się ustalił – tyle tylko że to poziom grawitacji niekontrolowanego spadku, który wciska cię w fotel. I możliwe, że to ostatni raz, kiedy mój egzoszkielet będzie musiał się męczyć z kompensacją ciężenia.

Wszyscy milkną, na naszych twarzach maluje się ten sam ponury wyraz. Nikt nie chce zrobić niczego, co mogłoby w najmniejszym stopniu zakłócić skupienie, w jakim pracują Cat i Ty.

– Silniki pomocnicze włączone – melduje nasz Alfa. – Rozgrzewają się.

– Potwierdzam – mówi Cat, kiedy światełka na tablicy rozdzielczej znowu ożywają. – Silniki pomocnicze, sto procent.

Zegar zaczyna odmierzać nasz czas. Łuk jest zbyt poważnie uszkodzony, żeby uruchomić główne silniki, zbyt ranny, żeby dowieść nas do domu, ale zasilanie pomocnicze zapewni nam parę chwil minimalnego wsparcia. Dość, żeby nasz pilot zebrał podstawowe odczyty i odzyskał minimum sterowności.

Może tyle wystarczy – jeśli jesteś Zerem – żeby nas wyprowadzić.

– Lądowanie za sto piętnaście sekund! – melduje, a ja mam ochotę zamknąć oczy i zaapelować do Stwórcy, wywlec całą moją wiarę na środek sceny, zażądać odpłaty za wszystkie lata pobożności.

Niestety to tak nie działa, a poza tym nie mogę zamknąć oczu. Horyzont znowu miga nam przed oczami, widzę falujący niebiesko-zielony ocean, wybrzeże, lustrzany błysk rzeki.

– Zasilanie pomocnicze siedemdziesiąt procent – melduje cichym i pełnym napięcia głosem Ty.

Zrobił już wszystko, co się dało, i jak my wszyscy patrzy na Asa, który próbuje wydusić z Łuku coś w rodzaju kontrolowanego wytracania wysokości.

– Lądowanie za sześćdziesiąt sekund – odpowiada Cat.

Czy mocy wystarczy do chwili lądowania?

Czy skończy się kilka sekund wcześniej?

Odrzucam wzrok od widoków, żeby rozejrzeć się po drużynie. Auri wygląda, jakby starała się nie zwymiotować, Kal obserwuje ją z wyraźną troską. Zila lekko przechyliła głowę, jakby właśnie szacowała nasze obecne szanse na przeżycie i potrzebowała się na tym skupić. Scarlett obserwuje Cat, poruszając bezgłośnie ustami, chociaż wątpię, żeby się modliła.

– Pomocnicze schodzi do czterdziestu – melduje nasz Alfa łagodnym głosem.

Widzę już drzewa, niebiesko-zielone liście kołyszące się, kiedy wiatr przelatuje przez korony. Falują jak woda i w mojej wyobraźni Łuk jest kamykiem rzuconym na jej powierzchnię, kaczka odbijającą się raz za razem.

– Piętnaście sekund.

– Trzydzieści procent.

– POZWOLĘ SOBIE ZAUWAŻYĆ...

Siedem głosów wykrzykuje jednocześnie:

– Tryb cichy!

– Załoga, uwaga! – krzyczy Cat bez mrugnięcia okiem. Całym ciałem pracuje nad tym, żeby wymusić na statku lądowanie na długim pasie bladej plaży i ciemnej skały.

Łuk wrzeszczy, gdy walimy w skały. Rozlega się seria łoskotów, gdy nasz kadłub zostaje rozorany.

Nikt już nie liczy, ale w mojej głowie trwa odliczanie.

Siedem. Sześć. Pięć.

Wszystkie światła na panelu kontrolnym gasną, Cat przeklina, odpychając stery drżącymi rękami.

Cztery. Trzy. Dwa.

Uderzamy w piach, odbijamy się, upadamy znowu z łoskotem i wchodzimy w niekontrolowany poślizg. Cały statek trzęsie się tak potwornie, że ledwie mogę oddychać, hałas jest ogłuszający, brzuchem szorujemy po linii wodnej. Łuk uderza w coś mocno, okręcamy się w miejscu o sto osiemdziesiąt stopni i wreszcie się zatrzymujemy. Widzę ścieżkę, jaką wyryliśmy w plaży za nami. Zauważą ją też wszyscy, którzy za nami nadlecą. To największa strzałka z napisem „Tu jesteśmy”, o jaką moglibyśmy prosić.

Ale żyjemy.

Ciszę zakłóca tylko ciche pobrzękiwanie stygnącego kadłuba. Z trudem łapię oddech, tuzin cichych alarmów w moim egzoszkielecie informuje mnie o tym, że zostałem poddany nadzwyczaj wysokiemu fizycznemu obciążeniu – wielkie dzięki, sam w życiu bym się nie zorientował. Nikt się nie odzywa. Powoli Tyler i Cat obracają się w fotelach, żeby spojrzeć na pozostałych i utwierdzić się w tym, że jesteśmy w jednym kawałku.

– Wiecie... – odzywam się, starając się mówić spokojnie – ...nie chcę wyjść na malkontenta, ale coś mi się widzi, że nie odzyskamy kaucji za tę maszynę.

Scarlett pierwsza wybucha śmiechem, odpina pasy drżącymi rękami i składa się wpół, opiera łokcie o kolana i chowa głowę w rękach. Pozostali kolejno wypinają się z foteli, wstają, przeciągają się, otrząsają.

Ja na razie nie ruszam się z miejsca, bo czekam, aż odzyskam dość kontroli motorycznej, żeby podnieść rękę i nacisnąć guzik od pasów na środku piersi, ale nikt nie zadaje sobie sprawy, że to nie jest mój wybór.

– Zostało nam cokolwiek mocy? – pyta nasz Żółty Chłopak, ale w jego głosie nie ma nadziei.

– Nie dość nawet, żeby uruchomić moją ulubioną zabawkę – odpowiada Cat, przesuwając ręką po konsoli. – A wydajność tych baterii jest naprawdę zdumiewająca.

Tyler posyła jej uśmiech i ściska jej ramię.

– Cat, to było coś. To było prawdziwe... latanie.

Odpowiada uśmiechem i odдыcha z ulgą.

– Mówi się, że człowiek powinien wszystkiego raz spróbować. Zaliczyłam swój jeden raz. Nigdy więcej.

Wszyscy się śmieją. Zbyt ochoczo reagujemy śmiechem na cokolwiek, bo nadal jesteśmy roztrzęsieni. Tyler jednak już bierze się do pracy.

- Zila, wyjmij bioskafandry i rozdaj wszystkim. Nie chcę, żeby ktokolwiek odetchnął choćby jedną cząsteczką tutejszego powietrza bez zabezpieczenia. Kal, sięgnij po ciężkie uzbrojenie. Nie mamy czujników, więc będziemy musieli wypatrywać pościgu w starym stylu. I trzeba obejrzeć Łuk, przekonać się, czego potrzebuje, żeby znowu polecieć w kosmos.

Aurora stoi teraz, wpatruje się w ekrany i świat, który czeka na nas na zewnątrz. Oczy ma szeroko otwarte, twarz bladą.

Zila rozdaje skafandry, Kal, Ty i pozostali zaczynają się ubierać. Scar jednak opiera się biodrem o centralną konsolę przede mną; bez wątplenia zauważyła, że nadal siedzę dokładnie tam, gdzie byłem od chwili lądowania. Mruga porozumiewawczo, pochyla się, żeby przycisnąć guzik zwalniający pasy, które prześlizgują się po moich ramionach i chowają w oparciu fotela.

- A już czułem się nieco skrępowany - żartuję i brzmi to prawie naturalnie.

Ona jednak jest genialną Twarzą, jest równie dobra w swojej robocie jak jej brat w roli Alfy. Można było się spodziewać, że zauważy, że dzieje się ze mną coś dziwnego.

- Potrzebujesz pomocy we włożeniu biowdzianka? - pyta.

- Ej, to pozbywamy się tego, co nas krępuje, czy wkładamy kolejne warstwy ubrań? Bo zacam się gubić.

- To żaden kłopot - mówi, zniżając głos, żeby cała rozmowa pozostała między nami. - Jak się trzyma twój egzoszkielet?

Prawda jest taka, że reaguje na moje ruchy wolniej, niż powinien. Elektromagnetyczny impuls, który załatwił systemy naszego Łuku, przywalił też w mój egzoszkielet. Pancierz jest zabezpieczony przed tego typu problemami, ale najwyraźniej nie dość dobrze - jeszcze nigdy nie wystawiałem egzoszkieletu na działanie wybuchu jądrowego w kosmosie. Za nic w świecie nie mamy paru godzin, żebym mógł zająć się jego naprawą.

- Wszystko w porządku - upieram się.

- Fin? - Scarlett mi nie wierzy, ale nadal pyta łagodnym głosem.

I to właśnie jest jak cios w brzuch - Scarlett jest ostatnią osobą, której litości sobie życzę. Jeśli okaże mi współczucie, spróbuje powiedzieć coś miłego, żebym poczuł się lepiej, to naprawdę zaraz mi...

Kiedy jednak podnoszę wzrok, w jej niebieskich oczach nie ma litości, której się spodziewałem. Widzę tylko odrobinę troski. Chyba dlatego odzywam się i mówię równie cicho jak ona. Mówię coś, czego jeszcze nigdy nie powiedziałem na głos:

- Scarlett, nie chcę być gościem, któremu trzeba pomagać. Za każdym razem, gdy okazuję coś, co inni uważają za słabość, płacę za to wysoką cenę. Normalna grawitacja jest ciężka? To odeślijcie mnie z Traska z dala od rodziny i przyjaciół. Potrzebuję do wypoczynku nocą obniżonej grawitacji? To zamknijcie mnie w akademii w osobnym pokoju, bez współlokatora. Nie-sprawność egzoszkieletu? Twój brat każe mi się wycofać i narazi na niebezpieczeństwo resztę drużyny. Okaż słabość, a już nigdy nie odzyskasz tego, co stracisz, gdy inni ją zobaczą. Dlatego proszę, nie rób z tego wielkiego halo. I jeśli powstrzymasz się od swojego zwykłego scarkazmu, to będę wdzięczny.

Scarlett unosi jedną ze swoich idealnie wyregulowanych brwi.

– Sarkazm?

– Pasuje, nie? Wymyśliłem to zeszłej nocy.

Na wielkiego Stwórcę, Finian, czy ty właśnie dałeś jej do zrozumienia, że myślałeś o niej zeszłej nocy?

– Nikt tutaj nie pomyśli o tobie gorzej, gdy przyjmiesz pomoc, Fin.

– Łatwo ci mówić – odpowiadam, machając ręką na egzoszkielec. – Nie bez powodu zostałem wybrany jako ostatni ze wszystkich Macherów podczas Poboru.

Scar bardzo powoli odrywa wargi.

– Finian?

– Aha?

– A nie przyszło ci przypadkiem do głowy, że powodem może nie być twój egzoszkielec? – Przyszpila mnie spojrzeniem. – Nie twierdzę, że ludzie go nie zauważają. Mówię tylko, że istnieje taka możliwość... zaznaczam, czysto teoretyczna możliwość... że wybrano cię jako ostatniego, bo przez cały czas próbujesz przekonać całą Galaktykę, że jesteś nieznośnym dupkiem?

Nie wiem, jak na to zareagować. Kompletnie mnie tym zażyła.

– Fin, wszystko w porządku – dodaje cicho. – Rodzina uszczelnia twoją kwatere, nie?

I już wiem, że Scarlett mnie rozgryzła. Betraskanin szuka grupy, do której może należeć. Potrzebuje tego na głębokim, instynktownym poziomie. To nie jest dla nas tylko kwestia kulturowa, to wręcz część naszego DNA. Mogę udawać, ile zechcę, ale nie lubię być sam.

I chociaż prędzej zatańczyłbym tango z ulubionym świętej pamięci pupilkiem Casseldona Bianchiego, niż wyznał to na głos, to przez cały ten czas pewna cząstka mojej osoby szukała bliskości. Nic na to nie poradzę – ciągnie mnie do tego jak kwiat, który obraca się do słońca. Rozglądam się po mostku i zdaję sobie sprawę, że może, kto wie, odnalazłem swój klan w tej drużynie.

Dlatego upuszczam ciężko rękę w jej dłoń, a ona w prawie niedostrzegalny sposób pomaga mi wstać. Przez chwilę stoimy tuż obok siebie, dzieli nas raptem parę centymetrów. Patrzy mi prosto w oczy tymi swoimi wielkimi, niebieskimi ślepiami.

Na klejnoty Stwórcy, naprawdę ją lubię.

A wtedy ona mruga do mnie i podnosi bioskafander między nami. Srebrzysty materiał jest jak woda w naszych rękach. Scarlett przykłęka, żeby poprawić but swojego skafandra akurat w tym samym momencie, kiedy trzeba przesunąć moją nogę i pomóc mi ją włożyć do skafandra. Nikt niczego nie zauważa.

Jednakże zanim wszyscy skończymy się ubierać, wiem już, że mam poważne kłopoty. Z trudem się poruszam, jeszcze trudnej mi się chodzi, egzoszkielec rozbłyskuje alarmowymi sygnałami, które wyciszam, przyciskając kilka guzików.

Zila melduje, że nie widać żadnych nieprzyjacielskich ruchów na niebie, Cat i ja schodzimy w głąb Łuku, żeby sprawdzić stan maszynowni. Najdziwniejsze jest to, że sytuacja nie wygląda nawet w połowie tak źle, jak się spodziewałem. Rozglądam się i widzę, że kadłub został podziurawiony jak mokry papier. Dziurę da się załatać, ale serce naszej maszynki mocno obe-rwało serią z działka elektromagnetycznego.

– Jak to tam wygląda? – pyta Tyler, który zszedł za nami.

– Słabo – odpowiada Cat, wskazując rdzeń. – Reaktor oberwał po tyłku.

– Zdaję sobie sprawę, że nie robię tu za etatowego optymistę, ale nie jest tak całkiem źle – odzywam się. – Systemy naprawcze zajmą się kadłubem. Rdzeń to osobna część, więc możemy go spokojnie odciąć od reszty systemów. Pod warunkiem, że znajdziemy trochę materiałów promieniotwórczych do napełnienia ogniw paliwowych.

– No dobra, a gdzie coś takiego znajdziemy? – pyta Tyler.

– Namierzałam się na osadę, kiedy spadaliśmy – odzywa się Cat. – Powinna znajdować się z dziesięć kilometrów stąd.

No dobra, zaimponowała mi jak diabli tym, że zdołała aż tak się zbliżyć. Nasz plan zaczyna się klarować.

– W takim razie musimy poszukać portu kosmicznego – mówię. – Domyślam się, że mieli tu coś takiego, i istnieje spora szansa, że koloniści nigdy się nie ewakuowali, bo inaczej więcej ludzi wiedziałoby, że kwarantanna to kłamstwo. To znaczy, że ich statki wciąż powinny tu stać. Przy odrobinie szczęścia wystarczy tu poklepać, tam postukać i może uda nam się wyczarować sprawny rdzeń reaktora.

– To brzmi nieźle. – Ty kiwa głową.

– Aha, pewnie – rzuca Cat. – O ile „nieźle” znaczy dziesięć kilometrów marszu z rannym po wrogim terenie w kierunku kolonii, która w ogóle nie powinna istnieć, kiedy w każdej chwili myśliwce TSO mogą spać na nas jak grom z jasnego nieba.

– Cat – mówi Tyler, błyskając dołeczkami, od których jajniki eksplodują w promieniu dwudziestu kroków. – Cały czas ci powtarzam: miej odrobinę wiary.

* * *

Dwadzieścia minut później stoimy na rampie załadunkowej Łuku prawie gotowi wyruszyć. Oczywiście to ja jestem „rannym”, o którym mówiła Cat. Moje kłopoty chyba są bardziej oczywiste, niż miałem nadzieję. Z drugiej strony to ja mam największą szansę na skołowanie nam działającego rdzenia, więc przynajmniej nie zostawią mnie w statku. Za nami rozciąga się ocean, przed nami krótkie pasmo piaszczystych wydym, a dalej niebiesko-zielone wzgórza. Szum fal wydaje się dziwnie nie na miejscu.

– Którędy do kolonii? – pyta Tyler.

Cat zaciska usta, pukając się palcem o hełm bioskafandra. – Chyba na zachód? Chociaż, jak się teraz zastanowię...

– Tędy – odpowiada Aurora i wskazuje kierunek.

– Na pewno?

Kiwa głową, a kiedy się odzywa, mówi z niezachwianą pewnością. Jeszcze nigdy nie słyszałem jej równie przekonanej.

– Studiowałam ten świat przez dwa lata, żeby zdobyć miejsce na *Hadfieldzie*. Po przybyciu miałam trafić do kartografii. Znajdujemy się około dwunastu kilometrów na północny zachód od kolonii. Trudny teren. Jakies trzy godziny piechotą.

Ty kiwa głową. Auri ewidentnie mu zaimponowała.

– W takim razie lepiej ruszajmy.

Faliste wydmy są upiornie ciche, kiedy schodzimy po rampie. Cały krajobraz wokół nas składa się z nieskończonego nieba i gładkich linii. Powietrze jest pełne czegoś, co w pierwszej chwili omyłkowo biorę za śnieg; to coś pokrywa też ziemię. Jednak gdy wychodzę z ładowni Luku, dociera do mnie, że to jakiś...

– Pyłek – mówi Zila, zerkając na świetlisty proszek, która spada z góry.

Z trudem przetykam ślinę, wysuwając rękę ku spadającemu błękitowi.

Aurora prowadzi nas przez wydmy, oddalamy się od fal bijących o brzeg i naszego rannego statku. Przy każdym kroku słychać syk mojego egzozszkieletu, męczę się na pochyłości, piasek ucieka mi spod stóp. Scarlett trzyma się w pobliżu, dość blisko, żebym wiedział, że służy pomocą, gdybym czegoś potrzebował. Ja jednak prę przed siebie, w końcu wspinam się na wzgórze i patrzę na rozciągający się dalej krajobraz.

– Na oddech Stwórcy – szepczę.

Wszystkie skały i ziemia poza plażą – dosłownie wszystko – jest pokryte niską roślinnością o mięsistych liściach w kształcie łyż – dokładnie takich samych jak te, które wyrastały z oczodołu Patrice Radke. Można mieć wręcz wrażenie, że to jedna roślina, która nieustannie się rozrasta. Jej długie macki wspinają się po korze pni i dławią drzewa. Ciągną się tam także długie polacie płaskiej, srebrzystej trawy podobnej do niby-mchu porastającego twarze zbirów z GAW.

– Czy to powinno tak wyglądać? – pyta Tyler.

– Nie – odpowiada Aurora i kręci głową. – Nie powinno.

Kilkaset metrów dalej wznosi się stara wieża komunikacyjna – jedyny widoczny znak, że istniała tu kiedyś ludzka kolonia. Porastają ją te same dziwne rośliny, tyle że mają grubsze i cięższe łodygi; owijają się wokół podpór jak macki osferyjskiego seldernauta. Wygląda to, jakby roślinność zamierzała wciągnąć całą konstrukcję pod ziemię, jakby to był statek znikający w morzu.

Roślinność pokrywa dosłownie wszystko. Przypomina pod tym względem grzyb. Prawie.

– Ja już... – Aurora mruga gwałtownie. – Ja już to widziałam.

– Ja też... – szepczę słabo.

Drużyna patrzy na mnie pytająco. Sięgam do symbolu Stwórcy na kołnierzyku, ale jest schowany pod bioskafandrem. Serce wali mi w piersi jak szalone.

– To mi się śniło – mówię, patrząc na Auri. – Śniło mi się, że z nieba spada coś, co wzięłem za niebieski śnieg. Leżał wszędzie... zupełnie jak tu. Tyle że to nie działo się na Octavii. Planeta, o której śniłem... – Kręcę głową, patrząc na pozostałych. – To był mój rodzinny świat. Trask.

– Radziłbym, żeby nikt niczego nie dotykał – odzywa się Kal.

– Przyjąłem. – Tyler kiwa głową. Poblądł. – Niech wszyscy mają oczy szeroko otwarte i trzy mają ręce przy sobie. – Dźwiga w ręce karabin-dezelator. – Ruszajmy.

Nie pozostało nic więcej do powiedzenia, więc znowu ruszamy między niebiesko-zielone rozkołysane zarośla. Aurora ma zaciętą minę, wpatruje się w ziemię i rośliny przed sobą. Kal

idzie za nią, oczy mu płoną. Też trzyma dezcelatorowy karabin. Od czasu do czasu Auri obraca trochę głowę – tyle tylko, żeby się upewnić, że Kal jest blisko. Nie nawiązują jednak kontaktu wzrokowego.

Scarlett idzie obok mnie niespiesznie, jakby jej piękny srebrny bioskafander był oryginalnym projektem Feeneya, a ona miała powalić publikę na pokazie mody. Cat wlecze się przed nami, niewątpliwie dochodzi do siebie po emocjach związanych z posadzeniem Łuku na tej planecie. Tyler i Zila idą na końcu. On niesie antyradiacyjną obudowę bezpieczeństwa, w której przeniesiemy zapasowe elementy rdzenia, a ona... Cóż, ona zachowuje się dokładnie tak, jak można się spodziewać. Stoicka. Idzie z lornetką przy oczach i patrzy w niebo zamiast przed siebie. Nie sprawia jednak wrażenia, jakby zamierzała kogoś zastrzelić, a to już jakiś plus.

Zarośla gęstnieją, w miarę jak idziemy i w końcu pokonujemy coś, co mogłoby być niezbyt gęstym laskiem, zanim wszystko tu porośło... tym czymś. Cokolwiek to jest. Idę w milczeniu, nadal rozmyślając o swoim śnie, i może dlatego, że nasłuchuję cichych alarmujących jęków i syków w moim egzoszkielecie, wydaje mi się, że coś słyszę.

Za nami.

Szelest.

Przystaję i oglądam się przez ramię, mrużąc oczy.

– Wszystko w porządku, Finian? – pyta nasz Żółty Chłopak, podchodząc do mnie.

– Wiemy coś o miejscowej faunie?

Zila zerka na mnie.

– Masz powód, żeby zadawać to pytanie?

– Wydaje mi się, że coś słyszałem – przyznaję. Serce bije mi ciut za szybko.

– Większość fauny na Octavii to proste organizmy – mówi idąca na przedzie Auri. – Przy najmniej tak wynikało ze wstępnych badań i raportów sekcji biologicznej. Ale w laboratoriach były myszy. I bonobo. Mój ojciec z nimi pracował.

– Bono co? – Wyobrażenia podsuwa mi nieprzerwany strumień obrazów, żeby dopasować je do nazwy, a większość ma szpony i zęby, z którymi wolałbym się nie witać. Kal natychmiast reaguje, mocniej zaciskając rękę na karabinie.

– Bonobo – powtarza Auri.

– *Pan paniscus* – podsuwa mi pomocnie Zila.

– Są prawie rozmiarów normalnego człowieka – wyjaśnia Auri. – Zasadniczo są tak samo zbudowane jak my, to samo drzewo ewolucyjne. Ale są porośnięte czarnym futrem. Świetnie wspinają się po drzewach.

– Czyli to tacy włochaci ludzie? – pytam. – A czym bonobo różnią się od... Znacie może O'Donnella? Siedział za mną na zajęciach z inżynierii mechanicznej i muszę wam powiedzieć...

– To nie są ludzie – odpowiada Tyler. – Bonobo są wysoce inteligentne, ale to zwierzęta. Co robiły w tej kolonii, Auri?

– Wykorzystywano je do wstępnych badań środowiskowych. Są najbliższe człowiekowi, nie będąc ludźmi. Nasze DNA jest praktycznie identyczne. Dlatego były też na pierwszych rakietach, jakie wystrzelono z Ziemi.

- Czekaj – wtrącam się. – Są na tyle inteligentne, żeby pilotować statek kosmiczny?

Kal unosi teraz karabin i obraca się powoli.

- Wyglądają mi na śmiertelnie niebezpiecznego wroga...

- Nie – poprawia nas obu Auri. – Słuchajcie... Nie są niebezpieczne. Nie latały tymi pierwszymi statkami, były tylko pasażerami. Wysłaliśmy je w kosmos, żeby się przekonać, jak to na nie wpłynie. Bo pod względem fizjologicznym bardzo przypominają ludzi.

Elfik i ja wymieniamy przeciągłe spojrzenia.

- Ale skoro te boroboro... – zaczynam.

- Bonobo – poprawia mnie Auri.

- Skoro nie umiały latać statkami... to jak lądowały?

- Nie musiały. Statki były zautomatyzowane.

- Czyli... – zaczynam powoli. – Pozwól mi to ogarnąć. Wy, ziemniaki, wzięliście te zwierzęta, które są prawie tak inteligentne jak wy, wsadziliście je do rakiet i wystrzeliliście w kosmos, żeby sprawdzić, czy im się nie stopią wewnątrzności?

- Nie my konkretnie – broni się Cat i teraz wśród terrańskiej części drużyny zaczyna się nerwowe szuranie stopami.

- Rety – mówię, rozglądając się po grupie. – Czy my, Betraskanie, wiedzieliśmy o tych wszystkich mordach na bobodo, kiedy się z wami sprzymierzyliśmy?

- Dość tego, Finian. Nawet jeśli bonobo tu mieszkały, to było to dwieście lat temu i... – Tyler urywa.

Niewątpliwie pomyślał o tym samym, co my wszyscy. Patrice Radke i jej miły omszały przyjaciel też mieli ze dwieście lat. To im najwyraźniej nie przeszkadzało przemierzać Galaktyki.

Na klejnoty Stwórcy...

- Broń – oznajmia po prostu Kal i kiedy ruszamy, każdy z nas trzyma dezektor.

Szelest się nie powtarza.

Aurora prowadzi nas przez kolczaste listowie podobne do paproci pośród dławionych drzew, pyłek opada wokół nas gęsto jak lepki niebieski deszcz. Wkrótce nasze bioskafandry są całe w nim uwalane i musimy uważać na kolce, bo kombinezony są mocne, ale nie są niezniszczalne. Parę godzin później, po kilku bitwach z zaroślami, wspinamy się na wzgórze i widzimy osadę Butler w dolinie przed nami.

A w każdym razie ruiny kolonii Butler. Wszystkie budynki są oplecione zielono-niebieskim listowiem i płożącymi się pnączami, każdy kanciasty kształt został złagodzony przez otulające go rośliny. Pnącza oplatają beton i stal, zarodniki unoszą się w powietrzu, wirują leciutko pośliskującymi kłębamami.

Na swój sposób to jest piękne. Dopóki nie przypominam sobie swojego snu, w którym ten sam niebieski pyłek spadał na powierzchnię mojego rodzinnego świata. Przypominam sobie gwiazdną mapę Auri. Czerwień rozlewającą się z oznakowanych gwiazd krwawą plamą.

I znowu serce tłucze mi się w piersi.

Robię jeszcze kilka chwiejnych kroków, zanim dociera do mnie, że Auri zatrzymała się na szczycie. Łzy spływają jej po policzkach, gdy patrzy na kolonię w dole, a ponieważ ma hełm na

głowie, nic nie może na to poradzić. Zostaję na miejscu, ale Scarlett cofa się do niej.

– Gdyby *Hadfieldowi* się udało, znalazłabym się tam – mówi cicho Auri, ale jej głos się niesie.

Nic nie zagłusza jej słów, nic z nimi nie konkuruje.

– Ale jesteś tutaj – odpowiada łagodnie Scarlett. – Jesteś z nami. Nie znałam twojej rodziny, ale myślę, że ucieszyliby się, wiedząc, że znalazłaś drużynę, do której należysz.

Aurora pociąga mocno nosem, niezbyt elegancko.

– Ojciec opuścił moją matkę, kiedy została wykreślona z misji. Na swój sposób ona i moja siostra już wcześniej go straciły. Kiedy jednak zaginęła *Hadfield*, musiały poczuć, że straciły nas oboje. – Kręci głową. – A ja... nigdy im nie pomogę. Nie będę mogła wrócić i powiedzieć, że nic mi nie jest.

Znowu pociąga nosem. Głos jej drży.

– Kiedy ostatni raz rozmawiałam z ojcem przed wylotem z Ziemi... pokłóciliśmy się. Powiedziała mi rzeczy, których tak naprawdę nie myślałam. To były ostatnie słowa, jakie ode mnie usłyszał. W takich chwilach nie zastanawiasz się nad tym. Spodziewasz się, że twoja rodzina zawsze tam będzie.

Wszyscy milczą, wiatr unosi pyłek i porusza dziwnymi roślinami wokół nas, które cicho szeleszczą.

Nie mam pojęcia, jak na to zareagować. Moja rodzina składa się z setek członków, więc myśl, że można zostać bez nikogo bliskiego, jest dla mnie zwyczajnie... niemożliwa. Chociaż wiele razy czułem się osamotniony, często wyizolowany i oddzielony, to nigdy nie byłem sam tak jak jest teraz Aurora.

– Myślę... – odzywa się powoli Zila, a ja już szykuję się na bolesny nietakt – ...że gdyby twoja siostra i matka miały wybierać między twoją rzeczywistą śmiercią a życiem w przekonaniu, że nie żyjesz, to z pewnością wybrałyby tę drugą opcję, nawet jeśli miałyby nigdy się nie dowiedzieć, że się mylą. Gdyby moja rodzina mogła żyć za cenę mojej niewiedzy, chętnie zapłaciłabym tę cenę.

I co tu więcej dodać?

Jakimś cudem Aurora posyła Zili słaby, zapłakany uśmiech.

Nasza dziewczyna spoza czasu oplakuje nie tylko rodzinę, ale i siebie. Żadne z nas już nie wie, czym ona jest, chociaż podążamy ścieżką, jaką nam wyznaczyła. Ona sama jednak najbardziej pragnie odrobiny normalności. Wszyscy wiemy, jak to jest.

Gdy nasza siódemka znowu rusza, atmosfera jest niemalże... przyjacielska. Najdziwniejsza grupa wyrzutków, jaka kiedykolwiek podróżowała po porzuconej obcej planecie dręczonej przez upiorne rośliny i obleganej przez siły wojskowe. Zostało nam jeszcze ze dwadzieścia minut, zanim dotrzemy do kolonii. Żołądek mam pełen oleistego lodu. Wszyscy milczą jak grób. Ewidentnie nadszedł czas na poprawienie atmosfery.

– No dobra – odzywam się. – A wracając do tych bombomo...

– Bonobo – poprawia mnie Tyler z miną cierpiętника.

– Jak zwał, tak zwał. Nadal je macie?

– Wyginęły – odpowiada Cat. – Tak jak ty niedługo.

- Przebawna jesteś, Zero. Ale na pewno ich nie zmyśliliście? Bo brzmią idiotycznie. Sami posłuchajcie: włochate ziemniaki, które latają statkami kosmicznymi i mają prawie takie samo DNA jak wy? - Prycham. - Wątpię, żeby istniały.

W tej samej chwili człekopodobny stwór o futrze czarnym jak smoła i z nierównymi żółtymi zębiskami, które zawstydzilyby ultrazaura, z wrzaskiem wyskakuje z krzaków prosto na moją twarz.

[NIE ZNALEZIONO HASŁA]

► **[Nieznany]**

▼ **[Nieznany]**

Kod błędu 4592.

Brak połączenia. Znajdujesz się za daleko od sygnału.

Szefie, jesteś zdany tylko na siebie.

Fin pada na ziemię, gdy wyskakuje na niego największy szympans, jakiego w życiu widziałam. Gęsta zieleń wyrasta mu z oczu, plecy ma porośnięte płataniną pięknych kwiatów, a kiedy otwiera pysk, żeby warknąć wyzywająco, widać czerwono-zielone liście schodzące w głąb gardła.

Zalewa mnie zgroza, kiedy małpa uderza przednimi łapami w szybę hełmu raz, potem drugi, a Finowi tylko podskakuje na ziemi głowa. Kal już mierzy z broni, ale zwierzę jakby o tym wiedziało, bo zaraz łapie Fina za ramiona i obraca się z nim jak z tarczą.

– Zdejmijcie ze mnie tego bokoboda! – krzyczy Fin.

– Aee’na dō setaela! – warczy Kal, opadając na kolana.

Z lodowatą zgrozą zdaje sobie sprawę, że najbliższe pnącza podpełzły do niego, owinęły się wokół jego kostek i karabinu i teraz odciągają go od zwierzęcia. Krzyczę. Scarlett staje obok mnie i natychmiast strzela z dezelatora w roślinę.

Tyler nie chce postrzelić Fina, więc kopie zwierzę w plecy. Małpa przelatuje w powietrzu z wrzaskiem, a Cat strzela. Jasny rozbłysk światła, kolejny niezemski wrzask, ale strzał najwyraźniej nie jest w stanie zatrzymać szympansa. Zwierzę turla się, podrywa i znowu z krzykiem skacze na Fina. W tym czasie Zila robi dwa szybkie kroki, unosi dezelator i szuka okazji do strzału.

Scarlett nadal strzela w pnącza, które chwyciły Kala, a kiedy próbuję wypłatać jego nogi z gmatwaniny, patrzemy sobie w oczy przez jedną długą, intensywną chwilę. Po jego wyznaniu w izbie chorych zostało wiele niedomówień i teraz boję się, że nigdy nie będziemy mieli okazji dokończyć rozmowy. Słyszę krzyk, obracam się i widzę, że małpa cisnęła Finem. Chłopak ląduje z hukiem, coś w jego egzoszkielecie pęka. Podbiegam, żeby złapać go pod pachy i odciągnąć na bok.

Szympans ciska teraz Ty’em. Mój ojciec zawsze mi przypominał, że szympansy są cztery razy silniejsze od ludzi, że zawsze trzeba przy nich uważać. Cat wykrzykuje imię Tylera, który pada na ziemię. Znowu strzela do zwierzęcia. Małpa odwraca się do niej, atakuje pokrytymi mchem łapami i żółtymi zębami. Cat pada z krzykiem, turla się i nieruchomieje na boku.

– Na miłość Stwórcy, zastrzel to! – ryczy Tyler, kiedy Zila krąży wokół nich, starając się wymierzyć tak, żeby nie trafić nikogo z drużyny.

Unoszę ręce, desperacko próbując przywołać to, co do tej pory mi pomagało. Powietrze wokół mnie drży. Ciche brzęczenie narasta mi za oczami. Niestety mój umysł jest jak dzikie

stworzenie, przerażone widokami przede mną, krzyczy, żebym porzuciła przyjaciół, uciekała jak najdalej, żebym ratowała się przed tym miejscem.

Zwierzę odwraca się do mnie i mimo roślin w oczach wiem, że na mnie patrzy, wiem, że mnie widzi. Szczery zęby, wrzeszczy i rzuca mi się do gardła.

I wtedy rozlega się ryk Kala, prawie nie do poznania zza hełmu. Kal porzuca uwięziony karabin, wyrwa się z pnączy i atakuje zwierzę – rzuca mi się na pomoc z gołymi rękami.

Rzuca ze mnie szympansa i obaj koziołkują w kłębowisku kończyn. Kal wykorzystuje rozpęd, zwija się w kłębek, zapiera się obiema stopami o pierś zwierzęcia i kopie ze wszystkich sił. Zwierzę wylatuje w powietrze, a on krzyczy do Zili.

Która nie przegapia okazji.

Bam!

I głowa zwierzęcia po prostu... znika. Tysiąc maleńkich zarodników wzbija się w powietrze, wzbijają się wokół nas niesione podmuchem powietrza, gdy ciało pada na ziemię.

Cat pojękuje i nadal leży na boku. Ty rzuca się do niej. Zila jednak już kłęka i zdejmuję z pleców zestaw medyczny z szybkością, jakiej jeszcze u niej nie widziałam.

Kal kuca nad szczątkami zwierzęcia, z trudem łapiąc oddech. Pomagam jęczącemu Finowi podnieść się na czworaki. Serce wali mi młotem w piersi. Scarlett przestaje strzelać do pnączy, z których został sam popiół. Ręce jej się trzęsą. Nadal celuje w rośliny wokół nas, na wypadek gdyby któraś zaczęła się ruszać wtedy, kiedy nie powinna.

– Na trzy – mówi cicho Zila i razem z Tylerem niesłychanie delikatnie obracają Cat na plecy, żeby obejrzeć obrażenia.

O, nie. Nie.

– Na klejnoty Stwórcy – szepcze Fin i chociaż ewidentnie sam ledwie się rusza, już sięga po torbę Zili.

Cat ma rozdarty skafander wzdłuż całego lewego boku. Widać krew, skórę i kości, widać żebra i...

Powietrze dotyka jej skóry, myślę.

Kiedy patrzę sparaliżowana ze zgrozy, maleńki zarodnik opada w zwolnionym tempie na jej bok.

– Pyłek – szepczę i wyciągam rękę, starając się zasłonić ranę obiema dłońmi. W okamgnieniu jej krew zalewa mi srebrne rękawiczki.

– Pyłek nie będzie miał znaczenia, jeśli nie zatrzymamy krwawienia – odpowiada zwyczajnie Zila, kiedy Fin trzęsącymi się rękami podaje jej sprej, a ona pochyla się, żeby potraktować nim ranę.

– Nad nami! – woła Kal.

Podnosi się znad ciała szympansa i wskazuje biały wahadłowiec kreślący szybko łuk na niebie. Nie wiem, czy *Bellerofont* nadal jest na orbicie planety, ale ewidentnie ktoś przeżył walkę ze statkami Bianchiego. Wahadłowiec skręca w stronę śladu zniszczenia, jaki zostawiliśmy, lądując awaryjnie na plaży, w kierunku drogowskazu, jaki tam nakreśliliśmy.

Schodzi do lądowania.

Cat jęczy, kiedy Zila uszczelnia jej skafander za pomocą lepkiej plastikowej łąty. Uciekają bezcenne sekundy. Tyler patrzy na Cat, wygląda jak zamrożony kucający posąg, w myślach szacuje nasze szanse.

- Zila... - odzywa się cicho. - Ona potrzebuje czegoś więcej niż pierwszej pomocy, prawda?

- Tak, dowódco. - Zila kiwa głową. - Potrzebuje fachowej opieki lekarskiej.

- Nie możemy wrócić na statek. - Ty patrzy na schodzący do lądowania wahadłowiec TSO, a potem na kolonię w dolinie. - Auri, jakieś propozycje?

Zamykam oczy, sięgam po wszystko, co wiem na temat osady Butler, próbuję zobaczyć mapy, które studiowałam tysiące razy. Mój wyczerpany umysł produkuje przez chwilę tylko zakłócenia, aż wreszcie sobie przypominam.

- Mają tam centrum medyczne - mówię. - Po zachodniej stronie osady.

Tyler wstaje, zerka na pokrytą upiornym zielono-niebieskim listowiem osadę.

- Chyba widzę ten budynek. Fin, dasz radę chodzić?

- Tak jest - odpowiada po prostu Fin. Prostuje się z grymasem, z jego egzoszkieletu dobywa się niski, syczący jęk. Fin mruży z bólu oczy, ale się nie skarży.

- W porządku - mówi Tyler. - Scar, Zila, zabierzemy Cat do centrum medycznego. Kal, ty idź z Finem do portu kosmicznego kolonii i poszukajcie rdzenia reaktora na wymianę.

- Znam drogę - mówię z większą odwagą, niż to czuję.

Ty kiwa głową.

- Zabierzcie za sobą Auri. Przez cały czas miejcie włączone komunikatory. Kiedy znajdziecie to, czego potrzebujecie, natychmiast się zgłoście.

Kal podnosi się płynnym ruchem i kiwa na mnie głową. Ocieram ręce o ni to mech, ni trawę z krwi Cat i żołądek mi się zaciska, kiedy rośliny zmieniają kolor z zielono-niebieskiego na ciemnofioletowy. W mojej głowie rozlega się ostrzegawczy dzwonek. Czuję to w kościach. Czuję to pod stopami i w niebie pełnym tańczących zarodników.

Coś z tym miejscem jest kompletnie, straszliwie nie tak.

Słyszę szept w głowie. Echo mojego własnego głosu.

Strzeż się.

Ra'haam.

Cat zaciska zęby, a fakt, że nie sprzeciwia się pomysłowi podzielenia się na grupy i nie próbuje włączyć się do dyskusji, najlepiej świadczy o tym, jak bardzo jest ranna. Pozwalam, żeby Kal pomógł mi się podnieść. Stoimy przez chwilę obok siebie, patrząc na ranną dziewczynę i jej przyjaciół.

Ja ich tu sprowadziłam, myślę sobie.

To wszystko przeze mnie.

- Idźcie - mówi Tyler, nie podnosząc wzroku. - Udanych łowów.

Kal wyjmuje swój dezelerator. Kiedy ruszamy za już kuśtykającym Finem, oglądam się raz za siebie.

Nie mogę opędzić się od przeczucia, że widzę Cat po raz ostatni.

Potrzebujemy znacznie więcej niż dwudziestu minut, żeby dotrzeć do płaskiej polaci portu kosmicznego, bo Fin porusza się powoli i z bólem. Stawia w skupieniu krok za krokiem i nie sie antyradiacyjną obudowę dla naszego nowego rdzenia reaktora. Chociaż bioskafander wszystko zasłania, słyszę protesty jego egzoszkieletu z odległości kilku metrów. Kal i ja trzymamy broń w pogotowiu, chociaż nie do końca potrafimy z niej strzelać. Cała nasza trójka stara się nie podskakiwać na każdy urojony dźwięk.

Idziemy obrzeżami zniszczonej kolonii. Przejście przez jej środek byłoby szybsze, ale zdaniem Kala to zbyt dobry teren na zasadzkę. Mówi spokojnie, porusza się pewnie, a ja łapię się na tym, że coraz bliżej się go trzymam.

Mam gonitwę myśli – przeskakuję od wahadłowca, który właśnie zniknął z nieba, do bladej twarzy Cat i jej zakrwawionego boku, a potem do mglistych wspomnień ze Statko-Światu i kolejnego potwora, którego zniszczyłam, nawet go nie dotykając. Powiedziałam pozostałym, że nie pamiętam, że to zrobiłam, ale skłamałam. Tak jak wyznałam Kalowi w izbie chorych, widzę to teraz w głowie. Jakbym była pasażerem we własnym ciele i patrzyła przez ekrany swoich oczu. Pamiętam zabicie ultrazaura. Pamiętam, jak strzaskałam Zapalnik po strzale Zili, słowa, które wypowiedziałam, gdy gwiazdna mapa rozbłysła na mostku Łuku, słowo, które słyszałam w snach, odkąd obudziłam się z dwustuletnim opóźnieniem.

Eshvaren.

To słowo mnie przyciąga, przyzywa, dokładnie w taki sam sposób, w jaki ta planeta budzi we mnie odrzę. Potrzeba dowiedzenia się czegoś więcej o tej pradawnej rasie zaprzęta mnie najbardziej – to jedyna rzecz, która raz za razem odpycha na bok moje lęki i pytania.

No dobrze, może nie jedyna.

Kal idzie obok mnie z uniesionym karabinem, porusza się z typową dla siebie dziwną, eteryczną gracją. Jego ruchy są płynne i precyzyjne. Wojownik, którym się urodził, jest teraz tak blisko powierzchni, że prawie go widzę. Nie mogę zapomnieć, jak rzucił się na szympansa, który mnie zaatakował. Nie zważał na własne bezpieczeństwo. Był nieulekły i zaciekły.

Zerka na mnie. I równie szybko odwraca wzrok.

Nie przypomina niczego ani nikogo, kogo znałam. Oczywiście chodziłam wcześniej na randki, ale cały świat, cała Galaktyka oddziela film i popcorn w piątkowy wieczór od gościa, który ci mówi, że jest związany z tobą na całe życie.

Jednakże kiedy powiedział mi o tym w izbie chorych, czułam się tak, jakby włączył światło i nagle znalazłam się w zupełnie innym miejscu, niż się spodziewałam – do tego stopnia, że nie wiedziałam co powiedzieć. Tak długo mnie ignorował, starał się trzymać mnie jak najdalej od wszystkiego, co choćby przypominało działanie i branie na siebie odpowiedzialności, że uwierzyłam, że uważa mnie za brzemię. Myślałam, że jeśli mnie bronił, to z poczucia obowiązku i z powodu rozkazów Tylera.

Teraz jednak wiem, że za każdym razem, gdy trzyma mnie na odległość wyciągniętej ręki, to robi to właśnie z powodu poczucia obowiązku. Kiedy mnie bronił, odzywało się w nim coś zupełnie innego.

Teraz idzie obok mnie i patrzy przed siebie, a każda jego cząstka wyraża czujność i gotowość. I mimo całego chaosu i szaleństwa, jakie nas otacza, o wiele lepiej jest mieć go koło siebie.

Przy nim czuję się bezpieczna.

Nasza trójka dociera do portu kosmicznego, przechodzimy przez otwartą, porośniętą pnączami bramę i serce zaciska mi się na widok, jaki otwiera się przed nami. Lądowiska, wieża kontroli lotów i statki są porośnięte tą samą roślinnością, jaka najwyraźniej zainfekowała całą kolonię. Skify, frachtowce, statki orbitalne – wszystko. Kadłuby porosły długimi pnączami i dziwnymi kwiatami, pokrywa je warstwa lepkiego niebieskiego pyłu, który pada wokół nas jak deszcz.

Kosmodrom jest ogromny. Jak mamy znaleźć tu to, czego potrzebujemy do naprawy Łuku?

– Ja piórkuję – mruczę.

– Nie wiem, co właściwie masz na myśli, ale wyczuwam twój niepokój – odzywa się Finian.

– Niemniej nie jest źle, droga pasażerko na gapę. Okres rozpadu rzeczy, których szukamy, wynosi jakies parę milionów lat. Jeśli tu są, to odrobina chwastów im nie zaszkodzi.

– Reaktory z tych statków przydadzą nam się na coś? – pyta Kal.

– Nie wiem. Te statki są starsze od mojego czwartego dziadka i nie mam pojęcia, jakie napędy wtedy stosowano. Ale te bandziory z GAW wciąż depczą nam po piętach, więc rozdzielmy się, żeby szybciej obejść większy teren. Jeśli znajdziecie statek z aktywnym rdzeniem, przślijcie fotkę na mój unikron.

– Dobrze – odpowiada Kal. – Bądź w stałej łączności.

– Nie martw się – mówi Fin. – Jeśli zobaczę jeszcze jednego z tych bozonów, to i bez unikronu usłyszycie moje wrzaski.

Kal unosi brew.

– Żaden z ciebie wojownik, co, Finian?

– No wiesz, a z ciebie żaden... – Fin krzywi się i wzdycha. – Zapomnij...

Kuśtyka do największego frachtowca, z trudem dźwigając obudowę bezpieczeństwa. My z Kalem idziemy do skifów, on idzie z uniesionym karabinem, a ja tuż za nim. Podaje mi rękę, żeby pomóc mi przejść nad płataniną pnaczy, chociaż właśnie ogląda się na Fina. Zdają sobie teraz sprawę, że on zawsze wie, gdzie jestem, zawsze ma mnie na oku.

– Kal... – zacznam cicho.

Nie jestem pewna, co powiedzieć. Wiem tylko, że chcę o tym porozmawiać. On słucha, chociaż nie odrywa wzroku od budynków i otaczających nas statków.

– O co chodzi, be'shmai?

– Dużo myślałam. O tym, co powiedziałaś.

Milczy, a ja uznaję, że to w porządku – już odsłonił przede mną serce. Na jego miejscu też nie zgłosiłabym się na ochotnika do drugiej rundki wyznań.

– Cieszę się, że mi powiedziałaś. To nie mogło być łatwe.

Milczy jeszcze przez chwilę, ale rozważa moje słowa, a nie po prostu nie chce zareagować. Fin znajduje się daleko poza zasięgiem słuchu, kiedy Kal w końcu mówi:

– Rzeczywiście nie było, ale byłem ci winny prawdę.

Kiedy podchodzimy powoli do pierwszego skifu, rozglądam się po ruinach miejsca, które mogło być moim światem. Kal podnosi swój unikron i kieruje na silniki, dokonuje jakiegoś odczytu. Po chwili wzdycha i kręci głową – nic z tego. Rdzeń w skifie nie działa. Ruszamy do następnego.

– Przepraszam, że nie zareagowałam od razu – dodaję. – To było... zaskoczenie. Dla ciebie pewnie też. To znaczy, kiedy pierwszy raz się zorientowałaś.

– Rzeczywiście było. – Waha się. – Wy, Terranie, mówicie: „tam dom twój, gdzie serce twoje”. Kiedy mój świat umarł, myślałam, że moje serce umarło wraz z nim. Nie sądziłem, że mogę coś takiego poczuć. W stosunku do kogokolwiek. O istocie ludzkiej nie wspomnę.

– A jednak.

– A jednak.

– Mimo to zamierzasz odejść, gdy to się skończy.

– Tak. – Idzie z uniesioną bronią, a ja obok niego. – Wstąpiłem do Legionu, bo chciałem uciec. Od wojny między moimi pobratymcami. Od wojny w mojej duszy. Jednak dorzucenie mrocznej części siebie tylko ją umacnia. Zamykając ją w klatce, zaprzeczam części swojej istoty... Nie mogę przestać być tym, kim jestem. Zamiast tego muszę zapamiętać się w gniewie, żeby się opamiętać.

Wzrusza ramionami.

– Ludzie mojej matki mieli takie powiedzenie: „Ke'tma indayōna be'trai”. To znaczy... nie idziesz sam, gdy kroczysz swoją prawdziwą ścieżką. Będę w stanie ruszyć swoją ścieżką, wiedząc, że ty idziesz swoją. Respektując twoje życzenia, respektuję odczuwane Przyciąganie. A moja ścieżka prowadzi z powrotem do moich ludzi. Do wojny, która nas dzieli.

Widzę, ile kosztują go te słowa. Ile kosztuje go myśl o odejściu. Domyślam się, że to tylko pretekst. Teraz, kiedy już wiem, czego szukać, widzę, że nie jest zbyt dobrą kłamką.

Zerkam na dezelator w jego ręce. Na krew na jego dłoniach.

– Jesteś pewien, że to twoja prawdziwa ścieżka?

Patrzy w tym samym kierunku co ja i zaciska mocniej ręce na karabinie.

– Wychowano mnie na wojownika.

Przez chwilę zerkam na niego z ukosa, żałując, że nie chce mi spojrzeć w oczy, ale on niezłomnie skupia się na otoczeniu. A kiedy milczenie się przeciąga, rozważam jego słowa i dociera do mnie nagle, że nie tylko on musi znaleźć sposób, by ruszyć własną ścieżką.

Prawda jest taka, że boję się tego, czym się staję. Wyczuwam to teraz w sobie, gdy się skupię. Tu chodzi o coś znacznie większego. I chociaż wiem, że stanowią tego część, boję się, że zatracę w tym siebie. Gdybym jednak nad tym zapanowała, gdybym potrafiła wezwać tę moc, czymkolwiek jest, mogłabym powstrzymać walkę, zanim Cat została ranna.

A czy chronienie przyjaciół nie jest warte ryzyka?

Zaczynam myśleć, że muszę wybrać między surfowaniem na fali – ledwie zachowując jakiś pozór kontroli, ale przynajmniej próbując sterować tym, co się dzieje – a pozwoleniem, żeby mną ciskała. Żeby mnie zalewała i zalewała, aż w końcu utonę.

Patrząc na Kala, zdaję sobie sprawę, jacy jesteśmy podobni. Oboje jesteśmy sami. Oboje nie mamy domu. Obojgu nam wybrały ścieżkę siły pozostające poza naszą kontrolą. Powie-

dział, że nigdy nie słyszał o Syldraninie, który poczułby Przyciąganie do istoty ludzkiej. Bycie zdany na łaskę Przyciągania i na łaskę wojownika, którego nosi w sobie – to musi być bardzo trudne.

– Przykro mi, że nie możesz sam dokonać wyboru – mówię w końcu.

Zerka na niebo, słońce odbija się w jego fioletowych oczach.

– Czy księżycy wybierają planety, wokół których krążą? A planety słońca? Kim jestem, żeby odmawiać grawitacji? Skoro ty błyszczysz jaśniej od wszelkich innych konstelacji na niebie?

Patrzę na tego dziwnego chłopca obok mnie. Tak łatwo byłoby widzieć w nim po prostu broń – z jego obitymi kostkami dłoni, arogancką gracją, chłodem w fioletowych oczach. Pewnie, że piękną, ale stworzoną do rozlewu krwi. Jednak tu, na tym niemożliwym świecie, zaczynam dostrzegać możliwości. W nim. W sobie.

W nas.

– Możliwe, że zostałeś wychowany na wojownika, ale jesteś czymś więcej – mówię.

Wsuwam wolną rękę w jego dłoń i ściskam ją lekko. W pierwszej chwili wzdryga się lekko, jakby zaskoczony, ale potem bardzo delikatnie odwzajemnia uścisk. Zerka na mnie i zaraz odwraca wzrok.

– Co znaczą imię, którym mnie nazwał?

– Be'shmai? Nie ma na to odpowiedniego terminu w ludzkim języku.

– A jest nieodpowiedni?

Wyjaśnia mi bardzo cicho.

– Ukochana.

Dziela nas dwa bioskafandry i deszcz niebieskiego pyłku, ale nagle żałuję, że nie jesteśmy w jakimś innym miejscu daleko stąd. Gdzieś, gdzie jest cicho i ciepło. Gdzie nie ma świadków.

– Kal – mówię i najdelikatniejszym naciskiem dłoni sprawiam, że się zatrzymuje.

Rozgląda się wokół nas uważnie, a kiedy już się upewni, że przez chwilę będziemy bezpieczni, patrzy na mnie przez osłonę hełmu.

W jednej ręce trzymam broń – to ważna rozmowa, ale nie chcę umrzeć w jej trakcie – z drugiej wypuszczam jego dłoń, żeby oprzeć ją na jego piersi. Tam byłoby jego serce, gdyby był człowiekiem, i na chwilę otrzeźwia mnie myśl, że nie wiem, gdzie mają serce Syldranie.

To jest jedna z tych rzeczy, których chcę się dowiedzieć.

– Doceniam to, co zrobiłeś – mówię cicho. – Że chciałeś oszczędzić mi poczucia, że jestem do czegoś zobowiązana. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak bardzo to musiało być dla ciebie trudne. To było honorowe.

Przełyka ślinę i na chwilę traci cząstkę opanowania.

– Oczywiście – szepcze. – Dla ciebie...

Czuję pod dłonią opartą o jego żebra, że oddycha szybciej, ale stara się pozostać nieruchomy.

Myślę sobie, że zdołałabym go utrzymać w miejscu, kładąc na nim opuszkę.

– Zastanawiam się, czy mógłbyś zrobić dla mnie coś jeszcze.

– Co zechcesz.

Nie mogę się powstrzymać i uśmiewam się. Odrobinię.

- Pozwoliłbyś mi samej wyrobić sobie zdanie na twój temat? Nie chcę składać obietnic, których nie będę mogła dotrzymać, ale czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że gdybyś pozwolił, żebym cię poznała, mogłabym odwzajemnić twoją sympatię?

Patrzy mi w oczy i przez osłonę w hełmie widzę ledwie dostrzegalny rumieniec wpływający mu na uszy.

- Nie - przyznaje cicho. - Nie pomyślałem o tym.

Bardzo delikatnie, bardzo ostrożnie zaciskam rękę na jego piersi, łapiąc go za bioskafander i przyciągając go bardzo powoli ku sobie. Na policzkach mam ślady od zaschniętych łez, widzę wszystkie odcienie fioleto w jego oczach, krwawy ślad na policzku - rozcięcie od odłamka wybuchającego Zapalnika. I kiedy nasze hełmy się stykają, znajdujemy się tak blisko, że mogłabym policzyć jego rzęsy.

Zamiera w bezruchu. Dla mnie.

- Nie wiem, co będzie potem, ale może przekonamy się, dokąd doprowadzi nas ta ścieżka? - mówię cicho. - Przekonajmy się razem.

- Mogłabyś... - Słowa przesycone nadzieją zamierają na jego ustach.

- Nie jestem Syldranką - mruczę. - Nie potrafię tak jak ty skoczyć od razu na głęboką wodę. Gdybyś jednak przestał...

- Być dupkiem? - podsuwa z bladym uśmiechem.

Nie mogę się powstrzymać i reaguję śmiechem.

- Może - odpowiadam. - Mielibyśmy wtedy szansę przekonać się, co się stanie. Czy to brzmi jak coś, co mógłbyś zrobić?

Dobrze wiem, że to nie jest łatwe pytanie. Proszę, by pozostawił serce bez ochrony tylko po to, żeby się przekonać, czy dziewczyna innego gatunku zdoła odwzajemnić jego miłość. Proszę, żeby umocnił już trwałą na całe życie więź, przez co będzie jeszcze bardziej cierpiał, odchodząc, a ja nie wiem, co będę w stanie zaoferować mu w zamian.

Łączy nas jednak tak wiele podobieństw. I coś w nim dostrzegam.

Myślę, że to może być warte ryzyka.

Kal odwraca wzrok, rozważając pytanie, i tym razem to ja czekam. Oddycham teraz równie szybko jak on. Odliczam kolejne uderzenia serca.

Dochodzę do dziesiątego, kiedy patrzy na mnie raz jeszcze, nadal stojąc bardzo blisko, opierając się hełmem o mój.

- Tak - mrużę.

- Tak - powtarzam.

Jest jakaś delikatność w jego uśmiechu, która sprawia, że czuję zaciskanie w brzuchu. A potem przez unikron Kala niesie się trzask i głos Finiana.

- Elfiku, jesteś tam?

Odsuwamy się od siebie. Powracamy gwałtownie do rzeczywistości. Serce mi wali i ręce się trzęsą, kiedy Kal dotyka urządzenia przy pasku.

- Słyszę cię, Finian - odpowiada, mrugając, jakby otrząsał się z zakłęcia.

- No dobra, nie domagajcie się wszyscy naraz mojego autografu, ale myślę, że znalazłem dla nas odpowiedź. Jestem przy frachtowcu klasy D na południowym końcu portu, chodźcie

popatrzeć.

– Już idziemy.

Kal uśmiecha się do mnie słodko i ciepło. Biorę głęboki wdech i kiwam głową. Wyciąga do mnie rękę, a ja ją łapię. Czuję siłę jego uścisku. Podnosi karabin i znowu odzywa się w nim wojownik. Teraz jednak dostrzegam w nim coś jeszcze.

Widzę, że jest mój.

Splatamy palce i ruszamy przez pofalowany błękit.

* * *

– Chcecie usłyszeć dobrą wiadomość czy złą?

Fin opiera się o staroświecką konsolę frachtowca, którą jakimś cudem zdołał ożywić za pomocą swojego unikronu. Śrubokręt tkwi między dwoma panelami i czymś, co wygląda jak awaryjna jednostka zasilania. Lepki niebieski pył pokrywa każdą powierzchnię, pnącza i wąsy przebiły się przez kadłub i tłoczą się prawie wszędzie. Zważywszy na to, w jakim stanie jest statek, jestem zdumiona, że Fin zdołał cokolwiek uruchomić, nie mówiąc już o wydobyciu jakichkolwiek informacji.

– Dobrą – mówię.

– Złą – odzywa się jednocześnie Kal.

Fin uśmiecha się znacząco, zauważając to, że trzymamy się za ręce.

– To miło, że takie gruchające gołąbki jak wy mają jeszcze nad czym popracować. Zła wiadomość jest taka, że żaden z tutejszych statków nie będzie miał rdzenia kompatybilnego z naszym reaktorem. – Zerka na mnie i wzrusza ramionami. – Wygląda na to, że wy, ziemniaki, korzystaliście wtedy z prostych napędów plutonowych. Jednak dobra wiadomość jest taka, że będę w stanie zsyntetyzować to, czego potrzebujemy. Muszę tylko uruchomić kolonijny reaktor.

– Nie powinno ich byćccc.

Głos rozlega się za naszymi plecami. Obracamy się gwałtownie i widzimy w mroku trzy stojące postaci. Pierwsza to zwalisty mężczyzna, druga to blebszy młodszy mężczyzna mniej więcej w moim wieku, a ostatnia to kobieta o brązowej skórze i splątanych czarnych włosach, które sięgają jej do pasa. Kępy kwiatów wyrastają im z oczu, mech porasta twarze. Znika na wysokości szyi, gdzie pokrywają ich pnącza, które owijają się wokół ich rąk i nóg. O ile agenci GAW wyglądali na zainfekowanych przez tę samą... chorobę, o tyle ci są doszczętnie nią przeżarci.

– Motyla noga – szepczę.

Kobieta odwraca się do mnie i przechyla głowę.

– Aurora? – mówi i brzmi to prawie czule.

Kal robi krok do przodu, stając między nami, i unosi broń.

– Ani kroku dalej.

Młodszy mężczyzna robi krok przed siebie, powłócząc nogami. Pnącza na rękach kobiety zaczynają się wić, ale to jej głos zwraca moją uwagę. Jej oczy są kwiatami, ale jakimś cudem

wiem, że patrzy na mnie, że mnie widzi, kiedy syczy jak wąż:

- Sssama nam się dosstarczyła?

- Jayla - mówię powoli, na próbę. - Jayla Williams.

Kolejna kolonistka. Wybrano ją do sekcji kartograficznej Patrice rok przede mną. Przechyla głowę, jakby próbowała ogarnąć moją obecność. Jakbym była ostatnią osobą w Galaktyce, jaką spodziewała się ujrzeć. Wzrok większego mężczyzny jest skupiony na Kalu, młodszy kołysze się na piętach i syczy. Wszędzie wokół nas pnącza i rośliny porastające port kosmiczny zaczynają zgodnie falować, poruszać się. Powoli wiją się, suną po pokładzie w naszym kierunku.

- Nie powstrzymają rozzzzzpleniania ssssię - mówi kobieta, kręcąc głową i obnażając czarne zęby. - Nie powinno ich tu być!

- Nie prowokuj mnie, nie będzie drugiego ostrzeżenia - oznajmia Kal.

Młody mężczyzna patrzy na niego ze zdziwieniem. Robi kolejny krok.

- Co to jest „mnie”?

I z prędkością błyskawicy cała trójka nas atakuje. Ich szybkość jest osłepiająca.

Kal zdąży tylko dwa razy strzelić - pierwszym strzałem pozbawia większego mężczyzną głowy, która bucha fontanną niebieskich zarodników, a drugim wypala czarną dziurę w piersi młodszego, który pada na podłogę. Jayla jednak go dopada i zaciska palce na jego dezelatorze.

Podnoszę broń, ale Jayla reaguje zbyt szybko, wymachuje stopą i broń wylatuje mi z rąk, a ja padam na kolana i prześlizguję się przez pokład. Jayla uderza Kala, ale jemu udaje się zablokować cios, łapie ją za nadgarstki i blokuje jej ruchy.

Zaczynają się siłować. Kal jest od niej wyższy, ale zaciska zęby i żyły występują mu na szyi. Desperacko próbują doczołgać się do broni, rośliny łapią mnie za ręce, owijają mi się wokół kostek, tak jak pochwytyły Kala, gdy zaatakował nas szympanś.

Pnącza wiją się wokół butów Kala jak węże, oplatają mu łydki i unieruchamiają. Syldranin otwiera szeroko oczy, gdy kobieta pochyla się ku niemu. Obraca jego karabin z potworną siłą, aż wylot lufy znajduje się pod jego brodą. Kal zgrzyta zębami, gdy jej palce zamykają się na spuście.

- Be'shmai... - mówi z trudem. - Uciekaj.

Bach!

Bach!

Bach!

Kobieta zatacza się do tyłu, gdy rozlegają się strzały z dezelatora. Pierwszy trafia ją w zębra, drugi w ramię, a trzeci idealnie w kwitnące oko i przechodzi na wylot.

Zielonkawoniebieski rozbryzg brudzi ścianę za Jaylą. Kobieta wydaje z siebie dziwny dźwięk i chwije się na nogach. Potem powoli osuwa się na ziemię, a rośliny wokół nas całkowicie nieruchomieją.

Kal ogląda się przez ramię na Fina, który stoi z dezelatorowym pistoletem w ręce. Kal unosi srebrzystą brew i obrzuca drobniejszego chłopaka spojrzeniem od stóp do głów.

- Dobry strzał - szepcze, ewidentnie z trudem odzyskując typowy dla niego spokój.

Finian uśmiecha się szeroko i chowa broń do kabury.

- No jasne. Żaden ze mnie wojownik, co?

- Trzymaj się, Cat. Słyszysz? - mówi Tyler. - Już prawie jesteśmy na miejscu.

Dziewczyna, którą niesie na rękach, moja współlokutorka, jego najlepsza przyjaciółka, tylko jęczy w odpowiedzi.

- O-oni nadchodzą...

- Scar, ile jeszcze zostało do centrum medycznego? - pyta mój brat.

- Jakies osiemset metrów - odpowiadam drżącym głosem.

Widzę już przed nami budynek, wysoki pośród kłębiących się obłoków pyłku. Jest dwupiętrowy - to pewnie najwyższa budowla w kolonii poza samym reaktorem. Zielone krzyże na bokach są ledwie widoczne pod poskręcanyimi niebiesko-zielonymi pnączami, czerwonymi jak krew kwiatami i srebrnymi liśćmi. To miejsce przypomina starożytne ruiny na Terrze, porzucone wieki temu przez ludzi i pozostawione na pastwę natury. Tyle że mam wrażenie, że ludzie bynajmniej nie porzucili tego miejsca. I nie ma w nim niczego naturalnego.

Tyler niesie Cat na rękach - jest zbyt ranna, żeby iść o własnych siłach. Zila idzie na końcu, jak zwykle niewzruszona jak kamień. Ja idę pierwsza i nie jestem nawet w przybliżeniu równie spokojna. Ciągłe strzelam oczami na boki. Pocę się w bioskafandrze, oddycham szybko. Roślinność porasta wszystko, faluje i kołysze się jak powierzchnia oceanu, tyle że zawsze w naszym kierunku. Pyłek jest gęsty i lepki. Od czasu do czasu muszę przystanąć, żeby otrzeć szybę hełmu. Myślę o Cat i rozdarciu w skafandrze. Zastanawiam się...

- Ruch! - woła Zila, patrząc na unikon. - Trzysta metrów!

Widzę, jak wynurzają się z oparów, sadząc długie susy. Futro mają porośnięte chwastami, pnączami, kolczastymi liśćmi i kwiatami w kolorze krwi, ale pod tym wszystkim nadal rozpoznaję szympany. Poruszają się szybko, pokonują pionowe powierzchnie budynków kolonii jak pająki, albo płyną przez zarośla, jakby to była woda. Dopadną nas, zanim dotrzemy do centrum medycznego.

- Strzelać! - krzyczy Tyler.

Przykłamam i zaczynam strzelać z dezelatora, odrzut szarpie moje ręce. Prawda jest taka, że kiepski ze mnie strzelec. Przez większość ostatniego roku na zajęciach snajperskich flirtowałam ze swoim partnerem ze strzelnicy. (Troj SanMartin, Były chłopak nr 48. Plusy: kocha matkę. Minusy: nazywa mnie imieniem swojej matki). Za to Tyler ze swoim wynikiem trafił do górnych dziesięciu procent, a Zila pewnie śpi z bronią pod poduszką.

Strzały dzwonią na pustych ulicach. Może mi się wydaje, ale za każdym razem, gdy pada jeden z tych niby-szympanów, roślinność wokół nas... szepcze. Liście drżą, jakby wiało, ale

nie ma najmniejszego wiatorku. Niebieska krew pryska, zwierzęta padają z wrzaskiem. Jest ich mnóstwo.

Jedno z nich rzuca się na mnie, rozchyła omszałe usta i szczyrzy zęby, oczy ma pełne kwiatów. Celuję pewnie, próbując przypomnieć sobie lekcje strzelania, ale ręce mi się trzęsą. Strzelałam raz, drugi. Za trzecim trafiam szympansa w rękę. Zwierzę obraca się w miejscu, ale potem znowu atakuje. Jest już czterdzieści metrów ode mnie. Dwadzieścia.

Skacze na mnie z pyskiem otwartym do wrzasku. I wtedy jego głowa... rozwiera się jeszcze szerzej.

Usta rozwierają się nienaturalnie.

Cała twarz rozwiera się i jakby schodzi z czaszki.

I wreszcie czaszka rozwiera się na torsie, aż cała górna część jego ciała otwiera się jak jakiś ohydny kwiat, gotowy połknąć mnie w całości.

Tkwią w miejscu unieruchomiona zgrozą tego widoku, już tylko pięć metrów dzieli mnie od zwierzęcia i nic nie poradzę na to, że zacznę krzy...

Bach!

Niby-szympanś pęka jak balon z wodą. Strzał z dezelatora Tylera odrzuca zwierzę na bok, krew obryzguje zarośla. Gdy posoka dotyka roślin, drżą i wzdychają. Zila pali je na popiół, zanim któraś spróbowałaby nas zaatakować. Serce wali mi w piersi i nogi mi się trzęsą, szukam jakiejś ostrej, hardej odzywki, ale już mnie na to nie stać. Ty idzie z Cat na rękach. Widzę krew na jej bioskafandrze, łatę, niebieski pyłek, który przywarł do srebra.

Kiedy Ty ociera jej hełm, zauważam, że oczy Cat też są niebieskie.

A były brązowe.

- T-Tyler - jęczy Cat. - N-nadchodzą.

- Scar, musimy iść - mówi mój brat. - Natychmiast.

Głos ma jak ze stali, ale wyczuwam w nim strach. Znamy się od urodzenia. Potrafię go odczytać jak nikt inny. Wiem, że za tą fasadą, za spokojnym tonem i pewnymi rękami kryje się przerażenie.

Boi się o nas.

Boi się o nią.

Mrugam. Kiwam raz głową. A potem wstaję z kolan i ruszam szybko. Biegniemy zarośniętymi ulicami, przez rozkołysane paprocie, przed nami wznosi się centrum medyczne.

Musimy strzelać, żeby przebić się przez pnącza do wejścia. Nie jestem pewna, co Tyler miał nadzieję tu znaleźć. Nawet gdyby to miejsce nie zostało pochłonięte przez tę... infekcję, placówka miałaby dwieście lat. Dociera do mnie, jak desperacki i beznadziejny był ten plan.

Wnętrze jest ciemne, okna zarosły, zasilanie dawno temu przepadło. Kierujemy w górę reflektory naszych skafandrów, jasne promienie przecinają mrok. Centrum całkowicie zarosło - na podłogach płoży się mech, na ściany wspięły się pnącza i lepkie kwiaty.

- Zila, czego potrzebujemy? - pyta Tyler.

Dziewczyna kręci głową, patrząc na Cat. Przez hełm widzę, że nasza pilotka ma otwarte niebieskie oczy, rzęsy jej trzepoczą. Skórę ma zlaną potem. Przysięgłabym, że dostrzegam delikatny srebrzysty połysk tej warstewki.

- Nie jestem pewna, dowódco - mówi Zila. - Nigdy nie widziałam podobnych objawów...

- Improwizuj - warczy Tyler. - Jesteś moim Mózgiem. Potrzebuję cię teraz.

- Magazyn z lekami - mówi. - Nie wiem, jakimi środkami tu dysponowano i co nie zepsuło się po dwustu latach, ale może uda mi się upichcić coś bakteriobójczego albo jakiś inhibitor, jeśli znajdziemy zapasy.

- W porządku. - Tyler kiwa głową. - Ruszajmy.

Idziemy przez ciemne wnętrza medycznego centrum. Przy każdym kroku niesie się trzask i wilgotny chrzęst deptanej roślinności. Panuje potworny skwar, jakbyśmy znaleźli się w saunie. Cat płytko oddycha, a mnie samej serce mocno wali w piersi. Sprawdzamy jedno pomieszczenie za drugim, ale wszystkie są zarośnięte, nie nadają się do użytku, nie da się rozpoznać ich przeznaczenia. Widać mgliste zarysy czegoś, co może być łóżkami, czegoś, co mogło być komputerami, drobinki lśniącego niebieskiego pyłku tańczą w powietrzu.

Cat podnosi rękę, łapie mojego brata za ramię.

- Tyler...

- Cat, spokojnie, dobrze? - mówi do niej Tyler. - Wyciągnij cię z tego.

- T-ty... - Cat kręci głową, z trudem przełyka ślinę. - N-nie rozu... miesz.

- Cat, skarbie, proszę - odzywam się. - Staraj się nie mówić.

- Ja... widzę - szepcze Cat.

- Co widzisz? - pyta Zila.

- Agentów GAW. - Cat zamyka niebieskie od niedawna oczy. - N-nadchodzą.

- Prom, który widzieliśmy. - Zila patrzy na Tylera. - Niedobitki z *Bellerofonta*.

- Zila, co się z nią dzieje? - pytam.

Nasza oficer naukowa marszczy brwi, zaciska usta. Widzę, jak jej nadzwyczajna inteligencja przetwarza informacje. Obojętność pozwala Zili widzieć wszystko z jasnością, której mogę jej tylko pozazdrościć. Zastanawiam się, co sprawiło, że stała się taka. Jak została tym, kim jest.

Po chwili namysłu odwraca się i strzela z dezelatora w ścianę. Rozumiem, że kiedy wszystko inne zawodzi, nawet ona chwyta się znanych rzeczy. Strzał sprawia, że wycinek roślinności obraca się w popiół, z niebiesko-zielonych liści zostają zwęglone szczątki. Tak samo jak wtedy, kiedy zabijaliśmy szympansopodobne stwory, pozostałe rośliny wokół nas falują, szepczą i drżą. Serce mi się zaciska, gdy Cat też drży.

- Oooch - jęczy. - Ooooch.

Zila przesuwa unikron nad jej ciałem. Urządzenie popiskuje i potrzaskuje. Zila gra na nim jak pianista na koncercie.

- Legionistko Madran? - pyta Tyler.

Zila kręci głową.

- Mam bardzo mało danych. A jest tak wiele zmiennych. Jednak te rośliny, zakażone zwierzęta... wszystko, co widzieliśmy... dostrzegam między nimi jakąś zgodność. Kiedy jedno jest ranione, pozostałe odczuwają ból.

Wracam myślami do mostku na Łuku. Do słów, które wypowiedziała Aurora, kiedy wskazała świecące czerwone kropki na gwiazdnej mapie.

- Jednia – szepczę.

Zila kiwa głową.

- Jednia, tak. Niezliczone organizmy są tak naprawdę jednym bytem. Jakby wszystko na tej planecie, wszystko, co zostało skażone tą roślinnością... jakby to wszystko było ze sobą połączone.

Cat dygoce konwulsyjnie na rękach Tylera, dostaje jakiegoś napadu. Szczyrzy zęby, miota się, Tyler kładzie ją na podłodze ze łzami w oczach.

- Cat? – pyta. – Cat, słyszysz mnie?

- Ra'haam – jęczy, powtarzając słowa Auri z mostku.

- Wytrzymaj, rozgryziemy to, obiecuję.

Cat jęczy, odchyła głowę, napina każdy mięsień, gdy podnosi się z podłogi, wyginając ciało w idealny łuk.

- Ra'haaaa-a-a-aam!

Jestem bezradna. Chce mi się krzyczeć. Każda odrobina mojego strachu, mojego przerażenia odzwierciedla się w ciele Tylera, w sposobie, w jaki pochyla się nad Cat, przesuwa bezradnie dłonią po jej rękę, dotyka jej tak ostrożnie, jakby mógł ją złamać.

Wiem, co wydarzyło się między nimi na przepustce. Żadne z nich mi nie powiedziało, ale się domyśliłam. Wrócili z nowymi tatuażami i z nowym dystansem między sobą. Widziałam, że Cat chce zmniejszyć ten dystans. Rozumiałam, dlaczego Tyler tego nie chce. Dlaczego to mogłby być błąd. I dlaczego to mogłaby być dla nich obojga najlepsza rzecz pod słońcem. Bo chociaż Ty kocha ideę bycia przywódcą, żołnierzem, kimś, z kogo byłby dumny nasz tata, to wiem, że pewna jego część kocha także Cat.

Tylko że on jeszcze nie odkrył, jak ją kochać.

Co zrobi, jeśli teraz ją straci?

- C-czuję t-to – udaje się wykrztusić Cat. Pot perli się na jej czole. – Czuję ich. To miejsce, ta planeta... Wiem, co to jesssst.

Wzdycha i opada na mech. Oczy ma otwarte. Mają ten sam lekko świetlisty odcień błękitu, co latający wokół nas pyłek. Ze zgrozą spostrzegam, że jej źrenice nie są już okrągłe.

Mają kształt kwiatów.

- Cat? – Zila klęka obok niej. – Co to jest Ra'haam?

Nasz As patrzy na nią. Na jej rzęsach błyszczą łzy.

- To my.

- Na oddech Stwórcy – szepcze Tyler. – Twoje oczy...

Cat wyciąga dłoń i łapie Tylera za rękę tak mocno, że ten aż się wzdryga.

- Z-zabierz ich ssstąd – syczy, zaciskając zęby. – Zwłaszcza Auri. Chciało zabić was wszystkich, żeby tylko ona tu nie trafiła, ale kiedy już się tu znalazła... nie... możesz pozwolić, żeby to ją zabrało.

- Cat...

- C-czuję to. – Kręci głową, łzy płyną jej po policzkach. – Czuję to w sobie, Tyler. Na miłość Stwórcy... zabierz... ją ssstąd.

Ręce mi się trzęsą i nie mogę nadażyć z oddechem. Nie jestem w stanie mówić, łyzy podchodzą mi do gardła i dławię się szlochem. Zila mówi jednak to, co ja myślę:

- Ale przecież doprowadziła nas tutaj mapa w Zapalniku.

- Nie rozu... rozumiecie? - Cat kręci głową, znowu wygina kręgosłup. - To nie było zaproszenie. T-t-to było ostrzeżenie...

Milknie, zamyka oczy i trzęsie się jak w gorączce. Patrzę na brata, widzę, że twarz ma bladą jak trup. Rozpacz maluje się w jego oczach. Cierpienie. To samo potworne uczucie, jakie narasta też w mojej piersi. W centrum medycznym nie ma nic, czym moglibyśmy się posłużyć. Wrogowie zbliżają się - agenci GAW w szarych zbrojach i kto wie, co jeszcze. Ty musi podjąć decyzję, zdecydować, co jest ważniejsze. Musi przedłożyć potrzeby grupy nad własne uczucia. Tak właśnie postępują dobrzy przywódcy.

Patrzy mi w oczy. Mówię do niego bez słów.

Wskaż drogę, bracie.

Sięga do pasa skafandra Cat i bierze jej unikron.

- Kal, co u was?

- Nie powiodło nam się w kosmodromie - odpowiada nasz Czołg. - Ale Finian mówi, że może zsyntetyzować potrzebne komponenty do nowego rdzenia, jeśli będzie miał dostęp do kolonijnego reaktora. Właśnie tam idziemy.

- Nikomu nic się nie stało?

Kal zniża głos, jakby nie chciał, żeby ktoś go podsłuchał.

- Aurora jest... niespokojna. Natknęliśmy się na kolejnych kolonistów zakażonych tą samą chorobą co szympansy. Jeden mówił o... Rozplenianiu?

- Tak - wzdycha Cat, wijąc się na podłodze.

Biorę ją za rękę, a ona otwiera oczy i patrzy na mnie. Chcę odwrócić wzrok od ich nienaturalnego koloru, od źrenic w kształcie kwiatu. Zamiast tego ściskam jej palce i zmuszam się do uśmiechu.

Tyler bierze drżący wdech.

- Podejrzewamy, że przynajmniej jeden z agentów GAW znajdował się na wahadłowcu. Prom musiał pochodzić z *Bellerofonta*. Zmierzają w naszym kierunku.

- Reaktor kolonii to najlepiej umocniona budowla w osadzie. Jeśli planujemy obronę, to powinniśmy się tam zebrać.

- Przyjąłem, przyjdziemy do was.

- Do tego czasu opracuję plan obrony.

- Dotrzemy najszybciej, jak się da. - Tyler z trudem przetyka ślinę. - Kal... powiedz wszystkim, że mają pilnować, żeby nie uszkodzić bioskafandrów. W żadnym razie nie możecie pozwolić, żeby którykolwiek został przedziurawiony. Zrozumiano?

- Zero, czy ona...

- Zajmij się tym, legionisto. Niedługo przyjdziemy. Bez odbioru.

Ty puka w unikron i kłęk obok Cat. Obejmuje jej ramiona i ją podnosi. Ona jednak kręci głową i kładzie rękę na jego piersi.

- N-nie - szepcze. - Zostaw mnie.

Tyler unosi przeciętą blizną brew i na chwilę powraca jego zwykły czar.

- Nie wiedziałem, że przymierzasz się do kariery komediantki.

- Mówię... poważnie. Zostaw mnie.

- Za nic. - Tyler wstaje płynnie, trzymając Cat na rękach.

Głowa jej opada, ciało wiotczeje. Mimo to zbiera się w sobie z widocznym wysiłkiem i unosi głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

- Ja w-widzę to - szepcze. - A to widzi was wszystkich poprzez mnie. - Kręci głową, jej głos wyraża zdumienie. - To jest tak wielkie. Tak wielkie, a ja wpadam w to i musisz dać mi odejść.

- Nie.

- Proszę.

- Posłuchaj mnie, Brannock - mówi Ty, a w jego głosie pobrzmiwa stal, chociaż ma lzy w oczach. - Jesteśmy Legionem Aurory, a my nie porzucamy swoich ludzi. Rozumiesz?

Cat oblizuje usta, zamyka oczy.

- Legionistko Brannock, zadałem pytanie! - krzyczy.

Cat otwiera oczy i bierze drżący wdech.

- Co więcej... - mówi Ty swoim najlepszym tonem dowódcy. - Chyba nie muszę przypominać, że jestem twoim zwierzchnikiem. Zatem, jeśli zamierzasz tu leżeć, jeśli myślisz o tym, żeby teraz wymięknąć, to tak ci skopię tyłek, że gula w twoim gardle to będzie moja pieprzona pięta, jasne?

Tyler Jones, dowódca drużyny pierwszej klasy, nie przeklina. Tyler Jones nie pije ani nie zażywa narkotyków, nie robi niczego, co my, zwykli śmiertelnicy, robimy dla zabawy. Nie pamiętam, kiedy tak przeklinał. Wątpię, żeby Cat to pamiętała.

- Jasne?! - ryczy Tyler.

Słowa dają pożądaný efekt. Cat przełyka ślinę i patrzy nieco przytomniej. Przystaje tak kurczowo trzymać go za ramię i szepcze:

- Tak jest...

- Nie słyszę, legionistko Brannock!

Cat mruga i powoli kiwa głową.

- Tak jest, dowódco.

Ty patrzy na Zilę i na mnie. Widzę w nim dowódcę, widzę w nim naszego tatę - płonie w nim tak jasno, że chce mi się płakać. Chcę go objąć, powiedzieć, jaka jestem z niego dumna. Zamiast tego staję na baczność. Bo tak robią legioniści.

- Scar, idziesz na szpicy - rozkazuje Ty. - Zila, pilnujesz tyłów. Idziemy ostro i szybko do wieży reaktora, żeby spotkać się z resztą drużyny. Jeśli cokolwiek wejdzie nam w drogę, palimy to na popiół. Nikt z tej drużyny dzisiaj nie umrze, wyrażam się jasno?

- Tak jest, dowódco - odpowiadamy.

- Świetnie. Ruszajmy.

Wszędzie wokół mnie Tyler i jego drużyna przekształcają reaktor w miejsce, w którym będziemy mogli stawić opór. Przeciągają szafki, żeby zablokować wejścia, wypalają pnącza w oknach, zastanawiają się, jak umocnić naszą obronę za pomocą tego, co się tu zachowało.

Siłuję się z solidnym stołem, obracam go na bok przed Cat jako ostateczną rozpaczliwą osłonę, gdyby wrogowie dostali się do nas przez okna. Co chwila napotykam wzrok Kala, chociaż jest bardzo zajęty – jest silniejszy od połowy nas razem wziętych. Mimo to nadal czeka, kiedy spojrzę w jego stronę.

Jestem cała w nerwach, ustawiamy stół. Agenci GAW idą po mnie, ale wiem, że zabiją tu wszystkich. Nie wrócimy na Łuk bez walki, nie mamy szansy go naprawić, uciec. Będziemy walczyć na śmierć i życie. Jestem przerażona.

– Wahadłowiec GAW zbliża się do naszej pozycji. – Zila opuszcza lornetkę spokojna jak zawsze. – Będą tu za jakieś trzy minuty.

– Mam pomysł – odzywa się Scarlett. – Możemy uciec z planety ich statkiem?

Finian wstaje z miejsca, w którym kucał przy do połowy wybebeszonym komputerze. Przy każdym ruchu słychać cichy jęk serwomechanizmów. Antyradiacyjną obudowę podpięto do rdzenia kłębowiskiem kabli i rur, które trzymają się razem na słowo honoru. Podobno ta prowizorka syntetyzuje to, czego potrzebujemy do naprawy reaktora na Łuku, którą będziemy mogli się zająć po wyjściu stąd.

O ile stąd wyjdziemy.

Kuśtyka do okna, zerka na nadlatujący statek i kręci głową.

– To zwykła balia – mówi. – Jest przeznaczony do krótkich przelotów między powierzchnią a atmosferą. Jeśli chcemy przelecieć przez Fałdę, to potrzebujemy Łuku. – Zerka na Tylera. – Ale moglibyśmy szybko dostać się nim na nasz statek. Gdybyśmy dysponowali na przykład genialnym taktikiem ze świetną fryzurą i śmiałym planem kradzieży promu.

Tyler podnosi wzrok z miejsca w pobliżu okna, gdzie z Kalem ustawiają karabin-dezelerator na prowizorycznym trójnogu.

– Pracuję nad tym.

– No dobra, kiedy ty będziesz szukał szczotki do włosów, ja pójdę na wyższy poziom do kontroli głównej – oznajmia Fin. – Może uda mi się zwiększyć moc wyjściową i ominąć protokoły bezpieczeństwa związane z zasilaniem.

– Po co? – pyta Scar.

- Mogę przepuścić prąd przez metalowe części budynku. Przez rusztowania serwisowe, klatki schodowe, tego typu rzeczy. Odciąć dostęp, usmażyć ich.

- A my nie usmażymy się przy okazji?

Fin kręci głową.

- Jeśli będziemy się trzymać betonu, to nic nam nie będzie. Zanim wylądowałem z wami, beznadziejnymi przypadkami, to w wolnym czasie babrałem się w różnych rzeczach w laboratoriach napędów w akademii. Wymyśliłem, jak zwiększyć wydajność podstawowych systemów DeBraya o siedem procent, a tu widzę parę podobnych komponentów.

- Te laboratoria, w których kombinowałeś, to przypadkiem nie te, które napromieniowałeś? - pyta Tyler.

- Ej, nie marudź. Ty też byłeś zwolniony z egzaminu z dynamiki przestrzennej.

Fin jak zwykle stara się nas rozbawić, ale nikomu nie jest teraz do śmiechu.

- To mi wygląda na kiepski pomysł - mówi Ty.

- Aha, ale tylko takie nam zostały. Dam radę, Złotko.

Tyler zagryza usta i wzdycha.

- Zila, idź z nim. Może zdołasz pomóc.

- Tak jest - odpowiada cicho Zila i odwraca się od okna.

Tyler łapie Finiana za rękę, kiedy ten go mija.

- Ej, posłuchaj.

Zerka na mnie i zniża głos, ale nie dość.

- Ci agenci idą po Auri. - Zerka na Cat i znowu na Fina. - Nie możemy pozwolić, żeby ją dorwali. Możesz zmagistrować coś na szybko? Gdyby trzeba było wybierać między tym, czy damy się złapać, czy...

Finian patrzy Tylerowi w oczy i cała jego żartobliwa fasada znika.

- Jasne.

Tyler kiwa głową. I bez słowa więcej Fin i Zila idą na górę.

Oddycham coraz szybciej, serce mi tańczy. Nowe cząstki mojej osoby próbują wyjść na powierzchnię, ale nie wiem, jak nad nimi panować. Ani jak pozwolić, żeby mnie przejęły.

„Gdyby trzeba było wybierać między tym, czy damy się złapać, a...”

Jak do tego doszło? Jak tu wylądowaliśmy?

Prostuję palce, znowu zaciskam pięści, staram się zapanować nad sobą, kiedy obchodzę stół, żeby usiąść w siadzie skrzyżnym obok Cat.

Wszystko wokół szarpie mi nerwy, czuję mrowienie w kończynach, dreszcz na karku ostrzega przed zagrożeniem. Jestem pewna, że rośliny nas obserwują, że pyłek wpadający jednym oknem i wylatujący drugim to jeden ze sposobów, w jaki planeta monitoruje nasze ruchy.

To sprawia, że odwaga prawie mnie opuszcza, ale z drugiej strony to mnie zbliża do czegoś innego.

Czuję, że jestem o krok od...

Cat porusza się obok mnie, więc biorę ją za rękę i ściskam delikatnie. Unosi powieki i widzę niebieskie oczy, źrenice w kształcie kwiatów. Patrzymy na siebie przez długą chwilę, a potem ona wypuszcza powietrze i to brzmi prawie jak jęk.

- Czuję to - szepcze, a ja nie wiem co powiedzieć, bo też to czuję. - To mnie pochłania.

- Nie pozwolimy na to - odpowiadam szeptem.

Świdruje mnie wzrokiem pełnym strachu, bólu i powątpiewania, jakby mówiła „daj spokój, nie okłamujmy się”. Serce mnie boli, bo żadne z tych uczuć, jakie widzę na jej twarzy - która powoli staje się coraz bardziej srebrzysta - nie powinno malować się u dziewczyny w moim wieku.

Tyle że ona nie jest w moim wieku, prawda?

Liście wokół nas drżą, chociaż nie ma wiatru, a czuję stulecia pod skórą. Czuję moc, która czeka.

Kal przechodzi obok, na sekundę kładzie rękę na moim ramieniu. Przelotnie. Myślę o tym, co powiedział o kroczeniu swoją prawdziwą ścieżką. I chociaż nie do końca rozumiem, co tu się dzieje, to wiem, że ma to związek ze mną. Z mocą, którą w sobie noszę.

Istnieje powód, dla którego ukryto istnienie tej kolonii przed światem.

Istnieje powód, dla którego GAW mnie ściga i próbuje zniszczyć ślady mojego istnienia.

Istnieje powód, dla którego stałam się czymś innym, czymś więcej niż człowiekiem.

Istnieje powód, dla którego zabrałam nas na Statko-Świat po Zapalnik.

I istnieje powód, dla którego Zapalnik doprowadził nas tutaj.

To wszystko w jakiś sposób się łączy. I chociaż to przerażające, wiem, że nie mogę dłużej się bać.

Wszystko, co się wydarzyło... Wszystko, czym się stałam... nie mogę tego powstrzymać.

Muszę zapamiętać się w gniewie, żeby się opamiętać.

Myślę o tym miejscu. O tym, co stało się z tutejszymi ludźmi. O mojej mamie i Callie, kiedy dostały wiadomość, że zaginęłam. O moim ojcu, kiedy o tym usłyszał. O rzeczach, które powinniśmy byli sobie powiedzieć podczas naszej ostatniej rozmowy.

Myślę o wszystkim, co straciłam. Myślę o tym, że jestem dziewczyną spoza czasu, która ma moc, jakiej nie rozumie. I kiedy patrzę w dół, kiedy patrzę w twarz Cat, kiedy patrzę w jej oczy jak kwiaty w otoczeniu drapieżnych liści i pnączy, czuję dreszcz na kręgosłupie naglający mnie do ucieczki, narastające we mnie napięcie...

...i coś się we mnie zmienia.

Jakby ogień stopił lód. Jakby doszło do zderzenia przeciwnych ładunków. Jakbym obudziła się po raz pierwszy po dwustu latach snu. Czuję rozciąganie umysłu, cudowne rozprostowanie mięśni, które za długo trwały w uśpieniu, przypływ mocy. Nagle jestem większa, silniejsza, chociaż jestem dokładnie taka sama, jak byłam, chociaż nadal siedzę obok Cat i trzymam ją za rękę. Jakby rzeczywistość zyskała dodatkowy wymiar.

Tak właśnie się czujesz, gdy nad tym panujesz, myślę sobie.

Może i nie wiem, co to właściwe jest, ale wszystko, co robiłam, gdy spałam, wszystko, co sprawiło, że byłam pasażerem, więźniem we własnym ciele, teraz odczuwam jako część siebie. Jako coś większego. Jako coś więcej. Coś, co wyrwałam z nicości własnymi rękami.

Odwracam głowę, żeby popatrzeć na drużynę. Wyczuwam rozbłysk empatii w Kalu - niespokojną obecność z przebłyskiem przemocy. Jest prawie zagłuszona przez resztę jego natury.

Przenika go jak delikatna żyłka złota w skale, jest niemal ukryta. Przesuwa się i drży, kiedy mój umysł ociera się o nią.

Spostrzegam ją też w Scarlett, a nawet w Tylerze, ale o wiele mniejsza, płynie pod powierzchnią jego umysłu. Jonesowie są ludźmi i na chwilę rozbłyskuje we mnie zwątpienie – czy ich także skaziła ta planeta? I zaraz potem wiem, że to nieprawda. Moc płynąca przez rośliny, otaczające nas liście i pnącza, łącząca je strumieniem, który iskrzy teraz dla mnie jak prąd, to coś zupełnie innego niż to, co widzę w Scarlett, Tylerze, Kalu czy w sobie.

Kiedy znowu spuszczam wzrok, widzę, że wiję się przez Cat, tworząc beznadziejnie skomplikowaną płataninę pnączy podobną do sieci naczyń krwionośnych. Przenika każdą jej cząstkę.

Od czego miałabym zacząć rozplątywanie tej gmatwaniny?

Wiem, chociaż odpycham tę świadomość, że nie jestem w stanie tego zrobić.

Za dużo tego, za głęboko to sięga.

To coś już ją zagarnęło.

Mimo to próbuję, łapię mentalnie garść psychicznej energii, która ją wiąże, wypalam ją, trzymając siłą umysłu, aż zostaną same popioły. Cat jęczy, a kiedy patrzę w dół, srebrzysta zielono-szaro-niebieska energia pełzni i wypełnia z powrotem szczelinę, jakby nigdy jej było.

Tak samo jak pnącza ta energia jest wszędzie.

Próbuję czegoś innego, sięgam do umysłu Cat. Może mogłabym zacząć od niego, sięgając coraz szerzej, i wypalić jej myśli do czysta. Kiedy zaglądam w nią, zalewa mnie gąszcz emocji. Jej ból, jej strach, jej gniew przepływają przeze mnie. Wzdragam się i muszę walczyć z chęcią wycofania się. A zaraz potem napieram bardziej, bo nikt nie powinien pozostać sam z takimi uczuciami.

Jestem tu, jestem tu.

Ściskam jej dłoń, przepycham się przez tnące jak brzytwy zewnętrzne obrony. Za nimi znajduję prawdziwą Cat. Wir życia, miłość i energia, czerwień, oranż, złoto jej natury na poziomie mentalnym wirują, układając się w wyrafinowane wzory, które przypominają mi wiry powietrzne, kojarzą mi się z lotem.

Znajduję jej miłość do Scarlett, smutek po utracie matki, zacieklą radość odczuwaną podczas lotu. Znajduję jej miłość do Tylera, głęboką i mocną, przesywaną frustracją.

W odpowiedzi na to, bez mojej świadomej intencji, ale zupełnie naturalnie, jakby właśnie tak należało, mój umysł rozpoczyna taniec z jej umysłem.

Już nie jesteśmy w reaktorze. Nikogo wokół nas nie ma.

Znajdujemy się w jakimś innym miejscu, tylko my dwie i nic innego nie ma znaczenia.

Mój umysł jest ciemnogrnatowy, przyprószony srebrem, pełen blasku gwiazd i mgławic, żywy kontrast do jej ognistych wirów. Żeby jej dotknąć, muszę być otwarta, moje własne uczucia i wspomnienia są tak samo odsłonięte jak jej. Cat widzi moją miłość do siostry, Callie, wyczuwa zapach ciepłej skały i kruchych liści z mojego ulubionego szlaku pieszych wycieczek. Miejsce, w którym byłam szczęśliwa. Poprzez mnie wyczuwa smak papryczek chili, które mój ojciec dodaje do jedzenia. Przechodzi ze mną przez ból, jaki przeżywałam, patrząc na matkę

po tym, jak ojciec ją opuścił. I nagle, zamiast dalej patrzeć, Cat rusza. Łapie to wspomnienie i odpycha.

Przez chwilę zamieram zdumiona. Bez słów, za pomocą wiru obrazów, Cat przekazuje mi swój zamysł – nie chce wiedzieć tych rzeczy, żeby nie musieć się nimi dzielić.

Kiedy to ją weźmie.

Obie skupiamy się na drzwiach między nami – ona ciągnie, a ja pcham i razem je zamykamy. Pot spływa mi po plecach, kiedy otwieram gwałtownie oczy. Oddycham szybciej.

Ona już na mnie patrzy.

– Nie powinnaś... tu być – szepcze.

* * *

– Spróbuj teraz! – krzyczy z góry Fin.

– Działa! – odkrzykuje Kal, odchylając głowę w stronę sufitu.

– Wiem – szepczę do Cat. – Wszystko w tym miejscu jest niewłaściwe. Ale gwiazdna mapa je wskazała, a Zapalnik...

– Och, Auri... n-nie rozumiesz? Zapalnik... to...

Otwiera szerzej oczy i nabiera powietrza – to jedyne ostrzeżenie, jakie dostaję, zanim jej umysł mnie zaatakuje. Teraz czerwień jest szkarłatna jak krew, żółte odcienie są zbyt jaskrawe, zbyt krzykliwe – to nadal umysł Cat, ale już nie ona nim kieruje.

Uruchamiam obrony, staram się odpierać atak; moje mentalne ściany są tak mocne, jakimi je stworzę. Wyobrażam sobie, że są z kamienia; otaczam się maleńką fortecą, a mój umysł skrywa się pośrodku. Widzę teraz, że wróg mnie otacza. Wyczuwam obcą świadomość sięgającą poprzez umysł Cat do mojego.

Istota.

Pojedyncza, kolosalna, niewyobrażalna istota.

To nadchodzi zewsząd, to sieć oplatająca całą planetę – każdą roślinę, każde pnącze, każdy zarodnik w powietrzu. Widzę historię tej istoty, cel i potencjał. Jakby czas był niczym, widzę jej przyszłość.

I jestem okruczem, który próbuje zrozumieć skalę czasową, jaką należy mierzyć podróż tego bytu. Przypomina mi się sufit w sali balowej Casseldona Bianchiego, powolny taniec galaktyk, gdy sunęły między sobą, przenikały się wzajemnie, kosmiczna skala tych wydarzeń.

To... coś szykowało się, najpierw trwało w uspieniu, potem powoli się budziło, a teraz sunęło na grzbiecie fali, która sięga miliony lat wstecz. Ta planeta i wszystkie inne z gwiazdnej mapy urosną i napuchną, będą dojrzewać, aż buchną jak łupina z nasionami, rozrzucając zarodniki, infekcję przez te naturalne Bramy Fałdy, których nie da się zamknąć. Zarodniki trafią do Fałdy, a stamtąd...

Stamtąd mogą dotrzeć wszędzie, pomyślałam.

To jest chwila przed falą tsunami.

To jest Ra'haam.

– Możesz to powstrzymać.

Rwane słowa Cat wrywają mnie z paraliżu, a atak na mury mojej fortecy urywa się, czerwienie i złota powracają do jej odcieni i się wycofują. Krew płynie jej z nosa, pierś unosi się i opada. Cat skupia spojrzenie niebieskich oczu na mojej twarzy.

- Oni już raz to powstrzymali. Teraz ty możesz to zrobić, Auroro.

- Tak - odpowiadam szeptem.

Bo teraz już rozumiem, jak stara jest ta historia. Rozumiem arogancję myślenia, że w ciągu 13,8 miliardów lat, podczas których wszechświat się rozszerzał, to miejsce i ten czas - Droga Mleczna teraz - to pierwszy raz, kiedy życie musiało stanąć do takiej walki.

Widzę ostatni raz, kiedy Ra'haam się obudził.

Kiedy próbował połączyć Galaktykę.

Spróbował i poniósł porażkę.

Dociera do mnie, że potem się ukrył. Prawie martwy. Ponieważ za tą powodzią, za hałasem tej niemożliwości, która mnie otacza, głęboko w sobie wyczuwam coś jeszcze, głos, który mnie przyzywa. Głos, który przez cały ten czas mnie wołał.

Mówił mi, kim jestem.

Kim oni byli.

Ci, którzy walczyli. Którzy spostrzegli, czym Ra'haam się stanie, jeśli się go nie pilnuje. Ci, którzy uważali, że ich indywidualność to coś, o co warto walczyć.

Pradawni.

Eshvarenowie.

I chociaż już odeszli, nie żyją od eonów,

zostawili po sobie

broń, której będziemy potrzebowali,

żeby to znowu

pokonać.

Zapalnik to nie jakaś starożytna statuetka ani ukryty w niej klejnot. To nie jest jakaś gwiazdna mapa z klejnotów wykradzonych z kryjówki gangstera.

Zapalnik...

- Auri... - z trudem mówi Cat.

- Zapalnik to... ja.

Liście wokół nas falują, a ja słyszę ryk silników na zewnątrz. Dudnienie powolnego lądowania, chrzęst towarzyszący stawianiu maszyny na ziemi. Wiem, że Tyler zaraz się odezwie.

- Przylecieli.

Cat zgrzyta zębami i wiem, że próbuje to powstrzymać, powstrzymać ich, to coś, co ją przenika i zamienia w część siebie, żeby nie dowiedzieli się tego, co ona wie. Głos płynący z zewnątrz jest gładki, wzmocniony, pozbawiony płci i wieku.

- PRZYBYLIŚMY PO AURORĘ O'MALLEY.

Princeps.

- Ktoś powie Jego Wysokości, że uprzejmie jest mówić „proszę”? - rzuca przeciągle Finian, korzystając ze wspólnego kanału komunikacyjnego.

Scarlett zostawia brata przy oknie i podbiega do mnie. Przykłęka na jednym kolanie.

– Idź – mruczy do mnie i łapie Cat za rękę, gdy ja ją wypuszczam.

Podchodzę do miejsca, z którego Tyler wygląda przez okno. Pnącza wokół wypalono, ale jedna ze zwęglonych gałązek porusza się, wspina się po parapecie zewnętrznym, szuka miejsca, żeby się chwycić, kiedy klękam obok Tylera. Trzymam się blisko ściany, żeby wyjrzeć i nie być widoczną z dołu.

Prom wylądował na niebiesko-zielonych krzakach przed reaktorem. Ma oznakowanie *Bellefonta*. Z jego wnętrza wysuwa się rampa. Princeps staje u jej szczytu w idealnie białym stroju. Obok niego stoi drugi agent GAW w typowej grafitowej szarości, a wokół promu ustawiają się dziesiątki dziesiątek postaci.

To nie są agenci GAW. Jest ich tak wiele.

W tłumie stoi parę szympansów z futrami upstrzonymi mchem i bulwami. Jednakże pod płaszczami ze srebrnych pnączy, mimo kwiatów wychodzących spomiędzy ich włosów i z oczu, rozpoznają pozostałych.

Ludzie.

Koloniści.

– ACH, AURORO. – Chociaż chowam się za krawędzią parapetu, princeps patrzy prosto na mnie. – TU JESTEŚ.

Ryzykuję i wysuwam swoją ciemnogrnatową oprószoną gwiazdowym pyłem mackę w zielono-srebrno-niebieskie grzęzawisko roślin i pnączy na zewnątrz. Próbuję odnaleźć umysł princepsa, zobaczyć go lepiej, ale to przypomina zakłócenia radiowe – odbieram tak wiele wrażeń, że nie potrafię odnaleźć celu.

Kiedy princeps się odzywa, mówi beznamiętnie jak zawsze; nie mam pojęcia, czy w ogóle wyczuł mój wysiłek.

– TAK DŁUGO CZEKALIŚMY NA CIEBIE, AURORO.

– Poczekacie jeszcze trochę! – odkrzykuję, siląc się na przekonanie w głosie. Przynajmniej mi nie zadrżał. – Spróbujcie znowu za kolejne dwieście lat.

– ZNIKNEŁAŚ NAM Z OCZU. NIE MOGLIŚMY CIĘ ZNALEZĆ.

– Nie jestem waszą własnością!

– BYŁAŚ UKRYTA W FAŁDZIE, TERAZ TO WIDZIMY. ESHVARENOWIE BYLI TCHÓRZAMI, SKORO CIĘ TAM UKRYLI. ZAWSZE TACY BYLI. TO ICH SŁABOŚĆ. TĘ SAMĄ SŁABOŚĆ WYCZUWAMY W TOBIE. TRZEBA BYŁO PO PROSTU POZWOLIĆ, ŻEBYŚMY SPALILI WAS NA ORBICIE. GŁUPOTA BYŁO PRZYCHODZIĆ TU DO NAS.

Tyler za mną kładzie mi rękę na ramieniu, jakby się bał, że stanę przy oknie, żeby podjąć sprzeczkę, i się pokaże. Ja jednak kucam i obserwuję, bo princeps podnosi ręce do hełmu i ruchem kciuków zwalnia blokadę.

Patrzę jak zamrożona, kiedy powoli, bardzo powoli, ruchem, na który potrzebuje dwóch uderzeń serca i 13,8 miliardów lat, unosi hełm i odsłania skrywającą się pod nim twarz.

Ułamek sekundy wcześniej wiem, co zaraz zobaczę.

A jednak nadal jest to cios, który pozbawia mnie oddechu, zdolności do myślenia, siły.

Pod mięsistymi liśćmi, które wyrastają mu z prawego oka, pod srebrnym mchem, który zsuwa się po szarzejącej skórze i znika przy kołnierzyku skafandra, nadal widzę rysy twarzy. Okrągłe policzki, zmarszczki na czole, z których mama żartowała, że ma je od piętnastego roku życia, bo świat go tak zaskakiwał.

- Tatusiu...

Słowa wzbierają w moim umyśle jak paskudne, paprzące się rozcięcia przecinające moją srebrzystą mgławicę. Jakbym wróciła do naszej ostatniej rozmowy.

Dzięki za życzenia urodzinowe, tato.

Dzięki za gratulacje z okazji ponownej wygranej w zawodach międzystanowych.

Ale przede wszystkim dzięki za to.

Rozłączyłam się, zanim mogła dotrzeć do mnie jego odpowiedź. Zanim zdążyłam zobaczyć ból na jego twarzy. Skutki mojego ciosu.

- Tęskniłem za tobą, Jie-Lin - mówi.

Serce mi imploduje.

- Było mi ciężko - dodaje, kręcąc głową. - Być z dala od ciebie, kiedy od początku powinnaś być z nami. Zostało tak wiele rzeczy, które powinniśmy sobie powiedzieć.

Słyszę swój szloch. Moja mentalna forteca zaczyna się walić, kamienie wypadają z jej ścian. Myślałam, że przepadł na zawsze. Myślałam, że zostałam całkiem sama. A teraz on jest tutaj i cały ciężar smutku spada wreszcie na mnie, żeby mnie pochować, lawina, której nie mogę się oprzeć. Wzrok rozmazuje mi się od łez, oddycham tak szybko, że hełm zaczyna mi parować od środka.

Hełm, który oddziela mnie od niego.

- Wszyscy jesteśmy połączeni - mówi ojciec, wyciągając do mnie rękę. - Łączy nas doskonała więź. Kiedy dołączysz do nas, staniemy się kompletni.

- Auri - odzywa się cicho za moimi plecami Tyler. - To nie jest twój tata.

- Ale przecież jest - udaje mi się wykrztusić. - Nie rozumiesz, ja czuję ich w umyśle. Gdyby to nie był on, byłoby łatwiej.

A jest tak bardzo, bardzo trudno. Bo teraz pośród zielono-srebrno-niebiesko-szarej mentalnej rzeczywistości tego miejsca wyczuwam i widzę, jak cudowne czerwone i złote wiry Cat zmieniają się w brudnobrązowe i zlewają się z otaczającą nas jednią.

I widzę znacznie więcej rzeczy.

Ojciec sięga ku mnie. Ukazuje mi więź, która może być moja. Jej cudowność. Jej zawilość i piękno. I chociaż wszyscy są jednym, wszystkie życia, wszystkie umysły, jakie to coś połąkło na przestrzeni eonów i stopiło w jedność, to nadal wyczuwam jego pośród wielości.

Widzę nici tkaniny, jaką kiedyś był. Którą nadal jest. Znajduję cząstki jego osoby wewnątrz tego zbiorowego umysłu.

On nadal tam jest. Wciąż mogę go przeprosić. Poczuć, jak mnie przytula ze śmiechem.

„Przez cały ten czas zdręczałaś się takim drobiazgiem?” - powiedziałby.

- Jie-Lin! - woła. - Potrzebuję cię.

Kal patrzy na mnie. Siedzi pod ścianą. Napotykam spojrzenie jego fioletowych oczu. I chociaż jestem pewna, że tego nie wie, to złote czułki jego umysłu sięgają ku mnie, umacniają

mnie, splatają się z moim ciemnym granatem.

– Wiem, co to znaczy utracić rodzinę, be’shmai.

Nieskończone współczucie w nim mimo beznamiętnej twarzy. Wyczuwam ból jego wspomnienia, wyczuwam tam opowieść, którą chcę poznać.

Strata, jakiej doświadczył, jest podobna do mojej.

To opowieść o utracie ludzi, którzy nawet jeszcze nie odeszli.

– Kiedy opuścimy tę planetę... – Kal kładzie nacisk na słowo „kiedy” – ...poszukamy wieści o twojej siostrze. Twojej matce. Dowiemy się, co się z nimi stało. Może masz jeszcze krewnych. Tutaj jednak nie masz rodziny, be’shmai. Bo to nie jest twój ojciec.

I w tym przelotnym znieruchomieniu wiem, że Kal ma rację. Mój ojciec był kiedyś tutaj i został zabrany przez Ra’haam, stał się częścią tej całości.

Teraz jednak go tu nie ma.

To tylko echo.

Kiwiam powoli głową, łzy spływają mi po policzkach, napieram resztkami sił na moje mentalne mury, odcinając się od dotyku tej planety i rzeczy, która w niej żyje.

Nigdy nie byłam przeznaczona dla Ra’haam i nie dołączę do nich.

Bo teraz jestem z ludu Eshvaren.

– Jie-Lin! – woła to coś na zewnątrz. – Chodź z nami!

– Nie! – krzyczę.

– Opór jest bezsensowny. Dołącz do nas.

– Nigdy!

I w końcu łagodny głos princepsa i tego czegoś, co było moim ojcem, zmienia się. Słyszę żal i zdecydowanie, gdy zakłada z powrotem hełm i odzywa się raz jeszcze.

Jedno słowo.

Szept.

– CAT.

Jestem wszystkim.

Jestem niczym.

Jestem sobą.

Jestem...

- Cat.

Jestem dzieckiem zawiniętym w czystą biel i opieram się o pierś mojej mamy. Jest mi zimno, boję się i po raz pierwszy naprawdę słyszę głos. Jakimś cudem wszystko jest w porządku, bo wiem, że mówi ktoś, kto mnie kocha

- Catherine, ale będę mówić na nią Cat.

Jestem małą dziewczynką pierwszego dnia w przedszkolu. Chłopiec popycha mnie, odwracam się i widzę blond włosy, dołeczki i uśmiech, podnoszę krzesło i walę go przez łeb. Jakimś cudem wszystko jest w porządku, bo wiem, że pewnego dnia on mnie pokocha

- Och, Cat!

Mam piętnaście lat i siedzę przed ekranem, widzę śmierć w oczach mamy, chociaż ona znajduje się sześćdziesiąt tysięcy lat świetlnych stąd. To nasza ostatnia rozmowa, ale jakimś cudem wszystko jest w porządku, bo wiem, że ona mnie kocha

- Jestem z ciebie dumna, Cat.

Mamy po osiemnaście lat, przed nami stoją puste kieliszki, tatuaże na naszej skórze są nowe i doskonale wiemy, dokąd teraz idziemy, ale jakimś cudem wszystko jest w porządku, bo w głębi ducha wiem, że mnie kochasz

- Och, Cat...

Leżę tam następnego ranka i chociaż on wyszedł dziesięć minut temu, nadal czuję jego smak na ustach i jego zapach na skórze. Chociaż wszystko, co powiedział, ma potwornie dużo sensu, nie mogę przestać płakać, ponieważ

ponieważ

on

mnie

nie

kocha

Sięgam wzrokiem tak daleko. Mam tysiące oczu. Oczu wewnątrz czaszki, z którymi się urodziłam, ciało, powoli poddają się truciznie

zepsuciu

infekcji

zbawienie

krażącym w mojej krwi.

Jednakże, co więcej, mogę widzieć poprzez nich. Przez paprocie spowijające budynek, w którym leży moje korodujące ciało. Przez nasiona, które tańczą w wirach opalizującego błękitu w powietrzu wokół nas. Przez skorupy, które to zamieszkuje – kształty prostych naczelnych, mundury GAW albo skóry kolonistów.

Wszystko zostało dotknięte.

Zaabsorbowane.

Objęte.

Jestem wszystkim.

Jestem niczym.

Jestem sobą.

Jestem...

...nami.

– Cat.

Słyszę głos Ra'haam poprzez nici, które przenikają moje ciało. Czuje, jaki jest wielki. Jaki jest niewiarygodnie stary. Rozległa świadomość rozciągnięta na niezliczone gwiazdy. Legion – jedność i miliardy – rozrastający się z każdym umysłem, który obejmuje.

Otacza.

Zaprasza.

– Dłaczego z nami walczysz, Cat? – pyta w mojej głowie.

– Bo się boję – odpowiadam. – Bo nie chcę się zatracić.

– NIE MA STRATY W TEJ JEDNOŚCI. TYLKO ZYSK. W NAS STANIESZ SIĘ CZYMŚ ZNACZNIE WIĘCEJ. NIGDY NIE BĘDZIESZ NIECHCIANA ANI NIEKOCHANA. BĘDZIESZ NAMI. BĘDZIESZ SOBĄ. ZAWSZE.

– Ale pozostali... Scarlett i ...

– ON DOŁĄCZY DO NAS. PEWNEGO DNIA OBEJMIEMY TO WSZYSTKO. ABSOLUTNIE WSZYSTKO.

– Obejmiecie? – Kręcę głową. – Chcesz powiedzieć „pożrecie”.

– MY NIE NISZCZYMY. MY ZBAWIAMY. RATUJEMY PRZED WIEZIENIEM „JA”, UKAZUJĄC WOLNOŚĆ W JEDNOŚCI. JESTEŚMY AKCEPTACJĄ. JESTEŚMY MIŁOŚCIĄ.

To ten sam głos, który usłyszałam, kiedy byłam nowa, zmarznięta i przestraszona, gdy patrzyłam po raz pierwszy na świat z bastionu piersi mojej matki.

Teraz nie jestem zmarznięta ani przestraszona.

Jest mi ciepło.

Czuję się mile widziana.

Anihilacja.

Asymilacja.

Leżę na podłodze reaktora w jakiejś zapomnianej kolonii w sektorze na zadupiu i tracę wszystko, czym byłam i kiedykolwiek będę, ale jakimś cudem wszystko jest w porządku, bo wiem

bo wiem

BO WIEM

że to

mnie

kocha.

* * *

STOIMY. W SKÓRZE, KTÓRA BYŁA CAT.

ONA NALEŻY DO NAS, A MY DO NIEJ.

KIEDYŚ OBEJMOWALIŚMY CAŁE ŚWIATY. JEDNOCZYLIŚMY SIĘ Z SYSTEMAMI. ZOSTAŁO NAS JEDNAK TAK NIEWIELE. ZUBOŻONA SIEĆ, LEDWIE PAMIĘTAJĄCA OGROM Z WCZEŚNIEJSZYCH CZASÓW. SPALIŚMY PRZEZ NIEZLICZONE EONY. TAK NIEWIELE Z NAS SIĘ PRZEBUDZIŁO. DOŚĆ TYLKO, ŻEBY PRZEPEŁŚĆ DROBNE NITKI PRZEZ MAŁUTKIE SKÓRKI TYCH, KTÓRZY NATKNĘLI SIĘ NA TĘ KOŁYSKĘ WIEKI TEMU. DOŚĆ, ŻEBY WYŚLAĆ ICH, BY CHRONILI NAS PODCZAS SNU, KTÓRY POTRWA JESZCZE KILKASET LAT.

NIEDŁUGO JEDNAK ROZPLENIMY SIĘ. ZACZNIEMY NA NOWO.

ROZKWITNIEMY I BUCHNIEMY.

PATRZYMY PRZEZ OCZY SKORUPY-CAT. SKORUPA IMIENIEM SCARLETT PATRZY NA NAS. DROBNE, PRZESTRASZONE STWORZENIE, ZAMKNIĘTE W WIĘZIENIU WŁASNEGO CIAŁA I KOŚCI.

- CAT...?

IGNORUJEMY JĄ. ZAMIAST TEGO PATRZYMY NA POZOSTAŁYCH.

WRÓG.

- AURORA - MÓWIMY.

WYCZUWAMY ŚLAD NASZEGO STAREGO WROGA W JEJ GENACH. W JEJ UMYŚLE. OSTATNI Z ESHVARENÓW ZMARŁ MILION LAT TEMU. WIEDZIELIŚMY JEDNAK, ŻE ZNAJDĄ SPOSOB, ŻEBY ZAATAKOWAĆ NAS ZZA GROBU, W KTÓRYM ZASŁUŻENIE WYLĄDOWALI. JAKIEŚ UŚPIONE URZĄDZENIE UKRYTE W FAŁDZIE. CZEKAJĄCE NA WŁAŚCIWY MOMENT. CZEKAJĄCE NA KATALIZATOR.

CZEKAJĄCE NA NIĄ.

JESTEŚMY CAT. CAT JEST NAMI. DLATEGO WIEMY, ŻE SKORUPY NAZYWANE FINIAN I ZILA SĄ NA GÓRZE, USTAWIAJĄ REAKTOR TAK, ŻEBY PRĘDZEJ IMPLADOWAĆ NIŻ POZWOLIĆ NA POŻAR-CIE AURORY. GDYBYŚMY BYLI NIĄ, MOGLIBYŚMY ODNALEŹĆ BROŃ ESHVARENÓW. GDYBYŚMY JĄ MIELI, BYLIBYŚMY JEDYNYMI, KTÓRZY POTRAFIĄ JĄ OBSŁUGIWAĆ. JEDYNYMI, KTÓRZY WIEDZĄ, CZYM JESTEŚMY, GDZIE ŚPIMY I JAK MOŻNA NAS POWSTRZYMAĆ.

MAJĄC JĄ, MIELIBYŚMY GALAKTYKĘ.

- CAT?

ODZYWA SIĘ SKORUPA O IMIENIU TYLER. SZCZYT W TEJ GŁUPOCIE, JAKĄ JEST ICH HIERARCHIA. PATRZY NA NAS Z OKOLICY OKNA. JEST SAM.

ONI WSZYSZY.

TAK NIEWYOBRAŻALNIE SAMOTNI.

- TO JUŻ NIE JEST CAT - SZEPCZE AURORA.

UDERZAMY. PORUSZAMY WIELOMA SKORUPAMI, KTÓRE PRZEJĘLIŚMY, ODKĄD PIERWSI KOLONIŚCI NATKNĘLI SIĘ NA NAS GŁĘBOKO POD PŁASZCZEM PLANETY. WIJEMY SIĘ. STAPIAMY. PŁYNIEMY. SKORUPA IMIENIEM KALIIS JEST NASZYM GŁÓWNYM CELEM - OBROŃCA AURORY. PNĄCZA I LIŚCIE WIJĄ SIĘ, ŁAPIĄ. SĄ CIERNISTE. NAS JEST WIELE, ON JEST JEDEN. I CHOCIAŻ JEST OD NAS LEPSZY, PÓKI JESTEŚMY W TYM WCZESNYM STADIUM, TO WYSTARCZY TYLKO NAJDROBNIJSZE ROZDARCIE BIOSKAFANDRA, ŻEBY STAŁ SIĘ NASZ.

ON TO WIE. PORUSZA SIĘ I UDERZA JAK WODA. POZOSTALI CZŁONKOWIE DRUŻYNY RZUCAJĄ SIĘ ROZPACZLIWIE DO DZIAŁANIA. SKORUPA-SCARLETT UNOSI BROŃ. ODBIJAMY JĄ NA BOK. SKORUPA-FINIAN I SKORUPA-ZILA PIĘTRO WYŻEJ KRZYCZĄ, GDY UDERZAMY, WYRYWAJĄC IM NARZĘDZIA Z RĄK. SPOWIJAJĄC ICH PAPROCIOWYMI LIŚCMI I WARSTWAMI KWIATÓW.

SKORUPA-TYLER STOI SPARALIŻOWANA. WIDZI TYLKO TO, CZYM BYŁA SKORUPA-CAT. NIE POTRAFI SPOSTRZEC, CZYM SIĘ STAŁA.

CZYMŚ ZNACZNIE WIĘCEJ.

- CAT, PRZESTAŃ!

NA ZEWNĄTRZ SKORUPA-PRINCEPS UNOSI RĘCE. NASZE POROSTY NA BUDYNKU REAKTORA DYGOCA. ŁAPIĄ, CIĄGNĄ. BETON BUDOWLI DRŻY I JĘCZY, POJAWIAJĄ SIĘ ROSNĄCE SZCELINY. ELEKTRYCZNY PRĄD, KTÓRY SKORUPA-FINIAN PRZEPUŚCIŁ PRZEZ METALOWE CZĘŚCI, SKRZY SIĘ I PALI NAS. ALE NAS JEST WIELE. PRZYPALONE I UGOTOWANE KAWAŁKI ODPADAJĄ, ALE ZASTĘPUJĄ JE NOWE. BUDYNEK PĘKA, ŚCIANY ROZSTĘPUJĄ SIĘ, DACH ODPADA. SKORUPY KRZYCZĄ, KIEDY ROZRYWANY BUDYNEK ROZPADA SIĘ W DESZCZU BETONOWEGO PYŁU I WŚRÓD WRZASKU MARTWEGO METALU.

RUSZTOWANIA SERWISOWE SIĘ WALĄ.

SZKIELET SIĘ WALI.

PODŁOGA UCIEKA SPOD ICH STÓP.

ONI JEDNAK NIE SPADAJĄ.

- NIE.

SKORUPA-AURORA UNOSI SIĘ W POWIETRZU. JEJ PRAWIE OKO PŁONIE BIELĄ. RĘCE MA WYCIĄGNIĘTE. JEJ ŚWIATŁO NAS PALI. MOC ESHVARENÓW DUDNI W NIEJ. TO RAPTEM UŁAMEK PRAWDZIWEGO POTENCJAŁU TEJ MOCY.

ALE JEST TAK OSTRA.

TAK JASNA.

RZUCAMY SIĘ NA NIĄ - SKORUPA-CAT, SKORUPA-PRINCEPS, SKORUPA-AGENT, LICZNE FORMY, KTÓRE ZAGARNELIŚMY I OBJĘLIŚMY NA PLANECIE. WALCZY Z NAMI FALAMI PSYCHICZNEJ FURII. ROZRYWA NAS NA KAWAŁKI, ODRYWA NASZE MACKI OD SKORUP-PRZYJACIOŁ I JE WYPALA.

CHOCIAŻ JEST ZACIEKŁA, TO DOPIERO CO SIĘ OBUDZIŁA. NIE ROZUMIE ROZMIARÓW SWOJEJ MOCY. NIE POJMUJE TEGO, CZYM SIĘ STAŁA. I JEST JEDNA.

A NAS JEST WIELE.

ZBYT WIELE.

UMERZAMY W NIĄ. ŁAPIEMY JĄ. WBIJAMY W NIĄ SZPONY. SKORUPY-PRZYJACIELE STRZEŁAJĄ DO NAS Z DEZELATORÓW, ALE TO JEST JAK LETNI DESZCZYK DLA NASZEGO OGROMU. KAŻDY SPALONY KAWAŁEK ZOSTAJE ZASTĄPIONY PRZEZ NOWY. JEDNIA. MNOGOŚĆ. HYDRA.

ONA PATRZY NA NAS, STAROŻYTNY WRÓG PŁONIE ZA JEJ OZCZAMI.

I PROSI.

- CAT, POMÓŻ MI!

ŚMIEJEMY SIĘ. CZUJEMY PULSY PSYCHICZNEJ ENERGII, JAKIE POSYŁA DO UMYŚLU SKORUPY-CAT. TYLE ŻE ONA, OBEJMOWANA I KOCHANA, OTULONA CIEPŁĄ JEDNOŚCIĄ ŻYWEJ, ODDYCHAJĄCEJ PEŁNI NASZEJ ISTOTY NIE JEST JUŻ CAT.

JEST TYLKO RA'HAAM.

...ALE

WTEDY...

...

...NIE.

NIE.

* * *

Jestem niczym.

Jestem wszystkim.

Jestem nami.

Ale chociaż to jest teraz we mnie

beznadziejnie splecione z niemal wszystkim czym byłam

wciąż istnieje malutka iskierka w ciemnym kąciku

która

jest

mną.

Znowu siedzę w symulatorze lotów w akademii. W dniu, kiedy zakwalifikowałam się na specjalność Asa. Sięgam w sieć wokół mnie, poruszam się szybciej, niż oni są w stanie mnie namierzyć. Słyszę w głowie głosy pozostałych kadetów. Wiwaty stają się coraz głośniejsze, kiedy rośnie liczba moich trafień, a ja kluczę pośród omszałych rąk, które łapią mnie i przytrzymują, próbują mnie zatrzymać.

Łapię to. Ściskam mocno. Trzymam to wszystko - princepsa, pozostałych agentów, szympany, kolonistów, macki. Unieruchamiam. Jest ich tak wiele. To jest tak wielkie. Tyle tego. To takie ciężkie.

Rozglądam się po nich oczami, o których wiem, że pozostaną moje jeszcze przez kilka chwil, zanim moja iskierka zgaśnie na zawsze.

Ci ludzie to moja rodzina. Ci ludzie to moi przyjaciele. Bystra Auri i cicha Zila, sarkastyczny Fin, nadąsany Kal, wygadana Scarlett i mój piękny, smutny Tyler. Wyciągam do nich drżącą rękę.

Czuję ciemność, która zamyka się wokół mnie. Pochłonie mnie cała. I wtedy przypominam sobie admirała Adamsa i jego pożegnanie. Spojrzał mi prosto w oczy, wypowiadając motto akademii. Słowa i wspomnienie płoną oślepiająco w moim umyśle.

Jesteśmy Legionem

Jesteśmy światłem

Płonącym jasno pośród nocy

- NIE MOŻESZ Z NAMI WALCZYĆ, CAT.

No to patrz.

- NIE MOŻESZ WIECZNIE NAS POWSTRZYMYWAĆ.

Nie muszę.

- JESTEŚMY LEGIONEM.

Tak

samo

jak

ja.

Sięgam poprzez sieć. Macki energii łączą to wszystko. Nas wszystkich. Kieruję siłę wielu przeciwko nim samym. Muszę tylko zapewnić drużynie trochę czasu. Żeby uciekli, wydostali się stąd, zwiali. Trochę czasu, żeby wynieśli się z tej zainfekowanej skały, przegrupowali siły, zorientowali się, czym właściwie jest Auri i co powinna zrobić.

Ta porażka to zwycięstwo.

Czuję ją w umyśle. Sięga ku mnie, promienny ciemny granat rozbłyskujący jasno na tle płonącego błękitu i zieleni.

Nie utrzymam ich zbyt długo, O'Malley...

- Cat, ja...

- Uciekaj!

Princeps i pozostali drżą. Opierają się maleńkiej armii w postaci mojej osoby. Aurora czuje, jak uderzają we mnie, jedną duszącą falą za drugą. Ona wie lepiej niż ktokolwiek inny, że już niczego nie da się zrobić. Odwraca się do Tylera, który wpatruje się we mnie ze zgrozą.

- Tyler, musimy iść - mówi.

Ty mruga, patrząc na nią. Rozumie jej słowa.

Tyler, musimy ją zostawić.

Sięgam do mięśni, które były mną. Łzy wzbierają w moich nowych niebieskich oczach, kiedy zmuszam płuca do ruchu, usta do mówienia.

- Mówiłam ci, Ty - szepczę. - Musisz pozwolić mi odejść.

- Cat, nie.

- Proszę...

Czuję ich. Ich wszystkich. Tych ludzi, którzy byli moją rodziną. Tych ludzi, którzy byli moimi przyjaciółmi. To członkowie Legionu Aurory, a oni nie porzucają towarzyszy broni. Jednak każde z nich wie, że ja nie pozostanę człowiekiem zbyt długo.

Czuję, że wróg mi się wymyka. Mój uścisk słabnie. Roślinność, princeps, koloniści napierają. Aurora unosi ręce, sfera czystej telekinetycznej siły zatrzymuje napór. Nie mogę już dłużej ich powstrzymywać. Chwytam się małego kawałeczka siebie, ostatniej wysepki na morzu ciepłej, słodkiej ciemności.

Nie chcę ich porzucić, ale patrząc w Ra'haam, we wszystko, czym się stał, zdaję sobie sprawę z iskierką zgrozy, że jego też nie chcę porzucić.

Patrzę na Tylera. Na bliznę, jaką mu zafundowałam, gdy byliśmy dziećmi. Na łzy w jego oczach. Widzę to. Tu, pod koniec. Błyszczą jasno na tle nocy.

- Cat... - szepcze. - Ja...

- Wiem - odpowiadam cicho.

I drzę.

Czuję, jak to zamyka się wokół mnie.

- Uciekajcie - proszę. - Póki możecie.

Uciekają. Kuśtykając. Płacząc. Finian ściska paliwo do rdzenia, które zsyntetyzował. Kal i Zila pomagają mu. Scarlett ręka w rękę z bratem bliźniakiem; ona pewnie rozumie sytuację lepiej niż on sam. Aurora prowadzi ich do wahadłowca GAW z uniesionymi rękami, bąbel telekinetycznej mocy odpycha falujące pnącza, wyciągnięte ręce, nas wszystkich, którzy próbujemy pochłonąć ich szóstkę.

Ruszam za nimi, zachowując odległość. Idę przez kłębiące się, drapiące pazurami, gryzące odrosty, przez rumowisko zburzonego reaktora, ruiny zniszczonej kolonii. Niebieski wiatr tańczy wokół mnie. Czuję, jak sięga teraz w głąb, zbliża się do małej iskierki. Ostatniego węgielka. Wszystkiego, co ze mnie zostało.

Czuję jego moc.

Jego ciepło.

Jego przytulność.

Zdejmuje hełm.

Mam dziewiętnaście lat i mam milion lat, stoję pośród falującego morza błękitu i zieleni, kiedy ludzie, którzy byli moimi przyjaciółmi ładują się do małego stateczku. Czuję zarodniki tańczące w powietrzu wokół mnie, buzujące w płaszczu planety pode mną, i całą wiedzę jedności, które czeka, żeby mnie objąć. Znajduję się milion lat świetlnych od miejsca, w którym się urodziłam, a jednak jestem w domu. Jestem uradowana i przerażona, śmieję się i krzyczę, jestem wszystkim i jestem niczym, i jestem Cat, i jestem Ra'haam, i kiedy drzwi promu się zamykają, kiedy patrzę na nich oczami, które są moje po raz ostatni, widzę, jak on odwraca się i patrzy na mnie.

I jakimś cudem wszystko jest w porządku.

- Do widzenia, Tyler.

Ponieważ

wiem

że
mnie
kocha
.

Odeszła.

Znajdujemy się w przestrzeni kosmicznej nad Octavią III, poruszamy się po orbicie. Nasza ucieczka z kolonii skradzionym wahadłowcem jest jak rozmazana plama. Nasza chwiejna ucieczka z powierzchni planety na rannym Łuku jest jeszcze bardziej mglista. Szczątki *Bellerofonta* i floty Bianchiego nadal dryfują w ciemności wokół nas, światło gwiazd odbija się od wraków.

Siedzę na mostku w moim fotelu drugiego pilota i patrzę na fotel pilota. Koniczynka wciąż tam siedzi, wytarte zielone futerko i pękające szwy. Gapi się na mnie oskarżycielsko plastikowymi ślepiami. Jedna myśl płonie w moim umyśle.

Nie mogłem jej uratować i teraz odeszła.

Gwiazdna mapa Aurory jest na głównym wyświetlaczu. Holograficzny obraz Drogi Mlecznej wiecznie wirującej wokół serca z czarnej dziury. W spiralach jej ramion dwadzieścia dwie planety płoną czerwienią w ciemności. Dwadzieścia dwa ostrzeżenia. Dwadzieścia dwa znaki zapytania.

Finian i Zila dokonali naprawy. Łuk znowu może wkroczyć do Faldy. Muszę tylko wprowadzić współrzędne do systemu nawigacyjnego i polecimy. Tyle że tego nie robię. Siedzę w bezruchu z łokciami opartymi na kolanach.

Pozostali zebrali się wokół mnie. Poobijani i zmęczeni. Posiniaczeni i zakrwawieni. Milczą z powodu smutku.

Siódemka, a teraz szóstka.

Wszyscy patrzą na mnie.

A ja nie wiem, co robić.

Wciąż jesteście zbiegami. Zbuntowaną drużyną, którą ściga TSO, GAW i pewnie reszta Legionu. Nawet jeśli nie osiągnęliśmy jeszcze statusu „zabić na miejscu” wśród terrańskiego personelu, to nie możemy wrócić do Akademii Aurora. GAW z pewnością będzie tam na nas czekać. A po tym wszystkim, co odkryliśmy na Octavii, czego dowiedzieliśmy się o Ra'haam i o dwudziestu dwóch planetach, gdzie to coś... inkubuje, nie możemy ryzykować, że Auri wpadnie w ich ręce. Nie po stratach, jakie już ponieśliśmy.

Nie możemy wrócić do domu.

– Ta porażka to zwycięstwo.

Wszyscy patrzemy na Auri, gdy się odzywa. Robi wrażenie starszej, ta dziewczyna spoza czasu. Twardszej. Coś zaciętego płonie w jej oczach nie od pary. Jest niska, drobna, ale stoi wyprostowana z Kalem u boku. I patrzy na mnie, zaciskając pięści.

- Co? - pytam.

- To powiedziała mi Cat. - Jej oczy płoną żalobą, głos drży na wspomnienie ich ostatnich wspólnych chwil. - To ostatnia rzecz, jaką powiedziała: „Ta porażka to zwycięstwo”.

Scarlett kręci głową, policzki ma mokre od łez.

- Jak? - Ociera łzy, rozmazując na skórze tusz. - Jak?!

- Teraz znamy wroga - odpowiada Auri, wskazując mapę. - Wiemy, gdzie Ra'haam śpi. Wiemy, że chce pochłonąć każdą żywą istotę w Galaktyce, aż wszyscy staniemy się częścią jego całości. Wiemy, że Eshvarenowie toczyli z nim wojnę milion lat temu i go pokonali. Wiemy, że podejrzewali, że Ra'haam powróci, i zostawili broń do walki z nim. Wiemy, że jestem Zapalnikiem do tej broni. - Rozgląda się po zgromadzonych na mostku. - I wiemy, że musimy go powstrzymać.

- Jak? - dopytuje się Finian. - Każdy agent GAW, na którego się natkniemy, jest zainfekowany. Kto wie, jak daleko to sięga? Nie chcę podcinać wam skrzydeł, przyjaciele, ale cały wasz terrański rząd jest podejrzan.

Aurora błędnie na te słowa. Myśli o ojcu, o tym co z niego zostało, przypomina sobie, jak wyciągał do niej rękę na planecie.

„Jie-Lin, potrzebuję cię”.

Zaraz jednak patrzy twardo. Kręci głową.

- Oznaki infekcji są doskonale widoczne na ciele. Koloniści zarażeni na Octavii musieli przeniknąć do GAW, doprowadzić do ogłoszenia kwarantanny, żeby ukryć Ra'haam. Gdyby jednak infekcja mogła po prostu przenosić się z osoby na osobę, to po dwustu latach nie pozostałby ani jeden zdrowy człowiek. - Zerka na gwiazdną mapę i pulsujące czerwone kropki. -

Wątpię, żeby Ra'haam był na tyle mocny, żeby rozpleniać się podczas snu. Myślę, że mógł tylko zainfekować ludzi, którzy natknęli się na niego na tych planetach-wylęgarniach. Większość nadal śpi. Ra'haam jest słaby. Mamy szansę.

- Na co? - pyta cicho Zila. - Jak walczyć z czymś takim?

- Za pomocą broni, jaką zostawili nam Eshvarenowie. Przy pomocy mnie. Jeśli powstrzymamy rozplenie, o którym mówił Ra'haam, jeśli uniemożliwimy tym dwudziestu dwu planetom rozprzestrzenienie infekcji przez lokalne bramy do Fałdy, to może zatrzymamy go raz na zawsze.

- Jesteśmy poszukiwanymi przestępcami - zauważa Scarlett. - Zaatakowaliśmy terrańskie statki wojskowe i złamaliśmy galaktyczną kwarantannę. Będą nas ścigać wszystkie rządy w Galaktyce. Nie możemy liczyć na niczyją pomoc.

Kal skrzyżował ręce.

- Więc zrobimy to sami.

- Nasza szóstka? - Finian prychnął. - Przeciwno całej Galaktyce?

Sięgam pod koszulkę po sygnet ojca, który noszę na łańcuszku na szyi. Czuję metal na skórze, zastanawiam się, co powiedziałyby ojciec, gdyby teraz mnie zobaczył. Wpatruję się

w gwiazdną mapę. Myślę, jakie mamy szanse. Jak niemożliwe i szalone zadanie leży przed nami.

Zadają sobie pytanie, czy nadal wierzę.

- To wymagałoby cudu - mruczę w końcu.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu. Zerkam na Koniczynkę, przesuwam palcem po bliźnie, jaką zafundowała mi Cat. Serce boli mnie tak potwornie, że aż zerkam, czy nie krwawię. Na mostku jest cicho, słychać tylko szum silników. Bicie naszych złamanych serc.

W tej ciszy odzywa się Zila.

- Prawie każda cząsteczka we wszechświecie była kiedyś cząstką gwiazdy - mówi cicho. - Każdy atom w twoim ciele. Metal w twoim fotelu, tlen w płucach, węgiel w kościach. Wszystkie atomy zostały wykute w kosmicznym piecu mającym ponad milion kilometrów szerokości, miliardy lat świetlnych stąd. Zbieżność zdarzeń, które doprowadziły do tej chwili, jest tak nieprawdopodobna, że wręcz niemożliwa. - Kładzie rękę na moim ramieniu. Jej dotyk jest niezręczny, jakby nie do końca wiedziała, jak to się robi. Ścisza mi delikatnie ramię. - Samo nasze istnienie jest cudem.

- Co chcesz powiedzieć? - szepczę, unosząc głowę.

Patrzy mi w oczy ze śmiertelną powagą.

- Przypominam ci mądrość, którą już się z nami podzieliłeś.

- A mianowicie?

- Że czasem trzeba po prostu mieć wiarę.

Patrzę na nią. Na moją drużynę. Na puste miejsce, gdzie powinna siedzieć Cat, które jest jak dziura w mojej piersi. Potem patrzę w oczy mojej siostry, równie zapłakane i cierpiące jak moje. Mówi do mnie bez słów.

Wskaż drogę, bracie.

Wstaję. Patrzę na piątkę, która wskoczyła ze mną w paszczę potwora. Możliwe, że cała Galaktyka na nas poluje. Możliwe, że nie przeżyjemy następnego dnia. Kiedy jednak podchodzę do fotela pilota, podnoszę Koniczynkę i stawiam go na wyświetlaczu przed konsolą Cat, wiem, że myślą to samo, co ja. Jesteśmy to winni Cat. Musimy podjąć walkę. Musimy włożyć w nią wszystko, co mamy.

- Nie musimy robić tego sami, Kal - mówię.

Patrzę na nich.

- Zrobimy to razem.

Aurora uśmiecha się. To błady uśmiech, przez łzy, ale szczerzy.

- Drużyna 312 na zawsze.

Kal patrzy mi w oczy. Powoli kiwa głową.

- Jesteśmy Legionem - mówi.

- Jesteśmy światłem - odpowiada Scarlett.

- Płonącym jasno pośród nocy - kończymy chórem.

Siadam w fotelu pilota, wprowadzam współrzędne Fałdy. Na mostku robi się ruch, drużyna zajmuje swoje miejsca, silniki się rozkręcają, światło rozbłyskuje na naszych konsolach wszystkimi kolorami tęczy.

- Dokąd lecimy, Złotko? - pyta Finian.

Patrzę na gwiazdną mapę.

Dwadzieścia dwa znaki ostrzegawcze.

Dwadzieścia dwa znaki zapytania.

Dwadzieścia dwa cele.

- Wygląda na to, że toczymy wojnę. - Kiwam głową do Aurory. - I wygląda na to, że mamy już Zapalnik.

Nasze silniki buchają - jasne światło na tle ciemności.

- Poszukajmy naszej Broni.

CZŁONKOWIE DRUŻYNY

► Rachunki Krwi i Długi Wdzięczności

▼ Podziękowania

Powszechnie wiadomo, że napisanie książki wymaga więcej mózgow, niż ma kolektyw hadździ na Een III, i większej liczby wskazówek, niż jest w pokoju pełnym zegarów. Autorzy nie dysponują taką liczbą mózgow i potrzebowali tak wielu wskazówek. Poniższe formy życia zostały zidentyfikowane jako te, które przyczyniły się do zaistnienia tej opowieści:

Członkowie drużyny: odkąd ta podróż zaczęła się przy Illuminae, jesteście nieustannie wdzięczni za drużynę, jaką zebraliśmy po drodze, i nieustannie nią zdumieni. Księgarze, bibliotekarze, czytelnicy – jesteście Wam ogromnie, ogromnie wdzięczni. Umożliwiacie nam robienie czegoś, co kochamy, a my kochamy dzielić się tym z Wami. Ogromne podziękowania kierujemy też do vloggerów, bloggerów, tweeterowców, bookstagramowców i wszystkich innych, którzy pomogli nam szerzyć wieść o naszych książkach. Bez was nie dalibyśmy rady!

Eksperci: ogromne, ogromne podziękowania dla licznych ekspertów od spraw medycznych, kulturowych, naukowych, społecznych i innych, którzy udzielili nam po drodze pomocy. Jak zawsze wszelkie błędy, jakie się uchowały, są nasze własne. U wszystkich, których tu nie wymieniamy, a także u Jess Healy Walton, Amy McCulloch, Yulina Zhuanga, C.S. Pacat, dr Kate Irving, Lindsay „LT” Ribar oraz Claerie Kavanaugh – mamy wielki dług. Mamy u Was więcej niż jeden dług. Profesor Brian Cox, profesor Carl Sagan, dr Neil DeGrasse Tyson, komandor Scott Kelly, pułkownik Chris Hadfield, Hank Green oraz Scishow Space Teams – oto osoby, które zmieniły tę książkę, nawet o tym nie wiedząc. Dziękujemy Wam za inspirację!

Wydawcy: Pani admirał Barbaro Marcus i cała ekipa z Random House – dziękujemy, dziękujemy, dziękujemy. Dziękujemy naszej niesamowitej redaktorce Melanie Nolan, cudownej Karen Greenberg, Rayowi Shappellowi, Kathleen Go, Artiemu Bennetowi, Aishy Cloud, Johnowi Adamo, Joshowi Redlichowi i Judith Haut oraz wszystkim żywym legendom z działu sprzedaży, marketingu, produkcji, adiacji i wszystkim innym, dzięki którym ta książka jest tym, czym jest. Bez wahania powierzylibyśmy wam przeprowadzenie skomplikowanego skoku na bank. Jeśli idzie o skalę międzynarodową, to mamy ogromne szczęście, że zagościliśmy u tak wielu niesamowitych wydawców, w tym w Allen & Unwin, gdzie dziękujemy Annie Mcfarlane, Radhiahowi Chowdhury, Jess Seaborn i całej australijskiej ekipie, oraz w Rock The Boat, gdzie Juliet Mabey kieruje niesamowitą ekipą. Ogromne podziękowania dla tych drużyn oraz dla tłumaczy, którzy przekładają nasze książki na Wasze języki.

Agenci: Nasz Łuk nigdy by nie wystartował bez Joshua i Tracey Adams, Cathy Kendrick i Stephena Moore’a w załodze. Dziękujemy za wszystko, co dla nas zrobiliście i za wszystkie razy, kiedy stawaliście na głowie. Ogromnie dziękujemy zagranicznym agentom, którzy pomogli rozpropagować Legion Aurory na całym świecie.

Twórcy muzyki: ścieżki muzycznej do tej książki dostarczyli następujący geniusze: Joshua Radin, Matt Bellamy, Chris Wolstenholme, Dominic Howard, Buddy, Ben Ottewell, The Killers, Weezer, The Scissor Sisters, Marcus Bridge & Northlane, Ludovico Einaudi, Oliver Sykes & BMTH, Ronnie Radke & FIR, Trent Reznor & NIN, Danny Worsnop & AA, Maynard James Keenan & Tool, Winston McCall & PWD, Ian Kenny & The Vool, Robb Flynn & MH, Chris Motionless & MIW, Anthony Notaromaso & ATB, Jamie Hails & Polaris, a w szczególności Sam Carter, Tom Searle & Architects.

Ekipa techniczna i wsparcie: stawilibyśmy czoło Wielkiemu Ultrazaurowi z Abraaxis IV dla następujących ludzi: Meg, Michelle, Marie, Leigh, Kacey, Kate, Soraya, Eliza, Peta, Kiersten,

Ryan, Cat, Roti Boti Gang, House of Progress Crew, Marc, Surly Jim, B-Money, the Goddamn Batman, Rafe, Weez, Sam, Orrsome oraz Hidden City Rollers. Jak zawsze dziękujemy Nicowi za to, że zapoznał nas ze sobą i zapoczątkował to wszystko, oraz Sarah Rees Brennan, nadzwyczajnej akuszerce opowieści.

Jednostki rodzinne: jak zawsze dziękujemy rodzinom za niekończące się wsparcie i entuzjazm, za wszystko, co dla nas robicie, proszeni i nieproszeni. Jesteśmy bardzo wdzięczni za to, że Was mamy. Kochamy Was i jesteśmy Wam winni więcej przysług, niż zdołaliby zliczyć nawet Betroskanie.

Małżonkowie: Amando i Brendanie bez Was nie dalibyśmy rady i nie chcielibyśmy nawet próbować. Z miłością, wdzięcznością i skrywanym zaskoczeniem, że nas znosicie, dziękujemy za to, że wybraliście nas do swoich drużyn.